

IRENA MATUSZKIEWICZ
SERYJNY NARZECZONY
KOMEDIA KRYMINALNA



IRENA MATUSZKIEWICZ
SERYJNY NARZECZONY
KOMEDIA KRYMINALNA





Projekt okładki: XAUDIO

Copyright © Irena Matuszkiewicz

Copyright © for the Polish ebook edition by XAUDIO Sp. z o.o.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych – również częściowe – tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw.

ISBN 978-83-67048-50-7

Wydanie III

Warszawa 2022

Wydawca:

XAUDIO Sp. z o.o.

e-mail: kontakt@xaudio.pl

www.xaudio.pl

Spis treści

1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
12
13
14
15
16
17
18
19

1

Baśka szykowała śniadanie. Uwijała się cicho i prawie żadne hałasy nie docierały do pokoju. Prawie żadne, chociaż wiadomo było, że odgłos czajnika na pewno dotrze. Baśce nigdy nie udało się w porę ściągnąć gwizdka, zawsze była gdzieś dalej niż przy kuchence i chwilę trwało, zanim rozwścieczony pisk przeszedł w głuche pomruki zakończone błogą ciszą. To wystarczyło, żeby w pokoju obok Łucja gwałtownie przeskoczyła ze snu w jawę. Zazwyczaj leżała, rozmyślając, czy warto zacząć dzień od gimnastyki. Każdego ranka okazywało się, że nie warto, więc ograniczała cały wysiłek do rozplanowania najbliższych zajęć: co zrobić, gdzie iść, do kogo zadzwonić.

Tego dnia czekało ją spotkanie z Oskarem. Nie widzieli się od czasu wielkiej awantury zakończonej rozstaniem. Odegrali wtedy niezłe przedstawienie, zakończone prawie happeningiem z udziałem rozbawionych przechodniów. Ona szła ulicą Długą, unosząc cały swój ruchomy dobytek, czyli plecak, poduszkę, koc i laptop, on wisiał w oknie szóstego piętra i krzyczał na cały głos: „Jeszcze pożałujesz!” Tyle zapamiętała, chociaż krzyczał dużo więcej, jakby chciał poinformować wszystkie panny między Długą i aleją Solidarności, że oto zostaje w mieszkaniu sam, przystojny i do wzięcia. Mijając pawilon Pizza Hut, wciąż słyszała jego głos, a wokół widziała zadarte głowy ludzi. Na szczęście to Oskar był gwiazdą widowiska, nie ona.

Od tamtego dnia minęły trzy miesiące. Nie żałowała, że odeszła, żałowała, że zrobiła to tak późno. Zmarnowała cztery długie lata. A może nie zmarnowała, może właśnie wydorosłała przy nim i nabrała odporności. Baśka powiedziała mądrze: „Potraktuj go jak szczepionkę przeciwko dziecięciniałym facetom, a wtedy te cztery lata nabiorą terapeutycznego sensu”. Kupiła pomysł, przestała się

boczyć i nawet raz czy dwa pogadała z nim przez telefon. Powiedzieli sobie wszystko, co się mówi w takich okolicznościach, to znaczy, że było, minęło, nie czas żałować róż, i tak dalej, i że zamiast do siebie strzelać, lepiej zostać przyjaciółmi. Nie paliła się przesadnie do tej nowej przyjaźni, ale też nie zdziwiła się, kiedy nieoczekiwanie zadzwonił wczoraj. Gdyby zapraszał ją na zwykłą, towarzyską pogawędkę, powiedziałyby: „Wypchaj się, facet, nie zwracaj głowy”. Nie była ciekawa pogawędek z Oskarem. Przez cztery lata rozgryzła go jak pestkę i dobrze wiedziała, jak niewiele miał do powiedzenia. Lecz tym razem Oskar nie uderzał w ton liryczny, tylko od razu przeszedł do sedna sprawy: „Oczywiście słyszałaś, że kręcę film?” – spytał i natychmiast dodał: „Dzwonię, bo mam dla ciebie propozycję nie do odrzucenia. Zawodową, ma się rozumieć. Spotkajmy się w naszej herbaciarni”. Nie liczyła na wielkie rewelacje, ale rozpieściła ją ciekawość, co też on nazywał propozycją nie do odrzucenia. Byli więc umówieni w „Samych fusach”, przytulnym lokalu na piąterku, gdzie od czasu do czasu spotykała się cała paczka.

Bez żadnych powodów, ot, tak sobie pomyślała, że to będzie udane przedpołudnie. Niestety, optymizm nie zaradził senności. Wchodząc do kuchni, ziewała jak hipopotam.

– Zrobisz dzisiaj zakupy? – spytała Baśka.

Przeglądała notatki o chorobach przewodu pokarmowego, kończyła jeść śniadanie i już myślała o kolacji. Miała wyjątkowo podzielną uwagę, potrafiła robić kilka rzeczy naraz, i to z dobrym skutkiem. Gdyby nie czekał ją ciężki dzień na uczelni, sama kupiłaby coś do jedzenia. Niemrawe „aha” Łucji zginęło w szerokim ziewnięciu.

– Królestwo za filiżankę kawy! – jęknęła.

– A skąd ty weźmiesz królestwo, zaspana sieroto? – roześmiała się Baśka. Zdążyła już sprzątnąć po śniadaniu i zwinąć notatki. Stała w drzwiach gotowa do wyjścia.

– Nie mamy kawy? – wychrypiała Łucja.

– Nie mamy kawy, królestwa i paru innych rzeczy. Na stole zostawiłam ci listę tego, czego nam brakuje.

Cicho stuknęły drzwi. Łucja opadła na krzesło. Dochodziła ósma. O dziesiątej powinna być już na Nowomiejskiej, a przecież musiała

umyc głowę i zrobić się na bóstwo. Oskar co prawda przestał się liczyć, przynajmniej dla niej, lecz kobieca duma nakazywała, by zobaczył ją piękniejszą, niż zapamiętał. Ledwie otworzyła drzwi do łazienki, zabrzączał dzwonek. Mogła spodziewać się sąsiadki, listonosza, w ostateczności nawet Oskara, ale nie Gołąbkowej.

Na widok właścicielki mieszkania poczuła lęk pomieszany ze złym przeczuciem. Szacowne babsko, zwane przez swoje lokatorki niezbyt pieszczotliwie pokemonem, zjawiało się raz w miesiącu, żeby ponarzekać na drożyznę, obgadać znajomych i odebrać pieniądze za wynajęcie lokalu. Na rozliczenia było za wcześnie. Gołąbkowa zwykle wpadała pierwszego, przed wieczorem.

– Ładne mieszkanko, bardzo ładne – zachwyciła się od progu, jakby nigdy wcześniej nie widziała dziupli, w której wychowała dwu synów i spędziła sporo lat, zanim kupiła dom gdzieś na Bielanach.

Łucja nie pozwoliła sobie na panikę. Spokojnie wyliczyła wszystko, co obie z Baską zrobiły, zanim nora, zapuszczona przez ostatnich lokatorów, stała się przytulnym mieszkaniem. Pozdzierały ręce do krwi przy malowaniu ścian, okien i cyklinowaniu podłogi, to raz. Dwa – nadszarpnęły własne oszczędności, wymieniając sedes, wannę i kuchenkę gazową. Gołąbkowa słuchała niezbyt uważnie.

– Ładne mieszkanko, i to w samym centrum!

– Rakowiec leży w centrum? – udała zdziwienie Łucja.

Zachwyt Gołąbkowej sięgnął zenitu. Bliskość Okęcia uznała za drobiazg w porównaniu ze szpalerem lip na Żwirki i Wigury oraz wspaniałym widokiem z okna. Wystarczyło wspiąć się na palce, żeby zobaczyć najprawdziwszy bór sosnowy w sercu stolicy. Łucja bez wspinania mogła cieszyć oczy zielenią drzew okalających Cmentarz Żołnierzy Radzieckich, ale nie upatrywała w tym nic szczególnego. Rzadko sterczała w oknie, choćby ze względu na uliczny hałas, a także na brak czasu. Z sekundy na sekundę zyskiwała pewność, że pokemon nie fatygował się bezinteresownie, a co gorsza, ten interes jest mocno podejrzanym. Nie od dziś wiedziała, że Gołąbkowa to kobieta średnich interesów i dużych szachrajstw. lub odwrotnie.

– Jedna firma szuka dokładnie takiego mieszkania dla zagranicznych gości – sapnęła właścicielka, rozwiewając wszelkie wątpliwości.

– Mamy umowę na trzy lata! – Głos Łucji zabrzmiał ostro i zdecydowanie.

– Toć wiem i w kwestii tej umowy przyszłam. Oni dają większe pieniądze niż wy. Wiadomo, zagraniczni.

– Niech pani nie grzeszy! Wzięliśmy na siebie koszt remontu. Wszystko jest w umowie.

– Toć mówię, że w kwestii umowy przyszłam.

Nie dała się trzymać w ciasnym przedpokoju. Zajrzała do kuchni, uchyliła drzwi od łazienki, podreptała do pokoju. Nie mogła przeboleć, że tak łatwo zgodziła się obniżyć czynsz. Świdrowała chytrymi oczkami na lewo i prawo, węszyła, szukała, bo wiadomo: kto szuka, ten może czasem coś znaleźć.

– Matko przenajświętsza, a to co? – wybąkała, celując palcem prosto w Wiktusia.

– Pomoc naukowa – mruknęła Łucja.

W pierwszych dniach miesiąca Baśka przezornie ukrywała szkielet za zasłoną, więc jak dotąd Gołąbkowa nie miała okazji poznać Wiktusia. Teraz za to próbowała napatrzyć się za wszystkie czasy. Zmrużyła podpuchnięte oczy tak, że wyglądały jak dwie szparki, otworzyła usta i zastygła w pozie wielkiego zdumienia.

– Czy moje mieszkanie to urna albo cmentarz, żeby w nim nieboszczyków chować? Nie wynajmowałam lokalu szczątkom ludzkim! – wysyczała z oburzeniem.

– Wiktuś nie jest żadnym szczątkiem. To urodzony kościotrup, fantom, dzieło rąk ludzkich. Rąk, rozumie pani?

Gołąbkowa wykrzywiła usta ze wstrętem, za to oczy zachowała chytre, czujne. Wycofała się do przedpokoju, niby wychodziła, ale wciąż stała w miejscu. Gapiła się na Łucję i najwyraźniej nie pochwaliała zbyt krótkiej podomki i zbyt długich nóg dziewczyny. Widok nie był brzydki, wręcz przeciwnie, lecz uroda, jak wiadomo, jest sprawą gustu. Kobięcina przywykła do swojego odbicia w lustrze, więc wszystko, co smuklejsze, młodsze i zgrabniejsze, uznawała za nieprzyzwoite.

– Wierzy pani, że zagraniczna firma wynajmie kawalerkę na czwartym piętrze, i do tego ze ślepą kuchnią – zwątpiła Łucja.

Chciała tylko przerwać nieme oględziny, a całkiem niechcący poruszyła temat, który popłynął jak rzeka. Gołąbkowa, oczywiście, wierzyła, i to głęboko, że ma do zaoferowania najprawdziwszy apartament. Kręcone schody bez spoczników na półpiętrach pozwalały lokatorom zachować tężyźnię fizyczną, ślepe kuchnie zaś były kawałkiem historii, tej najnowszej. Gołąbkowa zaliczała je do największych osiągnięć polskich architektów okresu małej stabilizacji. Podobno władze polityczne, utożsamiane z oszczędnym Gomułą, wymyśliły, że wystarczy jedna kuchnia na piętrze dla trzech lokatorów. Architekci, w przebłysku geniuszu, zaprojektowali kuchnie w każdym mieszkaniu, tyle że małe i ślepe.

– Żeby to wiedzieć, trzeba znać historię – oświadczyła z dumą. Odwróciła się na pięcie i wreszcie wyszła, zostawiając lokatorkę w przekonaniu, że mieszkanie przy Baleyja jest cenniejsze od pałacowych luksusów.

Łucja nie chciała myśleć o podejrzanym wizycie, żeby nie psuć sobie dnia i nie zamartwiać się na wyrost. Stała pod prysznicem i pozwalała wodzie płynąć. Nic tak nie koi rozdrażnienia jak ciepła woda, myślała. Nie zdążyła jeszcze wytrzeć się do sucha, kiedy znowu usłyszała dzwonek, dla odmiany telefoniczny.

Kinga, naczelna „Tiramisu”, wybrała najgorszą porę do rozmów. Dzwoniła, by wymóc na Łucji przeróbkę cotygodniowego opowiadania, i to od ręki. Za godzinę chciała widzieć poprawiony tekst na ekranie redakcyjnego komputera. Nie słuchała protestów, mnożyła listę zarzutów, które należało uwzględnić w poprawkach. Płaciła i wymagała.

– Bohater nie może być głupszy od żony, bo nasze czytelniczki tego nie lubią – wyliczała. – I nie może uwodzić wszystkich dziewczyn jak leci. Jeżeli już chcesz pisać o zdradzie, to niech on pokocha jakąś laskę na boku, ale jedną, rozumiesz?

Tylko pamiętaj, po szczerzej rozmowie z żoną facet musi oprzytomnieć i wrócić na łono rodziny. I niech on tak strasznie nie cuchnie. Przypominam ci, że „Tiramisu” to tygodnik z wysokiej półki, właściwie najwyższej. Myślisz, że eleganckie czytelniczki zechcą czytać o jakimś śmierdzieliu? Nasze na pewno nie.

Łucja podziwiała Kingę za tę absolutną pewność, dzięki której naczelna „Tiramisu” zawsze wiedziała, co czytelniczki chcą czytać, co lubią i pochwalają, a czego z całą pewnością nie zniosą na łamach swojego tygodnika. Wszystkie, zdaniem Kingi, lubiły pogodne scenki ze szczęśliwym zakończeniem. Łucja pisała dla nich takie opowiadania, czerpiąc pełnymi garściami z własnych, czasem cudzych doświadczeń. Tym razem licho ją podkusiło i bez upiększeń odmalowała wstrząsającą historię Doški. Jediną istotną zmianą było to, że Władek, mąż Doški, zginął w wypadku, a Maciek, mąż narratorki, wciąż żył. I ten żyjący mąż najwięcej namieszał, zwłaszcza psychologowi, który komentował zachowania bohaterów i udzielał fachowych porad. Kinga pieńiła się ze złości.

– Zastanów się – podniosła głos. – Nie dajesz psychologowi żadnej szansy, zmuszasz go, żeby namawiał Ninę do rozwodu. Nasze czytelniczki są tradycjonalistkami, nie popierają zbyt radykalnych rozwiązań. Chyba wiesz, do czego zobowiązuje najwyższa półka?

– Do czystości – mruknęła Łucja, bo milczenie w słuchawce niebezpiecznie się przedłużało. Wyobraźnia podsunęła jej widok bardzo wysokich, zakurzonych regałów. Komu by się chciało wdrapywać ze ścierką aż pod sufit? Łucji na pewno nie.

– Mówisz o czystości moralnej? A wiesz, że to niezła metafora – pochwaliła Kinga.

Odłożyła słuchawkę, zostawiając Łucję z poważnym dylematem, komu bezpieczniej podpaść: czy Oskarowi, który ledwie napomknął o jakiejś propozycji, czy Kindze, która dawała jej pracę i płaciła nie najgorzej.

Prawdę mówiąc, Łucja nie miała wyboru. Sięgnęła po laptop. Poranek nie wydawał się już taki piękny jak godzinę wcześniej. Zadzwoiła do Oskara, żeby odłożyć bądź przełożyć spotkanie. Początkowo upierał się, kwękał coś o castingu i o tym, że o dwunastej jego propozycja traci aktualność, ale nie z Łucją takie gadki.

– Rozumiem – powiedziała. – Nie było propozycji, nie musimy się spotykać.

Nie zdążyła dodać: „Cześć!”, a już wpadł jej w słowo, obiecał poczekać. Nie wiedziała, na czym mu zależało: na współpracy, czy na

pochwaleniu się sukcesem, więc przyjęła, że ta druga hipoteza bardziej pasuje do Oskara.

Odszukała w laptopie opowiadanie, które tak silnie wzburzyło Kingę. Przerabianie dobrego tekstu, myślała, jest jak własnoręczne wbijanie zadry pod paznokieć: bolesne i bez sensu. A jaki sens ma przerabianie chamowatego brutala na miłego faceta w typie czytelniczek „Tiramisu?” Ten gnojek pęka teraz ze śmiechu gdzieś w zaświatach. Wzdrygnęła się na wspomnienie upiornego Władka, przechrzczonego w opowiadaniu na Maćka, i w tej samej chwili usłyszała za plecami przeciągły jęk, do złudzenia przypominający śmiech osła. Na szczęście to nie Władek rechotał, tylko sąsiad za ścianą wiercił kolejną dziurę, co znaczyło, że ranek upłynie przy akompaniamencie najprawdziwszej muzyki techno. Sąsiad, niestety, bardzo często tak wiercił, i to o różnych dziwnych porach. Z dwójga złego wolała już samoloty, które nad Rakowcem latały tak często, jak gołębie nad innymi osiedlami.

Praca nad tekstem szła ciężko. Nie wystarczyło zmienić jednego bohatera, trzeba było, do kompanii, zmienić wszystkich, przerobić zakończenie, a całemu utworowi nadać zupełnie inny wydźwięk, głępszy od pierwotnego, niestety. Łucja co chwila odrywała oczy od ekranu, żeby spojrzeć na zegarek. Kiedy wreszcie wstała od stołu, było tak późno, że zdążyła jedynie zadzwonić po taksówkę i pozapinać guziki przy bluzce. Wybiegając z domu, wcale a wcale nie przypominała bóstwa, w które zamierzała się wcielić.

Sala na piętrze świeciła pustkami. Łucja była wściekła, że na próżno telepała się taki kawał drogi, i jednocześnie zadowolona, że Oskar jej nie widzi. Jeszcze by pomyślał, że to z tęsknoty za nim tak podupadła na urodzie! Usiadła w kącie plecami do wejścia, zamówiła kawę i wreszcie mogła logicznie pomyśleć. Los, przeznaczenie, nic innego. To los postawił na jej drodze Gołąbkową, potem Kingę. A dlaczego? To proste: żeby nie musiała oglądać triumfującego Oskara. Cóż takiego mógł jej zaproponować ten palant? Zresztą cokolwiek by zaproponował, i tak byłoby to poniżej godności Łucji. U wielkiego reżysera, na przykład u Mistrza, chętnie ustawiałaby dekoracje, byle tylko otrzeć się o filmową kuchnię, coś podpatrzeć,

czegoś się nauczyć. A czego mogła się nauczyć od Oskara, który przez całe studia żerował na jej pomysłach?

Ledwie zdążyła się ucieszyć, że do spotkania nie doszło, ktoś zasłonił jej oczy. Nie słyszała kroków, poczuła tylko duże, męskie ręce na swojej twarzy.

– Oskar?

– Małemu Jasiowi wszystko kojarzyło się z czterema literami, tobie z pięcioma.

Roześmiała się i poderwała z krzesła, żeby uściskać Marceliego, jednego z najmilszych kumpli. Przy powitalnym miśku okazało się, że spotkanie wcale nie było przypadkowe. Marceli niósł wiadomość od Oskara, a więc w jakimś sensie był znakiem losu, który to los niczego nie odwołał, jedynie próbował przeciągnąć w czasie. Oskar chciał widzieć Łucję wczesnym popołudniem u siebie w domu. Zmarkotniała. Przez trzy miesiące zdążyła już zapomnieć, co dla niego znaczyło wczesne popołudnie. Gdy byli razem, zdarzało się, że sypiał do dwunastej, a wtedy wczesne popołudnie mocno zahaczało o wieczór. Nie miała ochoty odwiedzać go w domu, zwłaszcza wieczorem.

– Kiepsko wyglądasz, balowałaś w nocy? – zainteresował się Marceli, moszcząc sobie poduszkę na ławie.

– Między balami czasem jeszcze pracuję. Ostatnio przeważnie pracuję.

– W sobotę urządzam grilla, wpadnij z Baśką – powiedział. – Steve chce z tobą pogadać.

– Wiem, kim jest Baśka i dlaczego chcesz ją widzieć, natomiast nie mam pojęcia, na kogo teraz mówimy Steve?

Steve okazał się nową zdobyczą towarzyską, bardzo cenną, bo nafaszerowaną dolarami. Nikt nie wiedział dokładnie, ile miał kasy, lecz musiał mieć dużo. Mieszkał w Stanach, zajmował się produkcją filmów, co, jak wiadomo, nie jest profesją biedaków. Polskie kino nie było mu obce, nie mylił szkoły polskiej z kinem moralnego niepokoju, miał swoich ulubionych reżyserów i aktorów, ale interesował się przede wszystkim młodymi twórcami.

– Równy facet – zapewniał Marceli. – Znasz go, musisz go znać, byliście na jakiejś wspólnej balandze.

- W życiu!
- Przedrinkowałaś i nie pamiętasz.
- Akurat. Mogę nie pamiętać wszystkich twórców włoskiego neorealizmu, zgoda, ale nadzianego producenta zza oceanu na pewno bym zapamiętała. Najwidoczniej to on przedrinkował i coś pomylił – westchnęła z żalem. – Nie znam producentów krajowych, co dopiero zagranicznych. Gdybym tylko wiedziała, skąd wyszarpnąć forszę, kręciłabym filmy. Co z tego, że mam bombowy pomysł, jeżeli szczęście zarechotało nie do mnie?

Marceli oczywiście słyszał o filmie Oskara. Dużo ludzi z paczki słyszało, bo Oskar bardzo przeżywał swój debiut, jednak nikt nie wiedział, o czym to będzie film i za czyje pieniądze zostanie nakręcony. Podejrzewali tak i siak, trochę fantazjowali, jak zwykle w sytuacjach, gdy nic do końca nie jest wiadome. Łucja nie czuła się na siłach, by dźwigać dłużej ciężar niezaspokojonej ciekawości. I choć pół godziny wcześniej obiecywała sobie, że nie pojedzie na spotkanie z Oskarem, to nagle jednym haustem dopiła kawę i zaczęła się bardzo śpieszyć, żeby nie przegapić tej zagadkowej pory, którą on nazywał wczesnym popołudniem.

Z „Samych fusów” na Długą nie było daleko. Rodowity warszawiak, być może, rozglądałby się za taksówką lub autobusem, ale nie Łucja, która nawet leniwego Oskara przyzwyczaiała do spacerów. Szła różnym krokiem i próbowała przemyśleć kilka spraw. W głębi duszy trochę zazdrościła kolegom. W przeciwieństwie do niej wydawali się urzędnicy w zawodzie i pewni siebie. Co do Marcelego nie było wątpliwości: od początku studiów miał sprecyzowane zainteresowania i poza teatrem nic się dla niego nie liczyło. Dzięki wstawiennictwu Mistrza dostał ciekawą propozycję nowego odczytania Fredry i od września zaczynał pracę w teatrze. Był zachwycony, a Łucja cieszyła się razem z nim. Natomiast kariera Oskara wydawała się kpiną losu, jawną niesprawiedliwością. W przeciwieństwie do Marcelego Oskar posiadał talent w ilościach śladowych. Gdyby nie powtarzał w kółko, że go ma, nikt by się nie domyślił. Najgorsze jednak było to, że Oskar nie czuł literatury ani filmu, nie potrafił opowiadać słowami ani obrazami. Jedyne, co go naprawdę fascynowało, to kino akcji, zwłaszcza zaś filmy

z pościgami samochodowymi. „Ktoś, kto klasę filmu mierzy ilością złomu, powinien zostać rajdowcem albo monterem”, powiedział kiedyś Mistrz. Oskar nie był mocny w wyciąganiu wniosków, pośmiał się i dalej studiował reżyserię.

Co ja w nim widziałam oprócz imienia? – zastanawiała się Łucja. Wszystko przez to imię. Każdy filmowiec marzy o Oscarze, a ja go sobie zdobyłam pierwsza. Na oko niezła statuetka, tylko bardzo trudna we współżyciu.

Coś jej jednak w duszy szeptało, że sama siebie okłamuje. Był czas, kiedy szalała za Oskarem, a że potem jej przeszło, to już całkiem inna historia.

Bez specjalnych sentymentów wchodziła do wieżowca, w którym nawet nie zdążyła się zasiedzieć. Dopóki wynajmowali różne klitki i kawalerki, dopóty była szczęśliwa. Urządzała je i upiększała po swojemu, co Oskarowi odpowiadało. Mieszkanie warszawskie było prezentem od jego rodziców. I nagle Oskar zaczął bardzo pilnować, żeby Łucja nie zawałała wewnątrz swoimi drobiazgami. Na każdym niemal kroku sprowadzał jej obecność do roli gościa hotelowego. Czy można się wzruszać na wspomnienie hotelowego życia? Naciskając guzik dzwonka, Łucja czuła się wolna, raz na zawsze wyleczona z mieszkania i jego lokatora.

Oskar trochę się zmienił i bodaj wyprzystojniał. Włosy ściął bardzo krótko, tuż przy skórze i podobnie potraktował wąsy. Zostawił na twarzy jedynie cień zarostu, rodzaj oprawy dla bardzo ładnych ust i zębów. Patrzył na Łucję po swojemu, to znaczy ironicznie i spode łba.

– Świetnie wyglądasz! – powiedział.

– Nie wysilaj się – mruknęła nieprzychylnie. – Jestem zmęczona, nie mam ochoty na żarty.

– Hm... Przy mnie nigdy nie byłaś taka wymoczona – przyznał z uśmiechem, który Łucję wkurzył jeszcze bardziej niż przesadne zachwyty nad jej wyglądem.

Gestem ręki zaprosił ją do pokoju. Zagłębiona w fotelu, patrzyła obojętnie na pogrzebaną raz na zawsze miłość swojego życia. Sama była zdziwiona, że to, co uważała za wielkie uczucie, tak szybko zmieniło się w wielką obojętność.

Oskar z dużą pewnością i swobodą rozprawiał o filmie. Nie kręcił go dla siebie, tylko dla widza, więc uwzględniał tak zwany gust zbiorowy, o którym wiedział nadspodziewanie dużo. Jak wykazują sondaże, perorował, współczesny widz przepada za pościgami, mordobiciem, a także twardą męską gadką, i dobre kino musi mu to wszystko zapewnić. Nawet seks nie jest już taki ważny jak kiedyś, chociaż trudno sobie wyobrazić film bez dwóch, trzech numerków. Przewidywał jeden, za to ostry jak brzytwa.

Łucja słuchała z coraz większym przygnębieniem. Gotowa była zazdrościć Oskarowi, chociaż jeszcze dwa, trzy lata temu gardziła komercją. Miała kilka niezłych pomysłów, w tym jeden na groteskę poświęconą Gałczyńskiemu, ale nikt nie chciał ich kupić. Mistrz chwalił, zachęcał do wytrwałości i na tym koniec. W czasach, kiedy najwięksi reżyserzy boksowali się o pieniądze, tylko cud mógł sprawić, że któryś z producentów chciałby promować debiutantkę. Odłożyła ambicje na czas bliżej nieokreślony, co nie znaczy, że zrezygnowała z nich zupełnie.

Oskar zawsze szedł na skróty i tym razem chyba wygrał. Co z tego, że kręcił jeden z tych głupich filmików, o których zapomina się natychmiast po skończeniu projekcji? Liczyło się, że to on kręcił, a jej proponował zagranie tytułowej roli. Niewielkiej co prawda, lecz na tyle ważnej, że miała szansę stać się kultowa. Zapewniał, że wokół pływaczki kręci się cała akcja, zbrodnie, pościgi i tak dalej. Kult w wydaniu Oskara też musiał być płaski jak cała reszta.

– Odbiło ci!?! – spytała zaskoczona.

– Nie, dlaczego? Zagraj u mnie, choćby przez wzgląd na dawne sentymenty. Rozumiesz?

Otóż nie rozumiała, ale też nie chciała przedwcześnie wyskakiwać ze swoimi obawami. Miała przed sobą faceta pamiętliwego i zawziętego. Taki facet mógł krzyknąć przez okno: „Jeszcze pożałujesz”, bo to do niego pasowało. Natomiast z całą pewnością nie mógł pielęgnować sentymentów do dziewczyny, która go porzuciła. I czy on w ogóle wiedział, co to sentyment?

– Nie jestem aktorką.

– Dasz sobie radę. Uczyli cię, czego wymagać od aktorów, to tego samego będziesz wymagała od siebie. Jaki to problem? Stworzyłem

tę rolę z myślą o tobie. Pływaczka to silna dziewczyna, jednocześnie bardzo kobieca. No wiesz, dołki w policzkach, ujmujący uśmiech, brązowe oczy. Mam ci dalej tłumaczyć?

- Daruj sobie. Dowiem się, jak przeczytam scenariusz.
- Wszystko w swoim czasie. Teraz kręcimy plenery w Świdrze.
- Teraz?

Okazało się, że nie teraz, tylko w poniedziałek przed południem. Łucja nie mówiła ani tak, ani nie. Milczała i ważyła propozycję. Z wyjątkiem pieniędzy, o których Oskar wspominał dość mętnie, wszystko przemawiało za tym, żeby pożegnać się i pojechać do domu. Powoli zaczynała chwytać, o co w tej całej gierce może chodzić. Nie o pływanie i nurkowanie, bo od czego są kaskaderzy i statyści. Oskar chciał kręcić film i jednocześnie robić kino: wrzeszczeć na Łucję, że źle się rusza, źle mówi i jest do niczego. Na planie, przy wszystkich, żeby mieli ubaw. Wkurzyła się i spojrzała nieprzychylnie. Akurat pytał, czy zaparzyć herbaty, i to spojrzenie jakoś nie pasowało do pytania. Sięgnęła po torebkę, ale był szybszy i przytrzymał jej rękę.

- Nigdy nie myślałaś, żeby wrócić?
- Puszczaj!
- Okay! W poniedziałek wyjeżdżamy o dziesiątej – powiedział.

Łucja zapomniała o zakupach i na kolację mogła podać jedynie herbatę na smyczy. Czego jak czego, ale herbaty w domu nie brakowało. W kuchni leżały cztery opakowania podłej gatunkowo mieszanki, którą dzień po dniu kupowała na wszelki wypadek i przez roztargnienie. Cztery razy osiemdziesiąt saszetek, myślała, to da się pić. Sama już nie wiedziała, co ją bardziej mierzi: herbaciany, nieapetyczny nalot na szklance czy własna lekkomyślność. Ot, choćby i dzisiaj. Prawdę mówiąc, nie zapomniała o zakupach, zrobiła je, lecz przez roztargnienie pomyliła to, co konieczne, z tym, co piękne. Konieczne były bułki, masło, szynka, ona zaś straciła głowę dla czarnych stringów i biustonosza haftowanego w motyle. Po rozmowie z Oskarem czuła się podle, potrzebowała choć odrobiny piękna, by odzyskać równowagę ducha. Zamiast iść prosto do metra, zboczyła na Senatorską i tam, w swoim ulubionym butik, odnalazła

piękno zaklęte w czerni i motylkach. Komplet był uroczy, lecz niejadalny. Na wszelki wypadek w ogóle nie wyjmowała go z torby, żeby nie drażnić Baśki. Wydała wszystkie pieniądze, które miała przy sobie, więc na kolację podała herbatę i gotowca typu: „Taka jestem zaganiana, że nie zdążyłam...”

Baśka udawała lub nie udawała, że czyta. Kartkowała podręcznik, wymachiwała kolorowymi mazakami i znowu udawała lub nie udawała, że w całym pokoju jest tylko ona i ta książka o chorobach przewodu pokarmowego czy innych okropieństwach. Gdyby chociaż mruknęła: „Bo z tobą to tak zawsze” albo „Następnym razem nie obiecuj”, wszystko jedno co, byle zagłuszyć ciszę i dać Łucji możliwość zgrabnej riposty, życie wróciłoby do normy. Dajmy na to Baśka mówi: „Zawiodłaś mnie, jesteś nieodpowiedzialna i masz głowę jak sito”. Na co Łucja odpowiada, szczerząc zęby: „Głowę mam całą, tylko mózg nieprzystosowany do prozy życia”. Jednym żartem, jednym zdaniem rozbroiłaby gniew Baśki. Wreszcie nie wytrzymała:

– Chyba zadzwonię, żeby przywieźli nam pizzę – rzuciła w przestrzeń, ni to do przyjaciółki, ni do Wiktusia.

Baśka oderwała oczy od książki. Nie wydawała się wkurzona, raczej zapracowana i nieobecna duchem. W Łucję wstąpiła nadzieja. Znowu oceniła według swojej miarki i trafiła kulą w płot. Baśka była niepodobna do niej ani do nikogo innego, jedyna w swoim rodzaju. Nie dąsała się, tylko uczciwie zakuwała do egzaminu.

– Mogę ci wymienić co najmniej trzy powody, dla których nie powinnaś obżerać się pizzą na noc – powiedziała.

– Dzięki. Będę zdrowsza bez tej wiedzy, tyle że wciąż głodna.

– Nikt jeszcze nie umarł po jednej przegwizdanej kolacji.

– Z takim podejściem do diety rośniesz na fajną lekarkę! – zgorszyła się Łucja.

– Wyluzuj!

– Łatwo powiedzieć. Wiesz, co ja dzisiaj przeżyłam? Dzień świra... albo raczej świrówki? A może świrki? Jaki jest rodzaj żeński od rzeczownika świr?

– Czy ja wiem? – Baśka wzruszyła ramionami. – Widać rodzaj żeński jest niepotrzebny. To wyłącznie męski stan ducha i nas nie dotyczy.

– Myślisz? Zresztą nieważne. To był okropny dzień i chciałam się jakoś pocieszyć – powiedziała Łucja. I dodała smętnie: – Poniosło mnie aż do Oskara.

Wiedziała, że taki szept bardziej zaciekawi Baškę niż opowieść ze wstępem, rozwinięciem i zakończeniem. Trafiła w dziesiątkę. Przyjaciółka poprawiła się w krzesło, spojrzała uważnie, chociaż książki jeszcze nie odłożyła.

– Mówiłaś, że drogi powrotnej nie ma, że zaorana?

– Przestań się czepiać. Dawno mnie tam nie było, prawie trzy miechy... Naprawdę nie chcesz pizzy? Szkoda. Tłumaczę ci więc, że od rozstania, to jest, odkąd sprowadziłam się tutaj, traktuję swojego byłego jak powietrze. To on zadzwonił z propozycją, żebym zagrała w jego filmie. Poszłam omówić szczegóły.

Teraz dopiero Baška odsunęła podręcznik tak gwałtownie, że mazaki pospadały na podłogę. Oskar i film to było coś nowego i zaskakującego. Niby każdy reżyser ma prawo kręcić filmy, ale dlaczego nie Łucja, nie Marceli ani ci inni z grupy, młodzi, zdolni i napompowani ambicją, tylko Oskar? O nim wciąż słyszała, że jest facetem bez pomysłu i układów, czyli kompletnym zerem zawodowym. Nawet gdyby tę opinię podzielić przez dwa, uznać, że jest skażona koleżeńską zazdrością, to i tak niewiele zostawało na obronę Oskara. Może tylko imię. Oparła brodę na splecionych dłoniach i patrzyła wyczekująco.

– Gadaj, dlaczego grasz, a nie kręcisz? Pytam o film, nie o życiowe matactwa, w których jesteś coraz lepsza.

– Wydaje ci się, bo rośniesz – mruknęła Łucja. – Żyję prawdą i korzonkami, nie widać? A wracając do Oskara, to... sama nie wiem. Wierzę mu i nie wierzę. Mówi, że ma wszystko: własny, pierwszorzędny scenariusz, sponsora, czyli kasę, 1 zamówienie. Kasę i zamówienie mógł załatwić, bajerować umie, a i cuda się zdarzają. Scenariusz mnie męczy, rozumiesz? Oskar nie mógł go napisać: nie to pióro, nie ta klasa. W szkole ani jednej etiudy nie wymyślił sam, bo jak tylko ruszył rozumem, to lepiej, żeby w ogóle nie ruszał. I zobacz, jak wyszło: on kręci film według własnego, powiedzmy, że własnego, scenariusza, a mnie chce obsadzić w roli baby-ryby. To

jasne, że zagram lepiej niż naturszczyk i na pewno taniej niż gwiazda, chciałabym tylko wiedzieć: w czym zagram?

– Przejrzyj scenariusz.

– No co ty! Pomysły i scenariusze się ma, ale się o nich nie kłapie dziobem, przynajmniej w naszym środowisku. Wejdę do obsady, to się dowiem.

– A wejdiesz?

– Cóż mi zostało? Cztery zęby, rozpacz, artretyzm i fortepian, jakby powiedział poeta Konstanty. Dla chleba, dla kasy zagram nawet u Oskara. To znaczy, myślę, że zagram, bo pewna jeszcze nie jestem.

– Dobra, a twój film? Od trzech miesięcy słyszę o bombowym pomysle!

– Bo to jest bombowy pomysł! – wykrzyknęła Łucja.

Podbiegła do Baśki, osunęła się na podłogę tuż przy krześle i zajęczała cichutko.

– Basieńko, przytul mnie, przytul i powiedz, że nakręcę film na miarę Oscara. Amerykańskiego, rzecz jasna. O wielkiej miłości, o fatum i śmierci...

Baśka roześmiała się, przygarnęła głowę Łucji do swoich żeber, pogładziła i utuliła.

– Nakręcisz. Oczywiście, że nakręcisz, pod warunkiem, że w ogóle zaczniesz.

Łucja zamruczała niewyraźnie i podniosła się z klęczek. Nie chciała słuchać wymówek. Temat był śliski i niejednoznaczny, a przyjaciółka nie miała zielonego pojęcia o produkcji filmów, nie znała środowiska ani układów. Patrzyła ze swojego punktu widzenia: badanie, diagnoza, lekarstwo. Baśka była kochana, lecz zamożna z domu i głucha na tak oczywiste argumenty, jak choćby ten, że aspiracjami artystycznymi nie można zapłacić za czynsz, buty i pizzę. Wciąż powtarzała: „skup się na tym, co cię naprawdę interesuje”.

Łucję interesowało mnóstwo różnych rzeczy, przede wszystkim dobre kino. Całkiem poważnie myślała, żeby wpisać się w nurt filmów niskobudżetowych, nakręcić ciekawy obraz i w ten sposób zaistnieć. Wielu znakomitych reżyserów o światowej sławie tak

właśnie zaczynało. Lynchowi drogę do filmów wysokobudżetowych utorowała *Głowa do wycierania*, Jarmuschowi *Nieustające wakacje*. Niestety była to droga mozolna i mimo wszystko wymagająca jakichś tam pieniędzy, żeby poza wielką wytwórnią wyprodukować obraz, który zachwyci kogoś więcej niż tylko reżysera. Dla takich jak ona, młodych i zupełnie nieznanymi, było jeszcze kino offowe, coraz popularniejsze także w Polsce. Niestety, Łucja nie czuła w sobie dość siły na eksperymenty formalne. Na początek chciała zrobić dobry, klasyczny film, na który miała już pomysł. Biegała tu i tam, szukała odpowiednich ludzi i jak na razie nie mogła się pochwalić większymi osiągnięciami. Środowisko filmowców dawno już przestało skupiać się wokół autorytetów. Rządzili ci, co mieli kasę: producenci i telewizja. Do ludzi z kasą Łucja nie miała dostępu. A Baśka wierciła jej dziurę w brzuchu, kazała się skupiać na tym, co najważniejsze. Siedem lat różnicy to pokoleniowa przepaść, pomyślała ze smutkiem.

Brudne szklanki zjechały na brzeg stołu, przed Łucją stanął laptop, co znaczyło, że najpóźniej pojutrze Kinga dostanie swoje opowiadanie na rozkładówkę. Tym razem tematem przewodnim była nadopiekuńczość. *Dlaczego nie umiem kochać?*, wystukała Łucja.

– Scenariusz czy pańszczyzna? – zainteresowała się Baśka.

– Około stu pięćdziesięciu wierszy o zagłaskiwaniu kota na śmierć, czyli wynurzenia narratorki Joanny, oparte na przeżyciach własnych autorki.

– Znaczą pańszczyzna.

Pisanie opowiadań wcale nie było dla Łucji pańszczyzną. Zanim zaczęła współpracować z Kingą, nieraz myślała, że jeśli nie wyrzuci z siebie tych wszystkich przemyśleń gromadzonych latami, tego całego balastu swoich i nie swoich doświadczeń, to w końcu pęknie. Jedni ludzie doskonale potrafią żyć z balastem, inni zaczynają pisać pamiętniki, dzienniki, diariusze, wspomnienia, co tam się komu zamarzy. Łucja wybrała opowiadania, jako że ta forma najmniej przypomina spowiedź. Pisząc opowiadanie, nie trzeba kurczowo trzymać się chronologii, można dowolnie przebierać w bogatym materiale i patrzeć na jedno wydarzenie z różnych punktów. Łucja była już własną matką, babką i kuzynką, nawet wujem, nie mówiąc

o koleżankach i sąsiadkach. Zmieniała imiona, miejsca i szczegóły, żeby jej bohaterowie, oczywiście ci żyjący, biorąc do ręki „Tiramisu”, mogli powiedzieć: „Ojej, to nie tylko mnie prześladowają takie głupie historie!” Łucja bardzo lubiła opowiadania jeszcze i z tego względu, że przynosiły jej konkretne pieniądze.

Pojawiłam się na świecie w drodze pączkowania. Mama, niczym kwiatek, wypuściła pączek, pozwoliła mu podrosnąć, potem zerwała, ubrała w kaftanik i nazwała Joanną. To była pierwsza, całkowicie własna wersja mojego poczęcia. Nieco później, bodaj w przedszkolu, poznałam tę z bocianem, ale nigdy w nią nie uwierzyłam. Latem bociany podchodziły pod nasz dom, patrzyłam na ich długie, ostre dzioby i choć miałam zaledwie kilka lat, nie powierzyłabym takim dziobom delikatnego niemowlaka. Odrzucałam też wariant o kupowaniu dzieci w sklepie. To były czasy przeraźliwie pustych półek, na których nigdy nie widziałam żadnego dziecka, a przecież musiałabym zauważyć, gdyby leżało. Udziału mężczyzny w moim poczęciu nie uwzględniałam, bo zgodnie z tym, co mówiła babcia, mężczyźni byli bezużyteczni, z wyjątkiem świętej pamięci dziadka Konstantego. Tak więc pozostawało tylko pączkowanie.

Odkąd pamiętam, żyłam w typowym domu kobiet. Pięć nas było pod jednym dachem. Parter zajmowała babcia, piętro ciocia z córką i mama ze mną. Dziadek nie żył od wielu lat, jedynie jego portret niezmiennie wisiał nad łóżkiem babci. Po wujku i moim ojcu nawet tyle nie zostało. Biedacy nie zdążyli się zasiedzieć, przebiegli przez nasz dom jakoś tak chyłkiem, bokiem, zabierając ze sobą wszystkie wspomnienia. Wujek najpierw stoczył się w pijaństwo, zaraz potem z dachu, natomiast co do ojca nie mam jasności. Zaszły się w Bieszczadach tak skutecznie, że słuch po nim zaginął. Ktoś, nie pamiętam już kto, przyniósł wiadomość o jego śmierci. Babcia mruknęła wtedy: „Cóż, koniec czeka nas wszystkich jednakowy, różnimy się tylko sposobem życia. Mężczyźni w większości nie potrafią żyć godnie”. Mimo że byłam już dużą dziewczynką, nie do końca zrozumiałam, co chciała przez to powiedzieć. Jedno przyjąłam za pewnik: babcia umiała godnie żyć, inni, zwłaszcza mężczyźni, nie umieli. Ale dlaczego? „Dorośniesz, to zrozumiesz”, mówiła babcia. Obawiam się, że mimo upływu lat nie zrozumiałam. Oczywiście wiedza zdobyta na lekcjach biologii zmusiła mnie do

zweryfikowania poglądów na pączkowanie, jednak zasiana przez babcię nieufność do płci brzydkiej wgrzyła się w duszę, kto wie, czy nie na zawsze.

Kiedy moi rówieśnicy łączyli się w pary, ja na wszystkich kumpli patrzyłam oczami babci. Odpadali zbyt przystojni i wygadani, bo nie pasowali do obrazu dziadka Konstantego. Odpadali nadmiernie ambitni i towarzyscy, bo za bardzo przypominali mojego ojca i wuja. Mogłam więc przebierać jedynie wśród rodzimych odrzutów. Powoli zaczęłam się godzić ze staropanieństwem i wtedy, a było to już w czasie studiów, poznałam Oskara. Świat mi zawirował, ja razem z nim tak dalece, że zapomniałam o przykazaniach babci. Niby wiedziałam, że Oskar ma wszystkie wady, których nie powinien mieć mężczyzna stateczny i godny zaufania, ale gwizdałam na to. Na jego życzenie zamieszkaliśmy razem. Rozpierała mnie ochota, żeby usuwać mu pyłki spod stóp. Odwalałam za niego najczarniejszą robotę, pisałam opracowania i przeprowadzałam doświadczenia, żeby tylko nie miał sęków na uczelni. Broniałam jego poglądów jak swoich własnych, zachwycałam się wszystkim, co powiedział i wymyślił. Gotowałam obiady, żeby nie musiał jadaćpo stołówkach, prałam, sprzątałam. Chciałam być tą jedyną, niezbędną, bez której nie potrafiłby żyć. Po trzech latach poddaństwa odkryłam, że on ma słabość do dziewczyn i lubi brylować w ich towarzystwie. Kiedy pytałam, co znaczą te schadzki i spotkania, serwował mi gadkę o braterstwie dusz i uczuciach czysto platonicznych. Zidiociałam przy nim, to prawda, ale nie do takiego stopnia, żeby wierzyć w miłośćplatoniczną w Oskarowym wydaniu. Po nocach zaczął mnie prześladować śmiech babci z zaświatów i jej sakramentalne: A nie mówiłam! Przetarłam oczy i wtedy zobaczyłam, że hoduję na własnej piersi darmozjada, który nie potrafi wymienić żarówki ani uprać skarpetek. Mimo wszystko wciąż jeszcze chciałam go zatrzymać przy sobie, lecz już nie za wszelką cenę. Potrzebowałam kolejnego roku, by odkryć, że rozpuściłam faceta, przechwaliłam, a on uwierzył w swoją niezwykłość. Zmanierowanego typu nie da się przerobić na normalnego, zwłaszcza gdy brakuje mu poczucia humoru. Odwrotu nie było. Jeżeli nie chciałam hołubić go w nieskończoność i wbrew sobie, musiałam odejść. Oskar...

Łucja przerwała pisanie. Przez chwilę wpatrywała się w ostatnie słowo, jakby nie rozumiała, skąd się wzięło. Narratorkę nazwała Joanną, Oskar zaś całkiem odruchowo został Oskarem. Próbowła znaleźć inne, niezbyt popularne imię, lecz poza Pankracym, Serwacym i Bonifacym żadne nie przychodziło jej do głowy. Zimny maj nie usprawiedliwiał zimnych ogrodników, którzy jako imiona dawno przestali być atrakcyjni. W końcu machnęła ręką. Prawdziwy Oskar mógł spokojnie zostać bohaterem opowiadania, bo nawet jeśli cokolwiek czytał, to na pewno nie kolorowe magazyny typu „Tiramisu”.

2

Rodzice Marcelego mieszkali na Żoliborzu Oficerskim, przy jednej z cichych uliczek okalających Cytadelę. Łucja trafiała tam bez trudu, ale nigdy nie mogła zapamiętać adresu. Nie wiedziała, czy idzie na Forteczną, Kaniowską czy Śmiałą, po prostu szła z przyjemnością, bo tylko tam mogła oddychać atmosferą znaną z dzieciństwa. Ona też wychowała się w takim domu z ogrodem przy cichej ulicy i choć od kilku lat tułała się po kawalerkach i dziuplach, nigdzie tak naprawdę nie była u siebie. Przyzwyczała się do zgiełku wielkich miast, jednak podświadomie wciąż tęskniła do małego grajdołka, w którym nawet pociągi kończą swój bieg. Uliczka Marcelego leżała na skraju dwu światów: za fosą, u podnóża skarpy widać było Wisłostradę i szalejące samochody, a tu na górze ludzie żyli prawie jak w Ciechocinku, każdy w swoim domu, każdy odgradzony żywopłotem od sąsiadów.

Marceli nie tyle mieszkał z rodzicami, ile przy rodzicach. W ramach usamodzielniania się zawładnął przybudówką, w której kiedyś gnieździł się ogrodnik. Dla samotnika miejsca wystarczało, gorzej, gdy zeszło się dziesięć, piętnaście osób, a nie można było zostać w ogrodzie. Sobotnia pogoda sprawiła, że musieli przenieść grill do mieszkania. Mięso natarte ziołami i czosnkiem powędrowało do kuchennego piekarnika, goście zaś stłoczyli się w niewielkim pokoju. Siadali, na czym się dało, na fotelu i na oparciach fotela, na parapecie i na podłodze. Łucja miała swój stały kąt między oknem a szafą biblioteczną. Było to miejsce jednoosobowe z widokiem na cały pokój, przy tym komfortowe, bo nikt nie wisiał jej na plecach ani nie wciskał łokcia pod żebro.

Przyjęcie rozkręcało się bardzo powoli. Wszyscy czekali na mięso, które dochodziło w piekarniku pod czułą opieką Baški i Marcelego.

Niemrawo pobrzękiwały szklanki z piwem, niemrawo toczyły się rozmowy.

Spotykali się wciąż w tym samym gronie, które chwilowo jeszcze pozostawało gronem kandydatów na prawdziwych artystów: reżyserzy bez filmów, aktorzy bez ról, operatorzy bez kamer. Jedno, co ich łączyło, to wiara w siebie, swój talent i szczęśliwe zawirowanie losu, które mimo wszystko pozwoli im wypłynąć i trwale zaznaczyć swój ślad w sztuce, niekoniecznie w roli gwiazdy telenoweli lub sitcomu.

Przy dźwiękach ochów i achów, pojawiła się Baśka z Marcelim. Dźwigali tace wypełnione pachnącymi żeberkami, brązowymi skrzydłami kurczaków i przypieczoną kiełbasą. Rozdawali papierowe talerze i porcje mięsa. Było prawie tak, jak na przyjęciu w ogrodzie, tylko cieplej i ciasniej. Temperatura spotkania podskoczyła o kilka stopni. To niewiarygodne, jak żucie wspaniale wpływa na intelekt, pomyślała Łucja. Siedziała po turecku ze skrzydełkiem w palcach i słuchała: Almodovar i Spielberg, underground i offowe kino. Ktoś mówił o fantazmatach, ktoś inny o autoironicznym dystansie w obrazach Woody'ego Allena. W miarę ubywania piwa kino ambitne powoli ustępowało miejsca horrorom i filmom akcji. Nie od dziś przecież wiadomo, że arcydzieła się podziwia, a przeżywa zupełnie inne filmy.

Po dokładkę trzeba było iść do kuchni, uważając pilnie, żeby nikomu nie wytrącić talerza z ręki, nie wylać piwa i co najważniejsze, nie potknąć się o sterczące wszędzie nogi. Łucja z wdziękiem manewrowała wśród stłoczonych ciał, tu pogadała, tam się uśmiechnęła. Przy drzwiach zauważyła Oskara. Musiał przyjść całkiem niedawno, bo wcześniej jakoś nie wpadł jej w oko. Stał w towarzystwie wysokiego mężczyzny, ubranego z nonszalancką elegancją. Uwadze Łucji nie uszła jasna koszula z guziczkiem rozpiętym pod szyją, ciemna, jedwabna apaszka i miękka tweedowa marynarka. Nieznajomy spojrzał na nią i wyraźnie się ożywił.

– Chodź do nas, Łucjo! – poprosił.

W pokoju z całą pewnością nie było drugiej Łucji. Spojrzała zaskoczona, gotowa przysiąc, że po raz pierwszy widzi tę posępną, niemłodą już twarz. Przy nieznanym Oskar wydawał się zbyt

gładki, zbyt lalusiowaty, poza tym wcale nie ukrywał, że obecność Łucji jest mu nie na rękę. Chciał mieć rozmówcę wyłącznie dla siebie. Przez cały czas coś mu tłumaczył, coś wyjaśniał i chyba nie miał jeszcze dosyć, bo próbował przytrzymać go za łokieć.

– Łudzisz się, że ona cię poznaje? – spytał z ironicznym uśmiechem, którego Łucja nie znosiła. – W „Tiramisu” była w stanie płynnym, a kobitki w stanie płynnym zapominają nie tylko się, ale też o innych.

– Co ty wiesz o kobitkach, biedny Porfirionie – powiedziała tak łagodnie, jakby przemawiała do dziecka.

Błyskawicznie oceniła sytuację. Prawdą było, że z balu zorganizowanego przez redakcję „Tiramisu” nie zapamiętała nic ani nikogo, i to nie z powodu pijaństwa, jak bezczelnie sugerował Oskar. Sobota siódmego lutego była jednym z najczarniejszych dni w jej życiu, o czym ten osioł dobrze wiedział. To on odbierał telefon od Dośki, on w połowie balu odwiózł Łucję na dworzec, a nawet próbował pocieszać. Zachował się wtedy całkiem przyzwoicie. Teraz, z jakichś sobie tylko znanych powodów, odwracał kota ogonem, co nie mogło mu uść na sucho. Łucja stanęła na wprost nieznanego.

– Cieszę się, że przyszedłeś, Steve – powiedziała zadowolona, że Marceli zdążył jej w porę podrzucić imię nieznanego.

– Nie masz czasem ochoty na spacer? – spytał.

Nie miała. Na dworze było zimno, siąpił deszcz i nic, absolutnie nic nie przemawiało za spacerem, poza zagryzionymi ze złości ustami Oskara.

– Świetny pomysł – przyznała z uśmiechem, patrząc w chłodne, niebieskie oczy Steve’a.

Baśka wróciła z grilla ciemną nocą i zastała Łucję przy laptopie. Była sobota, właściwie już niedziela, wszyscy normalni ludzie spali, hulali, w ostateczności gapili się w telewizory, a Łucja pracowała.

– Czyżby znowu jakieś poprawki dla „Tiramisu”? – zainteresowała się Baśka.

Łucja nigdy nie pisała na zapas. Jej wydajność gwałtownie wzrastała jedynie w momentach, gdy nóż dotykał gardła, gdy nie można już było niczego odłożyć ani przesunąć.

– Szukam scenariusza – mruknęła Łucja.

– Tego, którego nie napisałaś?

– Przeciwnie, napisałam jeszcze w szkole. To tylko mała wprawka, nic więcej, ale trzyma się kupy. Niestety, tak starannie cholere schowałam, że teraz nie mogę wyłuskać. Steve chciał przeczytać. Interesują go kryminały, a ten mój był typowy: kobieta ginie we własnej wannie. Jest trójka podejrzanych: oszalały z rozpaczy mąż, sąsiadka, taka życiowa fajtłapa, oraz kochanka męża, o której denatka nie miała prawa wiedzieć, i tak dalej.

– Nie mów: i tak dalej, bo nie wiem, jak? Sąsiadka zabiła sąsiadkę, mąż żonę, czy kochanka rywalek?

– Mąż żonę. On jeden ma murowane alibi i do końca wydaje się najczystszy. Przypadek ujawnia, że żona też miała kogoś na boku, przyprawiła mężowi rogi, które uwierały go tak dalece, że przeniósł swoją ślubną do aniołków. Zakończenie było najsłabszym ogniwem w całym scenariuszu. Postaci fajne, akcja wartka, tylko ta sztampana na końcu.

– Zabójstwo z miłości jest zabójstwem z miłości, a nie sztampaną. Wiesz, co to jest miłość?

– Nie, ale znam definicję pewnej medycy, którą mogę zacytować za poetą Konstantym: „Jest to psychiczna hyper-metamorfoza prowadząca do hypercenestezji, co w konsekwencji daje angiopatyczną neurastenię”. Pasuje ci?

– Neurastenii jeszcze nie przerabiałam. Powiedz, niekoniecznie to samo, byle swoimi słowami. Co to jest miłość, tak naprawdę?

– Tak naprawdę, to myślałam, że nie wrócisz dziś na noc – roześmiała się Łucja.

– Ej ty, gęsia romantyczko! Zważ, że mówisz do młodej dziewczyny starej daty. Wiesz, co ci powiem? Jeżeli na twoim filmie zobaczę łóżko, w nim przypadkową gurlaskę z przypadkowym facetem, na pewno nie powiem, że oni się kochają... tylko nazwę to całkiem inaczej.

– Jak?

– Nakręć film, to się dowiesz.

– Nakręcę, ale najpierw ty się puknij w kokos. Jesteś prawie tak mądra jak Hipokrates...

– Ciut głupsza!

– Powiedziałam: prawie, ale niech ci będzie! Jesteś ciut głupsza od Hipokratesa, cytujesz jego aforyzmy, a żyjesz jak mniszka. Żeby taka śliczna i mądra dziewczyna nie miała chłopaka, to skandal! Twój Hipokrates powiedział, że życie jest krótkie i trzeba z niego korzystać.

– *Vita brevis, ars longa*, co znaczy: życie krótkie, sztuka długa. O puszczaniu się nic nie mówił, w każdym razie mnie nic na ten temat nie wiadomo – roześmiała się Baśka.

– Czy ja mówię o puszczaniu! – zdenerwowała się Łucja.

– Mówię o stałym facecie, który ci się należy jak psu zupa. Marcelli ci się nie podoba? Przecież on ma regularnego bzika na twoim punkcie.

– Na swoim. Nie wiem, czy on już jest artystą, czy dopiero będzie, ale bzika ma artystycznego, jak, nie obraź się, wy wszyscy. Nie marszcz nosa, bo ci się zmarchy robią. Twojego bzika zdążyłam polubić, bo ty na szczęście nie bredzisz o posłannictwie i nie chcesz zbawiać świata swoją sztuką.

Mimo późnej pory i zmęczenia Łucja nie mogła zasnąć. Głowę miała pełną cudzych słów. Baśka mówiła o bziku, Oskar o pijaństwie, a Steve bez przerwy pytał. Przegadała z nim cały wieczór w restauracji hotelu „Campanile”, lecz poza towarzyskimi przyjemnościami, nic szczególnego z tej rozmowy nie wynikało. Nie szafował obietnicami, nie mówił, że wywiezie Łucję do Hollywood i zrobi z niej gwiazdę pierwszej wielkości. Zdrowy rozsądek podpowiadał, żeby nie traktować jego zainteresowania zbyt poważnie, lecz któż by tam słuchał zdrowego rozsądku, leżąc w łóżku. Łóżko, skłania do marzeń, do snucia fantazji. Łucja bardzo lubiła fantazjować. Wymyśliła więc, że kręci swój film, który okazuje się hitem i zdobywa najwyższe laury na międzynarodowym festiwalu. Usnęła, zanim się zdecydowała, czy lepiej zabłysnąć w Cannes, czy od razu mierzyć w Hollywood.

Oskar zadzwonił w niedzielę po południu z dwoma życzeniami: żeby Łucja wzięła do Świdra kostium kąpielowy i żeby pomalowała paznokcie na zielono. Wymyślił sobie, że mają być długie niczym szpony i upierał się przy tipsach.

– Nie wiesz czasem, kto mi dzisiaj zrobi tipsy? – burknęła ze złością.

Ani słowem nie wspomniała, że nie chce i nie zagra w jego filmie. Dla kilku zdjęć, w dodatku próbnych, nie miała ochoty fundować sobie szponów, i to bez względu na kolor. Tak naprawdę chciała tylko zobaczyć Oskara przy pracy. Zdjęcia były przepustką na plan, do zdjęć potrzebne były zielone paznokcie, więc, dla świętego spokoju, zaczęła się rozglądać za odpowiednim lakierem. Jeżeli nie ma się takiego lakieru w domu, to w niedzielne, deszczowe popołudnie raczej trudno go zdobyć. Baśka podpowiadała, że mogą poszukać w supermarketach albo u Rybeńki, za ścianą. Nawet zaofiarowała się, że pogada z małą Rybeńką, która była nadęta i niesympatyczna, za to paznokcie malowała na czarno, żółto i w kratkę. Wróciła po dwudziestu minutach.

– To ma być morska, szafirowa zieleń? – zdziwiła się Łucja.

– Nie. To jest soczysta zieleń gnijącej sałaty i dostałam ją pod warunkiem, że załatwisz małej Rybeńce rolę w jakimś serialu. Teraz zgaduj, kto się nami interesuje?

– Bo ja wiem? Mąż starej Rybeńki raczej nie, więc może wywiad?

– Ciepło. Czyj wywiad?

– Wyjca zza ściany. To by tłumaczyło, dlaczego stale wierci dziury.

– Pudło. On nawet gdyby podsłuchiwał, to i tak niczego nie zrozumie. Widziałaś jego czoło?

– Za to ucho może mieć wyostrome.

– Co ty! Te domy tak są budowane, że bez dziur sąsiedzi inwigilują się wzajemnie. Podobno wyjec przekablował, że jesteśmy bardziej hałaśliwe niż samoloty. My, nie on, rozumiesz?

– To jeszcze mi powiedz, komu przekablował?

– Gołąbkowa usiłuje się wywiedzieć, czy nie sprowadzamy na noc facetów, nie biegamy goło po klatce schodowej, nie hałasujemy po pijaku i nie stanowimy zagrożenia moralnego. Na tę okoliczność odpytywała wszystkich sąsiadów. Jak myślisz, co jest grane?

– Chce nam podnieść czynsz, pokemon wstrętny, a przez trzy lata nie może.

– Pytam dalej. Jak myślisz, co ona teraz robi?

– Tego to ona sama jeszcze nie wie, ale jak już zrobi, to na pewno się dowiemy – westchnęła Łucja.

Wspomnienie pokemona rozpanoszyło się w mieszkaniu, usuwając na bok inne kłopoty. Na szczęście nie zdążyło się zagnieździć na dłużej. Łucja nie była zwolenniczką martwienia się na zapas, umiała stawiać czoło tylko konkretnym zagrożeniom i umiała przekonać Baškę, że tak jest najlepiej.

3

Tytułowa pływaczka była postacią co najmniej dziwną. Przed zdjęciami Oskar próbował wytłumaczyć Łucji, na czym polega fenomen roli, którą miała zagrać. Tłumaczył po swojemu, to znaczy mętnie, i Łucja nie mogła zrozumieć, czy rola jest do kitu, czy raczej Oskar nie wie, jak ją przedstawić. Raz mówił o ezopowym języku i *femme fatale*, za moment dodawał, że to nie jest takie ważne, bo widz do końca nic nie wie o bohaterce, ogląda ją tylko w wodzie w postaci czepka kąpielowego i zielonych paznokci.

– Zagrać paznokcie to nic trudnego – zauważyła pogodnie Łucja.

Niecierpliwie wzruszył ramionami i wrócił do swojej bohaterki. Wszystko, co Łucja powinna wiedzieć, sprowadzało się do dwu informacji: pływaczka prawie nie wychodzi na ląd, nie rozmawia z nikim, tylko pływa sobie w rzece od rana do wieczora, aż któregoś dnia idzie na dno zaplątana w sznur, który z jakichś powodów też sobie pływał obok.

– Czy to ma być film ekologiczny? – spytała Łucja.

– Niby dlaczego?

– Myślałam, że głos zza kadru powie coś o tragicznych skutkach zaśmiecania rzek.

Oskar spojrzał z politowaniem.

– To źle myślałaś. Dzisiaj nakręcimy ujęcie na brzegu i ze dwa w wodzie. Ile czasu wytrzymasz?

Stali w miejscu, gdzie piaszczysty brzeg dość łagodnie ginął w mętnych falach. Było chłodno, wiatr szarpał gałęziami drzew i nie zachęcał do kąpieli.

– Ani sekundy – odpowiedziała, otulając się szczelnie swetrem. – To wszystko?

Powoli zaczął tracić cierpliwość. Spieszył się, chciał zdążyć ze zdjęciami przed przyjazdem reszty ekipy i nie przewidział, że Łucja zacznie stroić fochy. Tylko dzięki operatorowi rozmowa o sztuce nie zamieniła się w awanturę bez sztuki. To operator, nie reżyser, zarządził, że ograniczą się do pierwszej i jednocześnie ostatniej sceny na brzegu.

Scena na brzegu też była rozbierana, jednak nie obejmowała kąpieli. Ułożyli Łucję na noszach, upozowali na topielicę wyciągniętą z wody i podsuszoną. Oskar osobiście zamotał jej sznur u nogi, a rękę, z wymalowanymi na zielono paznokciami, zsunął na piasek. Te elementy zmieniały się w poszczególnych ujęciach. Raz ręka bardziej zwisała, innym razem mniej, oczy raz były zamknięte, a raz półotwarte.

– Może się uśmiechnę albo chociaż puszcze oko? – zaproponowała znudzona Łucja.

Nim zdążyła zmarznąć, Oskar podał jej ciuszki, jednak nie pozwolił zostać na planie. Wepchnął opierającą się dziewczynę do samochodu i obiecał, że zadzwoni.

– A dzwoń sobie, choćby do jutra – mruknęła ze złością.

Nie umiała ukryć rozczarowania i przez całą drogę wyrzucała sobie, że niepotrzebnie dała się wplątać w tę żenującą maskaradę. Czy mnie już na nic innego nie stać, myślała rozżalona, czyja muszę u innych reżyserów udawać nieboszczyków? I choć powtarzała sobie w kółko, że to tylko bonus, który i tak trafi do kosza, nie czuła się pocieszona. Przed oczami wciąż widziała triumfującą minę Oskara. Nawet w czasie pożegnania, gdy energicznie wpychał ją do samochodu, gębę miał nieprzyzwoicie zadowoloną.

– Opowiedz mi o swoim filmie – poprosił Steve, kiedy kelnerka sprzątnęła talerze i ustawiła na stole filiżanki z kawą.

– Mój film jest dopiero w fazie projektu – zauważyła z niechęcią Łucja.

– To opowiedz o projekcie.

Wzruszyła ramionami. Ten film siedział w niej od trzech miesięcy i bolał jak chory ząb. Nie było dnia, żeby o nim nie myślała, ale w pracy nie wyszła poza luźny plan. Musiała zebrać jeszcze trochę

materiałów, bo choć sporo wiedziała, to jednak wciąż brakowało jej kilku najważniejszych elementów. Za wszelką cenę chciała uniknąć łzawości i melodramatu, tego nieznośnego manipulowania wzruszeniem i grania na uczuciach. Zamierzała opowiedzieć o prawdziwej tragedii, więc musiała to zrobić oszczędnie i z umiarem. Ale jak? A Steve prosił jakby nigdy nic: „Opowiedz!”

– Projekt to projekt, o czym tu mówić.

– Nie ma takiego filmu, którego nie da się streścić w kilku słowach. To samo, myślę, dotyczy projektów.

Już przy pierwszym spotkaniu Łucja zauważyła, że niełatwo jest wykręcić się od pytań Steve’a. Był bardzo konsekwentny, nie dawał się zbyć byle żartem i jeżeli o coś pytał, to drążył tak długo, aż dostał wyczerpującą odpowiedź. Oczywiście mogłaby burknąć po swojemu, kazać mu spadać na palmę i prostować banany lub coś w tym stylu, jednak to nie była dobra metoda. Siedział przed nią nie koleś, kumpel od wygłupów, tylko dojrzały mężczyzna o ugruntowanej pozycji w branży filmowej. Nie był co prawda producentem, jak uparcie powtarzali jej koledzy, tylko scenografem. Śmiał się, że w Polsce mit amerykańskich producentów jest tak wielki, że wystarczy tu przyjechać, powiedzieć, że ma się związki z filmem, i natychmiast wezmą człowieka za producenta, będą koło niego skakać, przymilać się i zaglądać mu do kieszeni. Próbował walczyć z mitem, ale bez większego skutku. Oskar wręcz mu powiedział: „Wiem, stary, to ta twoja amerykańska powściągliwość w interesach każe ci najpierw się rozejrzeć, dopiero potem składać propozycje”. Steve uśmieł się wtedy serdecznie, bo Oskar najwyraźniej nie miał zielonego pojęcia o amerykańskiej powściągliwości, ale mówił o niej z wielkim przekonaniem.

Łucja obiecywała sobie, że któregoś dnia to ona pociągnie Steve’a za język. Interesowało ją mnóstwo rzeczy nie tylko z branży filmowej. Sam Steve wydawał się bardzo ciekawym człowiekiem. Było w nim coś, co ją szczególnie ujmowało. Najpierw myślała, że to tylko prostolinijność, którą jej koledzy nazywali amerykańskim sposobem bycia. Przy drugim spotkaniu zrozumiała, że chodzi o coś więcej, bo o życzliwość. Pytał, słuchał, patrzył tak, jakby wszystko, co dotyczyło Łucji, było dla niego bardzo ważne. Nie chciała go

zniechęcać, a że nie stanowił dla niej konkurencji, więc jako drugi po Baśce, poznał szkic jej filmu. Zastrzegła, że to nie będzie klasyczny kryminał. Śledztwo schodzi na plan dalszy, najważniejsze są relacje między bohaterami.

– Niczego nie wymyślam – powiedziała. – Fabułę napisało samo życie. Będzie to opowieść o wielkiej, burzliwej miłości i o czymś, co można nazwać klasycznym fatum. Kobieta i mężczyzna bardzo się kochają i pobierają wbrew rodzinie. Życie płata im okrutne figle. Zona nie może urodzić dziecka, mąż wpada w alkoholizm. Raz ona jego, raz on ją ciągnie za uszy, a kiedy wreszcie pokonają przeciwności, kiedy mogą zacząć normalne życie, mężczyzna ginie zamordowany we własnym mieszkaniu. Podejrzenie pada najpierw na żonę. Siedzi przez dwa czy trzy dni w areszcie razem ze swoją rozpaczą. Wychodzi, kiedy policja wpada na trop sąsiada idioty. Bardziej bezsensownej śmierci nie można sobie wyobrazić: idiota chciał pożyczyć flaszkę wódki, ale trafił na abstynenta i trochę się zdenerwował.

– Mówisz, że to prawdziwa historia?

– Prawdziwa. Zdarzyła się w moim mieście i w mojej rodzinie. Kobieta ma na imię Bogna, jej mąż Daniel. Wobec Daniela mam wielki dług wdzięczności. Nie pytaj, jaki, bo i tak nie powiem. Tak sobie myślę, że tym filmem spłacę mu chociaż część.

– Nie boisz się procesu o naruszenie dóbr osobistych?

– Kto miałby mnie skarżyć? Siostra?

– Choćby rodzina mordercy.

– Steve, jesteśmy w Polsce, nie w Stanach. U nas procesy nie są w modzie. Gdybym popełniła plagiat, to co innego, ale ja chcę tylko opowiedzieć prawdziwą historię, uniwersalną przypowieść o pogmatwanych losach ludzkich. Nie będę pokazywała palcem: to jest Bogna, to Daniel, a to ich ciechocińskie mieszkanie przy Traugutta. Bogna zgodziła się zostać pierwowzorem postaci i jest gotowa dopowiedzieć mi to, czego nie wiem. Muszę tylko wykroić trochę czasu i pojechać na tydzień albo dwa do Ciechocinka.

– To kiedy jedziemy? – spytał Steve.

Okrągłe ze zdziwienia oczy Łucji wprawiły go w doskonały humor.

– Chcesz ze mną jechać? – wybąkała wreszcie.

- Czemu nie? Zawiozę cię, a przy okazji wyreperuję zdrowie.
- Podreperujesz. Po polsku mówimy: podreperować zdrowie – uśmiechnęła się do niego.

Jak na faceta, który od dwudziestu kilku lat mieszkał w Stanach, Steve mówił znakomicie po polsku. Rzadziej używał „sorry” i „okay” niż Oskar i inni kumple Łucji.

Czasem tylko, i to bardzo rzadko, udawało mu się pomylić znaczenie słów.

- Mówisz, że podreperuję? Niech ci będzie. Dwa razy już rezerwowałem pokój w klinice „Villa Park” i za każdym razem coś mi wypadło.

- Wiesz, że to jest najbardziej słone miasto w Polsce?

- A nie Wieliczka?

- Mówię o cenach, Steve! Jest nawet takie powiedzonko: słono jak w Ciechocinku.

Najwyraźniej nie bał się cen ani bankructwa. Obiecał, że załatwi jeszcze dwie ważne sprawy i mogą jechać.

Propozycja Steve'a spadła na Łucję nieoczekiwanie i stała się dla niej tym, czym perypetia dla przebiegu zdarzeń filmowych. Co najmniej od dwu miesięcy wciąż powtarzała, że powinna jechać, że musi jechać, ale siedziała w Warszawie. Nagle wszystko się odwróciło i gotowa była biec na piechotę, byle tylko prędzej znaleźć się w Ciechocinku. Gwałtownie zatęskniła za Bogną, a przede wszystkim za starym domem i ogrodem.

Od czasu wyjazdu na studia bywała tam rzadko. Dom pod rządami Bogny bardzo się zmienił i choć sama Bogna okazywała Łucji dużo serca, to jednak wszystko już było inne, nie takie jak w dzieciństwie. Nawet okna plastikowe nie skrzypiały tak przyjemnie, jak te stare, drewniane. Łucja wyrzucała sobie, że teraz, kiedy zabrakło Daniela, zostawiła Bognę na pastwę rozpacz. Telefony, choćby nawet bardzo częste, niewiele załatwiały. Telefon pozwala sączyć do ucha informacje, nie zastąpi jednak bliskości ani dotyku. Wieczorami, zwłaszcza kiedy deszcz walił w szyby, Łucja z przerażeniem myślała o samotnej Bognie w wielkim domu. Czuła wtedy niemiły skurcz w okolicy serca; ni to rozpacz, ni żal. Ale jeszcze gorzej czuła się na

wspomnienie Daniela. Deszcz lał, a ona zastanawiała się, czy jemu tam na cmentarzu nie za mokro, nie za zimno i nie za samotnie.

Ocknęła się z rozmyślań i niechętnie spojrzała na laptop. Nie miała czasu na łzawe wspomnienia, musiała znowu poprawiać tekst dla Kingi. Naczelną „Tiramisu” bezlitośnie skrytykowała opowiadanie *Dlaczego nie umiem kochać?* Czepiała się wszystkiego, a już najbardziej wstępu. „Czy ty uważasz, że nasze czytelniczki są kretynkami, że uwierzą w te brednie o pączkach i bocianach?”, wykrzykiwała poirytowanym głosem. Łucja nie uważała czytelniczek „Tiramisu” za skończone kretynki, łudziła się jednak, że w tej wielkiej zbiorowości znajdzie się choć kilka pań obdarzonych poczuciem humoru. I znowu Kinga musiała ją prostować. „Nasze czytelniczki mają oczywiście poczucie humoru, ale to, o czym ty piszesz, wcale nie jest śmieszne. Teraz nawet w przedszkolu mówi się otwarcie o seksie”. Kazała tekst przerobić, początek skrócić, środek rozwinąć, męczyznę uczłowieczyć. „Facet to nie piesek, którego można rozpuścić i oddać w inne ręce. Według mnie, Joanna powinna zostać z Oskarem i naprawić swój błąd, dopiero wtedy opowiadanie nabierze głębszego sensu, a nasz psycholog zachwyci się taką postawą”.

Łucja odnalazła opowiadanie, żeby je miejscami skrócić, miejscami wydłużyć, przede wszystkim zaś wytłumaczyć Kindze, dlaczego Joanna nie mogła dłużej znieść Oskara.

Urodziłam się w domu, gdzie panował matriarchat połączony z ogromną tęsknotą za mężczyzną. To był klasyczny dom kobiet, nad którym unosił się duch dziadka Konstantego. Babcia zawsze nam powtarzała, że jedynie dziadek nadaje się na patrona ogniska domowego, a to z racji stałości uczuc. Był z babcią aż do swojej śmierci. Zawsze prawy, wierny i szlachetny, czego już babcia nie mogła powiedzieć o dwu swoich zięciach. Żaden z nich nie zagrzał długo miejsca w naszym domu. Wychowałam się w kulcie dziadka i w niechęci do innych mężczyzn, co nie znaczy, że marzyło mi się staropanieństwo. Wręcz przeciwnie, bardzo chciałam mieć chłopaka (o mężu jeszcze wtedy nie marzyłam), który nie musiał hycjota w jotę podobny do dziadka, lyle tylko kochał mnie i nie szukał towarzystwa innych kobiet.

Niestety, los postawił na mojej drodze Oskara, faceta cierpiącego na chroniczną niestałość uczuć.

Łucja odsunęła się z niechęcią od stołu. To nie była prawda. Skłamała poprzednio, a teraz z uporem powtarzała ten sam błąd. Oskar wcale nie był babiarzem i nie cierpiał na chroniczną niestałość uczuć. Oglądał się za innymi dziewczynami, bo który facet się nie ogląda, lecz niewierność nie była jego wadą główną. Dla tekstu nie miało to większego znaczenia, dla Łucji tak. W swoich opowiadaniach starała się trzymać faktów, nie koloryzować zbyt i nie przesadzać. Ledwie jednak wspomniała o Oskarze, natychmiast gotowa była przypisać mu całe zło świata. I nawet nie bardzo rozumiała, dlaczego. Gdyby na przykład chciała napisać o Stevie, to więcej niż pewne, że stworzyłaby typ bohatera szlachetnego i życzliwego ludziom. A przecież wiedziała o nim niewiele lub zgoła nic. Każdy może powiedzieć, że na stałe mieszka w Nowym Jorku, ma tam rodzinę, pracuje w branży filmowej, chociaż nie jest producentem. Zmartwiła się, że nie jest, i co? Po jednym przegadaniem wieczorem, po jednym spacerze na Starówce, zakończonym kolacją „U Kmicica”, awansowała go na przyjaciela, opowiedziała mu swój film, zgodziła się na wspólny wyjazd i gdyby poprosił, to pewnie sprzedałaby mu historię dziadka Konstantego, carycy babci i dwu najbardziej bezwolnych istot, jakie znała: swojej matki i cioci Hali. I dlaczego to tak, myślała, że jednym ufamy od razu, innych potępiamy bez wahania? No, dlaczego?

Baśka rozłożyła się ze swoimi książkami na jednym końcu stołu, Łucja z laptopem na drugim. Musiała napisać opowiadanie na wczoraj, żeby zdążyło się ukazać przed pierwszym czerwca. Kinga przeoczyła Dzień Dziecka, gryzły ją wyrzuty sumienia i dlatego, składając zamówienie, była słodka jak ślędz z miodem, podlizywała się Łucji i wychwalała jej talent. To było nawet miłe, chociaż szyte grubymi nićmi. Łucja wymyśliła tekst wspominkowy, w którym dwie dorosłe siostry opowiadają o swoim dzieciństwie.

Magda: Pamiętam taką scenę: miałam może pięć, może sześć lat i babcia kazała mi przynieść z domu szpulkę białych nici. Pobiegłam natychmiast, ale po drodze wydarzyło się coś ciekawego, co bardziej

mnie zainteresowało niż grzebanie w pudełku z przyborami do szycia. Kiedy usłyszałam w korytarzu ostry, gniewny głos, zamarłam. Babcia była surowa i nieprzystępna, wymagała od nas, dzieci, absolutnego posłuszeństwa. A ja, zamiast szukać nici, bawiłam się w najlepsze z kotem. I wtedy pomyślałam, że przecież rodzona babcia nie ukręci mi głowy, nawet jeżeli zrobiłam coś bardzo złego. Nogi pode mną drżały, kiedy wyszłam ze swojego kąta, ale patrzyłam jej prosto w oczy. Objęłam ją za nogi i powiedziałam: „Przepraszam, babusiu, zapomniałam”. Babcia chyba na moment skamieniała. Nikt do niej nie mówił tak pieszczotliwie, wszyscy, rodzina i pracownicy, bali się jej potwornie, bo też potrafiła być wyjątkowo nieprzyjemna. A ja wyskoczyłam z babusią i mnie się upiekło. Nigdy już potem aż tak bardzo jej się nie bałam.

Elżbieta: Strach zabił moją miłość do babki. Moja starsza siostra świetnie sobie z nią radziła. Zgadzała się, przytakiwała i za plecami robiła swoje. Nie umiałam tak. Babka mówiła: „Nie pójdziesz na dyskotekę, bo to rozpusta i strata czasu”, a ja, zjeżona niczym ryżowa szczotka, pytałam: „Skąd wiesz, że strata czasu, jeżeli nigdy nie byłaś? Potrzebuję choć trochę ruchu”. Babka uciniała krótko: „Jak ci ruch potrzebny, to pofajtaj nogami na trzepaku!” Wychodząc z domu, specjalnie włożyłam jej w oczy, żeby nie łudziła się, że ustąpiłam. W moim przypadku stare porzekadło: „Na złość babce odmrozę sobie uszy”, sprawdziło się kilka razy.

Nie chodziło o uszy, lecz o inne przestrogi, które ostentacyjnie lekceważyłam. Nigdy nie próbowałam zbliżyć się do niej i myślę, że ona mnie szczerze nie znosiła. Na swój sposób kochała tylko Magdę, mnie uważała za najgorszą zakałę.

Łucja przerwała pisanie. Kurczę, pomyślała, ja ostatnio tylko o babce piszę! Bogna pękłaby ze śmiechu.

Magda: Z moją siostrą Elką znalazłam wspólny język dopiero w szkole średniej. Lekceważyłam ją, jako smarkulę młodszą o dwa lata, i nawet nie zauważyłam, kiedy urosła. W dzieciństwie żyłyśmy jak pies z kotem. Elka wciąż mnie naśladowała, co wtedy uważałam za bardzo wkurzające. Chciałam być inna, niepowtarzalna, a ona tego nie rozumiała.

Elżbieta: *Gdybym zliczyła wszystkie szturchańce, które dostałam od Magdy, to w rewanżu powinnam coś jej uciąć, najlepiej te prześliczne, czarne i długie włosy. Tak się złożyło, że we wczesnym dzieciństwie ja byłam słodkim, uroczym bobaskiem, a ona chudą miotłą. Potem wszystko się odwróciło. Ja może nie zbrzydłam tak bardzo, ale ona wypiękniała nad podziw. Próbowałam się z tego cieszyć i nie umiałam. Teraz już umiem.*

– Ależ to wszystko pokręcone jak serpentyna – mruknęła Baśka.

Łucja zdjęła ręce z klawiatury. Przez moment miała wrażenie, że przyjaciółka czyta w jej myślach.

– Co pokręcone?

– Wszystko! Wciąż tylko enter i enter. Jak myślisz, ile bajtów może mieć normalny ludzki mózg, powiedzmy mój? Jeszcze jeden, dwa egzaminy i zapcham sobie cały dysk twardy. Ja już nie mogę, dziękuję, mam dosyć, wysiadam!

– Pięknie! Teraz wstań, uklon się i wysiądź! – zawołała Łucja. – Na twój widok zdejmuję mnie litość. Litości, chodź i zdejmij mnie!

Baśka uśmiechnęła się krzywo.

– Stop-klatka! – krzyknęła Łucja. – Nie ruszaj się, zostań tak, mam bombowy pomysł!

Wybiegła do kuchni, wróciła i błyskawicznie uprzątnęła stół. Książki zrzuciła na tapczan, na książkach ustawiła laptop. Pięć minut wystarczyło, żeby zaimprovizować przyjęcie z kawą, winem i starymi krakersami. Innych ciastek chwilowo w domu nie było. Łucja udawała, że nie słyszy anemicznych protestów niedoszłej lekarki. Wiedziała jedno: poukładana i pracowita Baśka wpadła w czarną dziurę. Każdemu może się to przytrafić, lecz nie każdy ma pod ręką przyjaciółkę ze zdrowym pomysłem. Ci, co mają, na pewno nie zginą.

Łucja napełniła kieliszki.

– Zaufaj mi, wino dobrze nam zrobi przed ciężką, nocną harówką. Pij, jeśli mnie lubisz!

Baśka wypła duszkiem.

– Czy ja cię lubię? – zastanowiła się głęboko. – To, że się przykumplaszczęłam o niczym nie świadczy. Po prostu chcę mieć wśród znajomych przynajmniej jedną sławną artystkę i padło na

ciebie. Na nocnych dyżurach w szpitalu będę opowiadała salowym, że z tą Łucją Wielską, tą co nakręciła... coś tam, najlepiej jakiś film, pijałam wino z jednej butelki. Znajomość z artystami jest dziś na topie.

– Ugryź się w piętę, paskudo! – roześmiała się Łucja.

– I tak wiem, że za mną przepadasz.

– Skromnie powiedziane.

– Artysta musi być skromny, inaczej wezmą go za kabotyna.

W imieniu artysty przemawia jego dzieło.

– Twoje coś cieniutko piszczy. Wiktuś, gdyby się uparł, głośniej by... kichnął.

– Przecież ja nie rywalizuję ze szkieletami, tylko z żywymi. Chcę dorównać... Jednym chcę dorównać, innych przeskoczyć, ale na to potrzeba czasu, rozumiesz! Nie jest tak, że potrząśniesz pałeczką i wyskakuje *Grający z talerza*, *Jando*, *Wodnik* albo *Pograbek*. Żeby nakręcić takie filmy, trzeba być magiem, poetą, filozofem, opowiadaczem, a ja jestem początkującym reżyserem. Ja chętnie zadowolilibym się fantazją Millera i nakręciła *Czarownice z Eastwick*, gdyby nie były jeszcze nakręcone. A teraz mogę wcielić się w Susan Sarandon, ty w Cher, nie, lepiej w Pfeiffer i załatwimy sobie jakiegoś faceta z sensem na ten wieczór.

– Sens u faceta nie jest najistotniejszy, przynajmniej z fizjologicznego punktu widzenia – zauważyła przekornie Baśka. Zdążyła już poweseleć i nabrać kolorów.

– Zabraniam ci używać niecenzuralnych słów typu: medycyna, fizjologia, wirusy i tak dalej. Odpoczywamy, łapiemy wiatr w żagle lub, jak wolisz, ładujemy akumulatory. Nie byłoby źle, gdyby zadzwonił teraz do drzwi jakiś... Nicholson raczej nie. Fenomenalny jest, ale za wcześnie się urodził. O, niechby Leonardo DiCaprio. Ale by się działo, no, no!

– Po co mi DiCaprio, kiedy mój Titanic sięgnął dna! Tak sobie myślę...

Ostry dźwięk dzwonka nie pozwolił jej skończyć. Baśka zastygła z otwartymi ustami i lekkim wytrzeszczem oczu. Łucja pobiegła otworzyć przekonana, że wyczarowała co najmniej Steve'a.

Na progu stała Gołąbkowa. Szal zjechał jej z głowy na kark, sapała jak lokomotywa, ale nic, co w pokoju i na stole, nie umknęło jej chytrym oczom. Baśka po dwu kieliszkach wina zapomniała o konspiracji.

– Pokemon? – wybąkała.

– Jakie czarownice, takie efekty – szepnęła Łucja.

4

Steve gdzieś się zapodział, a Łucja nie chciała dłużej odkładać wyjazdu. Wyciągnęła z pawlacza torbę podróżną, otworzyła szafę i zaczęła stałą wyliczankę, która ogromnie ułatwiała pakowanie. Wystarczyło powiedzieć: „noc”. Wiadomo, że człowiek wychodzi z łazienki w podomce, do łóżka wskakuje w koszulce, więc podomkę i ze dwie koszulki trzeba wrzucić do torby. Potem: „ranek”. Bielizna dzienna, rajstopy, jakieś bluzki, spódniczki, domowe kapcie, i tak dalej. Sięgnęła po bieliznę. Oprócz tej zmienianej codziennie doliczyła się osiemnastu nowiutkich kompletów: same stringi i staniczki oraz jedne męskie bokserki. Kiedyś w przypiływie czułości kupiła je Oskarowi i zapomniała dać.

Ja chyba mam kota! – pomyślała zaskoczona tym bogactwem. Tylko martwić nie lubię się na zapas, ale kupować to i owszem. Zanim odłożyła kilka kompletów, popatrzyła na nie z niekłamaną przyjemnością. Śliczny był zwłaszcza ten w motyle.

Przed wyjazdem musiała jeszcze wpaść do Kingi, żeby uzgodnić tematy opowiadań na kilka najbliższych tygodni.

– Nie zostaniesz tam długo? – zatroszczyła się naczelną „Tiramisu”.

– Jeszcze nie wiem. Chcę popracować nad scenariuszem filmu.

Słowa: „film” i „scenariusz” podziały na Kingę ożywczo. Jako wybitna specjalistka od tematyki kobiecej chciała mieć swój wpływ, choćby najmniejszy, na pracę Łucji. Uważała, że kilka dobrych rad każdemu się przyda, zwłaszcza początkującemu scenarzyście. Zamówiła u sekretarki dwie kawy na znak, że rozmowa potrwa nieco dłużej.

– Wymyślając bohaterów – mówiła – pamiętaj o jednym: nie znasz się na facetach. Wystarczy poczytać twoje opowiadania. Laski są

fajne, z jajami, chociaż czasem za bardzo smędną. Lubisz babrać się w duszach, a to dziś *demode*. Tak czy siak laski są nieźle uchwycone, czego już nie można powiedzieć o facetach. Naprawdę spotykałaś w życiu samych nieudaczników, lekkoduchów i śmierdzieli? Nie znasz innych?

– Czy ja wiem? – zastanowiła się Łucja. – Znam, tylko ciekawiej pisze mi się o paskudach i nieudacznikach.

– To wysił wyobraźnię i przyjmij do wiadomości, że kobiety, dla których chcesz kręcić...

– Nie dzielę widowni na żeńską, męską i nijaką – zaprotestowała Łucja. – Chcę nakręcić dobry film, nie powiem, że bezpłciowy, bo to się źle kojarzy, ale taki, na który popatrzą kobiety i mężczyźni.

– To się nie uda. Kręć dla kobiet, bo tylko one oglądają dobre filmy i czytają książki. Dla facetów są mecze i *science fiction*. I pamiętaj, że laski lubią mężczyzn z klasą, wykształconych, kulturalnych, z poczuciem humoru i z pieniędzmi.

– A gdzie takich szukają?

– W serialach, w kinie, w powieściach i na łamach ulubionego tygodnika, wszędzie. „Tiramisu” znaczy „Popraw mi nastrój”. Jesteśmy po to, żeby kobiety mogły uwierzyć w siebie, w miłość i swoją szczęśliwą gwiazdę, jesteśmy po to, żeby dawać im nadzieję.

Kinga wpadła w trans. Uniosła ręce, przymknęła oczy i z równej, normalnej dziewczyny, która potrafiła zakląć i strzelić wódkę, przeistoczyła się w nawiedzoną wariatkę. Łucja patrzyła i nie mogła wyjść z podziwu. Zamachała ręką przed oczami naczelnej.

– Rozumiesz, po co jesteśmy? – spytała Kinga już normalnym głosem.

– Żeby zarabiać na życie... tak myślę.

– Wiesz co, ty lepiej nie kręć filmu o miłości ani o facetach. Kręć sobie o wojnie albo o polityce.

– Najlepiej z dziećmi i zwierzątkami w rolach głównych – roześmiała się Łucja.

– Mów, co chcesz, film to nie moja specjalność, ale z opowiadaniem ci nie popuszczę. Musisz zacząć pisać o prawdziwych facetach. I nie truj mi, że takich nie znasz. Sekretarka mówiła, że szukał cię tu kiedyś wyjątkowy przystojniak.

– Kto taki?

– Pojęcia nie mam, bo jak cię nie znalazł, to sobie poszedł. Pogadaj z Aśką. Jak wróci z chorobowego, to więcej ci powie.

Kinga wydawała się zasmucona rozmową. Chciała dobrze, niestety, Łucja jak zwykle uważała, że wie lepiej i wszystko obracała w żart.

Steve czekał na Łucję przed domem. Z daleka już zobaczyła zielonego citroena, którego wypożyczył na czas pobytu w Polsce. Bardzo się ucieszyła. Bez żadnego powodu, ot, tak tylko, że jest i że przyjechał. Zaciągnęła go na górę przekonana, że jako specjalista od scenografii widywał gorszy bałagan niż ten, który zostawiła w mieszkaniu. Srodcze się zawiodła.

– Ojej, włamanie czy rewizja? – spytał. – Może powinnaś zawiadomić policję?

Wyzłośliwił się z tak zatroskaną miną, z takim fałszywym współczuciem w oczach, że miała ochotę wyrzucić go za drzwi. Choć niechętnie, jednak w duchu przyznała rację Kindze: słabo znała mężczyzn. Kobieta w takiej sytuacji najpierw rzuciłaby zazdrosnym okiem na ciuchy, zaraz potem spytała: „Wyjeżdżasz?”, i koniec. O czym tu dyskutować, jeżeli na pierwszym planie stoi otwarta torba podróżna. Tylko facet mógł udawać, że nie wie, co jest grane.

– Czego się napijesz? – spytała, ignorując jego przesadną troskę.

Nie odpowiedział. Oglądał z zainteresowaniem męskie bokserki, które dziwnym trafem wybiły się na sam wierzch ciuchowej górki. Odłożył je, by zająć się Wiktusem.

– Nie chciałbym mieszkać pod jednym dachem z czymś... to znaczy z kimś takim – powiedział.

– Identycznego zdania jest nasza gospodyni, tylko ona nie ma wątpliwości, czy to jest coś, czy ktoś. Zdecydowała, że musi nam podnieść czynsz za trzecią, dodatkową osobę.

– Możecie się bronić. Na moje oko to jest szkielet fabryczny, który nigdy nie był osobą.

– Ależ my się bronimy! Baśka powiedziała jej tak: „Pani Gołąbkowa, złociutka moja, nie odważy się pani tego zrobić. Mam z Wiktusem doskonały kontakt, i jeżeli tylko czynsz skoczy w górę,

natychmiast Wiktuś zacznie panią odwiedzać po nocach. Pod pierzynę się wciśnie, a wtedy, kto wie, co mu strzeli do czaszki”. Gołąbkowa jest starą dewotką i aż pozieleniała ze zgrozy. Na szczęście ona nie wie tego, co my wiemy. Wiktuś to typowy składak. Z grubsza jest fabryczny, ale czaszka, jedna ręka i jedna stopa pochodzą od grabarzy. Nie myśl, że grabarze oddali swoje członki, oni tylko preparują i sprzedają to, co im się nawinie pod łopatę. Kości są dziś w wielkiej cenie. Sama czaszka kosztuje cztery stówy albo coś koło tego. A Wiktuś, pewnie dlatego że ma czaszkę spod łopaty, jest wyjątkowo inteligentny. Nie masz pojęcia, jak on lubi, kiedy mu recytuję poezję. Oboje przepadamy za Gałczyńskim.

– „Ona była ruda, ale niezupełnie – pewien połysk we włosach grasował” – Steve zawiesił głos i spojrzał na Łucję.

Bezwiednie dotknęła ręką włosów, odgarnęła je z czoła. Były rude, ale niezupełnie, tylko tyle, ile nadały im koloru miedziane pasemka. Dalej w wierszu powinno być: „żyła z Finkiem. Fink był reżyser”. Poczowała się głupio i niezręcznie, chociaż nie bardzo wiedziała dlaczego. Steve nie miał prawa do najdrobniejszych nawet aluzji. Nie miał prawa, a jednak je robił, więc może stąd brało się zakłopotanie Łucji.

– My z Wiktusem wolimy groteskę. Jak na emigranta całkiem nieźle pamiętasz polskich poetów.

– Zanim zostałem emigrantem, skończyłem sztuki piękne w Krakowie. Moja dziewczyna była polonistką, czegoś się przy niej nauczyłem.

– I zostawiłeś ją bez żalu?

– Skąd wiesz?

– Mówiłeś, że twoja żona jest Włoszką.

– To prawda. Ale tamtą zostawiałem z wielkim żalem – roześmiał się, pogroził Łucji palcem, jakby była małą niesforną dziewczynką.

Wzruszyła ramionami i poszła do kuchni po herbatę. Niestety, mogła podjąć gościa jedynie paskudną sieczką w torebkach na smyczy. Pił bardzo powoli i Łucja cierpła na myśl, co będzie, kiedy herbata trochę przestygnie. Gotów pomyśleć, że podałam mu brudną szklankę, wyrzucała sobie w popłochu. To była wciąż ta sama sieczka, która zostawiała na szklankach ciemny, nieapetyczny osad.

Baśka zaliczyła ćwiczenia na cztery z plusem. Zadzwoiła z miasta i tak bełkotała, tak się zachłystywała, że w pierwszej chwili nie było wiadomo: zdała czy oblała. Dopiero kiedy padło coś o grupowym opijaniu sukcesu, Łucja zrozumiała, że ostatni wieczór przed wyjazdem spędzi samotnie. Miała ochotę wyciągnąć Baškę na jakąś balangę, jednak nie wspomniała o tym ani słowem, żeby nie psuć przyjaciółce wieczoru.

Sięgnęła po laptop. Steve uparł się, że chce przeczytać kilka jej opowiadań. Zależało mu zwłaszcza na tekstach, które mówiły o dzieciństwie i dorastaniu. Pukała się w czoło i serdecznie odradzała mu lekturę opowiadań pisanych dla kobiet z klasą. Przede wszystkim, jak sama nazwa wskazywała, nie były to teksty dla mężczyzn. „Mam córkę niewiele młodszą od ciebie i chciałbym trochę wiedzieć o młodych kobietkach”, powiedział. Poczwała, że zazdrości Luiginie. Ta dziewczyna musiała być niezłą szczęściarą, jeżeli załatwiła sobie takiego ojca. Łucja nie była szczęściarą. Żaden mężczyzna nigdy nie zamartwiał się jej krzywym zgryzem ani nadmierną szczupłością. Może dlatego dobry los dał jej proste zęby, a także trochę ciała tu i tam. W każdym razie nie cierpiała z powodu swojego połowicznego sieroctwa, dopiero kiedy Steve powiedział tak ładnie o młodych kobietkach, poczuła, że w jej życiu zabrakło czegoś bardzo ważnego.

Skoro Steve się uparł, nie było odwołania. Zaczęła przeglądać tytuł po tytule, żeby wyłuskać kilka najlepszych.

Mama wciąż powtarzała, że jest moją najlepszą przyjaciółką.

– Pamiętaj, że wszystkim, z każdym kłopotem możesz do mnie przyjść – mówiła.

– Z, zadaniami z matmy też? – spytałam jak najbardziej poważnie i oberwałam solidnego klapsa.

Nie powiem, że świat mi się zawalił, bo ta przyjaźń z mamą była nadęta i nieprawdziwa. Wystarczyło, że babka na mnie napadła, a mama natychmiast przyznawała jej rację. Nigdy nie próbowała mnie bronić, nigdy nie przeciwstawiła się babce w moim imieniu. Nie chciałam takiej przyjaciółki, która potrafiła tylko przytakiwać silniejszym. Babka była silna, ja byłam słaba. Może właśnie dlatego, że

mama na każdym kroku mnie zdradzała, nigdy nie umiałam się do niej zbliżyć.

To było niezłe opowiadanie o narodzinach dziecięcego buntu. Szczere aż do rdzenia. Dużo później Łucja zorientowała się, że jej matka skończyła zaledwie siedem klas, bo tyle wtedy liczyła podstawówka, i miała z tego powodu mnóstwo kompleksów. Każdą prośbę o pomoc w nauce odrzucała bardzo kategorycznie. „Pracuję na ciebie od rana do wieczora, to ty przynajmniej się ucz i nie zwracaj mi głowy”, mówiła. Łucja bardzo szybko dowiedziała się, że może liczyć wyłącznie na siebie.

Następne opowiadanie też było niezłe i mogło zainteresować Steve'a.

Tuż za naszym domem rozciągała się wielka pieczarkarnia, największe źródło dochodów naszej rodziny. Drugim źródłem był ogród. Podłoże spod pieczarek, zasilane końskim nawozem, świetnie wpływało na plony w ogrodzie. Żyło nam się całkiem dobrze, ale babka, mama i ciocia pracowały całymi dniami, a jeszcze w sezonie dochodzili robotnicy najemni. Babka chciała, żebyśmy z siostrą pomagały przy lżejszych pracach. Lusia czasem udawała, że przerywa buraczki albo pieli grządki, ja tego nie znosiłam. Wolałam wysprzątać mieszkanie, w ostateczności upichcić jajecznicę, byle tylko nie czuć ziemi na rękach i za paznokciami.

Wybrała i trzeci tekst o szkolnych wygłupach. Ten sprawił jej sporo uciechy.

Piotra poznałam na szkolnej dyskotecce. Ktoś go musiał porzucić przy oknie, bo stał tam z bardzo nieszczęśliwą miną. Nie patrzyłam na minę, tylko na wzrost (w porównaniu do klasowych kolegów był z połowę wyższy). Zawsze lubiłam przystojnych chłopaków. Zagadałam, oswoiłam zagubionego biedaka i poszliśmy tańczyć. Z deptaniem parkietu jakoś sobie radził, za to z rozmową nie bardzo. Koniecznie chciał się wydać mądrzejszy, niż był, więc potraktowałam go wierszem:

Nie rób ze siebie pawia, szanuj mrówkę i kwita, w tym właśnie sęk, jak mawiał ojciec Piotr, karmelita.

Gdybym wiedziała, że się obrazi, zostawiłabym pamięć o Gałczyńskim w domu. Ale trudno, stało się: on nie wiedział, co deklamuję, i Piotra

karmelitę wziął do siebie. Staliśmy później we wnęce okna, a ja tłumaczyłam się ze swojego zafascynowania groteską i purnonsensem.

– Słuchaj – mówiłam – czy byłeś kiedyś urodzony pierwszego listopada? Nie byłeś, to nie wiesz. Ja się urodziłam tego dnia i gdybym nie uciekła w groteskę, byłabym strasznym, niepokieszonym smutasem. Lubisz smutne dziewczyny?

Nie wiem, czy lubił smutne, w każdym razie mnie na pewno nie polubił. To był pierwszy przypadek, kiedy Gałczyński mnie zawiódł.

Przed wyjazdem Łucja wyłudziła od kolegi dwie kasety z muzyką Kilara. Na jednej miała ścieżkę dźwiękową do *Pianisty*, na drugiej do *Pana Tadeusza*. Łudziła się, że w czasie drogi Steve zechce pomilczeć, wtedy przemówi muzyka.

– Opowiedz mi o sobie – poprosił, ledwie wsiedli do samochodu i zapięli pasy.

Parsknęła śmiechem. Dwie sekundy wcześniej pomyślała, że tak właśnie zacznie się ich podróż.

– Co cię tak rozbawiło?

– Twoja niezaspokojona ciekawość. Wciąż chcesz, żebym ci opowiadała o sobie. Pora zamienić się rolami, nie uważasz?

Zrobił minę: „Jeżeli musisz, to pytaj”, i westchnął. Łucja poprawiła pas i zastanowiła się przez moment.

– Dlaczego przyjechałeś do Polski? Mówiłeś, że nie masz tu żadnej rodziny.

– Mam jakichś dalekich kuzynów, jednak nie przyjechałem do nich. Na obczyźnie tęskni się dwa razy: zaraz po przyjeździe, nim człowiek przyzwyczai się do nowych warunków, a potem po wielu latach. Ja zacząłem po dwudziestu pięciu. Odczekałem trochę, nie przechodziło, więc zaplanowałem sobie urlop.

– Długi?

– Nie prościej spytać, kiedy wyjeżdżam? Już dobrze, dobrze, nie marszcz nosa! Półroczny. Siedemnastego sierpnia, dokładnie po sześciu miesiącach, wracam do siebie.

Łucja posmutniała. Steve wydawał się zadowolony w Polsce, nic go tutaj nie dziwiło, jednak mówiąc „do siebie”, miał na myśli inny kraj. Poczula pustkę w głowie. Miała całe mnóstwo pytań, lecz

rozpierzchły się w chwili, gdy mogła je zdać. Sama nie wiedziała już, czy bardziej chciałyby posłuchać o pracy w filmie, czy o życiu prywatnym. Na przykład bardzo była ciekawa włoskiej żony Steve'a, chętnie też posłuchałyby o córce Luiginie, która swoje imię zawdzięczała włoskiej aktorce Lollobrigidzie. Chciałyby spytać, czy Steve jest szczęśliwy i czy nigdy nie tęsknił do swojej polonistki z Krakowa. To nie były pytania obojętne, dotyczyły bardzo prywatnej strony życia i Łucja wystraszyła się, że wyjdzie na wyjątkowo wścibską małpę. On najwyraźniej nie miał takich oporów.

– Czy twoje dzieciństwo było szczęśliwe? – spytał.

Żachnęła się, fuknęła, w końcu zaspokoila jego ciekawość albo raczej wścibstwo.

– Na swój sposób chyba tak... To znaczy na pewno tak, chociaż nie chciałabym, żeby tamte lata wróciły. Do dzisiaj cierpną mi zęby.

– Co to znaczy?

– Kiedy rodzice jedzą zbyt dużo niedojrzałych winogron, dzieciom cierpną zęby. Nie pamiętam już, kto to powiedział, zresztą nieważne. Miał rację, a ja to odczułam na własnej skórze. Niedojrzałość rodziców odczułam, rozumiesz? Ojciec odszedł, zanim zdążyłam go poznać.

– Brakowało ci ojca?

– To cię naprawdę obchodzi? Pytasz o stare dzieje, o których chcę zapomnieć. Jeszcze tego brakuje, żebyś zaczął dociekać, dlaczego rzuciłam Oskara?

– Oskar mówi, że ty jedynie wyprowadziłaś się z jego mieszkania, ale to on ciebie zostawił.

– Wypytywałeś go o mnie? A jeżeli nawet, to... to powinieneś wiedzieć, że nie wszystko, co się usłyszy, można powtarzać. Nie mówię teraz o Oskarze, on żył i żyje złudzeniami, mówię ogólnie. Twoja amerykańska bezpośredniość bardzo mi się nie podoba.

Nim zdążył odpowiedzieć, wyjęła z torby walkmana i nasadziła słuchawki na uszy. Muzyka Kilara, chociaż wyjątkowo piękna, nie wpłynęła na złagodzenie jej gniewu. Czuła się oszukana i podwójnie zdradzona. Steve coś do niej mówił, coś próbował tłumaczyć, chwytala jedynie pojedyncze słowa: „nie chciałem”, „źle odebrałaś”. Guzik mnie obchodzi, co chciałeś, a odebrałam po swojemu, czyli

dobrze! – pomyślała ze złością. Odwróciła się od niego i obserwowała sobie świat przez boczną szybę. Minęli już granicę miasta i przejeżdżali przez Łomianki. Steve zjechał na pobocze i zatrzymał się na parkingu przed jakąś firmą. Poczuela, że chwyta ją za ramiona i odwraca do siebie. Nie chciała się szarpać. Delikatnie zdjął jej słuchawki z uszu. Patrzyli sobie prosto w oczy.

– Przepraszam! – powiedział. – Masz rację, w Stanach nieco inaczej pojmujemy prywatność. Mówienie o sobie jest czymś normalnym, tak normalnym, że jeżeli nie możesz się wygadać przed mężem czy przyjaciółką, to szukasz sobie psychoanalityka. Jeżeli jakieś pytanie wyda ci się zbyt prywatne, powiedz, ja to zrozumiem. Bo widzisz, Amerykanie wcale nie są obrażalscy, i tak naprawdę niewiele ich interesuje, poza własnym nosem. Ale ja nie czuję się jeszcze stuprocentowym Amerykaninem.

Przyciągnął ją do siebie. Pod policzkiem poczuła wełniany splot swetra, na głowie jego rękę, a na uchu ciepły oddech.

– Już dobrze? – spytał.

Kiwnęła głową, że dobrze, chociaż nie miałyby nic przeciwko temu, żeby przedłużył nieco tę intymną chwilę. Nawet gdyby ją pocałował, też nie robiłaby dramatu.

Ruszyli.

5

Łucja zostawiła Steve'a w hotelu „Villa Park”, dała słowo, że wkrótce zadzwoni, i pobiegła do swoich spraw. Musiała odszukać sanatorium, w którym pracowała Bogna, i wziąć klucze. Ledwie znalazła się w domu, zapomniała o całym świecie, także o Stevie.

W kuchni wszystko zostało po starym, nawet pojemnik z nożami wisiał w tym samym miejscu. Posadzka lśniła rdzawo i Łucja zamrugła oczami, żeby się upewnić, że to nie krew Daniela. Czuła się trochę jak w kościele albo na cmentarzu. Ze dwa razy musiała sobie powtórzyć, że jest w normalnym domu, w normalnej kuchni, którą na dodatek zna od lat. W gruncie rzeczy była zadowolona, że mogła pobyć sama. Chciała sobie wszystko obejrzeć na spokojnie, bez roztrzęsienia, które towarzyszyło jej w lutym, gdy przyjechała na pogrzeb. Miała sporo czasu, bo siostra pracowała do osiemnastej.

Spróbowała spojrzeć na kuchnię oczami reżysera. Przyłożyła dłonie do oczu, tak jakby trzymała kamerę i wychwytywała poszczególne klatki. Tu stał niedopity Władek, tu Daniel. Zaczęli się szarpać: jeden bezbronny, drugi z nożem w łapie. Daniel runął na podłogę, waląc głową o kant stołu. Nie zginął od uderzenia w stół, tylko od ciosu nożem, i to w samo serce. Ten cios był jedyną rzeczą, jaka się Władkowi w życiu udała. Był tak precyzyjny, że pierwsze podejrzenie padło na Bognę. Nikt z prowadzących śledztwo nie wątpił, że jako absolwentka akademii medycznej nieźle znała anatomię i wiedziała, gdzie uderzyć, żeby zabić. Biedna Bogna za samą znajomość anatomii przesiedziała w areszcie ze dwa dni. Natomiast Władek chyba nawet dobrze nie potrafił pokazać, gdzie u człowieka jest serce. Walił na oślep. Możliwe też, że wcale nie chciał zabić, a jedynie nastraszyć. Kiedy zobaczył, że Daniel upadł, stracił głowę, wybiegł z domu i rzucił się pod samochód. Wyszło na

to, że obydwaj, to jest ofiara i sprawca, zginęli na miejscu z tym, że każdy na innym.

Łucja jeszcze raz obeszała kuchnię, stanęła przy oknie, żeby nacieszyć oczy widokiem krzaków liliowego bzu. Te krzaki sadziła jeszcze babka. Wyrosły wielkie i część z nich trzeba było wykarczować, żeby nie zasłaniały światła. Teraz zakrywały tylko połowę okna, przez drugą połowę widać było sąsiedni dom należący do Kornikowej, teściowej Władka. To stamtąd, zza płotu, przyszedł morderca Daniela.

Łucja uchyliła okno, żeby nacieszyć się zapachem bzów. Pomyślała o Stevie. Chciała oprowadzić go po mieście, zaciągnąć do alei bzów w centrum. Pogoda nie sprzyjała spacerom, maj wciąż był zimny i wietrzny. Poczowała chłód i zamknęła okno. Przez moment zastygła z uniesionymi rękami. Wydawało jej się, że obok ktoś stoi, oddycha, a nawet pomrukuje. Na szczęście to tylko lodówka Bogny charczała z przemęczenia.

Z parteru przeszła na piętro. Ilekroć przyjeżdżała do siostry, zajmowała zawsze ten sam pokój, ten, w którym spędziła dzieciństwo. Bogna nazywała go „pokojem Łucji” i urządziła po swojemu, tak by nic nie przypominało dawnych czasów.

Łucja rzuciła torbę w kąt i wyszła na korytarz. Zajrzała do sypialni Bogny, żeby ze ściśniętym sercem popatrzeć na wielkie małżeńskie łoże. Ogarnęło ją głębokie współczucie dla samotności siostry.

Szkolni przyjaciele Łucji w większości wyjechali z miasta. Nawet nie bardzo wiedziała, co się z nimi dzieje, czy pokończyli studia, czy pozakładali rodziny. Mogła liczyć tylko na niezawodną Dośkę i prawdopodobnie na Ewelinę. Do Dośki było bliżej, mieszkała po sąsiedzku, a za dawnych czasów przechodziło się po prostu dziurą w płocie. Łucja rozgarnęła gęste krzaki forsycji i o mały włos nie krzyknęła z radości. Dziura była na swoim miejscu. To niesamowite, jak drobne rzeczy potrafią cieszyć, pomyślała. Bliscy odeszli, dom się zmienił, wypiękniał, a dziura w płocie wszystko przetrwała. Za to dom Dośki wyraźnie podupadł. Na każdym kroku widać było brak gospodarskiej ręki. Tynk odpadał, schody się poszczerbiły, a kiedy

pukała do wypaczonych drzwi, bała się, że wylecą razem z zawiasami.

– Oj, pani Łucjo, co my tu przeżyli, co przeżyli! – Matka Doški już od progu załamywała ręce i zawodziła. Wciągnęła Łucję do domu, usadziła na wersalce. – Pani to dobry człowiek, pani chce z moją Došką gadać, nie to, co pani Bogna.

– Bogna jest dobrym człowiekiem, zaręczam pani, ale swoje przeżyła. Jej żal rozkłada się po trochu na wszystkich. Trzeba ją zrozumieć. Ja za długo znam Doškę, żeby ją potępiać za winy męża. Drań był i tyle.

– Nie był taki najgorszy, pani Łucjo, nie był. Gorszi się trafiają. Jeden to żonie wszystkie zęby wybił.

– A Władek wybił Došce tylko dwa, tak?

– E, liche były, czarne, ledwie siedziały. Zaoszczędziła na dentyście, pani Łucjo! On teraz, świeć Panie nad jego duszą, już daleko. Już nie naszym sądom podlega.

– Rozumiem, chociaż z tego powodu trudno mi nazywać go przyzwoitym facetem. A właściwie, gdzie jest Doška?

Dzwoniłam do was tyle razy bez skutku. Nie odbieracie telefonów, czy co?

Kornikowa rozsiadła się i rozgadała na dobre. Sama namówiła córkę do wyjazdu, radziła wziąć na przeczekanie, dopóki cały skandal nie przyschnie, nie rozlezie się po kościach. Ludzie, jak to ludzie, za plecami teatr sobie robili z cudzego nieszczęścia. Doška posłuchała, wzięła dwójkę młodszych dzieci i zamelinowała się u ciotki na wsi, pod Toruniem. Kornikowa dzwoniła do niej raz na tydzień albo i rzadziej, a Doška nie dzwoniła wcale, bo wiedziała, że matka telefonów nie odbiera. Kornikowa miała swoją filozofię. Jak telefon milczy, mówiła, to nie ściąga na dom nieszczęścia. Siedziała w domu z najstarszym wnukiem i rozpamiętywała swoje, a także Doški życie. Jej nie było lekko, lecz to, co przeżyła Doška, to istna gehenna. Władek najgorszy może nie był, ale dobry wcale. Brakowało mu czułości i zainteresowania domem, zarobione pieniądze przepijał albo innym babom w zębach nosił. Doška musiała się martwić o cały dom, o trójkę dzieci i jeszcze o chłopca. Jeśli nawet nie martwiła się z miłości, to ze strachu, że drań

w wypadku jakim ręce i nogi połamie, a ona już do śmierci będzie musiała koło niego skakać.

– I jeszcze coś pani powiem, pani Łucjo, pan Daniel też dobry nie był.

– O czym pani mówi? – zachnęła się Łucja.

Porównanie Daniela do Władka wydało jej się świętokradztwem. Kim był Władek? Upadłym alkoholikiem, brutalem i ludzkim odpadem. A kim był Daniel? Wykształconym, delikatnym facetem, który wygrał z nałogiem i żył jak człowiek. Żadną miarą nie można było ich porównywać, więc Łucja zjeżyła się, zacisnęła dłonie w pięści, żeby nie powiedzieć za dużo i nie obrazić Kornikowej.

– O czym mówię? O tym, co wszyscy wiedzą. Nie chodzi mi o to, że kiedyś też pił i prowadzał się z naszym Władkiem pod rękę. Gdyby pani Bogna nie wzięła go krótko za twarz, to on by się sam od Władka nie oderwał. Pasowało mu towarzystwo kumpli pijaków, ot co! Chodzi mi o to, pani Łucjo, że człowiek, który pomstuje na żonę, nie jest dobry. Bo to raz słyszałam, co wygadywał przy wódce! A w grudniu pobił naszego Sebastianka, uwierzy pani?

– Jak to pobił?

Kornikowa obciągnęła sweter, wygładziła spódnicę i dopiero wtedy zaczęła snuć opowieść o tym, jak to zaraz po pierwszym śniegu pani Bogna wzięła do swojego ogrodu całą trójkę chłopaków i bałwanek z nimi lepiła. Oczy z czarnych guzików, nos z marchewki, wszystko było, jak trzeba. Hałasowali trochę, przekrzykiwali się przy tym lepieniu, co bardzo irytowało pana Daniela. Ze dwa razy wychylał się przez okno, żeby ich uciszyć. W końcu pani Bogna poszła do domu, a chłopaki jeszcze trochę baraszkowali u niej w ogrodzie. Wtedy to Władzio, najstarszy z trójki, wymyślił głupią psotę i przełożył marchewkę w inne miejsce. Bałwanek nie miał już nosa, za to miał okazałego siusiaka. Pan Daniel musiał to widzieć przez okno, wybiegł z domu, Władzia nie złapał, to wyładował złość na Sebastianku.

Łucja nie wierzyła własnym uszom, choć Kornikowa biła się w piersi i przysięgała, że mówi najprawdziwszą prawdę.

– Pani Bogna napadła na męża, sądny dzień tam był. A przecież wiadomo, że Sebastianek niewinny, że to Władzio jest nic niewart.

Po sąsiedzku, pani Łucjo, różne rzeczy się słyszy.

– Nie wiem, naprawdę nie wiem – powtarzała Łucja. – Może miał zły dzień, może ząb go bolał? A może Władzio coś powiedział... Nie wiem, bić na pewno nie powinien ani jednego, ani drugiego. Zresztą niech pani mówi, co pani chce, dla mnie to było najlepsze, najszczęśliwsze małżeństwo, jakie znałam. Mieli swoje gorsze i lepsze dni, to normalne, ale zaręczam pani, że świata poza sobą nie widzieli. Przyjeżdżałam tu przecież, widziałam ich w różnych sytuacjach.

– Jeśli pani tak mówi... – Kornikowa kiwnęła głową bez przekonania. – Ja tam panią Bognę bardzo szanuję, chociaż jest wyniosła i nieprzystępna. Do pana Daniela serca jakoś nie miałam.

– Właśnie widzę.

– Pani jest szlachetny człowiek, pani Łucjo. Pani moją Dośkę zawsze szanowała...

Łucja podniosła się z wersalki. Nasłuchiwała się wystarczająco dużo komplementów jak na jedną wizytę.

Od Kornikowej pobiegła do centrum. Miała tam swoje ulubione miejsca, których uroda nie przestawała jej zachwycać. Choćby Teatr Letni. Stała przed odrestaurowanym budynkiem i marzyła, żeby zagrał w jej filmie. Ile takich secesyjnych budowli zostało jeszcze w europejskich kurortach? Nie zdziwiłaby się, gdyby ciechocińska była ostatnią. Pomyślała, że wybór kilku plenerów w Ciechocinku to zadanie niewykonalne dla kogoś, kto kocha miasto. Ona chciałaby, żeby w jej filmie zagrało to, co najpiękniejsze, na przykład drewniana, kryta gontem muszla koncertowa w parku, jedyny w swoim rodzaju klejnot architektury. I dywany kwiatowe! Nie jeden mały dywanik, obsikiwany przez pieski, ale całe ciągi, nazywane parterem Hellwiga. I wodotrysk „Grzyb”, który patronował ciechocińskim randkom. I wreszcie te wszystkie budynki o konstrukcji szachulcowej, zdobione drewnianą koronką! Z wrażenia omal nie zapomniała o tężniach. Tyle tu było piękna do pokazania, niestety nie dla niej. To się nie uda, myślała, wędrując deptakiem.

To się nie uda ze względu na Bognę. Trzeba będzie pomyśleć o Krynicy albo Iwoniczu.

Dzień przyjazdu był dniem retrospekcji. W domu Łucja otworzyła laptop, żeby odnaleźć jedno z pierwszych opowiadań, które zamieściła w „Tiramisu”. Pisała je w czasach, kiedy Daniel jeszcze żył i miał się dobrze. Akcję umieściła w Kaliszu, jednak przez nieuwagę wstawiła do tekstu akcent ciechociński. Korektorka uwierzyła autorce i cały kraj mógł przeczytać, jeśli miał ochotę, że fontanna „Grzyb” jest ozdobą kaliskiego centrum. Łucja uśmiechnęła się do wspomnień. Nie interesowała jej fontanna, tylko Daniel. To jego śladami chodziła od rana.

Studniówka zapowiadała się katastrofalnie. Miałam niebrzydka sukienkę; nowe buty, niestety nie miałam chłopaka. W naszej klasie było zaledwie pięciu dżentelmenów, i choć ja bym ich dżentelmenami nie nazwała, to powodzenie mieli oszałamiające. Żaden mi się nie podobał, z żadnym nie chciałam przetańczyć całej nocy, zresztą koleżanki rozdrapały ich dużo wcześniej.

– Nie idę na bal! – oświadczyłam w domu.

Mama wzruszyła ramionami przyzwyczajona do moich dziwactw, babka mruknęła, że więcej pieniędzy zostanie w kieszeni. Byłam w rozpacz. Wieczorem zadzwoniła Daria, jedyna życzliwa mi dusza, której mogłam się wyplakać w słuchawkę.

– Przestań beczeć, bo się odwodnisz – fiknęła ukochana siostra.

– W Ciechocinku brak faceta to nie kłopot, wystarczy zorganizować w parku łapankę na kuracjuszy. Dla takiej dziewczyny jak ty to bułka z masłem.

Poradziłam jej niezbyt elegancko, żeby się odwaliła, ale to ona właśnie wyciągnęła do mnie pomocną dłoń i obiecała pożyczyć swojego chłopaka. Przyjechali dzień przed balem. Daria nie mogła zaprosić Artura do domu, bo u nas obowiązywał zakaz wprowadzania kotów i mężczyzn. Umówiła się z nim pod „Grzybem”.

Byłam przekonana, że przedstawi mi jakiegoś łysejącego studenta, pastwiącego się nad gumą do żucia.

– To jest Artur – powiedziała Daria, a ja poczułam falę wdzięczności, która zalała mi mózg serce i poszła niżej. Gdyby on był mój, nie wypuściłabym go z rąk nawet na pięć minut. Oczywiście siostrze tego nie powiedziałam.

Artur wzbudził nieklamany zachwyt wśród moich koleżanek. Przystojny, jak to wuefista, ale przede wszystkim elegancki i czarujący. Żadnych głupich odzywek, małpich min, klepania po łopatkach. A jak tańczył! Nim wybiła północ, byłam gotowa zapomnieć, że trzymam w ramionach klejnot pożyczony mi przez siostrę. On też zdawał się o tym nie pamiętać, przynajmniej chwilami. A to musnął mój policzek, a to pocałował mnie w ucho. Szeptał coś o pięknych oczach, ustach, o mojej niewinności. Serce pękało mi z żalu na myśl, że rano wszystko się skończy i będę musiała go oddać Darii. Po raz pierwszy poczułam w sobie duszę złodziejki. Nigdy wcześniej i nigdy później nie myślałam, że chęć posiadania może być większa niż duma i uczciwość. Wracaliśmy do domu objęci i przytuleni. Było mi cudownie, bo potrzebowałam czułości i ciepła. W naszym domu nawet kaloryfery były zapowietrzone i zimne, a ciepła miałam tyle, co w słońcu na tarasie.

Ze trzydzieści metrów przed furtką wyznaliśmy sobie miłość, ale taką bez przyszłości.

Krótko przed ślubem z Darią Artur odwiedził mnie w akademiku. Nie było to nasze pierwsze spotkanie od czasu studniówki. Często dzwonił, parę razy zaprosił mnie do kawiarni, czarował, uwodził. Tego dnia, o którym wspomniałam, poprosił mnie o rękę. Kochał Darię, jednak mnie bardziej. Gdyby nie chodziło o moją siostrę, kto wie, czy dzisiaj nie byłabym żoną Artura. Z bólem serca musiałam odmówić. Byłam mu bardzo wdzięczna, że zrozumiał i nie nalegał więcej. Potem patrzyłam przez okno, jak odchodził smutny, ze spuszczoną głową. (...)

Łucja przeczytała jeszcze raz wybrane fragmenty i z żalem stwierdziła, że wielkiej miłości dawno już nie ma, a kto wie, czy była naprawdę. Pokochała Daniela, ponieważ był pierwszym mężczyzną w jej otoczeniu, który nadawał się do kochania. Kilka lat musiało upłynąć, by znalazła właściwe określenie dla tamtych uczuć: to było szczeniackie zauroczenie przypominające chroniczny katar. Taki katar męczy człowieka, męczy, wystarczy jednak wziąć odpowiednie lekarstwo i mija. W jej przypadku lekarstwem był Oskar. Podobne leczy się podobnym, lubiła mawiać Baśka, cytując Hipokratesa.

Bogna już od progu krzyczała, że ze zmęczenia ryje brodą w ziemi, ale szła sprężyście i jak zwykle trzymała się prosto, co niektórym złośliwcom wydawało się zadzieraniem nosa. W sanatorium Łucja

zerknęła na nią w przelocie: buźka, buźka, klucze, i cześć. Teraz za to patrzyła z niekłamanym zachwytem. Spotykały się po raz pierwszy od lutego, od czasu wielkiej tragedii, i Łucja, nie wiadomo czemu, wyobrażała sobie, że siostra wciąż jest zapłakana i przybita. A tu uśmiechała się do niej dawna Bogna, bodaj jeszcze piękniejsza, prościutka jak struna i wcale nie spowita w głęboką czernią. Miała na sobie białą bluzkę i ciemną, długą spódnicę.

– I co się gapisz jak pijak na flaszkę? Sprawdzasz, czy wdowieństwo mi służy? – spytała ze śmiechem.

– Humor na pewno, i to mnie cieszy.

– Moja mysia maleńka! – rozczuliła się Bogna. – Przytul mnie, już dawno nikt mnie nie tulił.

Łucja objęła ją i gładziła po długich czarnych włosach, luźno opadających na plecy. Bogna bardzo ładnie pachniała.

– Biel też jest kolorem żałoby, gdybyś nie wiedziała – mruknęła z głową na ramieniu Łucji.

– Wiem.

– W czerni czułam się, jakbym sama umarła. Nic, tylko uwalić się do trumny i... Nie jesteś głodna?

Wyplątała się z objęć Łucji tak samo nagle, jak w nie wpadła. Po chwili biegła już po kuchni w domowej sukience. Przy kolacji opowiadała o swoich planach na najbliższą przyszłość. Na parterze chce urządzić dwa pokoje dla kuracjuszy. Musi tylko wygospodarować miejsce na jeszcze jedną łazienkę. Pokoje pod wynajem, tłumaczyła, to dodatkowe źródło dochodu.

– Teraz pewnie jest ci dużo trudniej – zauważyła Łucja.

– Trudniej z czym?

– Z pieniędzmi. Utrzymanie domu kosztuje, a ty zostałam z jedną pensją.

– Uważasz, że Daniel pomagał mi w utrzymaniu domu? – zdziwiła się Bogna.

– A nie?

– Hm, chyba nie za bardzo. Starał się, ale... Dołożyć ci galaretki?

Łucja zamachała ręką na znak, że od galaretki woli rozmowę.

– Czy w ostatnim czasie wydarzyło się coś, o czym nie wiem? Zawsze uważałam was za idealną parę.

– Ależ byliśmy idealnym małżeństwem. Oglądasz czasem reklamy w telewizji? Przy serkach, przy jogurtach możesz zobaczyć takie szczęśliwe pary, co to żrą z jednego kubka albo karmią się nawzajem i obowiązkowo patrzą sobie głęboko w oczy. To my. Te filmy są o nas. Tak wyglądaliśmy aż do lutego.

– Pytałam poważnie – obruszyła się Łucja.

– Wiem, mysiu, że pytasz poważnie i wiesz, co ci powiem? Lepiej będzie, jeżeli nakręcisz ten film z głowy. Dasz swoim bohaterom tyle szczęścia, ile zechcesz, i wszyscy będą zadowoleni.

– Nie chcę z głowy, chcę z życia.

– Jeżeli z życia, to nie wszyscy będą zadowoleni – roześmiała się Bogna.

Łucja odnalazła Ewelinę bez trudu. Wystarczyło spytać matkę Dośki, która znała bodaj wszystkich stałych mieszkańców Ciechocinka. „Toć ta Ewelina do niedawna pracowała w jednym sanatorium z panią Bogną, a teraz jest bodaj u Markiewicza, w dziecięcym. Wystarczy zadzwonić i spytać o doktorkę od gimnastyki!”, wyjaśniła Kornikowa. I pomyśleć, że Łucji nawet do głowy nie przyszło, żeby zasięgnąć języka u Bogny.

W czasach szkolnych Ewelina była najpoważniejszą chyba dziewczyną w klasie, czego nikt nie mógł powiedzieć o Łucji. Zadziałała widocznie zasada przyciągania przeciwnych biegunów, bo przez trzy lata siedziały w jednej ławce i nie dały się rozsadzić. Typowa szkolna przyjaźń, która po maturze mocno osłabła.

– To naprawdę ty? – pytała Ewelina po raz czwarty i oglądała Łucję ze wszystkich stron.

– Naprawdę! I nie musisz wkładać mi palca do oka, żeby się przekonać – mówiła ze śmiechem Łucja.

Spotkały się oczywiście pod „Grzybem”, bo gdzieżby indziej. Łucja z lubością wciągała w nozdrza charakterystyczny zapach mocno przeterminowanych jajek. Z boku ktoś narzekał, że śmierdzi siarkowodorem. Jej pachniało co najwyżej *Cyniczną ucztą etnografów*. Dla tego zapachu gotowa była nie ruszać się z ławki. Niestety, zimny wiatr pogonił je do kawiarni. Ewelina traktowała Łucję jak gościa

i chciała pokazać wszystko, co w mieście najnowsze i najmodniejsze. Najmodniejsza była kawiarnia w sanatorium „Villa Park”.

Do obgadania miały sporo, cały okres dorostania, pierwszych miłości i studiów. Obie były samodzielne i wolne.

– Ale masz chyba kogoś? – dopytywała się Ewelina.

– Obracasz się wśród gwiazd i co?

– I nic. Kręcimy się wokół różnych osi.

– To zmień oś, na co czekasz?

– Czekam, aż dostanę w łeb. Wtedy zobaczę cały firmament i wybór będzie większy – odpowiedziała ze śmiechem Łucja. – Zrozum, ja jestem dopiero w przedsionku sztuki. Poznałam wiele znakomitości, zwłaszcza w szkole, niestety nie ma nikogo takiego, kto chciałby umawiać się ze mną na drinki i szeptać mi swoje tajemnice.

– Kogo znasz z wielkich, jacy oni są? Lecą na młode ciała?

Ewelina nie była odosobniona w swojej ciekawości. Ledwie Łucja napomknęła komuś, że jest reżyserem, spadał na nią grad pytań. Świat filmu, telewizji, a zwłaszcza seriali, fascynował ludzi bardziej niż ich własne życie. Czytali w magazynach, choćby w „Tiramisu”, o ślubach, rozwodach, nowych miłościach swoich ulubieńców i szukali potwierdzenia, kto z kim, i czy aby na pewno. Wiedzieli o gwiazdach dużo więcej niż Łucja i zapewne więcej niż niektóre gwiazdy o sobie. „Cena popularności jest czasem większa niż popularność”, powtarzał Mistrz. Łucja co prawda nie miała pojęcia, ile dzieci ślubnych, a ile nieślubnych miał serialowy tuz, natomiast zaczynała się nieźle orientować w anatomii plotki. Sonia, dziewczyna, która w „Tiramisu” prowadziła tak zwaną rubrykę towarzyską, dostawała informacje na talerzu od samych zainteresowanych. Wpadali na herbatkę i zostawiali materiał na dwa, trzy anonse, żeby tylko podtrzymać gasnącą popularność, odświeżyć nazwisko, przypiąć łatkę nieprzyjacielowi. „Najwięcej piszemy o tych, którzy chcą, żeby o nich pisać”, twierdziła Sonia i dodawała, że świat sztuki od kuchni często pachnie kapustą. O tym akurat Łucja wolała nie opowiadać nawet Ewelinie, bo znała też drugą stronę medalu. Kinga wiele razy wypytywała ją o ciekawostki z życia prywatnego gwiazd, o ich sympatie i antypatie, a dokładniej o to, co

się mówi w kręgach zbliżonych do sztuki. „Nie trzeba osobiście znać aktora, żeby wiedzieć, w którą stronę zerka najczęściej”, mawiała. Łucja nie znosiła tych rozmów, a od kiedy jeszcze dowiedziała się o sobie, że sypia z Mistrzem, była wyleczona z chęci paplania o innych. Może nie na zawsze, ale na pewno na dłuższy czas. Ewelina nie dała się zbyć ogólnikami i trzeba było nie lada sprytu, by zveksłować rozmowę na tematy ciechocińskie.

– U mnie nic ciekawego – powiedziała ze znudzoną miną. – Rodzice kupili mi mieszkanie, zmieniałam pracę, jesienią może zmienię stan cywilny. Prowadzę spokojne, nudne życie.

– Kup sobie granat, to się rozerwiesz! Mieszkanie, praca, facet, co byś więcej chciała?

– Wyjechać stąd, uciec jak najdalej. Nie wiem, do Torunia, może do Bydgoszczy, a najchętniej do Warszawy. Mam dość tego kurnika i kwok, które z upodobaniem gdaczą na mój temat. Nie tylko na mój. Sama wiesz, jak wygląda życie w małym mieście. Raz się przesłaś z chłopakiem siostry pod rękę i do dzisiaj plotkary mają o czym gadać. Wczesny świt, ulice puste, a jednak ktoś was przyuważył. Niepotrzebnie całowaliście się co pięć kroków.

– Daj spokój, kiedy to było!

– Nieważne kiedy! Bogna do dziś słucha wyrazów współczucia... chociaż może teraz, po tym nieszczęściu, już nie.

– Zlituj się, o czym ty gadasz? Bogna nic mi nigdy nie mówiła.

– Widać aż tak bardzo jej to nie bolało. Zresztą ona świetnie sobie radzi z plotuchami, nie bój żaby. Jest kuta na cztery nogi i przebiegła. Gorzej z sercem i umiejętnością współczucia. Daniel był zupełnie inny. Może to brutalne, co powiem, ale ona wykończyła go psychicznie, sprawiła, że się stoczył na samo dno. Wypłynął, bo był silny, a wtedy tak mu dołożyła, że już się nie mógł pozbierać.

– Chyba nie mówimy o tej samej Bognie?

– Wiem, że to twoja siostra, i że nie powinnam... Przepraszam. Nie przepadam za nią i jeśli chcesz wiedzieć, to z jej powodu musiałam zmienić pracę. Teraz trochę mi się żółci ulewa.

– Nie tylko trochę.

– Przepraszam.

Milczenie, które zawisło nad stolikiem, nie wróżyło nic dobrego. Takie milczenie trzeba albo natychmiast przerwać, albo pogodzić się z ochłodzeniem stosunków. Ewelina bez entuzjazmu jadła ciastko, Łucja gorączkowo próbowała wymyślić jakąś niewinną anegdotkę ze sfer artystycznych, żeby tylko uratować nastrój popołudnia. Jak na złość nic dowcipnego nie przychodziło jej do głowy. Bezradnie rozejrzała się po sali. W przejściu dostrzegła wysoką, dobrze znaną sylwetkę. Odetchnęła z ulgą i po chwili mogła przedstawić Ewelinie Steve' a Willisa, producenta filmowego z Nowego Jorku. Ledwie wspomniała o producencie, łypnął na nią złośliwie, na szczęście niczego nie prostował.

– A mówiłaś, kłamczucho, że nie znasz żadnych znakomitości? – powiedziała z wyrzutem Ewelina.

– Pytałaś o polskie znakomitości, ja specjalizuję się w zagranicznych. – Spojrzała przeciągle na ironicznie uśmiechniętego producenta.

Steve był bystry, właściwie ocenił sytuację i na powitanie pocałował Łucję w policzek. Widać doskonale rozumiał, na czym polega małomiasteczkowy snobizm, i zgodził się odegrać niezupełnie swoją rolę.

6

Bogna się spóźniała i Łucja, racjonalna Łucja, nie mogła sobie znaleźć miejsca. Z kuchni wyganiało ją wspomnienie Daniela. Ledwie usiadła w saloniku, zjawiała się babka. Salonik mieścił się w jej dawnej sypialni, więc miała prawo wejść. Tuż za babką wsunął się dziadek Konstanty, za nim matka Łucji i ciocia Halusia. W progu tłoczyli się dwaj nieudani zięciowie babki oraz Daniel. Siedem mar na jedną żywą istotę to przesada, pomyślała. Przeszła się po pokoju i mary zniknęły. Zostały tylko niewesołe myśli.

Łucja przyjechała tu, żeby pisać o jedynej, wielkiej miłości, jaką znały mury tego domu. Nigdy nie wierzyła w miłość babki i dziadka Konstantego. W przywiązanie tak, ale nie w miłość. Małżeństwo matki musiało być zupełnie nijakie, skoro rozpadło się zaraz po narodzinach Łucji. A przecież była dzieckiem ładnym, cichym i trudno przypuszczać, żeby to z jej powodu ojciec uciekł. Związek cioci Hali był z gruntu nieudany i skończył się tragicznie. Dopiero czwarta para przełamała złą passę. Ale czy rzeczywiście? Łucja skarciła się za to czarnowidztwo: nie mogła wątpić, jeżeli chciała napisać scenariusz, a potem nakręcić film o wielkim, spełnionym uczuciu.

Bogna wróciła w niewesołym humorze i zaczęła wieczór od telefonów. Szukała jakiegoś Pipa, potem dodzwoniła się do Kornela i obtańcowała go, aż miło było słuchać. Delikatna Bogna o wdzięku pantery i uwodzicielskim spojrzeniu rzucała kurwami nie gorzej niż kiedyś Władek. Ze złością odłożyła słuchawkę.

– Dranie! – powiedziała.

– No, no! – pokręciła głową Łucja. – Językowo wyrobiłaś się nad podziw.

– Przecież i tak nie rozumiałaś ani słowa z tego, co mówiłam – roześmiała się Bogna.

Śmiech rozładował napięcie i już była sobą: czarodziejką, która swoim uśmiechem topi lód. Tak przynajmniej mawiał Daniel.

– Nie odnosisz czasem wrażenia – spytała Łucja przy kolacji – że po tym domu pałętają się duchy naszych przodków?

– Na łeb upadłaś, mysiu? Nie masz innych zmartwień?

– Jedno małe. Chciałabym wiedzieć, co się dzieje z moją koleżanką Ewelina?

Bogna zastygła z kromką chleba przy ustach.

– Chcesz powiedzieć, że to nie z nią szlifowałaś dzisiaj bruki w centrum?

Łucja przełknęła kęs, zanim zdobyła się na spokojną odpowiedź.

– Nie tylko szlifowałam bruki, ale też wypłam kawę, zjadłam szarlotkę z kulką lodów i grejpfrutem... – udała wahanie – chyba już niczego więcej nie brałyśmy. Mówię na wszelki wypadek, gdyby ktoś chciał ci wmówić, że urznęłam się w „Villa Park”. Swoją drogą wywiad tu macie lepszy niż w CIA. Pytam, co się z nią dzieje, bo na moje oko bardzo się zmieniła.

– Nie wiem, nie znałam jej wcześniej – wzruszyła ramionami Bogna. – Przez jakiś czas pracowałyśmy razem i tyle. Doceniam jej umiejętności fachowe, ale nigdy nie zdołałam jej polubić. Możesz mi przez pół wieczoru wmawiać, że to miła i poczciwa dziewczyna, i tak zostanę przy swojej opinii. Narzekała na mnie?

– A ma powody?

– Jak się chce kogoś obszczekać, powód zawsze się znajdzie. Pomogłam twojej Ewelinie podjąć decyzję o zmianie pracy – roześmiała się – na co nie miała wielkiej ochoty. Rozbijała mi pracę zespołu, szukała dziury w całym, jej upierdliwość stała się już przysłowiowa. Teraz truje głowę innym i pluje na mnie.

– Nie rozmawiałyśmy o tobie.

– Akurat! Z Kornikową, z Ewelina i jeszcze z paroma osobami trudno nie rozmawiać o mnie.

– Jesteś popularniejsza w Ciechocinku niż Staszic i tężnie. Kto ci powiedział, że spotkałam się z Ewelina?

Bogna roześmiała się jak psotne dziecko.

– Ewelina.

Łucja poszła na górę z galimatiasem w głowie. Rozmowy z Bogną były trudniejsze, niż przypuszczała. Wymarzony scenariusz zamiast pęcznieć od nagłych zwrotów akcji, zatrzymał się na stop-klatce, i to na samym początku.

Przez pierwsze dni Łucja biegła po swoich dawnych śladach, odnawiała znajomości, pisała opowiadanie dla „Tiramisu” i próbowała pozbierać brakujące elementy do układanki, która w przyszłości miała stać się filmem. Bogna była oszczędna w słowach, jeszcze się nie rozkręciła i nie dojrzała do zwierzeń, za to dała siostrze całe pudło zdjęć i kazała oglądać. Wszystkie pochodziły z początków małżeństwa z Danielem. Najwidoczniej oboje lubili się fotografować: w domu, w ogrodzie, na wycieczkach. Im dłużej i dokładniej oglądała, tym bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że to była naprawdę szczęśliwa para. Ludzie, którzy nic do siebie nie czują, nie patrzą z takim zachwytem, nie czują się, nie obejmują. Gdyby byli aktorami, to co innego, ale nie byli.

Łucja, zajęta swoimi sprawami, zaniedbała Steve’a. Nie czuła z tego powodu większych wyrzutów sumienia. Przyjechali do Ciechocinka razem, w gruncie rzeczy jednak byli tu osobno i mieszkali po dwóch stronach parku Zdrojowego. On panoszył się w czterogwiazdkowym hotelu „Villa Park”, ona korzystała z gościnności Bogny i tak właśnie miało być. W kawiarni przekonała się, że Steve uważał inaczej. Był grzeczny, miły, prawił komplementy Ewelinie, ale na Łucję zerkał spod oka, a nawet trochę się nabzdyczył przy pożegnaniu. Czuła przez skórę, że jest obrażony, i zgadywała przyczynę żalu. Obiecywała, że pokaże mu miasto i na obietnicach się skończyło. Nawet do niego nie zadzwoniła. On zresztą też nie dzwoni, pomyślała i poczuła się usprawiedliwiona.

Wreszcie któregoś popołudnia wybrała się na ulicę Warzelnianą. Po drodze sporo myślała nad trasą spaceru. Po parku, po deptaku mógł pochodzić solo, ona chciała pokazać mu te obiekty, które trudno wyłowić, jeśli się nie zna miasta: cerkiewkę, odrestaurowany dworek prezydencki i kilka innych budowli, typowych dla Ciechocinka.

Jeden taki dom stał przy Warzelnianej. Od frontu zdobiły go stragany z mydłem, powidłem i pamiątkami. Obejrzała budynek z ciężkim sercem. Ona powie: „Popatrz, to jest konstrukcja murowano-drewniana, zwana szachulcową...” On popatrzy, skrzywi się i odpowie w duchu amerykańskim: „Przecież to ruina. Takie domy się wyburza i stawia w ich miejsce McDonaldy, które przynajmniej dają zysk”. Wkurzyła się i weszła do hotelu w bojowym nastroju. Nie miała zamiaru pozwalać mu na burzenie zabytków.

Kiedy dziesięć minut później przechodzili koło tego budynku, Steve sam się zatrzymał i pstryknął kilka zdjęć. Z wdzięczności, że nie chciał burzyć, wzięła go pod rękę.

– Czy ty przypadkiem nie próbujesz się podlizywać? – spytał.

– Niby po co? Przecież i tak nie zabierzesz mnie do Stanów, nie urządzisz w Hollywood i nie wypromujesz mojego pierwszego amerykańskiego filmu.

– Hollywood, Łucjo, to już tylko mit i symbol dawnej świetności kina amerykańskiego, miejsce, do którego tłumnie ciągną turyści, lecz nie producenci i twórcy. Dzisiaj Nowy Jork przejął rolę głównego ośrodka, bo tam są największe stacje telewizyjne. Myślę jednak, że ty nieźle byś się czuła w Hollywood, bo nieobce jest ci efekciarstwo.

– O nie! – Drgnęła gwałtownie, bo posądzenie o efekciarstwo ukłuło ją boleśniej niż szpilka.

Roześmiał się, zadowolony z żartu.

– A dlaczego uważasz, że producent jest lepszy od scenografa?

– O to ci chodzi! – zawołała z ulgą. – Nie wiem, tak mi się palnęło. Ale wracając do podlizywania, to muszę cię zmartwić: nie mam powodów. Przecież do Nowego Jorku też mnie nie wywieziesz.

– Za to mogę cię zaprosić na fajf albo na dansing tu, w Ciechocinku.

– A zaprosisz?

– Już to zrobiłem.

– No widzisz! Najlepszy dowód, że warto się podlizywać. Sam byś na to nie wpadł.

– Czekaj, czekaj! Więc podlizujesz się, czy nie, bo już straciłem rozeznanie?

– Ja też – odpowiedziała ze śmiechem.

Spacer ze Steve'em pod rękę miał podwójny urok, można powiedzieć: artystyczny i towarzyski. Steve dostrzegał piękno i potrafił się nim cieszyć. Przed starą cerkiewką stanął jak wryty. Wyciągnął aparat i zastanawiał się, od czego zacząć.

– Fotografuj spokojnie, bo drugiej takiej w całej Europie nie znajdziesz – powiedziała Łucja. – Ponad sto lat temu wybudowali ją cieśle zza Uralu. Ściany są z bali układanych na zrąb, bez użycia jednego gwoźdźca. Za moich młodych lat były tu jakieś magazyny, wcześniej chyba kasyno. Na szczęście znalazły się pieniądze na odbudowę i fachowcy z głową, którzy niczego nie zepsuli i nie unowocześnili. Zachowali nawet pierwotną kolorystykę.

Urok towarzyski spaceru ze Steve'em sprowadzał się do ciekawych spojrzeń kobiet, które mijali.

– Kobitki patrzą na ciebie łakomym okiem – zauważyła nie bez dumy.

One mogły tylko patrzeć, ona szła z nim pod rękę. Dobrze wiedziała, ile był wart, choćby tylko na pierwszy rzut oka. Przystojny, dobrze ubrany mężczyzna to w kurorcie łakomy kąsek, zwłaszcza, że po ulicach kręciło się zdecydowanie więcej pań niż panów.

– Nie łudź się, one biorą cię za córkę.

– Wszystkie jesteście czyimiś córkami – rzuciła wesoło.

Roześmiał się i opowiedział jej żart zasłyszany przy śniadaniu. Stary żart o Panu Bogu, świętym Piotrze i światełkach na Ziemi. Każde światełko oznaczało małżeńską zdradę. „A ta wielka łuna?“, spytał Pan Bóg. „To Ciehocinek“, odpowiedział święty Piotr.

– Co wobec tego musiałyby się unosić nad Nowym Jorkiem albo nad Los Angeles? – zainteresowała się Łucja.

– Przy was Sodoma i Gomora to cnotliwa prowincja.

– Skąd niby wiesz?

– Z amerykańskich filmów, które już mi uszami wychodzą. – Chwyciła go mocniej pod rękę, żeby się nie wyrwał i nie uciekł przed strumieniem krytyki. Miała ochotę doprowadzić wykład do końca. – Nie umiecie opowiadać o seksie, ale uwielbiacie to robić. Kotłują się ci wasi bohaterowie, *jęczą*, podrygują, no i dobrze. Akt się kończy, on wyłazi spod kołdry od razu w majtkach, ona siada, otula się

szczelnie, żeby nie pokazać skrawka biustu. Czysta pruderia! I ten język! Co się kto odezwie, to jakby całe życie w slumsach mieszkał.

– Masz pretensje do autorów filmu czy do tłumaczy?

– Znam angielski, nie wciskaj mi ciemnoty. Mniej znam Amerykanów. Wiedzę o nich czerpię głównie z filmów, a jako reżyser wierzę, że film obyczajowy nie fałszuje rzeczywistości. Obsesją Amerykanów jest seks. Jako widz wolałabym, żeby to był niemy seks. Jeżeli nad Ciechocinkiem unosi się łuna, to nad Nowym Jorkiem albo...

– Tutaj cię boli! – roześmiał się Steve.

– To nad całą Ameryką jarzą się niebiosy. Nigdzie mnie nie boli. Nie lubię tylko brutalizowania przeżyć, niesprawiedliwości i Gołąbkowej.

– 1 mnie.

Puściła jego ramię, wybiegła dwa kroki naprzód, żeby dalej iść już tyłem: rozmawiać i patrzeć mu w oczy.

– Jeżeli chcesz, mogę stanąć na tym gazonie i trzy razy wrzasnąć, że Steve to równy gość, i że go lubię. Deptak będzie zachwycony, a ty możesz się spodziewać co najmniej tuzina ofert. Chcesz, żeby cię baby rozdrapały? Uprzedzam, to może trochę boleć.

Próbował ją odwrócić, wziąć pod rękę, ale się nie dawała.

– Łucjo, przewrócisz się i stłuczysz tyłek!

– Co cię obchodzi mój tyłek? Pytam, czy mam krzyczeć, że cię lubię?

– Nie. Wystarczy, jeśli będziesz dotrzymywała słowa. Mogłem umrzeć w hotelu, a ty byś o tym nie wiedziała.

– Nie umawialiśmy się, że będziesz umierał! Ale gdyby co, to kogo mam zawiadomić?

Udawała poważną, choć oczy jej się śmiały. Rozbawiony Steve chwycił ją wreszcie pod ramię i przytrzymał. Dalej już szli obok siebie. Ona otwierała mu oczy na urodę miasta, on słuchał, czasami pstrykał zdjęcia. Fotografował nie tylko zabytki, Łucję też. Przy „Grzybie” prawie wpadli na Bognę. Tak była zajęta rozmową z wysokim, barczystym facetem o wyglądzie ochroniarza, że nie widziała nikogo obok.

Gdyby ktoś spytał Łucję, kogo brakuje jej do szczęścia, odpowiedziałaby bez wahania, że tylko Baśki. Dzwoniła do Warszawy prawie codziennie, żeby podnieść na duchu zapracowaną przyjaciółkę i namówić ją do spędzenia kilku dni w Ciechocinku. Przed sesją było to marzenie ściętej głowy, ale przecież najdłuższe nawet sesje kiedyś się kończą.

– Wpadnę – zapewniała Baśka – jeżeli tylko nie skończę na cmentarzu jako tragiczna ofiara nauki. I co mnie podkusiło, żeby iść na medycynę? Nie mogłam studiować sobie reżyserii albo aktorstwa?

– Mogłaś, ale podobno kochasz tradycje rodzinne.

– Już nie Kocham. Oskar namawia mnie, żebym została aktorką.

– Pewnie u niego?

– Nie mówił, gdzie. Mówił tylko, że z moją wyważoną urodą, nie wiem, co to znaczy, ale tak mówił, więc z moją wyważoną urodą mam szansę wygrać każdy casting. Podobno teraz jest moda na nieprofesjonalistów, bo są tańsi. Może u ciebie mogłabym zagrać? Zadowolę się najmniejszym ogonem, byle zaistnieć na ekranie. Aha, Oskar chciał twój numer telefonu. Nie dałam mu, bo nie wiem, czy tego chcesz, jednak przez pomyłkę palnęłam o Ciechocinku. Bardzo się ucieszył.

– Nie wątpię! Ten numer akurat zna. Mówił coś o zdjęciach?

– Nie mówił. Skupił się na moich predyspozycjach aktorskich.

– Sama do niego zadzwonię – zdecydowała Łucja.

– Wybrałam wygnanie, żeby pracować, nie strzępić język.

– Ze Steve'em pracujesz, czy strzępisz język?

Baśka celowała w takich subtelnych szpileczkach. Rozśmieszyła Łucję, chociaż ciekawości nie zaspokoila. Łucja sama nie wiedziała, kim dla niej jest Steve, co gorsza, nie bardzo rozumiała, kim ona jest dla Steve'a. Nie obiecywał, że ułatwi jej karierę zawodową, chociaż bardzo interesował się pomysłem na film. Nie podrywał i nie uwodził, ale dąsał się, kiedy go zanieczywała. Mimo sporej różnicy wieku świetnie się czuł w jej towarzystwie i miała wrażenie, że jest zazdrosny o każdą wolną chwilę, którą spędzała bez niego. Ten facet wymykał się wszelkim klasyfikacjom, nie dał się zamknąć do żadnej szufladki i chyba właśnie to było w nim ogromnie pociągające. Nie tworzył wokół siebie aury tajemniczości, chociaż nie można

powiedzieć, żeby był zbyt wylewny. Dopiero na wyraźne życzenie Łucji pokazał zdjęcia swojej rodziny i domu. Rzuciła się na nie jak sęp. Interesowała ją zwłaszcza uroda kobiet: żony i córki. Zachwyciła się, pochwaliła z wielkim zapałem, żeby, broń Boże, nie odgadł jej rozczarowania. Wyobrażała sobie, że najbliższe kobiety Steve' a dorównują urodą hollywoodzkim gwiazdom, a ze zdjęć patrzyła na nią sama przeciętność. Zona od biedy mogła ujść, lecz Gina, hojnie obdarowana przez naturę wydłużoną brodą i wielkim nosem, była najzwyczajniej brzydka. To jednak nie tłumaczyło, dlaczego Steve zostawił dla Łucji środowisko filmowców warszawskich.

Oskar nie miał wiele do powiedzenia, poza tym, że producent wywinął mu paskudny numer i sam zaangażował dziewczynę do roli pływaczki.

– Wiesz, jak to jest! – mówił, a żal w jego głosie brzmiał prawie szczerze. – Ja kręcę, on płaci.

– To kręć dalej – powiedziała pogodnie Łucja. – Nie zagrałabym u ciebie, bo kończę scenariusz swojego filmu i gonią mnie terminy. Nie mam czasu nawet dla Steve'a.

– Steve jest z tobą?

Nie udało mu się ukryć zaskoczenia, co bardzo ucieszyło Łucję. Powiedziała, że jest, oczywiście, chociaż niezupełnie z nią. Odłożyła słuchawkę i z radości poklepała się po udach.

Bogna znowu wróciła zdenerwowana i zaczęła wieczór od telefonów. Tym razem udało jej się dorwać Pipa. Zmieszała faceta z błotem w anatomicznym stylu, bez szacunku dla ludzkich organów i dla Pipa.

– Babul się wściekł i próbuje mi grozić! – krzyczała. – Wiesz, co powiedziałam? Wiesz? Powiedziałam, że jak skopie ci jaja, to skończą się jego i moje kłopoty. Miej się na baczności, dupku!

Przebrała się w sukienkę domową i poweselała. Zły humor został chyba na żałobnych szatkach. Przytuliła Łucję, nazwała swoją mysią i zaczęła wypytywać o miniony dzień. Spacer ze Steve'em nie umknął jej bystrym oczom. Zapamiętała nie tylko kolor jego marynarki i włosów, lecz jakimś cudem zajrzała mu nawet w zęby, bo

pochwalała, że własne i ładne. O sylwetce powiedziała, że znakomita jak na podeszły wiek, o twarzy, że interesująca.

– Myślałam, że nas nie widzisz? – wybąkała zaskoczona Łucja.

– Daniel też wciąż myślał, że go nie widzę – westchnęła Bogna. – Marnuję się tutaj, powinnam pracować w wywiadzie. Powiesz mi, kim jest ten macho?

– Taki tam, znajomy scenograf. Jest w sanatorium i trochę się nudzi.

– Coś z nim nie tak?

– Dlatego, że trafił do sanatorium?

– Dlatego, że kobiety pozwalają mu na nudę. To typ do pokazywania w podręcznikach, powiedziałabym, wzorcowy. Babcia o takich mówiła: fanfarony. Już ten nie zagrałby długo miejsca przy naszej babci.

– Na pewno z tego powodu nie strzeliłyby sobie w łeb – burknęła Łucja. – Babka była starą zgredą i wytrzymywali z nią tylko ci, co musieli: nasze matki, my i Kopasiowa w pieczarkarni.

Bogna siedziała zwinięta w fotelu. Przechyliła głowę, spojrzała na Łucję z tym swoim uśmiechem, który topił lód.

– Wiesz, mysiu, co ci powiem? Jesteś straszną krową, która nie myśli i nie zmienia zdania. Uroiłaś sobie jakąś opinię sto lat temu, czas mija, a ty nawet nie próbujesz jej sprawdzić ani potwierdzić.

Zanim Łucja zdążyła otrząsnąć się ze zdumienia, Bogna spoważniała. Mówiła teraz ostrym głosem, a jej piękne brwi rozdzielała głęboka zmarszczka. Wygłaszała wielki pean na cześć starej zgredy.

Babka nie miała łatwego charakteru, ale nie ze swojej winy. To życie zrobiło z niej dragona w spódnicy. Zawsze szła pod wiatr, nigdy z wiatrem. Wojna odebrała jej młodość i nadzieję na naukę, mąż, dzień po dniu, próbował odebrać wiarę w miłość. Był z nią do końca, na jej utrzymaniu, na jej garnuszku. Dwa razy przegrał w karty wszystko, co mieli, i pewnie przegrywałyby dalej, gdyby paraliż nie złożył go do łóżka. Z chorym mężem na karku, z dwójką dzieci, babka zamiast się poddać, założyła jedną z pierwszych pieczarkarni w okolicy. Miała głowę do interesów, nie bała się pracy, więc szybko zaczęła robić prawdziwe pieniądze. Myślała tylko o jednym, żeby jej

córki osiągnęły w życiu to, czego jej się nie udało, żeby skończyły uniwersytety, były mądre, samodzielne i wykształcone. Jednak los, kiedy się na kogoś uweźmie, to nie popuści. Pan Bóg nie żałował bliźniaczkom urody, lecz rozum dał im tylko jeden, malutki i jeszcze do podziału. Dziewczyny były impregnowane na wiedzę i nie bez kłopotów dojrzały do końca podstawówki. Zgodnie uznały, a zawsze były nad podziw zgodne, że siedem klas, uroda oraz pieniądze matki to wystarczające wyposażenie na przyszłość. I choć babka uparła się jak osioł przy swoim, nie zdołała pokonać zdwojonego uporu bliźniaczek. Nie dojrzały nawet do końca pierwszej klasy liceum, pozwoliły się wyrzucić po trzech miesiącach. Kochały tańce, chłopaków i wesołe życie, które jakoś nie odwzajemniło ich miłości. Ciężkie, pośpieszne małżeństwa i byle jakie życie u boku niezbyt starannie wybranych mężów, to już były dalsze dzieje pięknych bliźniaczek. Babka się zapałała, stwardniała do reszty. Przygarnęła córki i wnuczki, ale na swoich warunkach.

– Nie wiem, czy na miejscu mamy wytrzymałabym takie więzienie – powiedziała w zamyśleniu Łucja. – Ona nie pozwalała im wyjść z domu, spotkać się ze znajomymi. Od czasu do czasu zabierała je do kina, i na tym koniec. Ja bym tak nie mogła żyć, ja bym uciekła.

– Dokąd niby? Co one umiały poza wymianą nawozu w pieczarkarni i pieleniem w ogrodzie? To się tylko tak mówi: uciekłabym. Mieszkanie, praca, opieka nad dzieckiem... to się tylko tak mówi. Babci gadanie chociaż tutaj zaowocowało: one nigdy nie zapomniały, że mają na wychowaniu dzieci, to znaczy nas. Pogodziły się ze swoim losem, chociaż jeszcze długo oczy im się śmiały do facetów. Ale babcia czuwała.

– Wiem, że moja mama często płakała. Współczułam jej i też płakałam z niechęci do babki. Powiedz, jakie życie miały nasze matki?

– Lepsze niż babcia, bo mniej myślały.

– Skąd ty to wiesz? Babka nigdy o sobie nie opowiadała, nigdy się nie skarżyła. O ile pamiętam, chwaliła tylko dziadka Konstantego.

– Zawsze byłam z nią bliżej niż ty. Pamiętasz, jak ją nazwałam babusią? Ona mi tego do końca życia nie zapomniała. W ostatnim roku pielęgnowałam ją w chorobie i dużo wtedy rozmawialiśmy. To

była nie ta sama babcia. Bardzo złagodniała, bardzo. A dziadek? Stworzyła nam mit, wzorzec prawdziwego faceta. Uważała, że dom bez mężczyzny jest niepełny, ubogi, więc dała nam dziadka. Może to była naiwność, może tęsknota za normalnością, nie umiem tego ocenić.

Bogna zamilkła. Łucja siedziała ze spuszczoną głową. Bodaj wolałaby tej prawdy o babce nie słyszeć. Już wcześniej domyślała się, że tak to mniej więcej było, jednak domyślać się, a wiedzieć na pewno to nie to samo. Bogna sprawiła, że po raz pierwszy w życiu żal jej się zrobiło nie mamy, nie cioci Hali, tylko babki.

– Przytul mnie, jest mi potwornie smutno – powiedziała.

Zaraz potem rozplakała się w ramionach siostry, chociaż wiedziała, co za moment usłyszysz.

– No już nie rycz, nie rycz, bo się odwodnisz.

Kinga wciąż czekała na opowiadanie o wielkiej miłości z prawdziwym facetem w tle. Miało być do śmiechu, do płaczu i do pomyślenia. Łucja obiecywała, siadała do pracy i pichciła tekst, z którego niezbitnie wynikało, że to dziewczyna była mądra, dobra i, o zgrozo, lepiej wykształcona od swojego chłopaka. Naczelną „Tiramisu” wciąż kręciła nosem. „Każdy twój facet to albo pan Ni-Jaki, albo swołocz. Opanuj się, my nie jesteśmy organem wojujących feministek!” Łucji ścierpła skóra. Nie czuła się feministką, a już na pewno nie wojującą. W końcu wyciągnęła z rękawa swojego asa. Wymyśliła, że napisze o Amerykaninie w Polsce, nazwie go Paulem i wplącze w romans bez przyszłości.

Siedziała nad tym tekstem dwa razy dłużej niż nad innymi i wciąż nie była zadowolona. Paul był płaski jak kartka papieru i w żaden sposób nie zasługiwał na zachwyty narratorki. Kłopot polegał na tym, że Łucja nie wymyślała bohaterów, tylko sytuacje. Pisząc o Paulu i Nataszy, nie mogła oderwać się od pierwowzorów. Zamiast skupić się na akcji, grzebała w psychice i całkiem niepotrzebnie próbowała nazwać to, co łączyło parę bohaterów. Miłość na pewno nie, przyjaźń – za wiele powiedziane, z kolei znajomość – za mało. Odeszła od stołu, stanęła w oknie z czołem opartym o szybę i pozwoliła, żeby spłynęła na nią bezradność.

Jeszcze kilka godzin pisania, a przestanę lubić Steve'a, pomyślała. Facet tapla się w borowinowym błocie, moczy w solance i nawet nie wie, ile mam z nim udręki. A Kinga nie wierzy, że nawet mądre babki cierpią przez zabłoconych facetów.

Zamknęła laptop i zeszła do ogrodu.

Bogna zaniedbała ogród babki. Nie miała czasu na wysiewanie marchewki i pietruszki ani pielęgnowanie róż. Krzewy i byliny zdziczały, tylko chwasty czuły się wyśmienicie. Za płotem Kornikowa wyrównywała grządki.

– Nie wpadłaby pani na herbatkę, pani Łucjo? – spytała.

Łucja nie paliła się do wysłuchiwanie zwierzeń Kornikowej, mimo to zgrabnie precyzyjnie się przez dziurę w płocie. Rozmowa o niczym wydawała się lepsza od twórczej udręki.

– Pewnie smutno pani bez Dośki i bez dzieciaków? – zagadnęła.

– Toć mam małego Władzia przy sobie – powiedziała, przepuszczając Łucję w drzwiach. – A pani wie, że duży Włodek mnie odwiedza? Taki dobry się teraz zrobił, że nie wiem.

– Mówi pani o mężu Dośki?

– O nim. Wczoraj oglądałam telewizor w łóżku i usnęłam. Budzę się w nocy, telewizor zgaszony, światło też.

– Musiało nie być prądu.

– O, wa! Najłatwiej powiedzieć, nie było prądu. Rano prąd był, więc jak to tak? Wiem, że to on. Może go nie zakwalifikowali do nieba i błąka się po ziemi.

– Z całą pewnością go nie zakwalifikowali. On by całe niebo rozpił.

Łucja sączyła herbatę koloru słomki i coraz bardziej żałowała, że nie została w domu, przy laptopie. Rozmowy o zaświatach nigdy jej nie pociągały, a Kornikowa uparła się, żeby gadać o duchach.

– Jak pani chce wiedzieć, pani Łucjo, to babcia Winiakowa też mnie kiedyś odwiedziła. Dawno temu, krótko po swoim pogrzebie. Drzemałam w tym fotelu, co teraz siedzę, ona weszła i powiedziała: „Kornikowa, mięso wam się pali”. Jak nie skoczę, jak nie polecę do kuchni, a tam już tylko dym i swąd. Mięso do wyrzucenia, garnek do wyrzucenia. Szkoda, że nie przyszła wcześniej, może by się coś jeszcze uratowało.

– Lubiała pani moją babkę?

Z pozoru niewinne pytanie wywołało lawinę wspomnień, której nikt nie był w stanie zatrzymać. Łucja podwinęła nogi i usiadła wygodnie. Kornikowa lubiła opowiadać dokładnie, ze szczegółami i od początku. Miała litość dla Łucji, bo historię swojego rodu zaczęła od rodziców, a przecież mogła od pradziadów. To jej rodzice nabyli działkę przy Traugutta, wtedy mówiło się plac, i zaczęli budować dom. Dokładnie pamiętała, co tatuś kupował, u kogo, i za ile, chociaż nie była jeszcze wtedy Kornikową, tylko nieopierzoną smarkulą. Tuż obok stawiał swój dom ktoś inny, kto nawet nie zdążył się nim nacieszyć. Postawił, a po dwóch, może trzech latach sprzedał. Wtedy po sąsiedzku wprowadzili się Winiakowie z córkami. Winiaka nikt nie widywał, bo leżał złożony chorobą, córki najlepiej lubiły swoje towarzystwo, za to Ryszarda Winiakowa całe dni spędzała na dworze. Zakładała ogród i pieczarkarnię. Do pomocy miała starą Kopasiową, która jeszcze wtedy taka stara nie była, tyle że samotna, bez rodziny i zaniedbana. Mówiło się o niej stara, i tak już zostało. U Winiakowej znalazła pracę, kąpiel i jedzenie.

– Moi rodzice bardzo szanowali pani babcię, a ja potem też – pokiwała głową Kornikowa. – Oschła była, surowa, ale serce złote. Jak mojemu staremu nogę zmiażdżyło, pierwsza przyszła spytać, czy nie trzeba pieniędzy albo innej pomocy.

– A moją mamę dobrze pani znała? Pamiętam, że nieraz rozmawiałyście przy płocie.

– Ano, pogadało się czasem, choć nie za wiele. W szkole to ja byłam starsza gdzieś ze trzy... co ja mówię, dwa lata byłam od nich starsza, więc miałam inne koleżanki. W domu z kolei one były dwie i nie starały się o moją przyjaźń. Potem, jak już wy się porodziłyście, to częściej sobie pogadałyśmy o odżywkach, proszkach do prania, tak raczej ogólnie.

– Pani Kornikowa – Łucja zawiesiła głos niepewna, czy powinna zadać to pytanie. Ciekawość zwyciężyła. – Pamięta pani mojego ojca?

– A to się wzięło nam dzisiaj na wspomnienia! – zdziwiła się kobiecina. – Niespecjalnie pamiętam. Ile to było lat temu? Trzydzieści, dobrze liczę? Pojawił się tutaj przed ślubem i zaraz potem wyjechał. Może go widziałam trzy razy, może nie. Włosy do

ramion, długa broda, istny Rumcajs. Ładniutki, z tego co pamiętam, ładniutki. Pani to urodę wzięła po matce, a pani Bogna po ojcu. O, tego drugiego, tego męża Halusi, lepiej pamiętam. Mieszkał u was ze trzy lata, dopóki nie skatulał się z dachu. Miała ta wasza babcia los, oj, miała. Powiedziała do mnie kiedyś tak: „Bóg mnie jednak wysłuchał i czego nie dał w dzieciach, we wnuczkach wynagrodził. Pani wie, że moja Łucja będzie robiła filmy?”

Łucja wracała do domu ze spuszczoną głową. Nigdy nawet nie podejrzewała, że babka mogła być z niej dumna. Owszem, cieszyła się z dobrych cenzurek, z matury i z tego, że obie wnuczki studiowały, ale była to radość cicha, mało widoczna. Mawiała: „Dla swojej przyszłości to robicie, nie dla mnie”, i Łucji wydawało się, że w ten sposób odpycha ją od siebie. Niestety, nie potrafiła sobie przypomnieć, jak babka przyjęła wiadomość o zdanym egzaminie na reżyserię. Uśmiechnęła się może, powiedziała coś miłego? Chyba nie, bo to byłoby wielkie święto, takie do zapamiętania na całe życie. Myśląc „babka”, Łucja niezmiennie widziała kamienną twarz z wąską nitką ust. Bardzo rzadko, i tylko na dobrym filmie, ta twarz odbijała wzruszenie.

Jedyną słabością babki było kino. Kochała je od dnia, kiedy po raz pierwszy w życiu zobaczyła *Błękitnego anioła* Sternberga. To chyba było jeszcze przed wojną, ale zapamiętała wszystko, dialogi i najdrobniejsze szczegóły stroju Loli Loli. „Straszna kobieta” mówiła o niej i zaraz dodawała: „Ta straszna kobieta zostawiała po sobie ruiny wszędzie, gdzie się pojawiła. Niepotrzebnie, bo ruiny to specjalność mężczyzn”. Zastanawiające, że bardzo podobnie mówiła o pięknej Scarlett O’Hara. Nie dostrzegała jej urody, tylko nieznośny charakter i trzech mężów. Nawet umiłowanie ziemi uszło jej uwadze. W tym wypadku cel nie uświęcał środków i Scarlett znalazła się w gronie kobiet potępionych przez babkę, co nie zmienia faktu, że *Przeminęło z wiatrem* Fleminga zaliczała do pięknych filmów. Dopiero trzeci z ulubionych, *Casablanca* Curtiza, przywrócił jej wiarę w miłość i szlachetność kobiet.

Babka była zła miłości i lubiła filmy, które pokazywały normalne życie normalnych ludzi, byle nie było wyzute z uczuć. Błogosławiła telewizję za *Noce i dni* Antczaka. Nie opuściła żadnej

powtórki i za każdym razem płakała najprawdziwszymi łzami, kiedy Bogumił zdradził Barbarę. „Taki dobry człowiek, taki dobry, a i on nie wytrwał w przysiedze”, mówiła. Barbary nie potępiała, Barbara, utożsamiona na zawsze z Jadwigą Barańską, to była ona: Ryszarda Winiakowa. Po obejrzeniu *Hrabiny Cosel* długo nie mogła się otrząsnąć. „Jak to się ludziom charakter zmienia, jak to się zmienia. Czy to jej źle było z Bogumiłem?” – powtarzała często.

Łucja uśmiechnęła się do wspomnień. Kiedyś bardzo ją denerwowało, że babka przypisuje aktorów do jednej roli i nie lubi ich oglądać w innych. Teraz powoli zaczynała to rozumieć. Babka nie znała się na kreacjach ani reżyserii, uciekała od codzienności w świat filmów i chciała tam widzieć jedną Barbarę i jednego Bogumiła.

Nagły przyływ tkliwości, no, może nie tkliwości, tylko współczucia, mocno zastanowił Łucję. Pomyślała, że chyba coś w życiu przegapiła, że to Bogna miała rację, nie ona. Co by się stało, myślała, gdybym tak kiedyś podeszła do babki, objęła ją albo przytuliła? Powiedziałabym na przykład: „Babciu, dzisiaj w telewizji leci *Evita*, musimy koniecznie to zobaczyć”. Tym jednym słowem „musimy” postawiłabym znak równości między nią i sobą. A co ona na to? Czy burknęłaby po swojemu: „Wam to tylko fiu-bździu w głowie!”, odcinając się jednym słowem „wam” od reszty domowników? A może choć raz powiedziałyby: „Moja mała, kochana dziewczynko!” Trudno było wyobrazić sobie zachowania babki w obliczu wielkiej czułości. Uczucia trzymała na wodzy, nigdy nie powiedziała wprost: „Udałaś mi się, dziecko, oj, udałaś!” Musiała jednak kochać wnuczki po swojemu, bo cały majątek im zostawiła, nie oddała na schronisko dla zwierząt ani na żadną fundację. Dzięki pieniądzom babki Łucja mogła spokojnie skończyć studia, a jeszcze i teraz coś tam zostało na koncie. Za mało, żeby nakręcić film, za dużo, żeby przeznaczyć wszystko na stringi. Przypomniała sobie, że dawno już niczego nie kupowała i przyspieszyła kroku. Dochodziła do poczty. Ruch przy straganach na wprost był średni, za to hałas wielki. Od rana do wieczora między straganami panoszyła się niczym nieskrępowana lokalna twórczość muzyczna. „W Ciechocinku, w Ciechocinku, tam, gdzie park Zdrojowy...”, ryczał głośnik.

To też był Ciechocinek. Łucja nigdy nie zatrzymywała się przy straganach.

7

Bogna zdecydowała się wreszcie przemówić. Kruche były te jej wspomnienia, ulotne, jednak to i owo dało się z nich sklecić. Gadały dość długo, a opowiadanie dla „Tiramisu” czekało nietknięte. Łucja napisała je jednym tchem. Tuż przed drugą postawiła ostatnią kropkę. Wysłała tekst zadowolona, że nie zaważyła terminu, i przekonana, że takiego knota w życiu nie wysmażyła. Coś jej w duchu szeptało, że nieszczęsne opowiadanie o prawdziwym mężczyźnie wyjdzie jej bokiem w czasie poprawek.

Kinga zadzwoniła koło dziesiątej. Zaspana Łucja myślała tylko o tym, żeby jak najprędzej wrócić do łóżka. Z trudem tłumiała ziewanie.

– Poprawiamy? – spytała beznamiętnym głosem.

– Co niby? – krzyknęła Kinga. – Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że to twój najlepszy tekst. Przy następnym pomyśl, czy nie dałoby się wcisnąć trochę seksu. Nie jakiegoś cielesnego rozpasania, tylko delikatnego seksu, rozumiemy się?

Łucja jęknęła. Gdyby w holu, na wprost stolika z telefonem nie wisiało wielkie lustro w złoconych ramach, gdyby w tym lustrze nie odbijała się jej własna, rozczochrana głowa i wymięta koszula, pomyślałaby, że to sen. Wbiegła na górę w kilku susach, żeby w spokoju podelektować się swoim dziełem. Otworzyła laptop.

Paul nie ukrywał, że w Bostonie czeka na niego żona i syn. Wiedziałam o tym od samego początku, jednak miłość okazała się silniejsza. Przytuliłam się do niego i pozwoliłam, żeby objęły mnie silne, stalowe ramiona. Drżałam w jego objęciach i czekałam na ten najważniejszy moment, na to, co nieuchronne i co musi się stać. Połączyliśmy się w długim pocałunku. A kiedy omdlewałam z rozkoszy, wziął mnie za ramiona i lekko odsunął.

– Nataszo, kocham cię – wyszeptał. – Jednak musisz zrozumieć, że ta miłość nie ma przyszłości. Z nas dwojga tylko ty jesteś wolna, więc ja muszę myśleć za ciebie i za siebie.

Czytała i płakała najczystszyimi łzami śmiechu. Nie mogła wyjść z podziwu, że to ona wymyśliła stalowe ramiona, rozkoszne omdlewanie i najprawdziwszego faceta w typie czytelniczek „Tiramisu”. Pisała w przypiływie rozpaczy, chciała oddać w terminie cokolwiek, byle nie narazić się Kindze. I oto, całkiem nieoczekiwanie dla siebie, oddała dzieło genialne. Nie na tyle jednak genialne, by na przykład chciała je czytać razem ze Steve’em. Tak ją to ubawiło, że zapomniała o łóżku. Wskoczyła pod prysznic, umyła głowę i dopiero wtedy zaczęła się zastanawiać, co począć z tak pięknie zaczętym dniem. Wieczorem czekał ją dansing, więc przedpołudnie powinna wykorzystać twórczo.

Po wieczornej rozmowie z siostrą Łucja miała wreszcie obraz pierwszego spotkania Bogny i Daniela. Niby pamiętała, że spotkali się w klubie studenckim, ale dopiero teraz poznała parę istotnych szczegółów. Sama zabawa andrzejkowa to zaledwie kilka scen utrzymanych w zmiennym nastroju. Ona żywa jak srebro (znając Bognę, trudno przypuszczać, by było inaczej), on podpira filar i tylko wodzi za nią oczami. Przyszedł z inną, lecz posprzeczali się i więcej na tamtą nie spojrział. Wróżby: dziewczyna odlewa z wosku coś, co niczego nie przypomina. Rzuca pytanie: „Hej, chłopaki, który się przyzna, że to jego profil”. On odpowiada: „To wygląda raczej na moje hantle”. Wymieniają głębokie spojrzenia. Ona dalej biega po sali, on dalej podpira filar. Zaczyna grać muzyka. Ona podchodzi do niego: „Myślisz, że bez twojej pomocy ten słup runie?” – pyta. On najwyraźniej tak nie myśli, bo zaczynają skakać na środku sali, kończą gdzieś na peryferiach parkietu, wtuleni w siebie. Koniec, ściemnienie, zmiana nastroju. Pojawiają się razem w różnych miejscach: kino, sala wykładowa, Łazienki. Są roześmiani, szczęśliwi. Pierwsza wspólna noc w jej pokoju. Oświadczyły w przepełnionym autobusie. On pyta: „Jeżeli nas nie zgniotą, to zostaniesz moją żoną?”

Tak mniej więcej powinno to wyglądać na ekranie. Jednak szanujący się scenarzysta nie siada do pisania, jeżeli nie ma w głowie

całego filmu, od pierwszej do ostatniej sceny. Łucji brakowało jeszcze sporo materiału. Na przykład chciałyby dowiedzieć się więcej o wojnie młodych z rodzinami. Babka zaparła się, że jeśli Bogna wyjdzie za mąż przed skończeniem studiów, to ją wydziedziczy. Matka Daniela też była przeciwna, bo w Toruniu na jej syna czekała panienska. Podobno miła, podobno sympatyczna i z całą pewnością nudna jak niewydarzony film. Tak przynajmniej mówił Daniel, a Bogna powtarzała za nim. Ze ślubem poczekali do końca studiów i pobrali się po cichu, bez wiedzy rodzin. Ten ślub Łucja bardzo dobrze pamiętała, choć nie do końca. Szczęście pomieszało jej się z żalem, wypła nieco za dużo wina i padła.

W Ciechocinku dansingi kończą się o dwudziestej drugiej. O nocnych hulankach nie ma mowy, kuracjusze muszą się wyspać przed porannymi zabiegami. Steve chciał zamówić stolik w „Amazonce”, lecz Łucja uparła się przy „Bristolu”, starej, pocziwej budzie, bliskiej jak ulubiona kurtka. W czasach liceum, kiedy w mieście były dwa lokale na krzyż, wpadało się do tego najbliższego, położonego w dawnym Kursaal. Steve nie wiedział, co to był Kursaal. Wytłumaczyła mu, że tak niegdyś nazywała się kryta galeria spacerowa przy pijalni wód w parku Zdrojowym. Nie za jej czasów, rzecz jasna, tylko dużo wcześniej.

– Bywałeś tu jako licealistka?

– Jasne. Tu wypaliłam pierwszego w życiu papierosa. Tu byłam na pierwszej randce z takim jednym niezgułą, który potrafił tylko potakiwać i zaprzeczać. Z konieczności musiałam bawić go rozmową. Wiesz, jak trudno jest bawić rozmową kogoś, kto nie wnosi żadnego wkładu do dyskusji? Serpentyna, mówię ci. Ciesz się, że nie jestem małomówna.

– Właśnie za to cię lubię! Czego się napijesz?

– Życie to kalambur, a kalambur to nonsens o podwójnym znaczeniu. Wobec tego poproszę o podwójną whisky.

Najwidoczniej krakowska polonistka nie zdążyła zarazić go Teatrzykiem „Zielona Gęś”, a twórczość Gałczyńskiego znał jedynie wybiórczo. Spojrzał zdziwiony.

– Chcesz się upić?

– Jak mnie zaniesiesz do domu, to czemu nie. Blisko mieszkam, powinieneś dać radę.

– Nie jestem aż takim dżentelmenem, na jakiego wyglądam, ani takim siłaczem, za jakiego mnie bierzesz. Bez skrupułów zostawię cię pod stolikiem.

– Pleciesz. Ciechocinek wszystkim pomaga na kondycję. Nie czujesz w sobie nagłego przyływu energii, nie rozsadza cię chęć przenoszenia...

– Pijanych dziewczyn? Nie, nie rozsadza – przerwał jej ze śmiechem.

Tańczył gorzej niż przeciętnie i było to pierwsze rozczarowanie Łucji związane ze Steve'em. Nie lubiła kręcić się w kółko i podrygiwać, jakby prąd łechtął ją w pięty. Wśród niewielu kręcących się par dostrzegła Ewelinę i pomachała do niej. Nie bez trudu przekonała Steve'a, że dansingi są świetną okazją do zawierania nowych znajomości. Kątem oka zauważyła, że partner Eweliny nieźle sobie radził na parkiecie, i pomyślała, że dobry i zły tancerz przy jednym stoliku jakoś się uśrednią.

– Jeżeli tego chcesz, to oczywiście – powiedział Steve bez zapału.

– Myślałam tylko, że byłoby fajnie – skrzywiła się, czując znowu jego but na swojej nodze.

Pomysł wspólnej zabawy zakiełkował nie tylko w głowie Łucji. Ewelina jednoznacznie odczytała radosne znaki i zanim Steve z Patrykiem połapali się, co jest grane, cała czwórka siedziała przy jednym stoliku. Po kilku lampkach wina drętwa początkowo rozmowa nabrała życia. Nawet Steve udawał, że świetnie się bawi, chociaż wyraźnie zmarkotniał.

– Widziałaś Pipka? – spytała Ewelina z chichotem.

– A co to jest? – zdziwiła się Łucja.

– Co? Nieźle powiedziane. To najbardziej znany męski organ w całym kurorcie. Filip, Pip, inaczej Pipek.

Dyskretnie wskazany Pip obtańcowywał obfitą damę w wieku średnim. Łucja obejrzała go od stóp do głowy, ale nie wpadła w zachwyty. Faceci średniego wzrostu, o przeredzonej fryzurze i nadmiernej opaleniznie rodem z solarium nie byli w jej typie.

– Naprawdę go nie znasz? – dociekała Ewelina.

– Nie znam. Jeżeli to taka znakomitość, to może podejść, przedstawię się i poproszę go do tańca?

– Dostaniesz kosza. Wystarczy popatrzeć na partnerkę, żeby wiedzieć, że Pip jest tu służbowo. To personel Bogny, nie wiedziałaś?

– A! – zdążyła powiedzieć Łucja i poszła tańczyć z Patrykiem.

Najpierw wywijali dziarsko na środku parkietu, a potem wolno w takt starego tanga. Łucja lubiła tańczyć tango z chłopakami bliskimi sobie, do których mogłaby się przytulić. Żaden inny taniec nie nastrojał jej aż tak intymnie. Patryk niezłe prowadził, czuł muzykę, niestety nie nadawał się do przytulania.

– Nie pamiętasz mnie, prawda? – spytał.

Podniosła głowę i spojrzała uważnie. Doliczyła się czterech piegów na nosie i małego znamienia pod okiem. Ani piegi, ani znamię nic jej nie mówiły.

– Nie dziwi mnie to. Spotkaliśmy się na komisariacie. Byłaś bardzo zdenerwowana śmiercią szwagra i aresztowaniem siostry.

Raz na zawsze odechciało jej się przytulać do Patryka. Nie kojarzyła go, pamiętała za to rozmowy w komisariacie. Wyniosła z nich jak najgorsze wrażenia, czemu zamierzała dać wyraz w swoim filmie.

Z dansingu Łucja wracała tylko ze Steve'em. Szła uwieszona u jego ramienia i za nic nie mogła pojąć, dlaczego mówił o wyjeździe z Ciechocinka.

– Musisz? Dlaczego musisz? Nie chcesz zostać w „Villa Park”, to poszukamy ci jakiejś kwatery. Tu w każdym domu są pokoje do wynajęcia. Mogłabym porozmawiać z siostrą. Ona co prawda jeszcze nie wynajmuje, ale dla ciebie zrobi wyjątek.

Milczał.

Łucja spuściła głowę. Wolą patrzeć pod nogi, żeby nie wyczytał z jej miny, jak bardzo poczuła się dotknięta. Nie musiała widywać go codziennie, wystarczyło, że był obok, na sąsiedniej ulicy. Przywykła do jego obecności, do rozmów, a tu nagle on mówi: „Wyjeżdżam pojutrze” i wcale nie pyta Łucji o zdanie.

– Nie miałem pojęcia, że tak bardzo zależało ci na moim towarzystwie – powiedział z uśmiechem, który wyczuła mimo ciemności.

– Droczyś się ze mną, prawda? Jesteś zły o dzisiejszy wieczór, o Ewelinę i jej faceta. Nie zaprzeczaj, wiem, że o to chodzi. Ja ci to jakoś wynagrodzę. Chcesz, żebym siedziała ci na karku od rana do wieczora? Załatwione. Mogę nawet biegać z tobą na zabiegi.

– Nie chodzi o Ewelinę! Kochanie, zupełnie nie wiem, co ci odpowiedzieć.

– Z zabiegami? Jak się wstydzisz, mogę zasłaniać oczy.

– Nie z zabiegami, gaduło – roześmiał się – tylko z twoją prośbą. Zaskoczyłaś mnie...

– Łgarz! Wcale cię nie zaskoczyłam. Nie umiem nazwać tego, co do ciebie czuję, ale jedno wiem: jak wyjedziesz, popadnę w rozpacz i nie napiszę scenariusza. Kogo się będę radziła w trudnych chwilach, no, kogo? Pipka?

– Kochanie, my to nazywamy szantażem.

– A my, siłą argumentu. – Przyłgnęła mocniej do jego ramienia. – Obiecuj mi chociaż, że się zastanowisz nad tym, co mówiłam. Obiecujesz? – spytała cicho.

– Obiecuję – odpowiedział równie cicho.

Stali przy furtce. Na górze, w pokoju Bogny paliło się światło. Steve nie dał się zaprosić na herbatę, powiedział, że Amerykanie strzelają do nocnych, nieproszonych gości i nikt im tego nie ma za złe.

– Bez sensu to wszystko! – westchnęła płaczliwie Łucja.

– To, że życie nie ma sensu, wymaga, by ów sens mu nadawać i wypełniać światłem ciemności. Taka jest między innymi rola filmu. Wiesz, czyje to słowa?

– Nie, i mam to w nosie!

– Początkujący reżyser nie ma prawa mieć w nosie Stanleya Kubricka – powiedział z naganą i pocałował ją w czoło.

Wchodziła do domu ze zwieszoną głową, ale mimo żalu starała się zachowywać jak najciszej, żeby nie obudzić Bogny. Zsunęła z nóg szpilki i stanęła przed lustrem. Patrzyła na swoje odbicie, jakby chciała wyczytać odpowiedź na pytanie, co w niej takiego siedzi, co odstrasza mężczyzn. Dwu poprzednim nie dała odejść, wycofała się pierwsza. Wiadomo było przecież, że Daniel był stworzony dla Bogny, Oskar, z kolei, nie był stworzony dla Łucji. Steve też nie był

dla Łucji, miał swoją włoską żonę i amerykańskie życie, ale tu w kraju, w czasie długiego urlopu, oprócz niej nie miał nikogo. Tak to przynajmniej wyglądało, i tak mówił. Czemu więc z dnia na dzień próbował zwinąć manele i oddalić się w kierunku bliżej nieznanym, byle dalej od Łucji? Wykrzywiła się do swojego odbicia, a odbicie odpowiedziało jej tym samym.

– Jeszcze wywal jęzor. – Drgnęła gwałtownie na dźwięk głosu Bogny.

Siostra nie spała, nie czytała książki, nie oglądała telewizji, tylko stała na schodach i obserwowała Łucję. Na kusą piżamkę narzuciła rozciągnięty sweter, a i tak wyglądała ślicznie.

– Nic na to nie poradzę, że przepadam za swoim widokiem! – mruknęła ponuro Łucja.

Bogna zbiegła ze schodów. Najwyraźniej szykowała się do dłuższej rozmowy. Włączyła elektryczny czajnik, zatroszczyła się, czy Łucja nie jest głodna.

– Przecież wracam z restauracji.

– 1 co z tego? Jeżeli łykałaś tylko komplementy fanfarona, potrzebne będą ziółka.

– Puknij się, Bogna, w kokos! Nie znasz faceta, skąd możesz wiedzieć, jakie komplementy prawi!?

– Jesteś pewna, że nie znam?

Przechyliła głowę, patrzyła kpiąco w zwężone ze złości oczy Łucji. Nie przeciągała struny, zamieniła kpinę na chyły uśmiech.

– Moja mysionia słodka! – powiedziała pieszczotliwie. – Już dobrze, przestań się wściekać. Nie muszę go znać osobiście, żeby wiedzieć, ile jest wart. To typ wyliniałego salonowca. Podrywa na wątpliwe sukcesy, o których i tak nikt już nie pamięta, kocha żonę i swoją nową ojczyznę, nie przestaje być prawy do mdłości nawet wówczas, kiedy ściąga majtki z dziewczyny.

– Bogna, skąd wiesz o jego nowej ojczyźnie?

Oczy Łucji nie były już zwężone. Przypominały dwa wielkie kasztany.

– Nie mówię o nim, tylko o typie wyliniałego salonowca – odpowiedziała Bogna bez wahania. – Sama widzisz, że wszystko się zgadza. A co z jego ojczyzną?

– Nic, tak tylko spytałam.

Nie pogadały sobie tego wieczoru, choć Bogna zaparzyła herbatę i wyciągnęła z szafki galaretki w cukrze. Łucja czuła się zmęczona i była gotowa zasnąć na krześle. Nawet makijażu nie chciało jej się zmywać. Trochę odżyła dopiero pod prysznicem.

Ostatni dzień w Ciechocinku Steve postanowił spędzić z Łucją. Nie miał zresztą innego wyboru, to była jej decyzja. Nie zdążyła mu jeszcze pokazać wszystkiego, choćby tężni, i chciała nadrobić zaniebdania. Miał milczeć, wdychać ozon i słuchać.

– A gdzie jest czwarta? – spytał, kiedy już znudziło mu się milczenie.

– Czwarta tężnia? Nigdy nie było czwartej.

Kręcił głową z niedowierzaniem. Wystarczyło, że zamknął oczy i widział ją tak dokładnie, jak te trzy, które wciąż stały.

– Byłeś już kiedyś w Ciechocinku? – zdziwiła się Łucja.

Mruknął coś w rodzaju „mhm” i musiała go poszarpać za rękaw, żeby zechciał bliżej wytłumaczyć: był czy nie?

– W czasie studiów załapałem się na plener malarski w Raciążku. Pamiętam, że zrobiliśmy sobie wycieczkę pod tężnie. Całe wieki temu. Ciebie jeszcze nie było na świecie.

– Skąd ty możesz wiedzieć, kiedy pojawiłam się na świecie!? W metrykę mi zaglądałeś, czy co? – zdenerwowała się Łucja. – Ja się wysilam, pokazuje ci wszystko, co najpiękniejsze, a ty mówisz, jakby nigdy nic: byłem, widziałem, znam.

– To było tak dawno, że poza tężniami niczego nie pamiętam. Nawet Jasia i Małgosi pod parasolem. Łucjo!

Próbował ją objąć, ale strąciła jego rękę z ramion.

– Czuję się kopnięta w sam środek ambicji, wiesz? Jak mi postawisz kawę po irlandzku, może ci daruję, a może nie.

Darowała mu dużo wcześniej, zanim jeszcze doszli do kawiarni przy Tężniowej. Nie była ani obrażona, ani dotknięta, po prostu trochę się z nim droczyła, żeby zagłuszyć swoje lęki. Bardzo chciała spytać, czy jeszcze wróci, lecz zabrakło jej odwagi. Zdała sobie sprawę, że siedzi naprzeciwko obcego mężczyzny, nad którym nie ma najmniejszej władzy. On i tak zrobi, co będzie uważał, bo w jego

życiu taka myśla jak Łucja po prostu się nie liczy. Wstyd jej było, że poprzedniego wieczoru zachowała się trochę namolnie. Nie powinna go prosić, proponować kwatery, bo gotów sobie pomyśleć, że się zakochała albo chce go naciągnąć na pieniądze.

– Czy coś się stało, że tak nagle zamilkłaś? – spytał.

– Zatkanam się ozonem.

– Bezpowrotnie?

– Chciałbyś! – uśmiechnęła się niezbyt wesoło. – Trochę jestem zmęczona, bo gadałyśmy z Bogną prawie do rana.

Może jej się wydawało, a może rzeczywiście zeszywniał na słowo „Bogna”. W każdym razie spojrział z powagą, jakby chciał wysondować, o czym mogła tak długo pytlować z siostrą. Rzucił jakąś banalną uwagę o szkodliwości późnego chodzenia spać i powoli pił kawę.

– Ciebie też ozon zatkał?

Nie zdążył odpowiedzieć. W pustej kawiarni nagle zrobiło się głośno, i to za sprawą zaledwie dwu mężczyzn. Oni nawet nie weszli, oni wkroczyli jak do siebie, ze śmiechem i kurwą na ustach. Nie fatygowali kelnerki, wykrzyczeli swoje zamówienie na całą salę. Prosili raptem o dwie kawy, do tego małe, a darli się co najmniej za całą butelkę jasia wędrowniczka.

– Tego chudego Porfiriona widzieliśmy wczoraj w „Bristolu” – powiedziała Łucja. – Pipek, bodaj, pamiętasz?

Była pewna, że nie pamiętał. Uważała, że mężczyźni mają pamięć wybiórczą, ograniczoną do dziewczyn, które wpadną im w oko. Rzadko który zwróci uwagę na faceta, chyba że się o niego potknie. Steve musiał być nietypowy. Pamiętał Pipa, mało tego, pamiętał również, że Ewelina nazwała go personelem Bogny.

– Musi być fizjoterapeutą – wyjaśniła Łucja. – Bogna jest... nie wiem dokładnie, jak to nazwać, w każdym razie jest szefową zespołu. To chyba najlepsze określenie. Swoją drogą nie chciałabym, żeby taki Pipek mnie rehabilitował.

– Ten *toy boy* nie pracuje w żadnym sanatorium – powiedział Steve. – On pracuje w prywatnym gabinecie odnowy biologicznej.

– To może kiedyś pracował z Bogną.

– Teraz pracuje. Gabinet należy do Bogny.

– Pleciesz, Steve. Wiem, co robi moja siostra, byłam u niej w sanatorium po klucze.

– Nigdy nie słyszałaś, że Bogna ma w mieście prywatny gabinet? – spytał zaskoczony.

– Teraz słyszę. Ale tak sobie myślę, że ona chyba lepiej wie, co ma. Gdyby to była prawda, na pewno by mi powiedziała.

– Z jakichś powodów nie zrobiła tego. Czy to cię nie zastanawia?

– Nie i ciebie też nie powinno. Mówiłeś kiedyś, że jeżeli nie chcę o czymś rozmawiać, mam ci to powiedzieć w oczy. Mówię więc: zjedźmy z mojej siostry.

– Okay! – powiedział i dał znak kelnerce, że chce płacić.

Łucja przez chwilę obserwowała hałaśliwych facetów.

Kto jak kto, myślała, ale Pip mógłby nam wyjaśnić, co jest grane. Choć nie wygląda na intelektualistę, musi wiedzieć przynajmniej to, gdzie pracuje i z kim. Przez moment miała ochotę podejść i spytać, ale zabrakło jej odwagi i ochoty. Zwłaszcza ochoty, bo nie znosiła krzykliwych, zadowolonych z siebie typów. Zerknęła na Steve'a. Bawił się kolorową słomką, wyglądał na zmartwionego i nie patrzył na Łucję. On posuwa się za daleko, stanowczo za daleko, pomyślała ze złością. Mówi takim tonem, jakby co najmniej odkrył spisek. Skąd on to wszystko wie? Już chciała spytać, skąd wie, ale Pip i ten drugi, nazywany Kornelem, dali właśnie upust swojej wielkiej radości. Ich ryk płoszył myśli. Nie dało się dłużej siedzieć ani rozmawiać.

Wyszli.

Łucja nie chwyciła Steve'a pod ramię. Szła obok. Świeże, ciechocińskie powietrze powoli wyparło z niej złość.

Spacerowali po mieście do wieczora, z przerwą na obiad i kolację. Nie rozmawiali więcej o Bognie ani o gabinecie. Na pożegnanie Steve objął Łucję i obiecał, że wróci. A przecież o to chodziło, o nic więcej. Stali przed furką, tak jak poprzedniego wieczoru. W całym domu tylko okno Bogny było oświetlone i osłonięte roletami. Zanim Łucja przeszła przez furkę, wspięła się na palce i pocałowała Steve'a. Mierzyła w usta, trafiła w policzek. Dla równowagi pogładziła go po drugim. Gwałtownie przyciągnął ją do siebie. To był silny uścisk stalowych ramion z jej opowiadania. Gdyby zaczął mówić o rodzinie w Stanach, pewnie nie wytrzymałaby i parsknęła śmiechem.

– Uważaj na siebie, kochanie – powiedział. – Miej oczy otwarte...
A najlepiej wyjedź jutro ze mną.

– Gdzie niby? – roześmiała się. – Nie, Steve, poczekam tutaj.

Na schodach odwróciła się i pomachała ręką. Stał nieporuszony wciąż w tym samym miejscu.

Bogna czekała w holu. Zeszła z góry specjalnie po to, żeby podokuczać Łucji. Wyglądało na to, że obejrzała całe pożegnanie od początku do końca i bawiła się nie gorzej niż na *Seksmisji* Machulskiego.

– Zapamiętaj sobie – tłumaczyła ze śmiechem – że oświetlone okna nigdy nie są groźne. Podgląda się z tych najciemniejszych. Gdybyś słuchała nauk babci, nie miałabyś teraz takiej głupiej miny.

– Że też chciało ci się podglądać!

– Wcale mi się nie chciało, podglądałam z rodzinnego obowiązku. Czuję się za ciebie odpowiedzialna. Wybacz mi szczerść: to nie było najmądrzejsze. Cała ulica już się pewnie zastanawia, kogo sobie panna Wielska przygruchała.

– Mam to gdzieś!

– Ale ja nie mam. Jak długo jeszcze twój fanfaron będzie leczył swoje reumatyzmy?

– Jutro wyjeżdża.

– I chwała Bogu! Rozwiążemy koło emerytów i pójdziemy spać. Masz ochotę na drinka?

– Na nic nie mam ochoty.

– Biedna mysiunia! Usiądź, rozmasuję ci ramiona i kark. Zaufaj mi, to świetnie robi nawet na chandrę.

– Nie na moją.

– To idź spać. Jutro rano Pip wpadnie naprawić lodówkę. Wpuść go, on się na tym zna.

Łucja była już w połowie schodów. Na dźwięk imienia Pip zbystrzała.

– Kto taki?

– Filip, mój pracownik. Czemu się tak gapisz, jakbyś zmore zobaczyła? Mam gabinet, to muszę mieć pracowników.

– Nigdy nie mówiłaś o gabinecie?

– Słucham? – zdziwiła się Bogna. – Ja nie mówiłam, czy do ciebie nie dotarło? A gdzie niby miał pracować Daniel, jak już obskoczył wszystkie sanatoria i z każdego wyleciał? Wrócił z odwyku i musiałam otworzyć gabinet, żeby miał jakieś zajęcie. I nie mów mi, że tego nie wiedziałaś!

Łucja w dwu susach znalazła się na dole. Nagle bardzo zachciało jej się drinka i chwili rozmowy.

– Od kiedy masz ten gabinet? – spytała, grzechocząc kostkami lodu w szklance.

– Od półtora roku.

– Jeżeli tak mówisz, to pewnie masz rację – przyznała Łucja.

– Ja mam rację, ty masz rację, a lodówka ledwie zipie – roześmiała się Bogna. – Przypilnuj jutro Pipa, tylko nie pozwól się oczarować.

Łucja zasypiała z niemiłym przeświadczeniem, że skleroza poczyniła znaczne spustoszenie w jej głowie. Ostatecznie mogła nie pamiętać Steve’ a z balu „Tiramisu”, ale żeby zapomnieć o prywatnym gabinecie siostry, to już było dno.

W nocy męczyły ją straszne koszmary. Pijany Daniel chciał ją zepchnąć ze schodów i pewnie by zepchnął, gdyby nie babka. Na jej widok Daniel zaczął płakać. Nie był już groźny, tylko żaloszny. Babka ostentacyjnie odwróciła się do niego plecami. W rękach trzymała laptop. „Chcesz, babciu, żebym nakręciła ten film?” – spytała Łucja. A babcia pokiwała głową, że chce. To już nie była babka, to była babcia.

Steve wyjechał rano, a po południu miała przyjechać Baśka. Zadzwoiła, że jest wolna i czeka na propozycje. Łucja natychmiast złożyła swoją ofertę. Pokój na parterze się wysprząta, mówiła, za dodatkową opłatą oblecze się świeżą pościel, łazienkę się wydezynfekuje, a co do posiłków, to potrzebne są posiłki, żeby cokolwiek upichcić. Baśce te warunki odpowiadały.

Co Łucja plotła do słuchawki, to plotła, jednak zaraz po telefonie wzięła się do porządków. Zmieniła pościel, starła kurze i przeciągnęła podłogę na mokro. Pomyślała nawet o kwiatkach. W ogrodzie babci uchowała się cała kępa białych margerytek, które dzielnie walczyły z chwastami o dostęp do światła. Kiedy wracała z bukietem, przed drzwiami sterczał już Pip.

– Ojej, to dla mnie? Taki piękny bukiet, doprawdy... nie trzeba było...

Wygłupiał się całkiem sympatycznie, udawał zawstydzenie i wcale nie przypominał rozwrzeszczanego Porfiriona z kawiarni. Łucja, chcąc nie chcąc, musiała się roześmiać, bo ją rozbawił.

– Lodówka? – spytała.

– Ale mnie zmroziłaś! – wzdrygnął się. – Ja tu o kwiatkach, a ty mi z lodówką wyskakujesz.

– O moich kwiatkach, twoich jakoś nie widzę.

Zaprowadziła go do kuchni, zostawiła z lodówką, a sama wróciła do sprzątanania. Pip najwyraźniej złąkniony był towarzystwa i źle znosił samotność. Co chwila wpadał do pokoju po obcęgi albo po szmatę. Nie był fachowcem wezwanym do usługi, więc nie mogła odesłać go do diabła. Przytrzymała latarkę, podała śrubokręt, i tak wspólnymi siłami naprawili lodówkę na tyle, że przestała charczeć i kaszlać. Pip oczywiście cały sukces przypisał sobie i w nagrodę poprosił o filiżankę kawy.

– Ciekawe, co byś zrobił bez mojej pomocy? – spytała.

– To samo, co ty bez mojej. Nie wzięłaś się sama do naprawy, tylko czekałaś na mnie.

Logika wyводу powaliła Łucję na kolana. Zrobiła dwie filiżanki kawy, żeby i siebie nagrodzić. Pip z całą pewnością nie był mrukiem, którego musiałaby zabawiać rozmową. Mówił o wszystkim jednocześnie, śmiał się ze swoich powiedzonek, pytał i nie czekał na odpowiedź. Długo musiała się czaić, żeby wychwycić dobry moment na pytanie.

– Pracujesz u Bogny, prawda? Co właściwie tam robisz? Masujesz, klepiesz...

– Wszystko. Jak trzeba, myję też okna, bo, nie obraź się, Bogna jest straszną sknerą. Szkoda jej kasy na sprzątaczkę, to w nas orze. Zaczynaliśmy w czterech, zostało nas dwóch. Nie ma lekko.

– Oprócz Daniela był jeszcze ktoś?

– Dziecinko, umówmy się, że Daniela też nie było. Ja tam w domu wdowy nie chcę źle mówić o świętej pamięci mężu, więc lepiej nic nie powiem.

– Nawet jeśli cię poproszę i obiecuję dyskrecję?

- Jak się poznamy bliżej – zawiesił głos i łypnął uwodzicielsko – to może, może.
- Nie lubiłeś go?
- Spytaj raczej, kto go lubił? Może tylko te lolitki, które spraszał na zabiegi.
- Nieletnie smarkule?
- Lolitki są nieletnie? O, nie! Te cizie nie podlegały już pod prokuratora. I po co ja ci to gadam? Jak się Bogna dowie, to wiesz, co mi urwie?
- Może ci urwie, ale nie przeze mnie – zapewniła Łucja.

Baśka była najlepszym dowodem na potwierdzenie tezy, że medycyna nie wszystkim służy. Śmiała się od ucha do ucha, ale gdyby nie skóra wdzięcznie obleczona na kościach, można by ją pomylić z Wiktusem, co też Łucja natychmiast obwieściła ludziom na peronie.

- Witaj, chudzinko, w grajdołku, gdzie nawet pociągi zawracają! – powiedziała, ściskając kości Baśki.
- Naprawdę zawracają?
- Naprawdę. A po mieście jeżdżą same zaczarowane dorożki. Wsiadaj. Przekonasz się, że ten wąsaty dryndziarz też jest zaczarowany.

Do domu Bogny wcale nie było daleko. W Ciechocinku nigdzie nie jest daleko, zwłaszcza dla młodych nóg. Dorożkami jeździli wyłącznie kuracjusze, i to w celach wycieczkowych. Jedni obwozili dzieci, żeby im pokazać, inni obwozili damy, żeby się pokazać, a Łucja chciała zaoszczędzić przyjaciółce wysiłku. Z wysokości dorożki Baśka ciekawie rozglądała się po mieście, Łucja zaś po ludziach, zwłaszcza po nastolatkach. Próbowała wyłuskać choćby jedną znajomą twarz z dawnych lat. Zaczęły się wakacje, czas powrotu do domów, więc szukała w tłumie jakiejś Anki, jakiejś Edyty i dopiero przy „Grzybie” dotarło do niej, że szuka nie w tej grupie wiekowej. Rówieśnicy Łucji mogli teraz wyglądać tak jak ona, jak Ewelina albo Pip. Ten ostatni akurat stał przy fontannie. Poznała go po greckiej opaleniznie i charakterystycznej ruchliwości rąk. Pip należał do facetów, którzy swoich rozmówców traktują jak

obcokrajowców i próbują im pomóc w zrozumieniu najprostszych kwestii. Wymachiwał więc rękami przed nosem barczystego faceta, który o dziwo nie był Łucji obcy. Te same plecy zwieńczone ogoloną łepetyną widziała już raz w towarzystwie Bogny, też zresztą pod „Grzybem”. Mogłoby się nawet wydawać, że właściciel pleców pilnuje ściekającej solanki. Jego rozmowa z Pipem wcale nie wyglądała na przyjacielską. Przyjaciele raczej nie chwytają się za klapy i nie wygrażają sobie pięścią.

– Ależ tu pięknie! – westchnęła Baśka.

– Zaraz się zaczną tłuc! – krzyknęła Łucja z głową odwróconą do tyłu.

– Kto taki?

– Element – mruknęła Łucja.

– To wy tu macie element?

– Napływowy – przytaknęła.

Łucja zdecydowała, że pierwsze popołudnie spędzą w parku. Baśkę co prawda ciągnęło miasto, ale przede wszystkim chciała w spokoju porozmawiać. Nie widziały się ponad miesiąc i sporo było do obgadania. Choćby to, że musiała wziąć rozwód z Wiktusem, bo Gołąbkowa zagroziła eksmisją, i to, że Oskar prawdopodobnie skończył już film.

– Skończył? – zdumiała się Łucja. – Tak szybko?

Wiadomości Baśki pochodziły od Marcelego i były rzetelne jak sam Marceli. Podobno Oskar zaczął głośno mówić o filmie z dwumiesięcznym poślizgiem, kiedy do nakręcenia zostało zaledwie kilka scen. Łucja patrzyła z niedowierzaniem, ale wszystko było możliwe, nawet to, że Oskar chciał ją bezinteresownie skąpać w Świdrze. Uśmiechnęła się do wspomnień. Miała przynajmniej tę satysfakcję, że nie dała się zwariować.

– Ciekawe, kiedy Oskarowa baba-ryba wypłynie na ekrany – zastanowiła się głośno.

– Chyba nigdy. Nie marszcz nosa, bo zmarchy ci wyłażą. Ja tylko powtarzam za Marcelim: to jest film telewizyjny.

Łucja zaczęła się śmiać tak szczerze, aż chwyciła ją czkawka. Nie chodziło o to, czy film był kinowy, czy telewizyjny. Dla telewizji kręcili najlepsi reżyserzy, choćby Wajda *Brzezinę*, Zanussi *Za ścianą*.

Łucja nie wahałaby się ani sekundy, gdyby mogła pracować dla telewizji. Ale Oskar, opowiadając o *Pływaczce*, zachowywał się tak, jakby co najmniej wytwórnia Paramount Pictures ożyła i ubłagała go o podpisanie kontraktu na superprodukcję.

– A co z twoim scenariuszem? – spytała Baśka.

Łucja przestała się śmiać, czekała tylko żałośnie od czasu do czasu.

– Guido Anselmi nakręcił osiem filmów, zanim dopadła go niemoc twórcza – wyjaśniła. – Ja nie nakręciłam jeszcze ani jednego, a już mam czkawkę i szarpią mnie moi przyszli bohaterowie. Dzisiaj w nocy na przykład śnił mi się Daniel. Ale nie to jest najgorsze.

– Kto to jest Guido Anselmi?

– Bohater *Osiem i pół*, drugie ja Felliniego.

– To znaczy, że od niemocy twórczej dzieli cię jeszcze osiem filmów z ogonkiem, jeżeli dobrze chwytam? Ale ja pytałam o scenariusz tego pierwszego.

Łucja nie mogła powiedzieć, że nie napisała jeszcze nic, i nie mogła powiedzieć, że napisała cokolwiek poza luźnym konspektem. To było stanowczo za mało, żeby zadowolić ambitną Baśkę.

Trzy dni minęły, nie wiadomo kiedy, na bieganiu po mieście, po knajpkach i pytlowaniu bez opamiętania. Czwartego dnia Baśka wiedziała już wszystko o Ciechocinku, Stevie, założeniach scenariusza, a częściowo też o wątpliwościach Łucji.

– Powoli zaczynam oswajać się z myślą, że tu, w Ciechocinku, nie wszystko było dokładnie tak, jak ja to widziałam w Warszawie – tłumaczyła. – Staram się coś z tego zrozumieć i wciąż napotykam schody. Oczywiście umiem sobie wyjaśnić, dlaczego Kornikowa ma inne zdanie o małżeństwie Bogny niż Ewelina, ale są sytuacje, przy których moje komórki wysiadają. Jaki cel ma Bogna, wmawiając mi, że musiałam słyszeć o jej gabinecie. Mało tego, ona twierdzi, że sama mi o tym mówiła? Powiedz: mogłam zapomnieć o czymś tak ważnym?

– Mogłaś, czemu nie. Pamiętasz, na którym roku teraz jestem?

– Co to ma do rzeczy? – zdenerwowała się Łucja. – Mnie chodzi...

– Na którym roku teraz jestem? – upierała się Baśka.

– Na trzecim... przepraszam, na czwartym... nie...

– A widzisz? Zawsze mnie odmładzasz albo postarzasz – powiedziała ze śmiechem. – Byłam na trzecim, jestem na czwartym i nie miałam żadnego celu, żeby ci o tym nie mówić.

– Dajesz mi do zrozumienia, że nie umiem słuchać?

– Umiesz słuchać, tylko natychmiast wywalasz z pamięci wszystko, co ciebie nie dotyczy. Gabinet Bogny raczej cię nie interesował.

Łucja ugryzła się w język i policzyła do piętnastu, bo do dziesięciu mogłoby nie wystarczyć. Nie zgadzała się z przyjaciółką, ale też nie chciała wywoływać sprzeczki. Gadkę o swoim paskudnym charakterze odłożyła na inny dzień.

– Basieńko, popracuj trochę intelektualnie – poprosiła. Twoim zdaniem, gdyby Bogna miała jakiś interes, żeby nie mówić mi o gabinecie, to jaki byłby to interes?

– Na pewno wielki. Myślę też, że ważny.

– Nie kpij. Mam przeczucie, że coś tu nie gra. Steve chciał mnie chyba ostrzec, a ja odesłałam go do diabła. Może Bognie chodziło o pieniądze, bała się, że zacznę wyciągać rękę po dochody z gabinetu?

– Często wyciągałaś rękę po jej pieniądze?

– Nigdy.

– No, to masz odpowiedź. Jeszcze trochę takiej gimnastyki umysłowej i obie dostaniemy kręćka – powiedziała Baśka i zaczęła skakać żabką.

Wychodziły właśnie z parku Sosnowego na ulicę Leśną, całkiem pustą o tej porze. Jak na studentkę czwartego roku medycyny Baśka wyglądała wyjątkowo smarkato i mogła sobie skakać do woli. Nawet gdyby zagrała z dziewczynkami w gumę, nikt by się nie zdziwił, pomyślała Łucja.

Bogna polubiła Baśkę od pierwszego „Cześć!”. Nie narzucała się ze swoim towarzystwem, bo w ciągu dnia miała za dużo spraw na głowie, żeby zabawiać siostrę i jej gościa, za to wieczorami ściągала dziewczyny do saloniku na babskie czary. Czarów w tych spotkaniach było niewiele, za to sporo śmiechu i wina. Bogna nie piła dużo,

jeden, dwa kieliszki i koniec. Mówiła, że walcząc z alkoholizmem Daniela, straciła serce nawet do burgunda.

– Dlaczego nawet? – spytała Łucja.

– Nie mogłam mieć w domu grama alkoholu, nie rozumiesz tego?

– wzruszyła ramionami Bogna.

– Powiedziałaś – Łucja lekko rozwlekała słowa – że straciłaś serce nawet do burgunda, czyli było jeszcze coś lub był ktoś, do czego lub kogo też straciłaś serce. Czy jasno się wyrażam?

– Po pięciu lampkach jasność umysłu gaśnie – powiedziała Bogna.

– Miałam na myśli inne trunki, whisky, koniak, dobrą wódkę.

– Do mnie też stracisz serce?

– Najpierw cierpliwość. Jak się urzniesz, to ci wtłukę.

– To ja sobie idę... ale tylko do łazienki – zachichotała Łucja. – Nieoceniony poeta mówił: „Każdy przyzna, że sikanie to intelektualna płycizna”. A co mówiła przeceniona Gołąbkowa? „Czasem jednak trzeba się oddalić, nieprawdaż?”

Szła prosto, nieco za prosto, żeby można ją uznać za trzeźwą. Bogna dołała wina Baśce i schowała butelkę do barku.

– Czy ona poważnie mówi o tym filmie? – spytała.

– Poważnie – przytaknęła Baśka.

– Szanuję jej prawo do rodzinnych wspomnień, tyle tylko że ona chce sprzedawać moje wspomnienia po swojemu. Raz już namącała mi w życiu, teraz próbuje znowu. Nie umiem się przed nią bronić... Przed innymi tak, przed nią nie. Myślisz, że można jej wybić z głowy ten pomysł?

Baśka rozłożyła ręce. Obie dobrze wiedziały, że prościej byłoby zmusić jabłonkę do rodzenia orzechów niż wybić Łucji z głowy pomysł, do którego się zapaliła.

8

Jedyna ciechocińska dyskoteka na tyłach dworca zginęła śmiercią naturalną, o czym świadczyły okna zabite deskami. Inne lokale zapraszały na popołudniowe fajfy i wieczorowe dansingi, ale tam z kolei nie wypadało pokazywać się bez męskiego towarzystwa, tak przynajmniej głosiła niepisana zasada, którą notorycznie lekcewały jedynie kuracjuszki. Dla nich każda potańcówka była szansą na spełnienie marzeń o wielkiej, choć krótkiej miłości. Niektóre, zwłaszcza te zdrowe, wyłącznie po to przyjeżdżały, traktując kąpiele solankowe jako zgrabny pretekst do wyrwania się z domu. Co innego mieszkanki Ciechocinka. Te, zanim poszły na dansing, najpierw szukały mężczyzny. Mogły go później, już na sali, zamienić na innego, lecz przy stoliku nie siedziały same.

Baškę aż skręcało z ochoty, żeby sobie potańczyć. W czasie roku akademickiego nie ulegała fanaberiom, ale przecież były wakacje, był kurort, tylko, cholera, facetów brakowało, jak zgrabnie ujęła to Łucja.

– Bogna, a Pip i ten drugi, Kordian bodaj, nie mogliby pójść z nami?

– O, matko! – krzyknęła Bogna. – Mysieńko, Pip i Kornel są podwójnie zajęci, ich zostaw w spokoju!

– Mają po dwie żony, czy co?

– Mają więcej niż dwie żony, mają całe mnóstwo żon.

Łucja nie upierała się przy Pipie. Widziała go raptem cztery razy, i tylko raz, przy naprawie lodówki, zrobił na niej nieco lepsze wrażenie. Ewelina mówiła o nim z taką pogardą, że nie było wątpliwości: biedny Pip na pewno nie należał do arystokracji ciechocińskiej. Bezpieczniej było nie pokazywać się publicznie w jego towarzystwie, żeby nie narobić brudu Bognie. W końcu Łucja

zadzwoiła do Eweliny. Zrobiła to tylko i wyłącznie przez wzgląd na Baškę. Dla przyjaciółki gotowa była znosić przez cały wieczór chłopaka Eweliny, czyli faceta, który aresztował jej siostrę.

Ewelina, chociaż zastrzegła, że nie prowadzi kramu z facetami do wynajęcia, potraktowała prosbę Łucji jak misję, i uwinęła się z nią w ciągu godziny. Ochotnik miał na imię Mikołaj, był kolegą Patryka, więc najprawdopodobniej drugim policjantem. Łucja gładko przełknęła tę wiadomość.

– Zastrzegam – dodała Ewelina swoim zasadniczym tonem – on jest słomianym wdowcem i do podrywów się nie nadaje.

– Wiesz co – zgorszyła się Łucja – nam by się nawet nie chciało podrywać wypożyczonego faceta! Tańczyć umie?

– Lepiej niż Steve – zachichotała Ewelina.

– To Steve w ogóle tańczył? – zdziwiła się Łucja.

Rano Łucja wysłała tekst dla „Tiramisu”. Tak się przejęła gratulacjami Kingi, że następne opowiadania utrzymywała w tonie „stalowych ramion obejmujących drżącą kibić dziewczęcia”, a nawet próbowała wrzucić nieco seksu. Niestety, gratulacje już się nie powtórzyły, choć Kinga zadzwoniła koło południa.

– Czy ty kiedykolwiek spałaś z facetem? – spytała.

Bezpośredniość naczelnej nieraz już wprowadzała Łucję w zakłopotanie, lecz nigdy jeszcze nie przyprawiła o rumieńce.

– Nie rozumiem – mruknęła.

– Żadna laska, która zna męską anatomię, nie napisałaby takich bzdetów. Jeżeli facet jest podniecony, to...

Łucja nie dała jej skończyć. Na życzenie Kingi mogła z paskudy zrobić eleganckiego faceta, mogła nieuka awansować na intelektualistę, śmierzdiela wyperfumować, jednak w obliczu igraszek intymnych jej skromne umiejętności literackie kurczyły się zastraszająco. Co innego przeżywać miłość, a co innego pisać o niej takim językiem, żeby czytelniczki „Tiramisu” nie musiały się niczego domyślać.

– Uprzedzałam, że nie umiem pisać o seksie i znam niewielu autorów, którym to się udało. Z obcych Boccaccio pierwszy, z naszych może Jan Sobieski, pod warunkiem, że się nie zna

francuskiego. Co do innych musiałabym się zastanowić. Może jeszcze Boy-Żeleński, bo już Potocki, Morsztyn i Fredro, jak na mój gust, za bardzo świntuszyli. Wiem, o czym mówię, bo zaliczyłam cztery lata polonistyki.

– Ja cię nie proszę o wykład z literatury – zdenerwowała się Kinga
– tylko o ładne scenki łózkowe, które zadowolą nasze wymagające czytelniczki.

Łucja odwiesiła słuchawkę i zaczęła krążyć po holu. Miotła się od schodów do drzwi wściekła na Kingę jak rzadko kiedy.

– Ładne! – mruzczała ze złością. Jakie to kryterium estetyczne: ładne? Ładne scenki łózkowe!? Idiotka! Dlaczego, do diabła, to ja mam zadowalać czytelniczki „Tiramisu”? – krzyczała coraz głośniej.
– Czy one nie mają swoich chłopów?

Z łazienki wyjrzała Baśka.

– Nici z dansingu? – spytała. – Mówiłaś, że nie ma chłopów.

– Basieńko! – Łucja doskoczyła do przyjaciółki, nie bacząc, że tamta wyszła spod prysznic i świeci golizną. – Basieńko, lubisz patrzeć na seks?

– Odbiło ci? – Baśka z niepokojem poprawiła opadający ręcznik. – Chcesz mi coś zademonstrować?

– W filmie na przykład...

– A, w filmie! – ucieszyła się Baśka. – W filmie wolę to, co jest najpierw, zanim zaczniesz się to, co potem. W literaturze zresztą też. Pozwolisz mi się ubrać?

Łucja skinęła głową, ale jednocześnie przytrzymała drzwi łazienki. Baśka, chcąc nie chcąc, ubierała się na jej oczach i słuchała o seksualnych rozterkach. Łucja, oparta o futrynę, wciąż przeżywała rozmowę z Kingą.

– Trzeba mieć porąbane we łbie – mówiła – żeby do opowiadania o wesołym życiu starszaków w średnim wieku ładować seks. Nawet jeżeli się kochają, to jak ja mam o tym pisać? Moja wyobraźnia tak daleko nie sięga. To wszystko przez ten mały pęd do bycia *cool*.

– Owczy.

– Wsio ryba. Ona mi mówi, z francuska po angielsku, poliglotka zasrana, że jestem *demode*, czyli nie jestem *cool*, bo mam zahamowania erotyczne. Podobno z badań sondażowych wynika, że

wszystkie czytelniczki „Tiramisu” szukają w opowiadaniach ładnego seksu. U nich nawet nie ma większości, u nich zawsze są wszystkie. Co za zgodność niebywała! Żeby choć jedna powiedziała tak jak ty. W końcu też czytasz „Tiramisu”.

– Tylko twoje opowiadania, i to po przyjaźni. A teraz, sio mi z łazienki, bo chcę zostać sama.

Łucja jeszcze długo nie mogła dojść do siebie po rozmowie z Kingą. Najbardziej ugryzło ją to, że została uznana za *demode*. Dopiero spacer po mieście trochę ją otrzeźwił. W sklepie z bielizną natrafiła na prześliczny biustonosz koloru czerwonego wina. Pomyślała, że to już będzie dziewiętnasty albo nawet dwudziesty komplet z gatunku luksusowych, lecz pierwszy w tym kolorze. Zapłaciła, zanim zdążyła się rozmyślić.

Dłuższy pobyt w rodzinnym mieście sprawił, że Łucja na wiele spraw spojrzała inaczej. Bolała nad tym, że rozpadła się dawna paczka ciechocińskich przyjaciół. W czasach szkolnych nie mogła przejść deptakiem, żeby choć kilka razy nie krzyknąć: „cześć”. Teraz przebiegała z Bašką całe miasto i nawet jedna znajoma gęba nie pokazała się na horyzoncie. Kiedy jednak weszła do „Bristolu” i zobaczyła głowę Pipa pochyloną w eleganckim ukłonie, jakoś nie poczuła radości.

– Widzę, że nie marnujesz czasu – zauważyła Ewelina.

– Czas to pieniądz – przypomniała jej Łucja i przerzuciła zainteresowanie na Mikołaja, czyli tancerza wypożyczonego na ten jeden wieczór.

Uśmiechał się życzliwie, nie robił łaski, że przyszedł, a to już było coś. Poza tym zapewniał, że lubi kino. Szkoda, że nie medycynę, pomyślała Łucja i spojrzała czule na Baškę. Ledwie orkiestra wzięła się do roboty, wypchnęła przyjaciółkę do tańca, nie zostawiając Mikołajowi wyboru. Chciała sobie obejrzeć salę okiem reżysera. Po przekątnej siedział Pip z kobitką tak chudą, że Baška przy niej wyglądała na atletkę, i tak wiekową, że można ją było wziąć za mamusię Pipa. Nie tańczyli, dawali jakieś znaki parze na parkiecie. A że par było jeszcze niewiele, więc Łucja bez trudu wypatrzyła drugiego krzykacza z kawiarni. Walcował z poświęceniem, bo

partnerka trafiła mu się wyjątkowo nieruchawa, z tych, co to najchętniej przebierają nogami, siedząc na krześle. Biedny *toy boy*, pomyślała bez współczucia. Nigdy nie lubiła facetów obskakujących bogate kuracjuszki, lecz jej niechęć była niczym w porównaniu z awersją Eweliny. Przybiegła do stolika zasapana po ostatnich taktach polki i natychmiast zaczęła nadawać. A to, że baby się nie szanują, a to, że ona by tak nie mogła, bo oprócz kobiecego wstydu trzeba też mieć godność zawodową. Patrzyła przy tym na stolik Pipa, więc nietrudno było się domyślić, że pije do tej chudej i do tej nieruchawej. Łucja zdziwiła się nawet, że kobitki, które wyglądały na typowe kuracjuszki, są fizjoterapeutkami. Gdyby było inaczej, Ewelina nie plotłaby o godności zawodowej.

– Nie mówię o tych żalonych staruchach – obruszyła się Ewelina.

– Przyjechały tu, żeby nadgonić stracony czas i jeżeli nie chcą nimi pogardzać, to mogę im tylko współczuć. Mówię o tych, którzy bez skrupułów obierają je z pieniędzy i godności.

– Z pieniędzy może i tak, ale co do godności byłabym ostrożna. To są transakcje za obopólną zgodą. Pip i ten drugi ciężko pracują na swoją forszę – zaprotestowała Łucja.

– Nie mówię o nich! Czy ty naprawdę niczego nie rozumiesz? To są ledwie wyrobownicy. Korzyści czerpie zupełnie ktoś inny.

– Kto niby?

– A choćby gabinety odnowy biologicznej, które pod pretekstem gimnastyki wpychają te biedne babska w objęcia różnych Pipów i Kornelów.

Nacisk, jaki położyła na słowo „gabinety”, był tak wyraźny, że Łucja poczuła ciarki na plecach.

– Czy ty coś insynuujesz? – spytała obcym, wrogim głosem.

– Ja nie insynuuję, ja wiem – powiedziała Ewelina i huknęła na Patryka, żeby jej nie kopał pod stołem.

Orkiestra zaczęła grać. Patryk wziął Łucję za rękę i pociągnął na parkiet. Kręcili się w milczeniu.

– Nie bierz sobie do serca gadania Eweliny – powiedział.

– Ma żal do Bogny i... sama rozumiesz.

– O to chodzi, że nie rozumiem! – wybuchnęła Łucja.

– To są oskarżenia zbyt wielkiego kalibru jak na niewielki żal. Czy ty też uważasz, że gabinet mojej siostry jest zwykłym burdelem?

– Łucjo, dopóki nie ma oficjalnego oskarżenia, nie ma sprawy. Gadanie Eweliny to jedno, a świadkowie, ewentualnie pokrzywdzeni, to drugie. Na razie nie można Bognie nic zarzucić.

– Pytałam, czy też uważasz, że moja siostra prowadzi zwykły burdel?

– Powinna jak najszybciej zwolnić tych dwóch.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie!

– Odpowiedziałem. Powinna zwolnić tych dwóch, którzy pracują na złą opinię gabinetu, a pośrednio też właścicielki.

Łucja wracała do stolika przekonana, że nie wytrzyma ani minuty dłużej w tym rozplotkowanym kotle, przy jednym stoliku z Eweliną. Miała dość tańców, dansingu i wszystkiego. Spojrzała na Baškę i gniew powoli zaczął z niej opadać. Czym były najgłupsze nawet insynuacje Eweliny wobec rozbawienia przyjaciółki. Baška nie załapała nic z wcześniejszej sprzeczki, obiecała sobie potańczyć i solennie wypełniała obietnicę. Nie chciała słyszeć o jedzeniu, piła sok pomarańczowy i tylko czekała, kiedy zagra orkiestra. Przy okazji strzelała trochę oczami po sali, z niezłym skutkiem zresztą, bo zaczęli się pojawiać coraz to nowi tancerze. Dała odetchnąć Mikołajowi, a nie siedziała ani chwili.

Ewelina próbowała zachowywać się normalnie, ale raz jeszcze, tuż przed kolacją, musiała wrócić do Bogny i gabinetu. To było silniejsze od niej.

– Patryk ci pewnie wygłosił swoją świętą formułkę: nie ma dowodów, nie ma sprawy, co? – spytała z głupawym uśmiechem.

Łucja zdążyła usiąść, była zmęczona tańcem i jeszcze jej w duszy grały resztki salsy. Spojrzała z roztargnieniem.

– Ty znowu o czym?

– W tym kraju nigdy nie będzie dobrze. A wiesz dlaczego? Policja siedzi i czeka, żeby dowody przyszły same. Nie ma dowodów, nie ma łapownictwa, wymuszania, molestowania, jest społeczeństwo aniołów, w którym nie da się...

– Spojrzała groźnie na Patryka i dokończyła już innym, dużo ostrzejszym tonem. – Jeszcze raz mnie kopniesz, to ci oddam

i obiecuję, że umrzesz jako stary kawaler!

Łucja uśmiechnęła się do Patryka.

– Wybieraj! – powiedziała. – Albo jeden niegroźny siniak, albo całe życie zmarnowane.

Nie zdążyli pokłócić się na dobre, bo do stolika podszedł kelner.

Bogna nie bardzo chciała rozmawiać o przejściowych, jak podkreśliła, kłopotach z gabinetem. Godzina była późna, leżała w łóżku, a Łucja wparowała do sypialni i domagała się wyjaśnień.

– Na mieście mówią, że ci twoi chłopcy to zwykłe męskie dziwki – powiedziała, rozsiadając się na łóżku.

– Nie musiałaś słuchać miasta, mogłaś mnie zapytać i powiedziałabym ci to samo.

– Wiesz o tym?

– Zastanów się: miasto wie, a ja miałabym tkwić w naiwnej nieświadomości?

– Więc czemu ich nie zwolnisz?

Bogna westchnęła ciężko. Odłożyła książkę i zdjęła okulary. Łucja nawet nie wiedziała, że siostra do czytania używa okularów.

– Czemu ich nie zwolnię? – powtórzyła. – A temu, że przy podpisywaniu umów nie wykazałam się odpowiednią przebiegłością. Jeżeli nie podłożą się w pracy, nie bardzo mogę ich wyrzucić. A ja nie mam zastrzeżeń do ich pracy. Obydwaj są świetnymi fachowcami i ściągają mi klientów. Jestem ich pracodawczynią, nie przyzwoitką.

– Na mieście mówią, że czerpiesz korzyści z ich nierządu.

– Chciałabym! Tanim kosztem, bez tyrania na dwóch etatach, byłabym zamożną biznesmenką. Tylko powiedz mi, jak ja mam sprawdzić ich wydajność? Nie bądź śmieszna, mysiu. W gabinecie pracują na mój rachunek, w łóżkach tych kobitek – wyłącznie na swój.

Łucja przytuliła się do siostry. Poczowała wielką ulgę i jednocześnie wzrastającą wściekłość na Ewelinę.

– Nie zdradzę ci, kto mi naopowiadał...

– Masz mnie za idiotkę? Przecież wiem, z kim byłaś na dansingu. Ty nie wiesz jeszcze jednego: ona jutro zadzwoni do mnie i tym swoim poważnym głosikiem poważnej plotkary powie, że spełniła

swój obowiązek, ostrzegła cię, i tak dalej. Nie zliczę, ile już osób ostrzegła przede mną.

– Ja ją zamorduję! – wybuchnęła Łucja.

– Zamorduj, tylko nie mów tego głośno. Kiedyś nieopatrznie powiedziałam, że zamorduję Daniela. Gdyby to zależało od Eweliny, dostałabym dożywocie. Na szczęście policjanci, nawet zakochani, miewają jeszcze olej w głowie. Patryk to niezły facet, nie wiesz przypadkiem, co on w niej widzi? Kobietę czy miotłę sprawiedliwości?

Pośmiały się chwilę, potuliły i Łucja poszła do siebie.

Steve odezwał się z Zakopanego. Zadzwoił rano, obudził Baškę, a Baška ściągnęła z góry zaspaną Łucję. I bez jego gadania Łucja wiedziała, że w górach musi być straszny tłok. Jeżeli uparł się, żeby oglądać tabuny turystów, powinien poczekać do zimy, wtedy w góry wyjeżdża jeszcze więcej ludzi. Spokojnie wysłuchiwała relacji z Gubałówki i z wyprawy do Morskiego Oka. Pogodziła się już z wyjazdem Steve'a, więc kiedy padło sakramentalne: „Co u ciebie”, nie wyszła poza równie sakramentalne: „W porządku”. Rozmowa nie bardzo się kleiła.

– Już nie chcesz, żebym przyjeżdżał do Ciechocinka, prawda?

– Oczywiście, że chcę – odpowiedziała bez namysłu i zupełnie szczerze.

Dopiero później, kiedy odłożyła słuchawkę, dotarło do niej, że przestała na niego czekać. Do spacerów, do pogadania miała Baškę i żaden mężczyzna nie był im potrzebny. Chyba że Baške znowu zachciałoby się baletów, ale z kolei Steve nie był stworzony do tańca.

Zajrzała do przyjaciółki i potarła ją za ramię.

– Spisz?

– Właśnie przestałam – mruknęła.

– Steve dzwonił.

– Wiem, bo wyciągnął mnie z łóżka.

Łucja wgramoliła się na tapczan i okryła nogi kołdrą Baški.

– Czy to nie dziwne – zastanowiła się – że jeszcze niedawno ten facet wydawał mi się bliski? Wyjechał, minęło kilka dni, i nie mam o czym z nim rozmawiać. Miałaś tak kiedyś?

– Mhm, miałam tak dalece, że już nawet nie pamiętam, z kim i kiedy.

– Myślisz, że on może za mną tęsknić?

– Miałaś go na drucie i nie spytałaś?

– No co ty! Nie jestem aż taka obcesowa – zaprotestowała Łucja. – Właściwie chciałabym, żeby wrócił, wiesz? To znaczy chciałabym, żebyś go lepiej poznała i polubiła.

– Nie mam zwyczaju przypinać się do cudzych facetów – zamruczała sennie Baśka.

– Steve nie jest moim facetem, tylko przyjacielem. Nie widzisz różnicy?

– Zakochasz się, zmienisz mu status i po krzyku. Ile to roboty?

– Też wymyśliłaś! – zgorszyła się Łucja. Poczowała chłód i próbowała otulić się kołdrą.

Baśka nie miała wyjścia, musiała wstać z łóżka. Tego ranka nie dało się pospać.

Wieczorem w muszli koncertowej grał jakiś młodzieżowy zespół, niezbyt jeszcze popularny, i Baśka chciała sobie posłuchać muzyki. Łucja musiała niestety usiąść do laptopa i napisać opowiadanie dla „Tiramisu”. Ledwie wystukała tytuł, ktoś załomotał do drzwi na dole. Zbiegła i stanęła oko w oko z rezolutnym chłopaczkiem, który gapił się z nieskrępowaną ciekawością. Już miała fuknąć, żeby nie przeszkadzał w pracy, ale dzieciak uśmiechnął się i poznała go dopiero po tym uśmiechu wampirka.

– Cześć! Zęby ci jeszcze nie wyrosły?

– Wyrosną – zapewnił. – Mama kazała, żebyś zaraz psysła.

Powrót Dośki odsunął na dalszy plan wszystkie zajęcia Łucji, nawet opowiadanie dla „Tiramisu”.

Dośka to było dzieciństwo i dorastanie, pierwsze sekrety i pierwsze sprzeczki. W liceum dziecięca zażyłość trochę stopniała. Łucja miała inne zainteresowania i wielkie ambicje, tamta chciała tylko dobrze wyjść za mąż. Czemu wybrała akurat Władka, tego Łucja nigdy nie zdołała pojąć. Dośka na pewno nie była piękną, ale przynajmniej miała maturę.

A on był nieuk i głąb. Jako żona głąba zaniedbała się do reszty, zwłaszcza intelektualnie. Przestała czytać, interesować się światem, rodziła tylko dzieci i kłóciła się z pijanym Władkiem. Łucja nie przestała lubić Dośki, jednak coraz mniej znajdowały wspólnych tematów. Ileż można słuchać narzekań na zły los, złego męża i ciągły brak pieniędzy.

Dośka, okryta czernią od rozdeptanych pantofli po aksamitkę na mysim ogonku, przypominała wronę. Nie pozwoliła sobie na żaden jaśniejszy akcent, była niepocieszoną wdową w każdym calu. Nie zdążyła jeszcze wstawić zębów wybitych przez swojego nieboszczyka i przy każdym uśmiechu zasłaniała dłonią usta. Wyglądała gorzej niż źle, ale nie straciła nic z dawnej serdeczności.

– Musisz tak na czarno? – spytała cicho Łucja.

– Mąż to mąż, co by ludzie powiedzieli.

Łucja kiwnęła głową, że rozumie. Nie spodziewała się wiele po pierwszej rozmowie. Dośka niby była równa, niby rozgarnięta, jednak miała swoje dziwactwa, których nie dało się z niej wykorzenić. Po każdym dłuższym niewidzeniu oglądała Łucję jak handlarz konia, tyle że bez poklepywania. Dostrzegała wszystko: zmieniony kolor włosów, szminki, lakieru do paznokci, nie mówiąc o ciuchach.

– Tobie to dobrze – wzdychała ciężko. – Nie masz obowiązków, o nic się nie frasujesz, to i pięknie wyglądasz, całkiem jak te gwiazdy w telewizorze. Ze mnie to już by gwiazdy nie zrobili, dobrze mówię?

Łucja ze smutkiem myślała, że owszem, zrobiliby gwiazdę i z Dośki, czemu nie. Gdyby ktoś chciał kręcić film o półświatku, pasowałaby idealnie. W każdym razie na oko bliżej jej było do półświatka i meliny niż do matury.

– Jejku, tobie to tylko zazdrościć – jęczała Dośka.

– Skończ wreszcie z tym jójczeniem! – nie wytrzymała Łucja. – Zachowujesz się jak przygłup.

– Nie krzycz na mnie!

– Bo co? Bo się zamkniesz w sobie? To cię otworzę, spokojna głowa.

Ostre huknięcie z reguły pomagało. Dośka natychmiast dochodziła do wniosku, że każdy ma swojego mola, że nie ma co innym

zazdrościć, robiła herbatę i opowiadała o dzieciach. Przynajmniej dzieci jej się udały, trzech chwatów: najstarszy dziewięć, średni sześć i najmłodszy pięć lat. I to już była całkiem normalna Dośka, co nie znaczy, że przy następnym spotkaniu nie jęknęła sobie raz i drugi.

– Widujesz się czasem z Ewelina? – spytała Łucja przy herbacie.

Dośka pokręciła głową i zrobiła minę zasępionej mrówki. Ilekroć robiła tę swoją minę, Łucja nie mogła się opędzić od myśli, że oto ma przed sobą idealną ofiarę, taką, która zniesie najgorsze traktowanie i jeszcze gotowa przeproszać oprawcę, że się zasapał, wałąc pięściami.

– Ewelina mnie nie poznaje. Wiem, że się zmieniłam, ale żeby tak kompletnie, to chyba nie. Mijamy się, nie ma nam kto dzień dobry powiedzieć, to i po co się widywać?

– To małpa!

– Czego zaraz: małpa? Ona zawsze patrzyła tam, gdzie widziała korzyść. A jaką ze mnie może mieć korzyść? Co innego z ciebie.

– Opowiada straszne rzeczy o Bognie, wiesz?

– O wypadku Danka czy o gabinecie?

– A co ona może wiedzieć o wypadku?

– Zawsze coś tam może... Trzech podejrzanych mieli, zanim ostatecznie obwinili Władka.

– Dosiu, jakich trzech? Bognę zamknęli z rozpędu i po dwóch dniach wypuścili. Nikogo więcej nie było.

– Był. Mówili na niego Ziemek. Też pracował u Bogny. Tego wieczoru był u Danka. Jeden z sąsiadów go widział.

Ostatecznie jakoś się wywinął, bo padło na Władka. I dobrze, że padło...

Chciała jeszcze coś dodać, ale się rozmyśliła. Już nie miała miny zasępionej mrówki. Patrzyła całkiem nie po swojemu, tak jakoś twardo.

Baśka przyniosła z parku obwarzanki na sznurku, paczkę żelków i najprawdziwszą rewelację.

– Pip pytał, czy nie poszłybyśmy z nimi na dansing? On wzięłby kumpla, ja ciebie i byłoby fajnie. Tak mówił.

Łucja z wrażenia omal nie udławiła się żelkiem i koniecznie musiała coś popić. Jej zdumienie nie miało granic.

– A mówił może, kto zapłaci za tę przyjemność?

– Nie pytałam. Wiesz, kwestie finansowe są zawsze bardzo drażliwe.

– Basiu, spacerowałaś z Pipem po parku?

– Nie spacerowałam, tylko siedziałam z Pipem w parku. Ktoś, kto nie widział, jak on się dosiada, mógł rzeczywiście pomyśleć, że przyszliśmy razem. Podrywał mnie...

– Żartujesz? Nawet po ciemku trudno cię wziąć za bogatą sześćdziesięciolatkę.

– Podrywał mnie na ciebie. Głównie rozmawialiśmy o tym, jaka jesteś ładna, zdolna i jak tryskasz życiem. Nie mówiłam mu o tych okropnych okresach tumiwizmu, kiedy leżysz martwym bykiem, a ja cię reanimuję, żebyś miała siłę żyć. Jak się bliżej poznacie, wyjdzie szydło z worka.

Baśka potrafiła z idealną powagą rozprawiać o oczywistych nonsensach, co Łucję niezmiennie zachwycało. Tym razem jednak zachwyty przyćmiła obawa przed plotkami. Jeżeli przypadkiem gdzieś w pobliżu znalazła się Ewelina, można było oczekiwać towarzyskich komplikacji. Łucja gwizdała na komplikacje, chodziło jej wyłącznie o Bognę.

– Umówiłaś się z nim?

– Obiecałam, że do niego zadzwonisz. Chyba nie zostawicie mnie w domu? Gumiaki do żucia ci kupiłam i obwarzanki, nie zostawicie mnie, prawda?

W pokoju czekało na Łucję zaczęte opowiadanie. Zamierzała opisać prawdziwą historię zasłyszaną od Bogny. Jedna z pacjentek sanatorium poczuła do pani fizjoterapeutki taką sympatię, że w trakcie zabiegów, kawałek po kawałku, powierzyła jej pół swojego życia i sporo tajemnic. Zamiast fizjoterapeutki Łucja wprowadziła do opowiadania współmieszkanek pani Gusi.

Pani Gusia przy powitaniu zaproponowała, żebyśmy mówiły sobie po imieniu. Trochę się spieszyłam, bo jeszcze nigdy nie miałam tak dojrzałej koleżanki. Na oko była starsza od mojej mamy, ale duszę musiała mieć

młodsza. Ciuchów też miała dużo więcej, bo z trudem udało mi się wywalczyć jedną półkę w szafie i dwa wieszaki.

– Anie mogłabyś, słonko, zająć szafki nocnej na swoje ciuszki? – pytała.

Mogłam, lecz nie chciałam.

Wieczorem Gusia opowiedziała mi swój życiorys. Ładny dom, mąż, dwoje samodzielnych dzieci i kompletna pustka. Nikogo, kto chciałby zrozumieć jej skomplikowaną, wrażliwą duszę, wejrzeć w marzenia, od czasu do czasu podarować kwiatek. Nie chciała od życia dużo, jedynie trochę ludzkiego ciepła. Aż się zdziwiłam, że energiczna i przedsiębiorcza kobieta, która poradziła sobie w podróży z trzema walizkami, jest w głębi duszy taką romantyczką.

Nie wiem, gdzie Gusia znalazła Alfa. Zresztą bardzo możliwe, że to on ją znalazł. Nie był kuracjuszem naszego sanatorium, pierwszy raz zobaczyłam go, kiedy przyszedł po damę swojego serca. Tak właśnie od progu krzychał: „Gdzie jest dama mojego serca?” Zgodnie z prawdą odpowiedziałam, że w łazience. Rozsiadł się przy stole. Wszystko w nim było denerwujące: nonszalancki i hałaśliwy sposób bycia, guma w zębach i opalenizna z solarium.

Przychodził codziennie, zabierał Gusię na fajjy, po których wracała już sama, często dopiero po kolacji. Alf podobno nie bywał na dansingach, nie zarywał nocy, bo rano chodził do pracy. Gusia wierzyła we wszystko, co jej mówił. Była zakochana jak pensjonarka.

Któraś dnia dziewczyny od mojego stolika w jadalni umówiły się na dansing. Początkowo nie miałam ochoty, przekonała mnie Gusia, która też się z nami wybierała, oczywiście w wielkiej tajemnicy przed Alfem.

– Jemu serce by pękło z zazdrości, taki jest uczuciowy – tłumaczyła nam już w drodze.

Zajęłyśmy stolik pod oknem. Kawalek dalej siedział Alfz otyłą, starszą damą. Przez cały wieczór udawał, że nie poznaje Gusi. Na jej miejscu chyba bym wyszła, ale to była twarda zawodniczka. Siedziała, choć nikt jej do tańca nie prosił, i obserwowała swojego Alfa.

– Idziemy – powiedziałam w końcu, bo zrobiło mi się jej żal.

– Mowy nie ma. Wiesz, ile wydałam na niego przez ten tydzień? Pięć tysięcy z hakiem. Przelicz to na bilety do teatru. Mam chyba prawo chociaż popatrzeć!

Więcej już Alf nie zawitał do naszego pokoju. Jakies dwa dni później Gusia zaczęła spotykać się z emerytowanym księgowym. Nie mogła nachwalić się jego wrażliwości i hojności.

Tak wyglądał szkielet opowiadania, który należało uzupełnić drobiazgami typu: ubrania, wystrój lokalu, i tak dalej. Czytelniczki „Tiramisu” uwielbiały szczegóły, chciały nie tylko wiedzieć, co bohaterka miała na wierzchu, lecz także co ukrywała pod spodem. Łucję dręczyła tylko jedna wątpliwość: czy kwota pięciu tysięcy z hakiem była realna. Bogna mówiła, że chłopaki, to znaczy Pip i Kornel zarabiali mnóstwo pieniędzy, ale nie uściśliła, co to znaczy mnóstwo. Bogna już dawno spała, więc wyjaśnienie musiało poczekać do następnego dnia, podobnie jak uzupełnienie innych drobiazgów.

Baśka wróciła ze spaceru z bardzo tajemniczą miną.

– Zagospodarowałam nam wieczór. Zgaduj, co robimy! – krzyczała od progu.

– Jeżeli wymyśliłaś dansing z Pipem, idziesz sama! – zastrzegła Łucja.

Baśka pokręciła głową z niesmakiem.

– Tobie tylko tańce w głowie, jakby innych rozrywek nie było! Bilety do Teatru Letniego kupiłam, dają jakiś monodram. Pomyślałam, że zechcesz obejrzeć, ale jak ktoś deptanie parkietu przedkłada nad sztukę wyższą, to nawet ucieszyć się nie umie – gderwała z udanym oburzeniem.

Były już na kilku koncertach w parku, ze dwa razy w kinie, gdzie leciały same starocie, ale w teatrze jeszcze nie, i Łucja bardzo się ucieszyła. Dla odmiany zostawiła Baśkę w domu, a sama pobiegła do bankomatu uzupełnić braki w portfelu.

W sporej kolejce los ustawił ją tuż za Mikołajem, tancerzem jednej nocy. Wymienili półuśmiechy i uwagi o pogodzie, pomilczeli chwilę.

– Dawno znasz Ewelinę? – spytał.

Zrozumiała jego intencje: jeżeli brakuje tematu do rozmowy, człowiek chwyta się najbliższych znajomych, a że mieli tylko dwoje wspólnych, nie licząc Baśki, padło na Ewelinę.

– Od czasów liceum. W młodości nie była taka jadowita, jeżeli o to ci chodzi.

– O tego typu ludziach mówię, że mają szerokie zainteresowania – uśmiechnął się do Łucji.

Dopiero teraz, w kolejce do bankomatu dostrzegła, że miał sympatyczny dołek w brodzie, całkiem jak Baśka. Na dansingu jakoś mało na niego patrzyła.

– Wredna małpa! Popsuła mi cały wieczór – powiedziała.

– Ja na twoim miejscu tak bardzo bym się nie przejmował gadaniem Eweliny.

– Nie jesteś na moim miejscu.

– Ale znam trochę historię gabinetu pani Bogny.

Łucja zbystrzała. Bogna niewiele opowiadała o gabinecie, Ewelina pluła jadem, a Mikołaj wydawał się sensownym facetem, do tego wolnym zarówno od tajemnic, jak i zjadliwości. Nie chciała i nie mogła przepuścić takiej okazji.

Dowiedziała się, że początkowo gabinet Bogny był jednym z najlepiej zorganizowanych prywatnych zakładów w mieście. Miał wszystko, co trzeba: odpowiedni lokal w śródmieściu, wykwalifikowany personel, profesjonalną aparaturę i bardzo szybko zaczął przynosić zyski.

– Wiesz chyba, kto odegrał najbardziej destrukcyjną rolę? – spytał Mikołaj.

– Twoja kolej – powiedziała przytomnie Łucja, popychając go lekko w stronę bankomatu. – Poczekasz na mnie?

Poczekał, a nawet odprowadził ją kawałek.

– Mówiłeś o destrukcyjnej roli – przypomniała. – Nie wiem tylko, czyjej. Może Pipa, to znaczy Filipa?

– Kłopot pani Bogny polegał na tym – wyjaśnił – że nie umiała sobie poradzić z mężem. To on pierwszy zaczął podrywać bogate kuracjuszki, a dwaj pozostali koledzy dość szybko poszli w jego ślady i pani Bogna zaczęła mieć kłopoty. Wiem to od niej samej.

Łucja z trudem panowała nad wzburzeniem. Przygryzała usta, żeby się nie rozpląkać, ale skoro już wiedziała tyle, chciała wiedzieć więcej.

– Tam był jeszcze jeden chłopak, prawda? Mówili na niego Ziomek, czy tak jakoś.

– Ziemek. Ziemowit. Jedyny, który nie wszedł do interesu. Miał mocno na pieńku z mężem pani Bogny. Nie znam szczegółów, nie chcę zmyślać.

– Nie miałam pojęcia, że to tak było, nie miałam – szepnęła Łucja.

– Właśnie widzę. Uspokój się, to już stare dzieje.

– Też uważasz, że Bogna powinna wymienić pracowników?

– Najszybciej, jak to będzie możliwe.

Dopiero w domu Łucja dała upust swojemu rozżaleniu. Rzuciła się na fotel i ryknęła takim płaczem, że firanki powiewały. Baśka nie mogła wydobyć z niej słowa.

– Zwykła męska kurwa! Rozumiesz? Jak Pip albo jeszcze gorzej – wykrzykiwała Łucja.

– Ale kto?

– Mikołaj, ten znajomy Eweliny... – zaczęła, ale nie mogła skończyć z nadmiaru łez.

– A to Świnia! Trzepnęłaś go chociaż w gębę?

– Jak mogę trzepać nieboszczyka, no jak? Mikołaj powiedział... – znowu zaniósła się płaczem. – Basieńko, przytul mnie, bo oszaleję. Już nikomu nie wierzę. Każdy mówi co innego, ale ten Mikołaj, chociaż policjant, wyglądał na normalnego faceta, prawda? Tańczyłaś z nim najwięcej... wyglądał na normalnego?

Baśka wolała utulić przyjaciółkę, niż słuchać bredzenia, z którego nic nie rozumiała. Dopiero kiedy Łucja napiła się dobrej herbaty i opanowała na tyle, że mogła myśleć, opowieść ułożyła się w logiczny ciąg. A kiedy jeszcze zebrała do kupy pozostałe informacje, choćby te od Kornikowej i od Dośki, zobaczyła szczęśliwe małżeństwo siostry w całkiem innym świetle. Dwa gołąbki jedzące sobie z dziobków odleciały bardzo daleko. W ich miejscu pojawił się obraz nieszczęśliwej żony z mężem pijakiem u boku. Pijakiem i dziwkarzem.

– To jakaś paranoja – westchnęła Łucja. – Ja w to wszystko nie wierzę. Znałam przecież Daniela, dobrze znałam. Gdyby nie chodziło o Bognę, kto wie, czy nie zostałabym jego żoną. Prosił mnie o to, mówił, że Bogna go przeraża... Ja nic z tego nie rozumiem, a ty?

– Jeszcze mniej – przyznała Baśka. – Rozumiem tylko, że film o wielkiej miłości rozwiązał się i musisz poszukać sobie innego scenariusza.

– Żartujesz? Zamiast sielanki będzie tragedia, ale ja to muszę nakręcić. Nie widzisz, że robi się coraz ciekawiej?

– Bogna też tak uważa?

– Daj spokój, w filmie nie będzie Bogny, tylko Daria, nie będzie Daniela, tylko Artur.

– Imiona zmienisz, ale przeżycia, doświadczenia, fakty zostaną.

Łucja nieuważnie kiwała głową. Jej myśli krążyły w innych rejonach i mijały się ze słowami Baśki.

– Ten Mikołaj to jednak fajny facet. Nie sądziłam, że policjanci mogą być tacy fajni. Patryk przy nim...

– Mikołaj nie jest policjantem – zaprzeczyła stanowczo Baśka.

– Oczywiście, że jest!

– Tak ci powiedział?

– Nie wiem, skąd wiem, ale... ale byłam pewna, to znaczy tak mi się wydawało – bąkała Łucja.

– Jest radcą prawnym i nawet wiem, gdzie pracuje.

– Więc dlaczego mnie się wydawało...

– Widać „wydawanie się” nie jest twoją mocną stroną – powiedziała Baśka i poszła do kuchni po świeżą dostawę herbaty.

Do wieczora Łucja chodziła jak struta. Daniel, ten kulturalny, wspaniały facet, którego kiedyś kochała, okazał się nędzną kreaturą. Ta myśl uwierała gorzej niż paproch w oku, dlatego nie mogła sobie znaleźć miejsca. Baśka już dawno była gotowa do wyjścia, a Łucja wciąż stała przed lustrem w bieliźnie i miała kłopot z pomalowaniem rzęs. Z trudem wygrzebała się do powrotu siostry.

– Beczałaś? – spytała Bogna.

– „Są chwile w życiu człowieka, kiedy nasza psyche cierpi i smutek przepływa przez mentalność” – powiedziała smętnie Łucja.

– Nie cytuj, tylko odpowiedz: beczałaś? Coś się stało? Nie powiesz chyba, że Pip dał ci kosza?

– Wiesz, gdzie mam Pipa? – obruszyła się Łucja. – Poryczałam się przez Daniela.

– Byłaś na cmentarzu? – zdziwiła się Bogna, a równie zdziwiona Łucja nie mogła pojąć, dlaczego miałyby chodzić na cmentarz w środku lata, kiedy do pierwszego listopada jeszcze kawał czasu.

Bogna zmieniła buty na domowe papcie i bez słowa zaczęła wchodzić na górę.

– Jest taki ładny zwyczaj – odpowiedziała gdzieś z połowy schodów – że kochani żywi odwiedzają kochanych zmarłych na cmentarzach.

Łucja chciała zamknąć drzwi normalnie, po cichu. Chyba jej to nie wyszło, bo stuknęły głośniejszym niż zwykle. Milczała przez całą drogę. Dotknęły ją nie tyle słowa siostry, ile jej ton. Wyczuła w głosie Bogny agresję, której nie cierpiała. Skupiła się na agresji i przestała myśleć o Danielu.

9

Ewelinę ruszyło sumienie. Prawdę mówiąc, Łucja w ogóle przestała wierzyć, że jej dawna koleżanka ma jakiegokolwiek sumienie, dlatego bardzo się zdziwiła, słysząc w słuchawce znajomy głos. Ewelina nie przepraszała, wyraziła jedynie ubolewanie, że dała się ponieść emocjom nieodpowiednim do miejsca spotkania. Niby mimochodem zasugerowała, że zna miejsce bardziej odpowiednie, gdzie mogłyby wyjaśnić sobie wątpliwości i niedopowiedzenia. Łucja w pierwszej chwili zachnęła się i już miała na końcu języka odpowiedź, która raz na zawsze zamroziłaby dalszą znajomość. Gotowa była traktować Ewelinę tak, jak tamta traktowała Doškę: powietrze, nicość, mglisty opar. Policzyła jednak do dziesięciu i zmieniła taktykę. Nie musiała Eweliny kochać, mogła jej nie widywać, lecz rozum nakazywał wycisnąć żmiję jak tubkę kremu, dowiedzieć się wszystkiego, co wiedziała lub raczej wydawało jej się, że wie. Zapisała sobie adres i obiecała, że wpadnie.

Lato zaczęło się na dobre, a Baška coraz częściej przebąkiwała o wyjeździe.

– Posiedź jeszcze – błagała Łucja. – Staruszkowie będą cię mieli przez cały miesiąc na Capri. Bez ciebie zgłupieję, bo sama już nie wiem, gdzie w tej porąbanej historii prawda, a gdzie fałsz!

Baška była jej potrzebna jak powietrze. Łączyła w sobie to, co u innych ludzi z reguły się wyklucza: wielkie poczucie humoru z rozsądkiem i umiejętnością logicznego rozumowania. Ktoś taki był Łucji nieodzowny, i to szczególnie teraz, gdy miała tyle kłopotów z poznaniem prawdy o swoich najbliższych.

Przedpołudnie przegadała z Došką i zdobyła nowe informacje, które musiała omówić z przyjaciółką. Nikt, tak jak Baška, nie potrafił

oddzielić plew od ziarna, a w historii Daniela i Bogny było tyleż jednego, co drugiego.

Prawie każdy, z kim rozmawiała, miał trochę inne zdanie, trochę inaczej widział i oceniał osoby dramatu i wydarzenia. Kornikowa na przykład zachwycała się Bogną, natomiast Dośka różowiła na twarzy, ledwie wspomniała o Danielu. Wstępował po Władka, żeby go na wódkę wyciągnąć, a Dośce kwiatki przynosił, w rękę ją całował. To były jedyne kwiaty, jakie w swoim życiu dostała. Danek miał podejście do kobiet, natomiast Bogna nie miała podejścia do Danka. Dośka powstrzymywała się od jawnej krytyki Bogny, żeby nie urazić Łucji, jednak czasem to i owo jej się wymknęło, jak choćby z tym nocowaniem w ogrodzie. Powiedziała tak: „To było wtedy, kiedy Bogna nie wpuściła Danka na noc do domu. W dzień było ciepło, wieczorem ziąb chwycił, on siedział na tarasie w samej koszuli. Poszłam i zgarnęłam go do nas. Nie był wcale pijany. No, ale jak zwąchał się z moim Władkiem, to najpierw wypił dla zdrowotności, a rano wyszedł od nas urżnięty równo i zamiast do roboty, poszedł spać”.

Łucja wiedziała jedno: Dośka nie miała plotkarskiej natury Eweliny i nie była zdolna czegokolwiek wymyślić sama. Powtarzała dokładnie to, co widziała bądź słyszała. Wierzyła Dośce i traciła głowę. A Baśka zakładała, że wierzy, lecz zaczynała dochodzić prawdy najprostszą drogą pytań. Co to znaczy: nie wpuściła do domu? To jak wszedł rano? A może tak skrewił, że bał się wrócić na noc i sam wybrał nocowanie na tarasie?

Baśka od początku stała murem po stronie Bogny. Nawet kiedy Łucja powtarzała za Doską: „Danek się rozpił z żalu, że Bogna nie chciała mieć dzieci. Płakał, kiedy to mówił”, nawet wtedy Baśka brała w obronę Bognę. Płacz nie zrobił na niej wrażenia. Wzruszyła ramionami i powiedziała, że pijacy, jeśli nie płaczą, to awanturują się albo śpią. Danielowi bimber widać padł na oczy, więc płakał, ale czy mówił prawdę? Trzeba spytać inaczej: czy Bogna nie chciała mieć dzieci w ogóle, czy nie chciała z pijakiem? A może nie mogła z powodu jakichś babskich przypadłości? Łucja nie znajdowała odpowiedzi na żadne z tych pytań i czuła, że grunt, po którym stąpa,

robi się coraz bardziej grząski. W tej sytuacji, gdy każdy mówił co innego, tylko cud mógł pomóc w zrozumieniu całości.

Trudno nazwać cudem spotkanie z Pipem na deptaku, jednak to właśnie Pip rzucił nowe światło na tę smutną historię. Przyplątał się gdzieś na wysokości Łazienek. Baśka fotografowała dywany kwiatowe, Łucja w zamyśleniu kreśliła czubkiem buta esy-floresy na ścieżce i wtedy tuż obok niej wyrósł Pip. Niestety, powitanie mu nie wyszło.

– Cześć, dziewczynki! – powiedział.

Łucję aż odrzuciło do tyłu.

– Nie jesteśmy przypadkiem za młode na twoje dziewczynki? – spytała jadownicę.

Nawet się nie zmieszał, łypnął spod oka, zauważył, że pogoda wreszcie się wyklarowała, i że Łucja ślicznie wygląda.

– Słuchaj, Pip, gdzie ja mogę znaleźć Ziemowita? – spytała, wciąż grzebiąc butem w piasku.

– Znasz go?

– Szukam. Nie rozumiesz po polsku?

– Rozumieć, rozumiem... a właściwie nie. Po jaką choinkę taka fajna laska, miałyby szukać takiego kutafona jak Ziemek?

– To moja sprawa.

– Jasne, ale moje informacje – zaśmiał się głośno. – Nie pomogę ci, nie wiem, gdzie się ulotnił. Wcięło faceta po aferze z Danielem.

– Mówisz o śmierci Daniela?

– Dziecinko, o co tobie właściwie biega? Ja lubię sytuacje jasne: jak mnie ciągną za język, chcę wiedzieć dlaczego.

Łucja postarała się o minę wyrażającą głęboki smutek i zamyślenie. Pod taką miną najłatwiej ukryć rozterkę. Ani jej w głowie było zaspokajanie ciekawości Pipa. To ona chciała wyciągnąć z niego jak najwięcej, tylko jeszcze nie wiedziała, co. Nie mogła spytać wprost: „Powiedz mi wszystko, co wiesz”, bo rzuciłby jej wiązanek bogatą w słowa, lecz ubogą w treści, a przecież nie o to chodziło. Musiała działać po omacku. Na coś się jednak przydały zajęcia z aktorami w szkole, bo bardzo pięknie udała wahanie. Sama czuła, że wyszło naturalnie. Gdyby Oskar widział, jak potrafi grać,

kto wie, czy zamiast roli umrzyka nie znalazłby dla niej czegoś odpowiedniejszego w swoim filmie.

– Pip, to cudzy sekret – powiedziała. – Nie mogę ryzykować, że cały Ciechocinek będzie o nim gadał. Zresztą, niech stracę, wyglądasz na faceta dyskretnego i pewnie znasz niejedną tajemnicę. Jakies dwa miesiące przed śmiercią Daniel dał mi na przechowanie... coś, co musiało należeć do Ziemka. Nie chcę tego dłużej trzymać... sam rozumiesz.

Pipowi aż oczy z orbit wyszły. Ucieszył się, że zaliczyła go do mężczyzn dyskretnych i koniecznie chciał wiedzieć, co też Łucja przechowuje. Mało tego, ciągnął ją do domu, bo chciał zobaczyć to coś na własne oczy.

– Zgaduj! – powiedziała. – Jak zgadniesz, nie zaprzeczę.

Zerknął spod oka, upewnił się, czy nie kpi, pomyślał moment i rozbłysnął jak latarnia.

– Chyba wiem! Ale nie radzę ci jechać z tym do Ziemka. Mogę cię wyręczyć, wywącham, gdzie się zaszył, pojedę... Ciebie gotów zarznąć, tak jak... Za dużo powiedziałem, co?

– Jeszcze nic nie powiedziałeś – zauważyła Łucja.

– No, to uważaj: wałę! Papiery od Mili, jakieś listy albo coś w tym stylu. Zgadłem? Jasne, że zgadłem! Ci dwaj nie mogli prowadzić żadnych wspólnych interesów, byli uczuleni na siebie i każdy swoje zabawki trzymał przy dupie. No, a kiedy jeszcze Daniel sprzątnął Ziemkowi Milę, to poszło na noże. Słyszałaś o Mili? Ledwie ją zapylił, poniosło go do aniołków. Kornel spotkał babkę w Toruniu i mówi, że z brzuchem chodzi.

– O dziewczynie wspominał, o ciąży nic nie wiem. Gdybym przypuszczała, że tak się to wszystko skończy...

Pip nie robił dłużej tajemnicy z czegoś, o czym Łucja słyszała od samego Daniela. Dopowiedział tylko to, czego nie wiedziała, a co podsłuchał i podpatrzył w gabinecie.

– Ci mówię, jak go wzięło! Kurwa, tak zabujanego facia to ja w życiu nie widziałem. Tu rozwód, tam ślub, i to biegiem. Bogna cała wystraszona, rozumiesz, bo gabinet oficjalnie był na Daniela, nie na nią. A ten uparł się, że bierze wszystko: wolność i warsztat pracy. Się działo, ci mówię! Tydzień później chłop był już z dziurą w sercu.

Nikt mi nie powie, że Ziemek przyjechał przypadkowo i przypadkowo odwiedził Daniela.

– A śledztwo? – zdumiała się Łucja.

– Gówno tam śledztwo. Tak się złożyło, że policja nie musiała nic kombinować. Pijaczyna sam się nawinał, zostawił odciski łap i jeszcze do Bozi odfrunął, jakby na życzenie. Ubrali go w morderstwo, co mieli nie ubrać, a Bogna i Ziemek wyszli na czysto. I dobrze się stało. Ziemka to ja akurat nie lubiłem, ale w tej aferze jestem za nim. Każdy by się zbiesił, jakby mu dmuchnęli babkę na miesiąc przed weselem. Goście sproszeni, garnitur w szafie... kurwa, co za sytuacja! Wczuj się!

Łucja tak dalece się wczuła, że do samego domu miała o czym opowiadać Baśce. Każdy dzień uodporniał ją na opowieści o kolejnych wyskokach Daniela. Już nie płakała, nie histeryzowała, bo dotarło do niej, że kulturalny, sympatyczny facet, nawet jeżeli kiedyś istniał, z czasem zmienił się w łajdaka. Chodząc jego śladami, wciąż natykała się na draństwa i musiała do tego przywyknąć. Spokojnie więc, jakby nie chodziło o bliskiego kiedyś człowieka, porządkowała zebrane wiadomości. Myślała głośno, żeby i Baśka coś z tego miała.

Tragicznego dnia, czyli w piątek, szóstego lutego, około godziny siedemnastej, Daniel był sam w domu. Bogna mówiła, że chciał jej upiec szarlotkę. Czy to nie wzruszający gest faceta, który myśli o rozwodzie i oskubaniu żony z majątku? A może przy tej szarlotce mieli omawiać warunki rozstania? W każdym razie na stole w kuchni leżały jabłka, leżał nóż, stała miska, czyli szarlotka nie była wymysłem Bogny. Parę minut przed siedemnastą przyszedł Władek. Chciał wódki, wparował do kuchni i narobił sporo bałaganu. Zabił Daniela najprawdopodobniej w czasie szarpaniny i natychmiast uciekł. O ucieczce w popłochu świadczyła przesunięta wycieraczka, torebki z herbatą rozrzucone w holu i niedomknięta furтка. Bogna wróciła o siedemnastej piętnaście. Drzwi frontowe nie były zamknięte na klucz, co jej nie zdziwiło, bo Daniel nigdy ich nie zamykał, nawet na noc. Tak przynajmniej utrzymywała Bogna. W holu i w kuchni paliło się światło. Zagadała coś głośno, nikt nie odpowiedział, więc zajrzała do kuchni. Zastanowiła ją otwarta szafka

i bałagan na podłodze. W tej szafce oprócz herbaty, kawy i ziół trzymała środki opatrunkowe. Na podłodze były ślady krwi. Dostrzegła też nóż, samą rękojeść, bo ostrze było przywalone torebkami herbaty. Pomyślała, że Daniel się skaleczył i swoim zwyczajem wpadł w popłoch. On nie znosił widoku krwi. Dopiero kiedy wzięła nóż do ręki, zobaczyła wymazane krwią ostrze, sama spanikowała. Rzuciła nóż na podłogę, kawał od siebie i pobiegła do łazienki, zobaczyć, co z Danielem. W łazience nie było nikogo, obiegła cały dom i wróciła do kuchni. Tam znalazła ciało. Daniel leżał po drugiej stronie stołu, w niszy między zlewozmywakiem i lodówką, z twarzą zakrytą ścierką do naczyń. Jego stłuczony zegarek stanął dokładnie na godzinie siedemnastej.

Bogna zawiadomiła policję i stała się pierwszą podejrzaną. Drugim podejrzanym był Ziemek, o czym wcześniej wspominała też Dośka. Gdyby założyć, że Pip miał rację, Ziemek powinien przyjść przed Władkiem, zabić i odejść. Bałagan można przypisać Władkowi. Przeszukał szafkę, zanim zobaczył ciało. Tylko dlaczego zaraz potem władował się pod samochód?

Łucja tak była przejęta rekonstrukcją wydarzeń, że nie zauważyła, kiedy doszły do domu. Opowieść o czarnym piątku wywołała przykre wspomnienia z czarnej soboty. Szykowali się z Oskarem na bal „Tiramisu” i już od południa w mieszkaniu panował niezły rozgardiasz. Nawet się specjalnie nie sprzeczali, co w tamtym okresie było rzadkością. Na czas przygotowań zakopali topór wojenny i zastanawiali się, kto ze sław będzie na balu, a kogo zabraknie. W każdym razie zapowiadało się wiele znakomitości ze świata show-biznesu, co było dodatkową atrakcją. Łucja obiecała Kindze, że zajmie się angielską dziennikarką, która po polsku umiała powiedzieć jedynie: „Dzyn dobre”, „cholera” i „gófno”. Chodziło o to, żeby ustrzec Angielkę przed polszczyzną nieobyczajną, królującą ostatnio także na salonach.

Kiedy zadzwonił telefon, Łucja kończyła malować paznokcie, więc Oskar podniósł słuchawkę. Telefon stał w przedpokoju, a w pokoju słychać było szlochy. Nie Oskara oczywiście, lecz jego rozmówczyni. Łucja od razu zorientowała się, że coś jest nie tak. O Ciechocinku nawet nie pomyślała. Jej podejrzenia kręciły się wokół licznej

rodziny Oskara. Kiedy objął ją i przytulił, zaczęła płakać awansem. Powiedział: „Łucjo, chyba stało się coś bardzo złego. Dzwoniła sąsiadka Bogny i tak płakała, że niewiele zrozumiałem. Czy jej mąż też miał na imię Daniel?” Tak powiedział. Zapamiętała każde słowo. Natychmiast zadzwoniła do Doški. Rzeczywiście nie dało się z nią rozmawiać, jednak wykrztusiła wreszcie, że Daniel nie żyje, Bogna jest w areszcie, a Władek też nie żyje. Zabrzmiało tak, jakby Bogna ich obojgu zamordowała. Po takiej porcji makabry Łucja musiała jeszcze pójść na bal, znaleźć opiekuna dla angielskiej dziennikarki i zdążyć na pociąg do Ciechocinka. Zatrzymała się u Doški, bo mieszkanie Bogny było opieczętowane.

– Co tak zamilkłaś? – zainteresowała się Baśka.

Zdążyła już przygotować kolację i nakryć do stołu, a Łucja wciąż stała w oknie zamyślona i nieobecna.

– Retrospekcja – mruknęła. – Pip mi strasznie namieszał w głowie. Najgorsze, że on może mieć rację z Ziemkiem. Jak myślisz, ma rację?

– Wolę wierzyć wynikom śledztwa – powiedziała zdecydowanie Baśka. – Namnożycie z Pipem morderców i potem będziecie musieli ich wystrzelać. Sprawiedliwość powinna zatriumfować, przynajmniej w filmie.

– Ja się zastanawiam naprawdę, nie na użytek filmu.

– Nie odbieraj chleba Patrykowi, bo ci Ewelina oczy wydrapie. A poza tym z Pipa taki detektyw, jak z koziej dupy trąba. Powiedziałaś mi, że Daniel dał ci na przechowanie coś, co należało do Ziemka. Nie wiem, co by to mogło być: szalik, skafander, slipy, paczka prezerwatyw, ale na pewno nie listy Mili. Już ty lepiej nie oddawaj tych listów Ziemkowi, dobrze?

– Nie mów, rozegrałam tę scenę po mistrzowsku. Może trochę nielogicznie wyszło, na szczęście Pip się nie zorientował. Przecież on mi kupę rzeczy powiedział.

– Tak naprawdę ważna jest jedna informacja, że gabinet był zarejestrowany na Daniela. Tego, przyznam się, nie rozumiem.

– A rozwód? A odbicie kumpłowi dziewczyny tuż przed ślubem? A ciąża tej małej?

- Ojejku, w moich stronach mówią: każdy orze jak może. Daniel orał na niwie erotycznej, to musiał odbijać dziewczyny, łaski nie robił. Kumpel, nie kumpel, co mu tam.
- A jednak chciałabym pogadać z Ziemkiem i Milą.
- Razem?
- Niekoniecznie. Może być z osobna. Nawet nie wiesz, jak mnie ta sprawa wciąga.
- I to mnie właśnie martwi – mruknęła Baśka.

Ewelina bardzo starannie przygotowała się do wizyty. Stół nakryła białym obrusem, na stole ustawiła szklany talerz z szarlotką własnej roboty i całkiem niepotrzebnie powiedziała, że zrobiła ciasto według przepisu Daniela. Łucja z miejsca zobaczyła kuchnię w domu siostry i Daniela obierającego jabłka na szarlotkę, której już nie zdążył upiec. Z grzeczności wzięła jeden kawałek. Próbowanie odłożyła na później. Ewelina zachowywała się z wielką swobodą, czego Łucja nie mogła powiedzieć o sobie. Siedziała skulona jakby w oczekiwaniu na uderzenie zniecka. Coś ją wyraźnie odpychało od dawnej koleżanki, chociaż Ewelina mówiła o sprawach całkiem obojętnych: o swoim mieszkaniu, trochę o pracy i dużo o powodzeniu wśród mężczyzn. Przepadali za nią zwłaszcza kuracjusze, co drugi próbował się umawiać, co któryś przynosił kwiaty albo czekoladki. Na dowód wyciągnęła opakowanie wiśni w likierze. Łucja pokręciła głową. Dla niej luksusowe słodczyce mogły nie istnieć, byle miała pod ręką nadziewane landrynki i żelki.

- Zawsze byłaś dziwaczką – zauważyła Ewelina.
- Nigdy nie byłam dziwaczką.
- Byłaś, tylko nie wiedziałaś o tym.
- Zaprosiłaś mnie, żeby mi o tym powiedzieć?

Ewelina natychmiast zmieniła temat na bardziej bezpieczny i zaczęła opowiadać o plotkarskim środowisku małego miasteczka. „Człowiek nigdy nie wie, kto go podgląda”, mówiła, „Czuję się osaczona, ale nie wyjadę, bo kocham to miasto”. Łucja coraz bardziej żałowała, że zamiast spacerować teraz z Baśką po Ciechocinku, słucha, jak Ewelina sama sobie zaprzecza.

- A jak tam miewa się Bogna?

Pytanie z gruntu niewinne wprawiło Łucję w zdumienie.

– Muszę cię rozczarować – powiedziała. – Bogna czuje się świetnie. Doszła już do siebie i wygląda kwitnąco. Urody można jej tylko pozazdrościć.

– Bo ja wiem? – zastanowiła się Ewelina. – Takie delikatne cery są bardzo podatne na zmarszczki. Nie powinna się tyle śmiać, zwłaszcza, że nie ma powodów.

Łucja poczuła się usatysfakcjonowana. Wstawka o urodzie Bogny była zwykłą szpilką, która, jak widać, ukłuła zazdrośnicę boleśnie. Ewelina należała do dziewczyn, które z urodą nie miały nic wspólnego. O takich można powiedzieć, jeżeli ktoś ma ku temu powody, że są miłe, ewentualnie inteligentne. Wszystko, co ponadto, byłoby już przesadą. Nie chodziło nawet o detale, brzydką cerę czy zbyt wydatny nos, tylko o wrażenie ogólne.

– Nie musisz na każdym kroku podkreślać, jak bardzo nie lubisz Bogny – powiedziała spokojnie Łucja. – To widać bez podkreślania.

– Mam swoje powody. Chociaż masz rację, może powinnam jej współczuć? Tylko nie umiem, wiesz? Jak sobie pomyślę, że jedyny mężczyzna, na którym jej zależało, wybrał mnie, to odczuwam taką satysfakcję, taką radość, że nie da się tego wyrazić.

– Bognie zależało na Patryku? – zdziwiła się Łucja.

– Nie mieszaj tu Patryka! Patryk to rozsądek i nadzieja na spokojne, nudne życie. Ja mówię o mojej wielkiej miłości, o Danielu!

– Twarz Eweliny pokryła się czerwonymi plamami. – Byliśmy potajemnie zaręczeni – wyznała.

Łucja obiecywała sobie, że niczemu już nie będzie się dziwić, przynajmniej niczemu, co dotyczyło Daniela. Po wyznaniu Eweliny skamieniała jednak z wrażenia.

– To on nie zaręczył się z Milą? – wybąkała.

– Masz na myśli tę małą puszczalską od Ziemka? Nie żartuj! Daniel rzucił plotkę w lud, żeby odwrócić uwagę od nas, a przy okazji dogryźć Ziemkowi. Tak naprawdę, to tylko Bogna wiedziała, co jest grane.

– Bogna wiedziała?

– A jak myślisz, czemu wygryzła mnie z sanatorium? Ona jest gorsza niż pies ogrodnika: sama nie zeżre i drugiemu nie da. Mąż to

jest własność, rozumiesz? Przydzielona, pokwitowana własność. Żebyś ty słyszała choć połowę tego, co on mi opowiadał, zmieniałabyś zdanie o Bognie.

– Raczej o Danielu – powiedziała ze złością Łucja. – Moja babcia miała takie powiedzonko: „Szczeka poza domem, bo w domu się boi”. Do Daniela pasuje jak ulał.

– Nie gadaj! W domu, przy Bognie, on się nie wychylał. I dobrze. Ty wiesz, że twoja Bogna zmuszała chłopaków do nierządu. Zmuszała, rozumiesz? Osobiście napędzała im klientki. Wiem o tym nie tylko od Daniela. W końcu pracowałyśmy razem, więc to i owo się słyszało. Pip z tym drugim płacili jej regularny haracz.

– A jak się rozliczali? Hurt, ryczałt, detal? Wyobrażasz sobie, że Bogna prowadziła rejestr?

– Nie Bogna, tylko jej wspólnik. Szkoda, że nie przyniosłaś tych papierów, które Daniel dał ci na przechowanie, miałybyś czarno na białym. Prawdę mówiąc, nie rozumiem dlaczego Daniel...

– Nie musisz rozumieć.

– A mogłabym zobaczyć te... – Ewelina z trudem oblizwała wyschnięte wargi.

– Nic z tego. Leżą u mnie w zaklejonej kopercie – odpowiedziała zdecydowanie Łucja.

Po raz drugi w czasie tej męczącej rozmowy poczuła wielką satysfakcję. Była zachwycona, że Ewelina tak gładko połknęła haczyk z cudzej wędki, chciała nawet pójść za ciosem i przy okazji spytać o stawki Pipa. Nie była pewna, czy Ewelina mu płaciła, ale stawki powinna znać, skoro powierzali sobie największe, cudze tajemnice. Uspokoila się trochę. Już nie bała się ciosu zniecka, bo to ona, Łucja, trzymała w ręku nitki rozmowy.

– Daniel też płacił Bognie haracz? – spytała, żeby przerwać kłopotliwe milczenie.

– Myślisz, że Daniel oblatywał te wszystkie niewyżyte babska? – oburzyła się Ewelina. – O to właśnie chodzi, że ona nie mogła Daniela do niczego zmusić, dlatego próbowała zrobić z niego wariata, maltretowała go psychicznie...

– Sądziłam, że go biła.

– Mnie by to nie zdziwiło. Jeśli chodzi o Bognę, jestem gotowa uwierzyć, że biła Daniela, przypiekała żelazkiem i zamykała na noc w lodówce. No, a na ostatku sięgnęła po nóż. Jeśli chcesz wiedzieć, to też wiem od Daniela. Nie patrz tak, nie zgłupiałam. Tamtego piątku byliśmy umówieni na cały weekend. Daniel miał przyjść do mnie wieczorem i zostać. Coś mnie kopnęło, zadzwoniłam do niego, żeby się podroczyć, tak zwyczajnie po babsku. Mówiłam, że nie wiem, czy chcę, żeby przychodził, on się śmiał, wiesz, jak to jest w takich sytuacjach. W pewnym momencie przerwał, powiedział, że słyszy zgrzyt klucza, że widzi przez szybę żonę, i że za godzinę u mnie będzie. Rozłączył się, a ja spojrzałam na zegarek. Była piąta za dziesiątą. Daniel zginął o piątej.

– Nie powiedziałaś o tym w czasie śledztwa ani później Patrykowi?
– zdziwiła się Łucja.

– Śledztwo toczyło się poza mną, nikt mnie nie przesłuchiwał, bo niby z jakiej racji? A Patryk? Dziewczyno, ja bym na głowie stanęła, żeby on nawet się nie domyślił, że coś mnie łączyło z Danielem! Od tamtej pory nie mogę się pozbierać. Mam potworne wyrzuty sumienia, że tak podle stchórzyłam. Osądzili Bogu ducha winnego chlajusa, a prawdziwy sprawca cieszy się wolnością. To tak, jakbym zdradziła Daniela, rozumiesz? Jesteś pierwszą osobą, której powierzyłam swoją tajemnicę.

Łucja wyszła od Eweliny z mniejszym zamętem w głowie, niż mogła się spodziewać. Nie uwierzyła nawet w to, że była pierwszą i jedyną osobą, której Ewelina opowiedziała o romansie z Danielem. Sam romans wydał jej się nedorzecznnością. Ewelina może była łatwa do zdobycia, lecz trudna do zniesienia, Daniel z kolei był zbyt wygodny, by pchać się w taki związek. O winie Bogny w ogóle nie myślała, za to sporo o dyskrecji Pipa. Szła szybko, żeby jak najprędzej znaleźć się w domu. Dopadła furtki, szarpnęła za klamkę i przestało jej się śpieszyć. Bogna z Bašką gdzieś pognały, furtka była zamknięta, a ona zapomniała o kluczach. Mogła udawać posąg przed domem albo wpaść na plotki do Dośki. Wybrała plotki.

Dośka nie była w najlepszym humorze. Ledwie zauważyła, że Łucja ma nową, odlotową sukienkę. Na buty prawie nie spojrzała.

– Stało się coś? – spytała Łucja.

– Co się miało stać, to już się stało – zauważyła filozoficznie Dośka. – Wydatki się szykują, pomnik Władkowi będą stawiała.

– Lepiej wstaw sobie zęby i zadbaj o dzieciaki! – fuknęła Łucja.

– Zęby też potrzebne – zgodziła się Dośka – ale wiesz, jak to jest. Nie masz zębów, to twoje zmartwienie, a jak nieboszczykowi nie postawisz pomnika, to już ludzkie zmartwienie. Mam dosyć tego obszczekiwania, postawię galanty nagrobek z marmuru, niech ma chłopina. Wart był tego.

– Jasne! Za życia nie był wart złamanego grosza, ledwie umarł, od razu poszedł w cenę. Teraz to nawet najpiękniejsze włoskie marmury za kiepskie dla niego. Szkoda, że od początku małżeństwa nie trzymałaś go na jakimś ogromniastym cokole, z którego bałby się zleźć. Może wtedy mniej byłoby nieszczęść.

Dośka zaprotestowała wyjątkowo energicznie. Od śmierci Władka minęło pół roku, najwyższy czas, żeby zapomnieć o tym, co złe, a wbić sobie w pamięć to, co dobre. Dobrych chwil nie było tak wiele, ale jak je wszystkie do kupki zebrać, to zawsze trochę się uciula. A choćby to, że w narzeczeństwie zabrał ją na karuzelę. Albo to, że kiedyś dzieciakom po całej czekoladzie przyniósł. W firmie też nie narzekali na niego, bo po pijaku nie siadał na walec. I wśród sąsiadów miał poważanie. Za parę groszy ogród skopał, gnoju nawiózł albo i płot ustawił. To prawda, że potem przepił co do grosza, jednak intencje liczą się najbardziej. W domu mniej się udzielał, choć kiedy trzeba było piec od centralnego naprawić, to fachowca znalazł. Dzieciaków nie bił. Czasem tam którego potarosił trochę i zaraz puszczał. Gdyby tylko za butelkę tak często nie chwycił, byłby całkiem normalnym facetem.

Łucja słuchała i uszom nie wierzyła. Nigdy wcześniej Dośka aż tak bardzo nie rozczulała się nad Władkiem. Czasem w ogóle nie musiała nic mówić, bo wystarczyło spojrzeć na jej siniaki, by docenić mężowską dobroć.

– Rób, jak uważasz – wzruszyła ramionami. – Ja na twoim miejscu najpierw pomyślałabym o dzieciakach i o sobie.

Dośka pochyliła się nisko nad stołem i zaczęła chlupać. Bezradnie pociągała nosem, aż nie dało się tego słuchać.

– Obraziłam cię? – spytała zaskoczona Łucja. – Przepraszam, nie chciałam. Nie płacz!

– Żebyś ty wiedziała, żebyś wiedziała, co mnie naprawdę gniecie!
– zaniósła się szlochom i nie mogła wydusić już ani słowa.

– Co takiego?

Łucja objęła chude plecy Dośki, próbowała ją przytulić i uspokoić.

– Nawet na spowiedzi tego nie wyznam, nawet księdzu nie powiem – łkała Dośka.

– No, już dobrze, dobrze. – Łucja przemawiała łagodnie jak do dziecka.

Dośka uspokoiła się w końcu, wytarła nos i oczy, ale więcej do swojej tajemnicy nie wracała. Pogadały sobie tak ogólnie, o cenach owoców i o psotach małego Sebastiana. W sieni Łucja natknęła się na Kornikową. Odniosła nawet niemiłe wrażenie, że matka Dośki podsłuchiwała pod drzwiami.

– Znowu płakała? – spytała szeptem Kornikowa.

– Trochę – przyznała Łucja.

– Wszystko bez Władka, dobrze mówię? Wszystko bez niego. Za życia ją tłukł, a teraz taką wielką tęsknotę poczuł, że ani go z chałupy wygonić. Paraduje po domu, gasi światła... Wczoraj mi sekator schował. Podpowiadam Dośce, żeby mu pomnik postawiła, to może się udobrucha, jak pani myśli?

Łucja zwątpiła nie tylko w myślenie Kornikowej, ale także Dośki. Wściekała się w duchu na babską głupotę, która kazała dwu dorosłym kobietom roztkliwiać się nad draniem tylko dlatego, że był uprzejmy umrzeć. Przecisnęła się zgrabnie przez dziurę w płocie, zrobiła krok i poczuła, że coś ją trzyma za sukienkę.

– Puszczaj, Władek! – mruknęła.

Usłyszała suchy odgłos dartego materiału i była wolna. Dopiero w domu, przy świetle, obejrzała dokładnie rozmiar swojej straty. Pęknięcie na dole sukni wyglądało okropnie i, co najgorsze, nic z nim nie można było zrobić.

– Szarpałaś się z kimś? – spytała zdziwiona Bogna.

– Z Władkiem – odpowiedziała Łucja zgodnie z prawdą.

Bogna zakręciła kółko na czole.

Wyjazd do Torunia wyskoczył całkiem nagle. Rano zadzwonił Steve. Turystyczna ciekawość przywiodła go właśnie do Torunia, zachwyił się miastem i zaplanował kilkudniowy postój. Gorąco namawiał Łucję na spotkanie. Umówili się o czternastej przed ratuszem.

Łucja poszła budzić Baškę.

– Wstawaj, śpiochu, czeka na nas uroczy mężczyzna! – zawołała, ściągając kołdrę z przyjaciółki.

Trochę się z tą kołdrą siłowały, bo Baška nie miała ochoty wyłazić z łóżka. Trzymała narożnik i próbowała bronić swojego prawa do snu. Miała w nosie wszystkich facetów, zwłaszcza tych z kręgu Łucji i wcale się z tym nie kryła.

– On nie czeka na mnie, tylko na ciebie. Nie zabiera się bezkarnie pięknych... co ja mówię... prześlicznych przyjaciółek nie zabiera się na randki, bo mogą... Nie wiem, co mogą, puszczaj kołdrę, bo chcę spać!

Zwinęła się w kłębek i wyglądało na to, że naprawdę nie dźwignie pupy z łóżka przed czternastą. Kiedy jednak Łucja zaczęła ją łaskotać, zmieniła zdanie.

Pojechały stopem, na łebka, bo to był najprostszy sposób dostania się do Torunia. Trafił im się citroen berlingo z radosnym facetem za kierownicą, przechichotały całą drogę i rozbawione wysiadły na parkingu pod mostem. Do czternastej było jeszcze sporo czasu. Połaziły po deptaku, pozagłądały do sklepów przy Szerokiej, wreszcie klapnęły pod parasolem, w ogródkowej kafejce. Przy szklance soku pomarańczowego Baška przypomniała sobie, że wieczorem będzie leciał w telewizji film Oskara. Łucja aż podskoczyła z wrażenia.

– Dopiero teraz mi mówisz! Skąd wiesz?

– Ciesz się, że w ogóle sobie przypomniałam. Wczoraj Oskar wyciągnął mnie spod prysznic, strasznie ze mnie kapało i nie miałam głowy do rozmów. Ledwie co słyszałam.

– A jednak skończył! – westchnęła Łucja.

W głębi duszy gryzła ją zazdrość, do której wołała się nie przyznawać nawet przed sobą. Pogrążona w niewesołych

rozważaniach zapomniała o Stevie i spotkaniu. Minęła go i pociągnęła Baškę dalej. Ocknęła się dopiero, kiedy chwycił jej rękę.

– O, Steve! – wykrzyknęła z takim zdziwieniem, jakby był ostatnią osobą, którą spodziewała się zobaczyć przed toruńskim ratuszem.

Przytulił ją i ucałował w obydwie policzki. Baška przy powitaniu dygnęła jak grzeczna pensjonarka przed profesorem. Zrobiła to celowo, na złość Łucji, i natychmiast oberwała kuksańca w bok. Steve wyglądał znakomicie. Górską opalenizną ładnie kontrastowała z jasnym garniturem. Pachniał tak oszałamiająco, że Łucja z trudem powstrzymywała się, żeby go nie obwąchiwać. A jednak stęskniłam się, pomyślała ze zdziwieniem.

– Jak tam twój scenariusz? – spytał.

Machnęła ręką. Za dużo było do opowiadania jak na jeden raz. Gdyby siedział w Ciechocinku, znałby każdy szczegół na bieżąco, jak Baška.

– Całkowicie opuszczona przez natchnienie, jakby powiedział poeta, wrywam sobie z głowy włosy, brwi, rzęsy i inne rzeczy. Szkoda gadać, bo nie ma o czym. Wciąż jestem na etapie zbierania i porządkowania materiałów.

Machnęła ręką po raz drugi. Zapomniała już, że Steve nie dawał się zbyć byle gestem. Zawsze w zanadrzu miał pytania pomocnicze i korzystał z nich w miarę potrzeby.

– Pytałem o scenariusz – przypomniał.

– Jedno wiem na pewno: to nie będzie poetycki film w duchu Kolskiego o urodzie życia na prowincji ani o wielkiej miłości dwojga dobrotliwych cudaków. Jednego cudaka co prawda mam, ale do poetyckiej wizji się nie nadaje. Mogę nakręcić film o stracie złudzeń, głupocie, pazerności, bo ja wiem, o czym jeszcze? Moja przyjaciółka odwodzi mnie od tego pomysłu i pewnie ma rację Steve spojrzał na Baškę.

– Nie podoba ci się ta koncepcja? – spytał.

– Ani trochę! – odpowiedziała bez cienia pensjonarskiej pokory. – Ten film uderzy bezpośrednio w jej siostrę. Nieważne, czy bohaterka będzie miała na imię Daria, Agata czy Hermenegilda, dla znajomych zawsze będzie Bogną. Dla samej Bogny też.

– To są argumenty pozaartystyczne. Twórca nie może się zastanawiać, czy kogoś uszczypnie, bo nigdy nie stworzy dzieła.

– Znalazłoby się parę prawdziwych dzieł, w których reżyserzy nie szczypią swoich sióstr – odpowiedziała Baśka.

Łucja nie bez zdziwienia zauważyła, że ta dwójka bliskich jej ludzi nie przypadła sobie do gustu. Steve mierzył Baškę posępnym spojrzeniem, ona patrzyła gdzieś w bok i udawała, że jej w ogóle nie ma.

– Chcesz, Łucjo, znać moją opinię? – spytał. – Pracuj i nie rozglądaj się na boki. To ma być twoja koncepcja i twoje dzieło. Jeżeli trzeba iść pod prąd, nie wahaj się, bo prawdziwa sztuka wymaga poświęceń.

– A jeżeli skończę jak Lutek Danielak z *Wodzireja*? Osiągnę wątpliwy sukces, a stracę przyjaciół, siostrę i wyjdę na świnię? – spytała.

– Musisz wygrać. Wygranych się podziwia i nie pyta o racje.

W drodze powrotnej trafił im się rozklekotany mere i strach było otworzyć buzię, żeby nie przyciąć sobie języka. Baśka milczała zawzięcie.

– Na następne randki, przynajmniej ze Steve'em, będziesz chodziła beze mnie – oznajmiła już w domu.

Nie chciała powiedzieć, co ją zraziło ani dlaczego Steve wzbudził w niej aż taką niechęć. Czasem potrafiła być niesamowicie uparta, a wtedy wszystkie argumenty odbijały się od niej niczym gumowe piłeczki od ściany. W końcu Łucja dała za wygraną. Była umówiona w Toruniu dopiero za dwa dni, a do tego czasu wiele się mogło zmienić. Oczywiście wolała jechać z Bašką, choćby dlatego że we dwie bezpieczniej było podróżować okazją. Poza tym ze Steve'em nie łączyły jej żadne tajemnice, o których przyjaciółka nie mogłaby wiedzieć. Obiecała sobie, że przez te dwa dni popracuje nad Bašką.

Trudno powiedzieć, czy film Oskara cieszył się w całej Polsce takim zainteresowaniem jak w Ciechocinku na ulicy Traugutta. Na piętnaście minut przed projekcją trzy dziewczyny zasiadły przed telewizorem, żeby w skupieniu smakować dzieło debiutującego reżysera. Najpierw jednak musiały przebrnąć przez reklamy. Baśka

z Bogną pękały ze śmiechu, bo obydwie uwielbiały poetyką reklam, zwłaszcza tych z ambicjami artystycznymi. Bogna mówiła coś o opadaniu rąk i majątek, Baśka zachwycała się głębią czyjegoś spojrzenia, a Łucja milczała. Nie docierały do niej odgłosy zewnętrzne, była nastawiona tylko na odbiór filmu.

Pojawiły się napisy. Niecierpliwe „ciiii” Łucji przywołało do porządku Bognę i Baškę. Jeszcze coś tam szeptały, jeszcze się wygodnie mościły, wreszcie zaległa cisza. Pierwsza scena: wnętrze łazienki. Takiej zwykłej, zagraconej, najprawdopodobniej rodem z blokowiska. W wannie młoda kobieta, nawet niebrzydka. Na brzegu wanny suszarka do włosów. Zbliżenie, kamera pokazuje suszarkę, potem przewód i gniazdko. Kobieta namydla ręce i pełne piersi.

– No, krzycz! – wrzasnęła histerycznie Łucja. – Krzycz: „Jurek, umyj mi plecy?”

Kobieta jeszcze przez chwilę z lubością pociera ciało gąbką.

– „Jurek! Umyjesz mi plecy?” – krzyczy, ale nie tak histerycznie jak Łucja.

Bogna z Bašką gwałtownie się poruszyły.

– Widziałaś ten film wcześniej? – spytała zaskoczona Baśka.

– Nie! – wrzasnęła Łucja. – Ale jeżeli chcecie, mogę wam opowiedzieć scenę po scenie, co będzie dalej. Zaraz wejdzie mąż, Jurek Burak, i spyta, co babka miała w szkole z fizyki. Uważajcie dobrze.

W drzwiach do łazienki staje mężczyzna. Zwykły facet ani przystojny, ani pokraczny. Podwija rękawy koszuli.

– „Czy ty, kurwa, musisz tak kusić los?” – pyta. – „Ile razy cię prosiłem, żebyś nie suszyła włosów w wannie? Nie uczyli cię w szkole fizyki?”

– A nie mówiłam! – triumfowała Łucja. – Rozbudowałam tekst do trzech pytań i wyszła łopatologia. Ten złamany flazolet spieprzy nawet to, co dobre!

– Kto go gra?

– Taki jeden, ale ja nie o nim! Aktor gada to, co mu Oskar dopisał. Do mojego scenariusza dopisał, rozumiecie? To mój scenariusz. Mój! Ten, którego na próżno szukałam w laptopie. Moja wprawka scenariuszowa – krzyczała coraz głośniej. – Ja go zabiję! Co drugie

słowo „kurwa”. Przecież ja to pisałam jeszcze przed *Dniem świra*, skąd mogłam wiedzieć, że to jest codzienny język nauczycieli?

Akcja filmu rozkręcała się powoli, ponaglana wrzaskami Łucji. Wściekała się z zasady, ale pociągnięta przez Bognę za język musiała przyznać, że Oskar wniósł do jej scenariusza także własny wkład, nie tylko językowy. Z kilku scen zrezygnował, za to wlepił w środek aż trzy pościgi samochodowe. Ktoś gonił kogoś, ale trudno się było zorientować, kto, kogo i dlaczego. Jeden samochód rozkraczył się na latarni, drugi na płocie, trzeci uniknął szczęśliwie kolizji. Wlepił też scenę idioerotyczną w windzie. I znowu trudno się było połapać, dlaczego Jurek Burak, polonista i facet skądinąd całkiem normalny, rzuca się na swoją kochankę właśnie w windzie, na pół minuty przed wejściem do jej pustego mieszkania. Jeździli potem góra-dół, ku utrapieniu lokatorów: dwu staruszek i mężczyzny z jamnikiem. Kałuża u nóg mężczyzny świadczyła, że jeden z nich, pan albo jego pies, nie wytrzymał erotycznych igraszek Jurka i napaskudził na klatce schodowej. Ogólnie jednak Oskar uszanował koncepcję Łucji i nakręcił film kryminalny. Mordercą żony okazał się Burak, ten sam, który wcześniej, nie bez powodów, robił aluzje do oceny z fizyki. W odpowiednim momencie uruchomił suszarkę i wrzucił do wanny z wodą, w której moczyła się żona. Gładko wywinął się z rąk sprawiedliwości, lecz nie uniknął kary, wymierzonej przez współniczkę i kochankę. Tytułowa pływaczka uprawiała z nim seks tak długo, dopóki nie dorwała się do klejnotów po żonie i pieniędzy Buraka. Zaraz potem zaginęła w tajemniczych okolicznościach. Ostatni raz widziano ją pływającą w Świdrze. Kiedy więc nurkowie wyciągnęli z wody ciało dziewczyny, młody podkomisarz był pewien, że to ona, Burakowa pływaczka.

Scena finałowa, w której nie padło ani jedno słowo, ścinała krew w żyłach: Kamera najeżdża na zbolałą twarz Buraka, potem powoli przenosi się niżej. Na piasku stoją nosze ze zwłokami okrytymi prześcieradłem. Spod okrycia wysunęła się ręka. Dłoń, ozdobiona zielonymi paznokciami, spoczywa na piasku. Podkomisarz nachyla się, ujmuje rąbek prześcieradła i bez pośpiechu odsłania tors leżącej kobiety. Burak zamyka oczy, otwiera, potem długo, wnikliwie wpatruje się w bladą twarz Łucji. Kręci głową w prawo, w lewo. Tylko

zielone paznokcie przypominają mu ukochaną. Tylko te paznokcie. Panorama rzeki, szybki szwenk, rozmazanie obrazu i koniec.

Łucja wpadła w szal. Krzyczała, miotała się po mieszkaniu, nie chciała kropli na uspokojenie, tylko krwi Oskara. Jego warszawski telefon wciąż był zajęty. Albo reżyser odbierał gratulacje, w co nie wierzyła, albo odłożył słuchawkę.

Wreszcie, kiedy już straciła nadzieję, że dorwie zasrańca, jak go ochrzciła na własny użytek, sam zadzwonił. Telefon odebrała Bogna.

– Wybacz, że ci nie złożę gratulacji – powiedziała oschle.

Nic więcej nie zdążyła dodać, bo Łucja wyrwała jej słuchawkę z rąk. Nie panowała nad językiem, rzucała oskarżenia i słowa, wśród których „złodziej” brzmiało najbardziej cywilizowanie. Spokój Oskara doprowadzał ją do coraz większej furii. Z głębi mieszkania docierały wesołe i niezbyt już trzeźwe głosy ludzi, z którymi zapewne świętował swój sukces.

– Nie udowodnisz mi kradzieży – powiedział z nonszalancką beczelnością. – Ten scenariusz powstał w czasach, kiedy mieszkaliśmy razem. Mam prawo twierdzić, że to był mój scenariusz zapisany na twoim komputerze.

– Przecież wiesz, że nie był twój!

– Mam prawo twierdzić. A co do ostatniego ujęcia – roześmiał się – potraktuj je jako mój hołd za spędzone wspólnie lata. Dla mnie umarłaś.

Przerwał rozmowę, odbierając tym samym Łucji prawo do odpowiedzi. Nie darowała, uczepiła się aparatu, lecz numer Oskara znowu był zajęty.

10

Przez dwa dni Łucja nie nadawała się do życia. Siedziała zamknięta w pokoju, i dodatkowo w sobie. Baśka, choć zwykle miała na przyjaciółkę zbawienny wpływ, tym razem rozkładała ręce i bezradnie patrzyła na Bognę. Powinna już wracać do domu, szykować się do wyjazdu na Capri, jednak nie mogła i nie chciała zostawiać Bogny samej ze sparaliżowaną umysłowo siostrą.

Łucja po raz pierwszy zaważyła termin opowiadania dla „Tiramisu”, a przy okazji ostro ścięła się z Kingą. Naczelną chciała być grzeczna i gratulacje dla Oskara złożyła na ręce Łucji. Film tak jej się spodobał, że przewidywała rozmowę z reżyserem na łamach pisma. Nazwała Oskara pięknym facetem w typie czytelniczek „Tiramisu”. Całkiem poważnie zastanawiała się, gdzie go sfotografować: w Łazienkach czy raczej w domu, przy biurku.

– A może to ty przeprowadzisz z nim rozmowę! – zawołała zachwycona swoim pomysłem. – Kto lepiej pogada z reżyserem jak nie inny reżyser!

– Mój adwokat! – powiedziała twardo Łucja. – Jeżeli wywiad z tym złamanym flażołem ukaże się na waszych łamach, zrywam współpracę.

– Oj, chyba przeginasz! Nie znoszę, jeżeli ktoś próbuje dobierać mi rozmówców.

– To całkiem jak ja. Też nie znoszę, jeżeli ktoś każe mi rozmawiać z chamami, którzy kradną mi scenariusze i bezprawnie wykorzystują mój wizerunek.

Kinga zasepiła się, przypomniawszy o zaważonym terminie opowiadania i szybko skończyła rozmowę. Łucja nie musiała zbytnio wysilać wyobraźni, by zobaczyć naczelną biegającą po redakcji w poszukiwaniu dziennikarki z jakim takim pojęciem o filmie. Tym

razem promocyjny gotowiec mógł nie wystarczyć. Reżysera z dużym dorobkiem można pytać o wszystko: o wędkowanie lub fascynacje kulinarne. Jest już znany, więc szkoda miejsca na omawianie tego, co czytelnicy mogą same zobaczyć na ekranie. Co innego jeżeli rozmówcą jest młody debiutant. Takiego wypadałoby jakoś przedstawić, przycisnąć fachowo i spytać o coś więcej niż tylko: „Skąd pan wziął pomysł na swój film?” Zresztą o cokolwiek by go spytały, i tak zdjęcie będzie najważniejsze. Jedno z haseł naczelnej brzmiało: „Piękni chłopcy na okładki”. Oskar miał szansę zabłysnąć.

Zaniepokojony Steve zadzwonił koło południa. Czekał na Łucję w umówionej kawiarni i nieźle się wystraszył, kiedy nie przyjechała. Jego myślami zawładnęli zboczeni kierowcy i piraci drogowi.

– Oglądałeś film? – spytała, nie zwracając sobie głowy przeprosinami.

– Oglądałem. Ma wszystkie wady debiutu: przegadany, słaba motywacja, brak spójności, aktorzy puszczeni samopas. Za to dobre plenery i niezła muzyka.

– Domyśliłeś się, że to mój scenariusz? Chciałeś go przeczytać i musiałam ci opowiedzieć, bo nie mogłam znaleźć? Baśce też opowiadałam. A widziałeś tego trupa w ostatniej scenie? Widziałeś?

– Jak na nieboszczkę wyszłaś całkiem ładnie, powiedziałbym: ślicznie.

– Do jasnej cholery, nie chciałam być nieboszczką! To były zdjęcia próbne, nic więcej. Głupi debil bredził o kultowej postaci! Cały film to jeden wielki kult kretyna! Ukradł mi scenariusz i na dodatek twarz.

– I kawałek biustu.

– Kpisz ze mnie? Uważaj, bo dzisiaj słabo chwytam żarty. Ja tego... ja go wykastrowuję!

– I co ci zostanie w garści? Pomyślałaś o tym? – roześmiał się niezbyt przejęty pogroźkami i złym humorem Łucji.

– A teraz posłuchaj: wyrzuć za okno wszystkie ostre narzędzia i przyjedź do Torunia. Porozmawiamy spokojnie.

– O Oskarze?

– O twoim filmie. Oskarowi należy się nauczka, ale nie taka prymitywna. Musisz go przebić, nie zabić i nie okaleczyć. Jedyne sposoby, jakie widzę, to nakręcenie filmu co najmniej dobrego, jeżeli nie bardzo dobrego. Oglądałaś *Sukces jest najlepszą zemstą* Skolimowskiego z Michaeliem Yorkiem? Niech ten tytuł będzie twoim mottem. Przyjeżdżaj, czekam!

Łucja nie miała ochoty nigdzie jechać. Była w takiej rozsypce psychicznej, że nawet nie przeszkadzały jej tłuste włosy. Posłuchała przez chwilę spokojnego głosu Steve' a i spłynęło na nią ukojenie. Bez wahania przyznała mu rację. Jeżeli chciała wziąć odwet na Oskarze, to nie łzami, nie rozpaczą, tylko filmem sto razy lepszym od *Pływaczki*. Steve w nią wierzył, ona też w siebie wierzyła, więc zamiast zastanawiać się, czy już osiągnęła dno, czy osiągnie za chwilę, powinna wziąć prysznic, umyć głowę i pojechać do Torunia.

Kiedy Baśka wróciła z zakupów, zastała w domu prawie rześką Łucję. Po jędzy kłującej gorzej niż oset nie było śladu.

– Biorę się do roboty – powiedziała. – W Toruniu spotkam się ze Steve'em i przy okazji odwiedzę matkę Daniela. Może powie mi coś nowego, czego jeszcze nie wiem.

– Myślałam, że odpuściłaś, że nie chcesz iść tropem Lutka, *nomen omen*, Danielaka? – zasmuciła się Baśka.

– Uwierz mi: nie chcę! Wiem jednak, że Steve ma rację. Mój film musi być bardzo dobry, a ja czuję, że właśnie taki materiał za moment będę miała w garści. Jeżeli zacznę się oglądać na boki... znowu przegram.

Poprawiła włosy, pomachała Baśce ręką i wybiegła.

O matce Daniela Łucja przypomniała sobie w czasie rozmowy ze Steve'em. On mówił, że Toruń, że spacer i taka knajpka na Szerokiej, ona słuchała, lecz przed oczami wciąż miała jedną kamienicę: szary tynk, niski schodek. Steve nadawał, Łucja błędziła myślami po ulicy Szerokiej. Kombinowała, co powie, jak się zachowa.

Tym razem pamięć do szczegółów nie bardzo się Łucji przydała. Odnowione elewacje sprawiły, że nie mogła się zdecydować, na które drzwi powinna przypościć szturm. Z godzinę błąkała się od domu do domu i sprawdzała nazwiska lokatorów przy domofonach. Na

szczęście matka Daniela nie chroniła swojej prywatności, więc w końcu Łucja stanęła pod właściwymi drzwiami. Spodziewała się ujrzeć kobietę taką, jaką pamiętała jeszcze z pogrzebu, a więc w sile wieku, o kolumnowej figurze, czyli z grubsza równej w biuście i talii. Drzwi otworzyła przygarbiona chudzinka w czerni. W mizernej twarzy błyszczały oczy syna, tylko trochę jaśniejsze, bo splekane.

– Łucja, mówisz? Oczywiście, że pamiętam.

Pokiwała głową z wielkim smutkiem. Na widok czerwonej różyczki nieco się rozpogodziła. Nie chciała wystraszyć gościa. Młodzi ludzie bywali w jej domu coraz rzadziej.

Listonosz był młody, ale widywała go raz na miesiąc, pielęgniarka od zastrzyków też była młoda i nawet przychodziła częściej, tylko nie miała czasu na rozmowę.

– Młodzi nie lubią starości – szepnęła ze smutkiem.

Nigdy wcześniej Łucja nie uważała jej za staruszkę.

Chciała powiedzieć coś miłego i nie wiedziała co. Wyświechtany komplement: „Świetnie pani wygląda”, nie wchodził w rachubę.

Na stole pojawiły się maleńkie filiżanki z cienkiej porcelany i ciasteczka trzymane specjalnie dla gości, trochę twarde i wyschnięte. Łucja musiała odpowiedzieć na kilka podstawowych pytań: co robi, gdzie pracuje, czy wyszła za męża.

– Samej źle na świecie, dziecinko. Powinnaś się rozejrzeć za jakimś ładnym chłopcem. Jesteś taka śliczna, to i chłopca musisz mieć pięknego, żeby dzieci miały po kim urodę dziedziczyć – mówiła.

Ledwie wspomniała o dzieciach, westchnęła ciężko, zamyśliła się i odpłynęła w siebie.

– Kiedyś na pewno pomyślę o mężu i dzieciach – obiecała Łucja, bo nic mądrzejszego nie przyszło jej do głowy.

– Koniecznie – powiedziała matka Daniela. – Mnie tak bardzo żał Bogny. Gdyby Danuś dał jej dziecko, gdyby mógł dać... nie byłaby taka samotna. A przecież tak się kochali! Wiesz, nie mówiłam tego jeszcze nikomu, ale tobie powiem. Początkowo to ja myślałam, że Bogna nie umie z Danusiem postępować. Do mężczyzn trzeba podchodzić z łagodnością, dużo im wybaczać, nie zaszkodzi nawet, jak się ich trochę porozpieszcza. Mówiłam Bognie: „Popatrz,

dziecko, jak przyjdzie zawierucha, wojna jaka, to kto pójdzie nas bronić, jak nie nasi mężczyźni?” Śmiała się i mówiła: „Mamo, w razie zawieruchy, nasz Daniel zadekuje się na tyłach wojska i będzie robił interesy w kuchni albo w kasynie!”

Powiem ci, miałam do niej żal. Teraz myślę, że dobrze mówiła. On był taki delikatniutki, taki prawie dziewczęcy, szkoda by go było na pierwszą linię. A ty jak myślisz?

– Zgadzam się z panią.

– To dobrze. Gdyby Danuś mógł jej dać dziecko, inaczej wszystko by się ułożyło. Czy ty wiedziałaś, że świnka to taka straszna choroba? Jak będziesz miała synów, chroń ich przed świnką.

– Podobno wszystkie dzieci muszą przejść świnkę – zaprotestowała słabo Łucja.

– Podobno. Ale Danuś miał już osiemnaście lat i o mało nie umarł. Wirusowe zapalenie gonad w przebiegu świnki... Wiesz, co to znaczy dla matki jedyńaka? To znaczy, że nigdy nie zobaczy swoich wnuków. Pił trochę, wiem, że pił. On tak bardzo kochał dzieci.

Łucja z ulgą wybiegła na słoneczną ulicę. Rozumiała wszystko i nic. Nigdy co prawda nie rozmawiała z Bogną o dzieciach, jednak tkwiła w przekonaniu, że to siostra z jakichś powodów nie mogła zajść w ciążę, dlatego biegała wciąż od lekarza do lekarza.

Szła szybko i ocknęła się dopiero przy pomniku Kopernika. Musiała zawrócić, żeby odszukać knajpkę, w której umówiła się ze Steve'em.

– Coraz dłużej każesz na siebie czekać – powiedział z wyrzutem.

– Niepunktualność to moja namiętność, w nagrodę wyrosną mi ośle uszy. Jesteś zadowolony?

Nie był, bo spodziewał się słowa „przepraszam”, a to, co usłyszał do niczego mu nie pasowało. Łucja nie miała głowy, żeby opowiadać o „Strasznym końcu spóźnialskich”. Była nafaszerowana wiadomościami i musiała je z siebie wyrzucić jak najprędzej. Tym razem Steve mógł tylko słuchać. Nie dała mu szansy na wciśnięcie choćby jednego znaku zapytania, niczego, co przerwałoby potok słów. Porządkowała zebrany materiał, żeby przy okazji pozbyć się kilku niejasności. Dotarła do etapu, kiedy mogła powiedzieć głośno, że małżeństwo siostry było z gruntu nieudane i trwało dzięki Bognie.

W tym związku jedynie ona kochała, on mówił, że kocha i żył po swojemu. Był chwiejnym, zdradliwym facetem, nie potrafił oprzeć się żadnej kobiecie: starej, młodej, brzydkiej, pięknej, żadnej. Z ładnymi sypiał dla przyjemności, z brzydkimi dla pieniędzy. Posunął się nawet tak daleko, że odbił koledze narzeczoną. Kiedy wyszło na jaw, że dziewczyna spodziewa się dziecka, po raz pierwszy głośno powiedział o rozwodzie. Zaraz potem zginął we własnym mieszkaniu. Co najmniej dwie osoby miały konkretny motyw, żeby go zabić: żona i kolega z pracy. Kto był mordercą, wiadomo: kumpel pijak.

W gardle jej wyschło, popiła łyk kawy i wreszcie spojrzała na Steve'a. Słuchał uważnie, bawił się łyżeczką i dopiero po chwili zdecydował się przemówić.

– Mieliliśmy rozmawiać o filmie, o twojej koncepcji, a tymczasem opowiadasz mi o nieudanym małżeństwie siostry. Zbyt kurczowe trzymasz się faktów, Łucjo.

– Bo chcę poznać prawdę. Jestem święcie przekonana, że ta historia ma drugie dno, do którego muszę dotrzeć, choćbyś nie wiem jak mnie odwodził.

– Ale co to ma wspólnego z twoim filmem?

– Pytasz, co prawda ma wspólnego z moim filmem? Wszystko... Poczekaj! W tej chwili wiesz tyle, ile ja, więc masz pewnie własną koncepcję... Masz?

– Do mnie kumpel pijak w ogóle nie przemawia. Jego motyw jest beznadziejny.

– Ależ Steve! Właśnie na tym zasadza się cała tragedia. Co najmniej dwie osoby miały poważne motywy: żona mogła chcieć się zemścić za wieczne zdrady, kumpel za uwiedzenie narzeczonej, a bohater ginie całkiem bezsensownie. On już nie jest alkoholikiem, z tego jednego nałogu się wyleczył, ginie zaś z ręki byłego kumpla, z powodu wódki, której naprawdę nie miał w domu. Dla mnie kapitalna sprawa. No dobrze... rozgrywaj dalej.

Poprawił się w krześle, spojrzał uważnie na Łucję.

– Kolega z pracy i żona są w zмовie – powiedział powoli. Nie zareagowała, więc ciągnął dalej. – Może nawet coś ich łączy, w każdym razie chcą się pozbyć głównego bohatera. Pijak przychodzi

po fakcie, jest jedynym świadkiem, wpada w panikę, zaczyna uciekać. W szoku myli kierunki, zamiast do swojego domu, pędzi na oślep. Niesie go przez całe miasto aż na drogę wylotową. Nie wykluczam, że ktoś biegnie za nim, na przykład ten kolega, młody facet, sportowiec. Jest ślisko, pijak wpada pod samochód. Czy to rozwiązanie nie wydaje ci się ciekawsze?

Łucja słuchała z pobladłą twarzą. W jej oczach dostrzegł strach.

– Uspokój się, to tylko moja hipoteza, rozwiązanie równoległe do twojego. Masz prawo je odrzucić.

– Hipoteza? Równoległe rozwiązanie? W co ty grasz, Steve!?! Wiem na pewno, że grasz, tylko w co? O gabinecie Bogny wiedziałeś wcześniej niż ja. O Pipie także. Kazałeś mi mieć oczy otwarte, a nawet chciałeś mnie wywieźć z Ciechocinka. Nie rób takiej głupiej miny, pamiętam każde słowo. Możesz mi to jakoś wyjaśnić?

Roześmiał się bardzo swobodnie i gdyby nie skupione, czujne oczy, Łucja uwierzyłaby w ten nagły atak wesołości. Nie dała się wyprowadzić w pole. Czekwała na odpowiedź.

– Myślę, że obejrzałem w życiu trochę więcej filmów niż ty, choćby dlatego, że jestem starszy. Moje zakończenie wcale nie jest odkrywcze, trzeba nad nim popracować, ubrać je w nowe fakty i słowa, żeby przylgnęło do całej historii jak ulał.

– Skąd wiedziałeś o gabinecie Bogny?

– Ty to umiesz wiercić dziurę w brzuchu – westchnął.

Czujnie wpatrzone w niego oczy Łucji nie dawały mu szansy na wykręty. Widział w nich jawną wrogość, zwątpił, czy w ogóle słucha, a jeżeli tak, to czy rozumie, co się do niej mówi. Rozumiała, oczywiście że rozumiała. Steve Willis jako obywatel amerykański mógł w Polsce udawać Greka i nie chwalić się znajomością języka polskiego. W „Villa Park” wszyscy myśleli, że nie wyszedł poza kurs przygotowawczy dla przedszkolaków. Kiedy usiłował być grzeczny i pytał po polsku, odpowiadali mu z uśmiechem po angielsku. Tak też było, kiedy łamaną polszczyzną spytał o Daniela. Z łamanej angielszczyzny kobiety, która znęcała się nad jego mięśniami, wynikało, że Daniel nie żyje, a jego żona ma gabinet w centrum. Wywołał chyba ciekawy temat, który już dalej toczył się po polsku

między czterema kobitkami. Dwie były zorientowane, dwie przeciwnie, więc było czego posłuchać.

– Najnormalniej w świecie podsłuchiwałeś? To okropne.

O czym one mówiły?

– Zgadzam się, że to było okropne, więc nie chciej, żebym ci te okropieństwa powtarzał – roześmiał się już całkiem szczerze, także oczami.

Łucja przyjęła wyjaśnienia jako dość prawdopodobne i odetchnęła z ulgą. Nie była zainteresowana babskimi plotkami, a na fantazje Steve' a patrzyła z pobłażaniem. W każdym razie nie była przekonana co do jego koncepcji. Jej myśli uparcie krążyły wokół Bogny i Daniela. Jaki powód mogła mieć siostra, żeby zapisać gabinet na męża? Następna sprawa: czego Ziemek szukał w mieszkaniu Daniela, jeżeli wszyscy twierdzą, że obydwaj się nienawidzili? I wreszcie ciąża Mili. Prawdziwa czy fałszywa?

– Matka Daniela powiedziała mi, że on nie mógł mieć dzieci. Jeżeli o tym wiedział, a wiedział na pewno, to jak mógł uwierzyć w ciążę tej całej Mili? – zastanowiła się głośno.

– Masz trzy wyjścia: możesz usunąć wątek z filmu, chociaż szkoda, bo jest istotny, możesz poprowadzić go po swojemu, możesz też odnaleźć dziewczynę i pogadać z nią. Ja byłbym za drugim rozwiązaniem. Mała jest w ciąży, facet chce się żenić.

– Nie myślałam teraz o bohaterze filmu, tylko o Danielu.

– Od tej chwili masz myśleć wyłącznie o bohaterach filmu, inaczej nigdy nie usiądziesz do scenariusza. Czasem warto uciec się do własnej wyobraźni i trochę podretuszować wydarzenia, które nie pasują do całości. Czy ty mnie słuchasz?

– Słucham, oczywiście, tylko tak sobie myślę, że jeżeli mężczyzna nie może mieć dzieci, to chyba nie może z żadną kobietą, prawda?

Steve dał znak kelnerce, że chce płacić.

W domu czekało Łucję przykre rozczarowanie. Miętoszyła w palcach niewielką kartkę papieru i nie rozumiała, jak Baśka mogła jej to zrobić.

Muszę! Wzywają mnie więzy krwi Nie zamęczaj Bogny. Trzymaj się i nie marszcz tak często nosa, bo już Ci zmarchy wyłażą. Nie mówiłam

tego wcześniej, żeby Cię nie martwić -

Twoja ukochana Basieńka

Nie rozchmurzyły jej nawet zmarchy. Sprawdziła w lustrze i nie znalazła ani jednej.

– Jak mogła wyjechać bez pożegnania! – powiedziała ze smutkiem.

– Nie, dlaczego? Ze mną się pożegnała – sprostowała Bogna.

– Mogła pojechać jutro.

– Myślisz, że wszyscy powinni dostosowywać swoje plany do ciebie? Jesteś straszną egoistką, mysiu.

– Cicho, kociubo! – mruknęła Łucja. Nie chciała się kłócić z siostrą. Poczowała nagły przypływ smutku i przytuliła się do Bogny.

Wieczór spędziły przed telewizorem. Choć siedziały bardzo blisko siebie, choć dzieliły się uwagami o filmie i aktorach, nie było między nimi tej bliskości, która wytworzyła się ostatnio. W powietrzu wisiały jakieś żale, niedopowiedzenia i one najbardziej psuły nastrój. Łucja ze trzy razy przymierzała się, żeby spytać siostrę, jak to naprawdę było z dzieckiem, kto nie mógł, kto nie chciał, w końcu jednak zabrakło jej odwagi. Przypomniała sobie za to, jak świetnie Bogna dogadywała się z małym Sebastianem i jego braćmi. Nie przepadała przecież za Doską, lecz chłopcy, gdyby tylko chcieli, mogli wejść jej na głowę. Potrafiła poświęcić im całe sobotnie popołudnie. Chowala w ogrodzie słodczyce, upychała je pod krzakami i w zielsku tylko po to, żeby razem z nimi bawić się w „ciepło-zimno”. Łucja aż wzdrygnęła się na myśl, co czuła siostra, kiedy dowiedziała się, że Daniel ma zostać ojcem. Nawet nie chodziło o to, czy mógł być ojcem, tylko o sam argument, którym próbował ją dobić. Nie umiała już myśleć o nim inaczej, jak o skończonym łajdaku.

Bogna zapowiedziała, że rano ktoś wpadnie, żeby umocować obluzowaną rynnę. Łucja ze zrozumieniem pokiwała głową i usiadła do laptopa. Chciała popracować nad szkicem scenariusza, uwzględniającym wszystkie nowe elementy. Zapał kipiał w niej i buzował, głównie za sprawą Steve’a, który wciąż w nią wierzył. Ona też w siebie wierzyła, z natury była optymistką, lecz od czasu do

czasu wpadała w dołek, zwłaszcza jeżeli nie wszystko układało się po jej myśli. Sama wiadomość, że Oskar kręci film, była zaledwie prztyczkiem w ambicję Łucji. Żałowała, że nie ona pierwsza, odrobinę mu zazdrościła, lecz jego sukces nie był jeszcze dla niej porażką. Udało się facetowi, mówiła, i tyle. Dopiero kiedy zobaczyła film, kiedy zrozumiała, że z całą bezczelnością wykorzystał jej pomysł, który ona potraktowała jako mierny i niewart zachodu, dopiero wtedy poczuła się naprawdę zdołowana. Pytanie: „Dlaczego on, a nie ja?”, nabrało całkiem nowego znaczenia. Scena końcowa dobiła ją ostatecznie i gdyby nie Steve, kto wie, jak długo jeszcze siedziałyby zamknięta w pokoju i gryzła palce ze złości. A tak, odłożyła zemstę na później, żeby nie obciążać głowy negatywnymi emocjami. Postaci miała już wszystkie, z wyjątkiem dwu, bardzo istotnych. Nic nie wiedziała o Mili i o Ziemku. Nawet nie umiała do nich dotrzeć. Oczywiście mogłaby pójść za radą Steve’ a i wykreować tę dwójkę według własnej fantazji. Coś jej jednak w duszy szeptało, że im mniej papierowych bohaterów, tym lepiej dla opowieści.

O kryminalnym charakterze filmu świadczyła obecność zbrodni, naruszającej stan równowagi. Jednak to nie śledztwo miało być najważniejszym elementem akcji. Łucja zamierzała pokazać przemianę głównego bohatera, który z normalnego faceta, staje się wykolejńcem. Zadanie było niełatwe, wymagało prawdy psychologicznej.

Otworzyła laptop, popatrzyła na czysty ekran i wtedy zadzwonił dzwonek u drzwi. Z niechęcią zbiegła na dół. Po drodze chwyciła klucze od pomieszczenia gospodarczego, żeby Pip mógł sobie wyciągnąć drabinę. Na widok obcego mężczyzny z czarną walizeczką w ręku kompletnie zbaraniała. Bo też nie był to taki zwykły mężczyzna prosto z ulicy, tylko facet stworzony do ról twardzieli w filmach akcji. Wysoki, jasnowłosy, szeroki w barach.

– Oddaję – powiedział i próbował wręczyć Łucji walizeczkę.

Cofnęła ręce, spojrzała w błękitne oczy i pomyślała, że od niego wzięłaby nawet truciznę, oczywiście nie w celach konsumpcyjnych, a jedynie towarzyskich, żeby ją podsunąć komuś innemu, na przykład Oskarowi.

– Czy to bomba? Jeżeli tak, to dziękuję, nie skorzystam.

Próbowała ozdobić słowa uśmiechem, wiedziała jednak, i to bez lustra, że zamiast radosnego „hi, hi” wyszło gapowate „yy”.

Roześmiał się, uspokoił ją, że to tylko pożyczony od Bogny aparat do masażu i poprosił o drabinę. Łucja nie zdążyła jeszcze zgubić poprzedniego zdumienia, tego powitalnego, a tu nałożyło się nowe. Na dodatek cały czas trzymała gościa w drzwiach, bo na oko mogła ocenić tylko jego urodę, lecz o zamiarach wciąż niewiele wiedziała.

– Drabinę?

– Właśnie. Jak już tu jestem, chciałem przy okazji obejrzeć rynnę.

– Wstąpił na dach, po drodze mu było – powiedziała bardziej do siebie niż do niego.

Znowu się uśmiechnął. Facet przystojny i małomówny, przynajmniej w ocenie Łucji, wart był zachodu. Zaprowadziła go do pomieszczenia gospodarczego, wskazała drabinę i skrzynkę z narzędziami. Oczywiście nie wróciła na górę. Chciała sobie popatrzeć, jak wspina się po szczeblach ze zwinnością kota. Żeby jakoś uzasadnić swoją obecność, krzyknęła z dołu, że przytrzyma drabinę. Wprawdzie nie było takiej potrzeby, bo stała mocno, oparta o krawędź chodnika, ale niechby ktoś spróbował jej przeszkodzić! Dośka usiłowała zwabić ją do płotu, dawała jakieś niezrozumiałe znaki, ale Łucja odkrzyknęła, że nie ma czasu i wpadnie później. Liczyła, że prosto z dachu weźmie faceta na kawę i przynajmniej udowodni, że jest nieco mądrzejsza, niż mogło to wynikać z jej min. Niestety, spotkało ją rozczarowanie. „Za piętnaście minut mam pociąg do Torunia”, powiedział i zniknął.

Na sąsiednim podwórku, oprócz małego Sebastiana, szalejącego na rowerze nie było nikogo. Łucja przelazła przez płot, rozgarnęła gałęzie i chyba wystraszyła chłopca, bo po niegroźnym zderzeniu z trzepakiem, wylądował na ziemi. Kiedy podbiegła, tarł ręką kolano. Wzięła go na rękę.

– Spadłeś z wrażenia? – spytała.

– Nie. Z roweru – uściślił z wielką powagą i nie bardzo rozumiał, co ją rozbawiło.

Dośka w kuchni zagniatała ciasto na makaron. Łucja nie sądziła, że są jeszcze kobiety, które same robią makaron, zamiast pójść do sklepu i kupić rurki, kolanka albo nitki. Dośka nie gniotła dla zabawy

ani z braku innego zajęcia, lecz z oszczędności. Kupowała mąkę, bo jajka miała od własnych kur i makaron wychodził prawie darmo.

– Teraz to ty jesteś warszawska pani, wszystko kupujesz w sklepie, o nic się nie kłopotujesz – zaczęła po swojemu, kiwając głową.

– Jasne! A pieniądze same lecą do mnie drzwiami i oknami. Czy ty myślisz, durnoto, że ja nie pracuję?

– Nie mów! Na pewno lepiej żyjesz niż my tutaj. Do kina sobie pójdziesz, do teatru, a w karnawale to nawet do dyskoteki, dobrze mówię?

– Licho wie, czy dobrze, w każdym razie na pewno inteligentnie. To powiedz jeszcze, czego chciałaś, bo pilno mi podrzemać przed komputerem.

– E, nic takiego.

– Machałaś, jakby cię stado szerszeni obsiadło?

– No nie, bo jak zobaczyłam, że Ziemek lezie do was na dach, to myślałam, że coś się stało.

– Przepraszam, Dosiu, kto lazył na nasz dach?

– No, przecież Ziemek, ten, co pracował u Bogny.

– Nie mogłaś mi wcześniej powiedzieć!

– Trza było podejść do płotu, jak cię wołałam...

– Cholera! Miałam go w garści!

– Przystojny, no nie? Dla ciebie to on jest akurat, ale dla mnie... – westchnęła ciężko.

Łucja po raz trzeci tego dnia zrobiła minę przygłupa. Nie posądzała biednej Dośki o takie aspiracje.

Bogna, ledwie wróciła do domu, została napadnięta przez siostrę. Dowiedziała się, że o wizycie tak nieprzeciętnych facetów trzeba uprzedzić wcześniej, że Ziemek jest rewelacyjnie przystojny i Łucja chętnie zaangażuje go do swojego filmu, pod warunkiem, że zechce dać głos. Lubiła milczących mężczyzn, bo tacy z reguły nie przerywali kobiecie, jednak od czasu do czasu powinni przynajmniej potwierdzić, że nie śpią, tylko słuchają.

– Tak go zagadałaś, że nie powiedział ani słowa?

– Dzień dobry, do widzenia, drabina, aparat do masażu... to chyba wszystko, co powiedział. On zawsze tak interesująco milczy?

– Ależ skąd! Widocznie zatyka go tylko na widok niektórych dziewczyn. Musiałaś zrobić na nim kolosalne wrażenie i ciesz się, że nie zleciał z dachu na pysk.

– Nie miał prawa. Trzymałam drabinę. Myślałam, że to Pip przyjdzie.

Bogna przestała się uśmiechać, a nawet wyraźnie zmarkotniała. Z Pipem był poważny kłopot. Poprzedniego dnia wieczorem wyszedł jak zwykle z dansingu w „Bristolu”, ale już nie zdążył wyjść z parku. Ktoś wciągnął go na trawnik między tuje i spuścił mu solidny łomot, który dla Pipa skończył się wstrząśnieniem mózgu, dla Bogny zaś poważnymi kłopotami w gabinecie. Sam Kornel nie był w stanie obsłużyć wszystkich chorych. Jak twierdziła Bogna, nie ma gorszej rzeczy niż raz odmówić pacjentowi. Obrazi się i pójdzie do konkurencji. Ściągnęła Ziemka z Torunia, wymogła na nim obietnicę, że jej pomoże, jednak wcześniej musiał załatwić sobie urlop.

– Ktoś mi mówił, że Ziemek pracował u ciebie. Możesz mi powiedzieć, dlaczego odszedł?

Bogna zasepiła się jeszcze bardziej. Spojrzała na Łucję prawie niechętnie.

– Nie ciągnij mnie za język, mysiu, nie chcę, żeby moi znajomi mieli kłopoty. To, że los obdarzył mnie nawiedzoną siostrą, która chce rozbawić świat opowieściami o swojej rodzinie, wcale nie znaczy, że Bogu ducha winni ludzie też mają robić za błaznów.

– Teraz to już przesadziłaś! Nawet nie wiesz, co chcę zrobić i jak... Nic nie wiesz, a osądzasz!

Łucja była tak zaskoczona i rozżalona, że nie mogła znaleźć właściwych słów. Chciała Bognie wyjaśnić wszystko naraz i w kółko powtarzała: „ty nic nie wiesz”, „ty nic nie rozumiesz”. Ręce jej drżały i nie umiała powstrzymać łez.

– Jeżeli płaczesz nad sobą, to płacz! – powiedziała bezlitośnie Bogna. – To ty nic nie wiesz i nic nie rozumiesz! Przyjeżdżałaś raz do roku albo rzadziej, widziałas nasze życie po swojemu, a teraz chcesz je pokazywać? Nie pozwolę ci na to.

– Wściekasz się, bo jesteś bezsilna. Ja ten film nakręcę... ja go nakręcę, nie przeszkodzisz mi – mówiła Łucja przez łzy.

– Nie wątpię. Też jesteś z rodziny Winiaków i po trupach walisz do celu. Na mądrzejszych z rodu przychodzi w końcu opamiętanie, ty zdaje się do tego odłamu nie należysz. Szkoda, że częściej nie bywałaś w domu, wielka szkoda. Może i na ciebie spadłoby trochę babcinej mądrości. Co ty wiesz o życiu, głupia myszo!?

Bogna zostawiła zapłakaną Łucję w salonie i poszła na górę. Po chwili dał się słyszeć szum wody w łazience.

Łucja myślała, że nie zmruży oka, jednak przespaała całą noc jak niemowlę. Rano musiała napisać opowiadanie dla Kingi. Nie mogła się skupić, bo wczorajsza rozmowa z siostrą zburzyła jej spokój. Raz myślała, że trochę rozumie Bognę, za moment wściekała się na nią za bezdusność. Nie uważała kręcenia filmu o czyimś życiu za łamanie tajemnic. Każdy człowiek nosił w sobie materiał na jeden dobry film, niektórzy nawet na kilka. Reżyserzy często sięgali do autentycznych postaci, ujawniali dramatyczne epizody z ich życia, choć nie zawsze wiernie trzymali się faktów. A choćby filmy biograficzne. Iluż to sławnych ludzi doczekało się swoich filmów: Mahler, Valentino, Gandhi, Chopin, Kopernik, Skłodowska, Modrzejewska.

A głupia Bogna mówi: nie.

Łucja czuła, że nie poradzi sobie bez pomocy Steve'a. Od czasu sprzeczki z siostrą wciąż o nim myślała, jemu jednemu wierzyła. Kiedy zadzwonił telefon, była pewna, że zadziałała telepatia.

– Dzwonisz w sama porę – wykrzyknęła.

Odpowiedział jej nienaturalnie niski, poirytowany głos Oskara. Jakimś cudem nie odłożyła słuchawki, być może właśnie przez ten głos. Z tego, co zdołała zrozumieć, Oskar miał poważne kłopoty, groził mu proces o zniesławienie i naruszenie cudzej godności osobistej.

– A co ja mam z tym wspólnego? – zdziwiła się Łucja.

– Nie jestem adwokatem, nie pomogę ci, choćbym chciała. Inna sprawa, że na pewno bym nie chciała. Dla mnie umarłeś.

Nie reagował na uszczypliwości. Był rozsierdzony i znękanym. Jego sytuacja do złudzenia przypominała surrealistyczne wizje z powieści Kafki. Wymyślona historia, o której opowiadała *Pływaczka*, okazała

się prawdziwą historią życia niejakiego Jerzego Pałaka, znanego w swoim mieście i środowisku pod pseudonimem Burak. Zgadzały się wydarzenia i szczegóły tak istotne, jak choćby ten nieszczęsny pseudonim, a także imię tytułowej bohaterki. Jerzy Pałak vel Burak nie miał cienia wątpliwości, że film opowiadał o nim. Jako człowiek poważny, nauczyciel gimnazjum, zaprotestował ostro przeciwko szarganiu opinii przez media, zażądał od telewizji stu tysięcy złotych odszkodowania, groził sądem. Telewizja, normalną koleją rzeczy, zażądała wyjaśnień od Oskara, autora scenariusza i reżysera. Łucja słuchała i nie wierzyła uszom.

- Rzeczywiście niesamowite – przyznała całkiem szczerze.
- Nie możesz mnie tak zostawić! – denerwował się Oskar.
- Oboje wiemy, że... oboje pamiętamy... – plątał się coraz bardziej zdenerwowany.

Łucja nigdy nie przypuszczała, że zemsta może być tak słodka. Mało tego, nie liczyła na rychłą sprawiedliwość. Mówiła powoli, żeby ani jedno niepotrzebne słowo nie zmąciło klarownego toku jej odpowiedzi:

- Niczego oboje nie wiemy, Porfirionie. My już nie mamy wspólnych wspomnień. Daję ci ten scenariusz w upominku. Niech zostanie tak, jak chciałeś: to był twój tekst, zapisany jedynie na moim komputerze.

– Łucjo! – krzyknął.

Z wielką ulgą odwiesiła słuchawkę. Bardzo żałowała, że nie ma obok Baśki, Bogny czy Steve'a, kogoś z kim mogłaby podzielić swoją wielką radość i bodaj jeszcze większe zdumienie. Opowieść o Jurku Buraku wymyśliła w czterech ścianach mieszkania, scena po scenie, postać po postaci. Dałaby sobie palec uciąć, że nigdy nie słyszała podobnej historii. Zresztą wredny Oskar był świadkiem męki twórczej, wiedział, nad czym pracuje, chwalił pomysł, a także gotowy scenariusz. Przyszłość udowodniła, że chwalił szczerze.

Dośka wysyłała najstarszego syna na kolonie i musiała go obkupić, jak to ładnie określiła. Nie lubiła biegać samotnie po sklepach z ciuchami i tak długo marudziła, aż wyciągnęła Łucję z domu. Tłumaczenie: „Mam dużo pracy”, nie działało na Doškę. Dla niej

prawdziwa praca była w ogrodzie, przy myciu okien, albo gdzieś w fabryce, natomiast siedzenie przed komputerem i wymyślanie historyjek uznawała za czystą przyjemność. Pochwaliła się Łucji, że czytała kilka jej opowiadań w „Tiramisu”. Gdyby nie ciągły brak pieniędzy, kupowałyby gazetę co tydzień. Jednak, prawdę mówiąc, z wyjątkiem opowiadań, niewiele ciekawostek znajdowała dla siebie na łamach magazynu.

– Skąd wiesz, że to moje opowiadania?

– Sama mówiłaś kiedyś, że piszesz do „Tiramisu”. Tam jest tylko jedno opowiadanie, to jak mogłabym pomylić. Przy okazji możesz im powiedzieć, że przepisy kulinarne mają do bani. Wystarczy przeczytać, żeby wiedzieć, że to się nie uda. A już o modzie wolę nie mówić. W Warszawie ktoś się tak ubiera?

Łucja spojrzała na Doškę z zachwytem. Bardzo żałowała, że nie może zawieźć jej do Kingi, żeby naczelna wreszcie zobaczyła na własne oczy prawdziwą czytelniczkę magazynu dla pań z klasą. I jeszcze ta czytelniczka wybrzydzała na przepisy kulinarne oraz modę. Ze zwykłej ostrożności nie spytała, czy Doška lubi czytać o seksie. Pytanie było o tyle ryzykowne, że rozmawiała z wdową.

Pizamkę i bluzę dla Władzia kupiły na straganach przy Tężniowej. Doška utargowała po dwa złote na sztuce i była bardzo z siebie zadowolona. Lubiła nastrój targowiska, ruch i muzykę disco. Koło poczty wpadły na Ewelinę. Szła różnym krokiem i chyba coś ją zafrapowało, bo głowę miała odwróconą w bok. Nie patrzyła na ludzi, tylko z uporem maniaka na elewację poczty. Łucja, z czystej złośliwości, nie pozwoliła się wyminąć. Markotne: „Cześć, Łucja” wcale jej nie zadowoliło.

– Nie poznajesz Dosi? – spytała zdziwiona. – Chodziła z nami do jednej klasy, siedziała z... Dosiu, z kim ty siedziałaś, bo już mi wyleciało z głowy?

– Wybacz, ale nie miałam wpływu na dobór uczniów w klasie – oświadczyła Ewelina.

Doška dyskretnie pociągnęła Łucję za rękę. Dla niej to spotkanie było jeszcze mniej miłe niż dla Eweliny. Kawał drogi przeszły w milczeniu. Łucja czuła się głupio. Owszem chciała dać nauczkę Ewelinie, ale gdyby przewidziała jej odzywkę, zostawiłaby małpę

w spokoju. A tak zraniła Doškę, a po Ewelinie wszystko spłynęło jak woda z parasola.

– Nie myśl już, Dosiu, o tej idiotce – powiedziała.

– Myślę o niej codziennie – westchnęła Doška. – Nie mogę przestać myśleć.

– Aż tak bardzo przejmujesz się tym, co gada Ewelina? – wykrzyknęła Łucja.

– Wcale się nie przejmuję tym, co gada, ani tym, jaka jest.

– To o co chodzi?

– O ten zegar, co nie chodzi – roześmiała się Doška i przez zapomnienie nie zasłoniła ręką ust.

– Musisz sobie koniecznie wstawić zęby – jęknęła Łucja.

– Postawię Władkowi pomnik i wezmę się za siebie – obiecała Doška.

Dodała jeszcze, że odkąd Władka nie ma, rodzinie się trochę polepszyło. Renta na dzieci nie jest wielka, ale jest, a Władek potrafił przepić całą pensję ze wszystkimi dodatkami.

Wczesnym popołudniem zadzwonił Steve. Nie mógł się nadziwić, że Łucja nie poprosiła Oskara o kopię listu Buraka. Odpowiedziała z całą szczerością, że nie ma czasu na głupoty. Oskar to złodziej, Burak zwykły oszust, niech sami biorą się za bary i walczą do upadłego.

– Przyjeżdż do Torunia, pokażę ci list – powiedział Steve tak naturalnie, jakby chciał jej pokazać ratusz albo Dwór Artusa.

– Ty mnie list? Jakim cudem? – wybąkała zaskoczona.

– Chyba nie chcesz powiedzieć, że to ty go napisałeś?

Jego śmiech wcale Łucji nie uspokoił. Steve od czasu do czasu tak ją zaskakiwał, że sama nie wiedziała, co o nim myśleć. Uważała go za przyjaciela, dużo opowiadała mu o sobie, jednak w chwilach, kiedy wdzierał się w te rejony jej życia, które nie były przeznaczone dla niego, traciła pewność. Tak było z Bogną i gabinetem, teraz z Oskarem. Nie prosiła o pomoc, więc nie powinien się wtrącać. Zjeżyła się i szykowała argumenty do ostrej utarczki.

– Nie bądź dzieckiem, Łucjo! – powiedział. – Oskar jest wystraszony, szuka pomocy nawet u mnie i sam przywiózł mi

kserokopię. Słyszałem też waszą rozmowę. Bardzo podobała mi się
twoja odpowiedź. To co, przyjedziesz?

Obiecała. Czy mogła nie obiecać?

11

Łucja nie nadawała się na pielęgniarkę, nie miała w sobie kojącego spokoju Baški ani cierpliwości Bogny, a jednak na prośbę siostry zgodziła się posiedzieć z Pipem. Niedługo, jakąś godzinę, zanim zwolni ją Kornel. Umówiona pielęgniarka przychodziła dopiero na noc. Pip wrócił właśnie ze szpitala, łeb miał obandażowany, strach było zostawiać go samego, bo rwał się do wstawania i próbował ściągać opatrunki.

Do mieszkania weszła cicho i na palcach. Starannie zamknęła drzwi. Miała ignorować wszystkie dzwonki, a otworzyć jedynie na trzy krótkie puknięcia Kornela. Wcale nie śmieszyła jej ta konspiracja, wręcz przeciwnie, czuła się nieswojo i gdyby nie obietnica dana Bognie, najchętniej uciekłaby prosto na Traugutta. Pip spał. Rozejrzała się po mieszkaniu. Niewielkie było, mniej więcej takie, jak dziupla przy Baleya. Przedpokój na szerokość drzwi, mała łazienka, mała kuchnia, tyle że z oknem i niewielki pokój. Usiadła w wiklinowym fotelu, na wprost rozłożonej wersalki. Pip nie wyglądał najlepiej, jego mieszkanie też nie. Stare, sfatygowane meble, niezbyt czyste ściany, w oknie firanka węższa od szalika. Jak na faceta, który zarabiał mnóstwo pieniędzy, mieszkał przeraźliwie skromnie.

Czas płynął wolno. Łucja rozejrzała się po meblach, czy nie zobaczy gdzieś gazety albo książki. Niestety, wszystko wskazywało na to, że Pip wolał od słowa drukowanego „anegdoty plugawe, mdłe koszałki-opałki”. Próbowała przynajmniej usiąść wygodniej, ale wystraszyło ją skrzypienie fotela. W cichym mieszkaniu każde takie skrzypnięcie przypominało wystrzał. Nie chciała budzić chorego, co nie znaczy, że nie miała ochoty na rozmowę.

Broniąc się przed sennością, wróciła myślami do projektu scenariusza. Przewidziała w swoim filmie także miejsce dla Pipa i Kornela. Obydwaj byli wytworami typowymi dla uzdrowiska. Większość mieszkańców Ciechocinka żyła z kuracjuszy. Jedni wynajmowali pokoje, inni mieli pracę w sanatoriach, jeszcze inni piekli chleb i ciastka lub sprzedawali pamiątki. Pip i Kornel sprzedawali siebie. Chociaż, kiedy się zastanowiła, doszła do wniosku, że nie tylko, bo przecież pracowali u Bogny. Bogna, gabinet, i tak, drogą skojarzeń, doszła do Ziemka. Bardzo chciała z nim porozmawiać, nie miała tylko pomysłu, jak to urządzić. Ziemek nie był nawet w połowie tak kontaktowy jak Pip. Gdzie tam w połowie! On był typowym milczkiem. Może gdyby go przypiec lokówką do włosów, coś tam by stęknął, ale czy akurat to, czego oczekiwała Łucja? Powiedzmy, że ona pyta, jeszcze bez przypiekania: „Dlaczego pozwoliłeś odbić sobie dziewczynę?” A co on odpowiada? Łucja na jego miejscu odpowiedziałaby krótko: „Zjeżdżaj!” On pewnie też. Jej ciekawość mogła się wydać zwykłym wścibstwem. Normalni ludzie źle reagują na wścibstwo. Mogłaby spytać inaczej: „Interesuje mnie wyłącznie Daniel. Powiedz, dlaczego go nie lubiłeś?” Rzadko który facet przyzna się, że nie lubił drugiego faceta z powodu dziewczyny. Powie, że przepadał za nim, że byli najlepszymi kumplami, i tyle.

Z niewesołych rozmyślań wyrwał ją dzwonek. Jeden, potem drugi. Spojrzała na zegarek. Za wcześniej jeszcze było na Kornela. Wstrzymała oddech i obserwowała twarz Pipa.

Spał dość niespokojnie, ale twardo. Po następnych dwu dzwonekach zapadła cisza. Kiedy wreszcie usłyszała upragnione trzy pukania do drzwi, przestała się czaić. Już nie bała się, że obudzi chorego, tylko biegiem rzuciła się do przedpokoju.

– I jak tam? – spytał Kornel.

– „Słońce w liściach igrało. Jeleń pił swe kakao. Wszystko było normalnie” – odpowiedziała z lekką zadyszka.

– Robisz mi sprawdzian z poezji? Będę strzelał: Gałczyński?

– Bingo! – Pokiwała głową z uznaniem. – To nie był sprawdzian, tylko odpowiedź na pytanie. Było normalnie. Pip cały czas spał. Jakies pół godziny temu ktoś dzwonił do drzwi.

– Jak dzwonił, a nie walił, to raczej w porządku.

Łucja pierwszy raz rozmawiała z Kornelem. Sprawiał wrażenie całkiem sympatycznego faceta, choć pamiętała z kawiarni, że potrafił też być niesympatyczny. Zaczęła się szykować do wyjścia.

– Umówiłem się z Bogną, że poczekamy razem na pielęgniarkę, potem odprowadzę cię do domu. To kawałek drogi, lichy wie, kto może czaić się w gęstej, ciechocińskiej zieleni – powiedział.

– Nie boję się chodzić po moim mieście, nie potrzebuję niańki!

– Wiem, będę jednak spokojniejszy, jeśli odprowadzę cię pod dom. Dałem słowo szefowej!

– To jest argument – uśmiechnęła się do niego.

Kornel zniknął w kuchni. Spytał: „Kawa czy herbata?” i przez jakiś czas słychać było pobrzękiwanie szklanek, szum wody, czyli normalne, domowe odgłosy. Łucja przestała się bać. A kiedy jeszcze przyniósł kawę i galaretki w cukrze, poczuła się niemal jak u siebie.

– Jedz! – zachęcał. – Wiem, że to lubisz, dlatego przyniosłem.

– Skąd możesz wiedzieć?

– Gałczyński i galaretki w cukrze – roześmiał się. – Całą drogę to powtarzałem i w sklepie poprosiłem o Gałczyńskiego w galarecie.

– Teraz to już ściemniasz!

– Słowo! Tak trudno zgadnąć, skąd wiem? Od szefowej. A ty się nie boisz, że on był mocno nieciekawym facetem, ten Gałczyński? Paskudne rzeczy o nim się czyta.

– Że pijak, i że niesłuszny politycznie? Nie on jeden, ale tych innych jakoś nie mam ochoty cytować.

Kornel nie miał zamiaru toczyć dyskusji na temat poezji czy moralności. Sięgnął po galaretkę.

– Bogna strasznie się nad tobą trzęsie – powiedział.

– Nigdy tego nie zauważyłam.

– Może jej nie znasz tak dobrze, jak ja.

– Na to wygląda. Wciąż mnie czymś zaskakuje. Pip mówi, że jest straszną sknerą, że każe wam sprzątać i myć okna.

– Pip to palant! Pipa się toleruje, ewentualnie lubi, ale jemu się nie wierzy. Przy mnie o Bognie można mówić tylko dobrze, zapamiętaj sobie. To kobieta z prawdziwą klasą. Umie opieprzyć, pochwalić, a jak trzeba, to i pomóc.

- O Danielu już nie mógłbyś tego powiedzieć?
- Daniel z całą pewnością nie był kobietą – uśmiechnął się ironicznie.
- Że z klasą. O to mi chodziło.
- To był też palant, choć nieco innego gatunku niż Pip – powiedział z niechęcią.
- Powiedz mi coś o Ziemku?
- Bogna ci więcej powie.
- Żartujesz? Sfinks przy niej to gaduła. Podobno mój szwagier odbił Ziemkowi narzeczoną, to prawda?
- Tak mówią, ale głowy bym nie dał, czy Ziemek się o to nie postarał.

Łucja poprawiła się w skrzypiącym fotelu. Gabinet Bogny był dla niej białą plamą. W duchu błagała Kornela, żeby chciał ten obraz zmienić. Wydawał się znacznie bardziej cywilizowany niż Pip, patrzył trzeźwiej i chyba oceniał też trzeźwiej. Dlatego starała się zapamiętać każde słowo. Może trochę za dużo mówił o organizacji pracy, o sprzęcie, jakim się posługiwali i o samych zabiegach. To akurat mniej ją interesowało, lecz nie odważyła się przerwać. Nagrodą za milczenie były oszczędne informacje o pracownikach. Bogna to anioł w spódnicy, czasem w spodniach. Daniel to rozpacz w kratkę, dwa w jednym, czyli padalec wobec żony i uosobienie męskiego czaru wobec wszystkich innych bab. Brał je, te inne, na łagodność i wyrozumiałość. Baby to lubią, baby to kupują i dla takiego faceta gotowe są na wszystko. Ziemek z kolei, dużo przystojniejszy od Daniela, bardziej męski, wcale nie przejmował się babami, a z Daniela kpił w żywe oczy. Stąd wzięła się ich niechęć. Ale Daniel nie poderwałby Ziemkowi Mili, gdyby Ziemek nie przywoził jej do pracy. Komu Mila była potrzebna w gabinecie? Ziemek pracował, ona się nudziła. Daniel też przeważnie nic nie robił. To się musiało źle skończyć. Nikt mądry nie pcha owcy do klatki lwa. A jak wepchnie, nie powinien się dziwić, że lew ją pożarł. Daniel był lwem na baby, wszyscy o tym wiedzieli, łącznie z Ziemkiem.

Zamilkł, zajął się kawą.

- Co się dzieje z Milą? – spytała Łucja.

– Wpadła, zaręczyli się, teraz pewnie zostanie na lodzie razem z dzieciakiem. Czy ty byś zamieniła Ziemka na Daniela?

Łucja pomyślała, że był taki czas, kiedy nie zamieniłaby Daniela na nikogo innego. Oddała go siostrze i facet sam zamienił się w gnojka. Typ, o którym opowiadał Kornel, był jej całkowicie obcy, wręcz nienawistny.

– Nie znam Ziemka – powiedziała.

– Nigdy nie zrozumie bab – westchnął Kornel. – Nie mówię o tobie, tylko tak ogólnie. Piszczą za chłopami, gotowe są płacić za miłość, a jak już znajdą faceta do rzeczy, to zostawiają go dla byle padalca.

– Mylisz te, co piszczą i płacą, z tymi, co zamieniają.

– Nie rozumiem bab – powtórzył.

Jeżeli ogrodnik nie lubi kwiatów, powinien zmienić zawód, pomyślała rozbawiona. Nie chciała obrażać Kornela i nie powiedziała tego głośno.

Wracali dobrze po zmroku. Łucja z lubością wdychała rześkie powietrze. Bardzo lubiła Ciechocinek nocą, zwłaszcza główną aleję z drzewami podświetlanymi od dołu. Zamiast wielkiej procesji spacerowiczów widziało się emerytów oraz pary na wieczornej przechadzce. Czasem przeszła jakaś większa grupa dansingowych niedobitków.

– Słyszałam, że Daniel był zaręczony z waszą koleżanką po fachu – powiedziała cicho Łucja.

– Nieoceniony Pip! – wykrzyknął Kornel. – To też zdążył ci powiedzieć? On się doigra, skopią mu nie tylko klejnoty, ale i wyrwą jęzor.

– Odpuść Pipowi. Przecież wiesz, że znam Ewelinę.

– Niby wiem. Jak znasz, to wiesz wszystko. Ona więcej sobie wyobrażała, niż było. Widziała delikatne cudło, a nie seryjnego narzeczonego. Przynajmniej będzie miała co wspominać. – Przerwał, zamyślił się na moment. – Ty, Łucja, jak to właściwie jest? Wolicie delikatnych, rozmazanych facetów, czy bardziej zdecydowanych. Ciepłe kluchy czy macho?

– Myślałam, że to ty jesteś ekspertem... Przepraszam, nie chciałam dogryzać.

Kornel ani myślał się obrażać. Robił, co robił, i to była wyłącznie jego sprawa. Jeszcze trzy, cztery lata takiego życia i wyjadą z Pipem, każdy w swoją stronę, żeby już na siebie nie patrzeć, nie wspominać przeszłości. Postawią sobie domki, może kupią po segmencie i zaczną nowe życie. Dobrych fizjoterapeutów potrzeba i w górach, i nad morzem. Oni byli bardzo dobrzy w zawodzie. Kobitki nie były ich zawodem, tylko działalnością uboczną. Spotykali się z takimi, które płaciły i wymagały bardzo konkretnych usług. Kornel chciał wiedzieć, jakich facetów lubią normalne dziewczyny. Przecież kiedyś zechce się ożenić, założyć dom, to jaki ma być: rozlazły czy raczej macho?

Łucja nie wiedziała. Wbiegając na schodki powtarzała sobie w myślach:

„O Boże, co tu dziewczyn!
więcej niż gwiazd za chmurą.
Durny telefon trzeszczy.
Barman patrzy ponuro...”

Lektura listu Jerzego Buraka wymagała skupienia. Trudno analizować taki tekst w kawiarni, gdzie stale ktoś się kręci, przeszkadza i rozprasza myśli. Steve zaprosił Łucję do swojego pokoju w „Zajeździe Staropolskim”. Zamówił dwie kawy, usiadł z gazetą, a przed nią położył kilkustronicowy elaborat skierowany do prezesa Telewizji i przekazany drogą służbową do dyrektora programu.

Przeleciała pobieżnie wstęp pełen uszanowania, aż doszła do części właściwej. Czytała z wypiekami i wzrastającym zdumieniem.

W dniu moich urodzin, co nie może hyc przypadkiem (jako fizyk z wykształcenia nie wierzę w przypadki), telewizja wyemitowała na cały kraj film pt. „Pływaczka”. Ze zgrozą i wielkim oburzeniem stwierdziłem, że bez mojej zgody sfilmowano fakty z mojego życia. Trzy lata temu moja ukochana żona uległa tragicznemu wypadkowi w wannie. Zginęła od włączonej suszarki do włosów. Byłem jednym z głównych podejrzanych o umyślnie spowodowanie jej śmierci, chociaż nie kto inny, a właśnie ja, przestrzegałem ją, że zabawy z prądem w wannie mogą się źle skończyć. Proces był dla mnie niekończącym się pasmem udręk, bo

nie dość, że straciłem ukochaną towarzyszkę życia, to jeszcze musiałem udowodnić, że zginęła przez swoją lekkomyślność, nie zaś z moją pomocą. W wyniku procesu zostałem uniewinniony. Film „Pływaczka” opowiadał o wydarzeniach, o których usilnie próbuję zapomnieć. Oglądając go, doznałem szoku nerwowego, na co świadkiem jest moja druga towarzyszka życia, Ludmiła. Bohaterka filmu miała na imię Ludwika, proszę zwrócić uwagę na zbieżność brzmienia obu imion: Lud... miła (wika). Wszystko w tym filmie zgadza się z moją historią. Oto zbieżności:

Bohater filmu nazywa się: Jerzy Burak. Ja nazywam się Jerzy Pałąk, ale moi wychowankowie nadali mi pseudonim Burak i pod tym pseudonimem jestem o wiele bardziej znany.

Bohater filmu był polonistą w liceum, ja jestem fizykiem w gimnazjum. Bohatera łączyły więzy pozamałżeńskie z Ludwiką, ja miałem przyjaciółkę Ludmiłę, o której moja żona też nie wiedziała. Podobnie jak bohater mieszkam w bloku z wielkiej płyty, jeżdżę oplem (mój opel wpadł na drzewo i filmowy też) i mam łazienkę urządzone prawie identycznie. Film obdarł mnie nie tylko z czci, ale nawet z wystroju mieszkania: w dużym pokoju wersalka, ława, meblościanka, na niej telewizor.

W filmie zostałem przedstawiony jako morderca i kobieciarz, który uszedł sprawiedliwości dzięki temu, że zabrakło wiarygodnych dowodów. To niszczy mój wizerunek nauczyciela wśród młodzieży i rodziców. Jak po takim filmie mam mówić młodzieży o moralności? Pytam: jak?

Łucja odłożyła list i w zamyśleniu tarła czoło. Nie chciało jej się wierzyć, żeby tak dokładnie wstrzeliła się ze scenariuszem w cudzą, prawdziwą historię, o której nigdy nie słyszała. Jerzy Pałąk vel Burak wydał jej się zwykłym pieniaczem. Nie mogła się nadziwić, że tak wysoko wycenił swoją moralność. Aż sto tysięcy za podwójne życie? Na pozostałe argumenty ledwie rzuciła okiem. Co to za dowód, że facet mieszka w bloku, ma typowo urządzone mieszkanie i kochankę? Jedynie śmierć żony w wannie i ten nieszczęsny „Burak” pasowały do filmu, jeżeli oczywiście napisał prawdę.

– I co? – spytał Steve. – Przeczytałaś?

– Za dużo buraków w barszczu, wiesz. Mogę ci tylko przysiąc na wszystkie kandelabry, flażolety, kolczyki i księżyce świata, że tę historię zmyśliłam od początku do końca. Dalej to już zmartwienie Oskara.

– Nie spróbujesz mu pomóc?

– Steve! Założmy, że jesteś złodziejem i kradniesz z mojego domu ikonę. Guzik się znasz na malarstwie, myślisz, że to oryginał i wpadasz na próbie sprzedaży. Posądzają cię o... no, wiesz o co? Do kogo masz pretensję?

– Do ciebie, że byle co wieszasz na ścianach.

Śmiał się i patrzył z rozbawieniem na Łucję.

– Steve! – Zawahała się. – Czy ty jesteś moim przyjacielem?

Jedno niewinne pytanie gwałtownie zmieniło nastrój. Przestał się uśmiechać.

– Masz jakieś wątpliwości?

Czułe ucho Łucji wyłapało w jego pytaniu drobne wahanie.

– Nie mam. Jestem przekonana, że podobnie jak Bogna i Baśka nie mógłbyś zrobić mi świństwa. Człowiek, który ma troje wypróbowanych przyjaciół, jest szczęściarzem, prawda? Są ludzie, którzy nikogo nie mają. Nie mam wątpliwości, Steve, ale czasem dobrze jest usłyszeć nawet to, co się wie. Jak myślisz, dadzą Burakowi te sto tysięcy?

– Nie dadzą nawet pięciu złotych. Podejrzewam jednak, że sprawa skończy się w sądzie.

– E, zręczny adwokat wybroni Oskara bez trudu, chyba że... że Pałak znajdzie zręczniejszego. O, wtedy to już będą się sądzić do emerytury.

– Pewnie masz rację – uśmiechnął się. – Nawet żałuję, że nie poznam finału tej sprawy. Czy ty wiesz, że za trzy tygodnie wyjeżdżam?

– Nie zostawisz mi adresu?

– Jeszcze na dobre nie wsiądę do samolotu, a ty już będziesz chciała o mnie zapomnieć.

– Dlaczego tak dziwnie mówisz? – Łucja spojrzała przerażona.

– Człowiek całe życie uczy się na błędach i głupi umiera – wyjaśnił z powagą.

- Mówisz teraz, jak moja babka, to znaczy... babcia.
- Bo to są refleksje, które nachodzą tylko ludzi starszych, kochanie.
- Przytul mnie – poprosiła. – Przytul mnie szybko, bo za moment się rozpłaczę.

Przytulił ją, a ona i tak się rozpłakała. Chlipała otulona zapachem jego wody po goleniu. Gładził ją po włosach i uspokajał. Mówił, że już dobrze, że tylko żartował, bo takie młode panny nie zwracają sobie długo głowy starszymi panami.

- Wcale nie jesteś starszy – chlipnęła.
- To czemu tak się czuję?

Poprawiła się, przytuliła mocniej i nie wiedziała, co odpowiedzieć. Czowała dotyk jego ręki na swoich włosach, na karku i czekała, kiedy ta dłoń opuści górne rejony i zejdzie choćby do wysokości biustu. Steve nigdy nie pozwalał sobie na gesty nawet lekko dwuznaczne. Niechcic i Ksawunia, pomyślała i wcale jej to nie zasmuciło. Za dużo ostatnio nasłuchiwała się o zdradach, by nie docenić powściągliwości. Steve miał nie tylko żonę i córkę, ale także zdrowe zasady. Nie miałyby nic przeciwko temu, żeby były mniej zdrowe. Przestała popłakiwać i zdobyła się na lekki uśmiech.

- Już ci lepiej? – spytał. – Mam pomysł: przejedźmy się do Pałaka.
- Ale po co? Co ja mu powiem?
- Zastanowimy się, co mu powiesz. Wymyśliłaś historię, która zdarzyła się naprawdę, warto pójść tym tropem. Może to będzie materiał na całkiem nowy film? A po drodze coś ci pokażę.

Pomyślała o Bognie, o rozgrzebanym opowiadaniu dla „Tiramisu”, zastanowiła się moment i pokiwała głową, że nie ma nic przeciwko wycieczce w okolice Białegostoku. Nie teraz, nie zaraz, ale po niedzieli.

Cały ranek Łucja spędziła ze słuchawką przy uchu. Najpierw zadzwoniła Kinga, pochwaliła ostatnie opowiadanie i zdradziła Łucji w wielkiej tajemnicy, że Oskar ma poważne kłopoty, a przez niego także redakcja „Tiramisu”. Wspaniały wywiad, świetne zdjęcie na okładkę, wszystko to musiało pójść do szuflady.

- Kłopoty? Skąd wiesz? – zdziwiła się Łucja.

– Znajoma pinezka mi doniosła.

– Kto?

– Pinezka brzmi lepiej niż pluskwa – roześmiała się Kinga. – No, co ty? Muszę mieć swoje oczy i uszy wszędzie, gdzie trzeba, bo inaczej zginę. Jakby ten materiał poszedł, zanim się afera wyjaśni, to grób, mogiła. Czyj to w końcu był tekst, twój czy jego?

– Scenariusz? Ależ jego, jego. Mój był tylko luźny pomysł.

– Tuż po emisji mówiłaś coś innego! – drążyła Kinga. – Że ukradł, że bez twojej zgody... adwokatem mnie straszylaś.

– Ciebie? Już widzę, jak się trzęsiesz ze strachu. – Łucja zmusiła się do śmiechu, żeby tylko Kinga nie wyczuła paniki w jej głosie.

– Zawodowa zazdrość? – spytała domyślnie.

Łucja z trudem przełknęła ślinę. W ustach Kingi posądzenie o zazdrość zabrzmiało obrzydliwie. Niestety, takie czasy nadeszły, że lepiej było się przyznać do zazdrości niż do autorstwa scenariusza.

– Może w pierwszej chwili mną tąpnęło, wiesz, jak jest – powiedziała ugodowo.

Kinga westchnęła z ulgą.

– Bo już myślałam, że to ty rozrabiasz.

Łucja ze dwie minuty przysięgała, że rozrabianie nie leży w jej charakterze, obiecała następne opowiadanie i miała wracać na górę, kiedy znowu zadzwonił telefon. Tym razem przypominała się Baśka. O, to już była całkiem inna rozmowa. Przede wszystkim Baśka musiała się dowiedzieć, że ma przyjaciółkę Kasandrę, potem, że Oskar wpadł w tarapaty, a Pipowi ktoś spuścił manto.

– I wiesz co? – gorączkowała się Łucja. – Poznałam Ziemka. Przystojniejszego faceta w życiu nie widziałaś. On jest bezbłędny!

– W typie mojego Wiktusia?

– Oszalałaś?

– Pytam, bo ostatnio coś gust ci się spaczył.

– Żartujesz!

– Ja? Sama zobacz, kim ty się otaczasz! Oskar zielony jak wiosenny groszek, Steve przejrzały jak bergamotka... Dobrze, że chociaż Ziemek ci się trafił. To skandal, żeby taka śliczna i mądra dziewczyna nie miała chłopaka.

– Ty jędo! Wiem, do czego pijesz... A co, nie miałam może racji? Jak znam życie, chodzisz po plaży z tatusiem pod rękę.

– Nie znasz życia! Mam wielbiciela. To jest wielki wielbiciel niewielkiego kalibru, sięga mi ledwie pod brodę. Chyba szalenie dowcipny, wciąż rzy, niestety, nie wiem, z czego. Zna tylko włoski, w przeciwieństwie do mnie.

Łucja popłakała się ze śmiechu. Baśka miała niewiele ponad metr sześćdziesiąt wzrostu i nawet jeżeli przesadziła, jeżeli wielbiciel nie sięgał jej pod brodę, lecz do ucha, to i tak wzrostem nie grzeszył. Rozmowa z Baską podziałała na Łucję orzeźwiająco. Tylko z nią, i jeszcze z Bogną, mogła rozmawiać w taki sposób.

Ostatni telefon na szczęście był zwykłą pomyłką, bo Łucję rozboleła już ręka od trzymania słuchawki. Facet o zachrypniętym, przepitym głosie pytał, czy oferta sprzedaży domu jest jeszcze aktualna.

W niedzielę Bogna zaciągnęła siostrę do babci i Daniela. Przez cały ranek tłumaczyła, że trzeba, należy, wypada, w końcu dopięła swego. Wybrały się na długi spacer Tężniową aż do Wołoszańskiej, gdzie rozciągał się niewielki, ciechociński cmentarz. Dotąd jakoś nie wychodziły nigdzie razem. Łucja biegała po mieście ze Steve'em, z Baską, Eweliną, nawet z Kornelem, gdy tymczasem Bogna albo pracowała, albo siedziała w domu. Teraz wędrowały nieśpiesznie w tłumie spacerowiczów zmierzających pod tężnie. Po ostatniej sprzeczce unikały rozmów o filmie i obie udawały, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Ale nie było. Łucja za dobrze znała Bognę, żeby dać się zwieść jej paplaninie i przymilnym uśmiechom. To były minki dobre dla obcych, którzy nic nie wiedzieli o oślim uporze Bogny. Obie były uparte, po babce, ale Bogna była też pamiętliwa. Potrafiła bardzo długo pielęgnować urazy i Łucja czasem zastanawiała się, czyjej siostra w ogóle umiała zapominać i przebaczać.

Dziadkowie, razem z matką Bogny i matką Łucji spoczywali w starej części cmentarza, w rodzinnym grobowcu wystawionym jeszcze przez babkę. Grobowiec, choć spory, nie pomieścił ojca Bogny, a ostatnio także Daniela.

– Wiesz, wolałam uniknąć awantur – mówiła Bogna, omiatając granitową płytę. – Bo to wiadomo, co naszej babci strzeli do głowy nawet po śmierci? Daniel był cichy, spokojny, on by się nie awanturował. On nigdy nawet nie powiedział „nie”, tylko swoje robił. Babcia do końca go nie polubiła, pamiętam, jak zawsze powtarzała: „Oj, uważaj, bo on ci jeszcze wywinie taki numer, że do śmierci się nie pozbierasz!” Trzeba przyznać, że w wywijaniu był dobry.

– Ciekawa jestem, gdzie leży mój ojciec? – zastanowiła się Łucja.

– Tylko błagam, nie wmawiaj mi, że tego też ci nie mówiłam! Na cmentarzu w Lesku. Byliśmy tam z Danielem parę lat temu i nawet odnaleźliśmy jego grób. Nie wiem, czy jeszcze się zachował, bo był w skandalicznym stanie.

– Może mówiłaś – mruknęła Łucja. Próbowała zdrapać z granitu małą plamkę po stearynie i nie patrzyła na Bognę.

– Dziwna ta nasza rodzina, nie uważasz? – spytała po dłuższej chwili. – Same rozwody, przedwczesne zgony, jakbyśmy się zupełnie Panu Bogu nie podobali.

– I co zrobisz? Nic na to nie poradzisz – powiedziała Bogna, a Łucja drgnęła, bo usłyszała głos babci. To było jej ulubione powiedzonko w rzadkich sytuacjach, na które nie miała wpływu.

– Wracajmy! Nie lubię cmentarzy. Jeszcze zdążę się w tym miejscu wyleżeć, chce mi się do żywych.

Bogna rozumiała, owszem, ale nie ogłosiła końca pielgrzymki. Poszły główną alejką w głąb, aż do miejsca, gdzie zamiast wysokich brzoź, topoli i klonów rosły małe tuje i jałowce. Nowsza część cmentarza wyraźnie różniła się od starej. Nagrobek Daniela był tak prosty, że już prostszego nie można było sobie wyobrazić. Płyta, tabliczka, nic więcej. A w pobliżu ani jednego drzewa.

Pobłądziły trochę po alejkach, bo cmentarze tak jak miasta lubią się zmieniać. Tak mówiła Bogna. Wreszcie wyszły na ulicę.

– Ciechocinek w ostatnich latach bardzo wyładniał – zauważyła Łucja. – Zrobił się kolorowy i zadbany. Mnie to cieszy, a ciebie?

– Nie zdziw się, ale chyba stąd wyjadę – odezwała się cicho Bogna.

– Za dużo tu niemiłych wspomnień jak na mnie jedną.

– Gdzie wyjedziesz? A dom?

– Domu nie zabiorę – uśmiechnęła się Bogna. – Pociąga mnie zagranica. Teraz, kiedy otworzyły się takie wspaniałe możliwości, grzechem byłoby nie pomieszkać za granicą.

– Czekał, czekał! Dzwonił facet w sprawie kupna domu, czy coś takiego. Powiedziałam, że to... A to nie była pomyłka?

– Tak i nie. Chwilowo wstrzymałam się ze sprzedażą.

– I co ja bez ciebie zrobię? Powiedz, że żartujesz! To nie może być prawda?

– Przecież nie wyjeżdżam dzisiaj, mysiu! Uspokój się, jesteś już dużą myszką i dasz sobie radę.

Łucja wracała z opuszczoną głową i z poczuciem, że oto zawalił się kawałek świata. Jeszcze rok, dwa i nie będzie miała nawet swojego miasta. Do kogo tu przyjedzie: do Doški? Jeżeli nawet, to na godzinę, na dwie i chyba serce jej pęknie, kiedy za płotem zobaczy obcych ludzi.

Od Warszawy Łucja miała przejąć pilotowanie dwuosobowej wycieczki. Z natury była perfekcjonistką na pół gwizdka, więc przygotowania zaczęła od połowy trasy. Z wielkim zainteresowaniem oglądała atlas samochodowy.

– Te znaczki to po co tu wstawili? – pytała co chwila.

Mapy drogowe obfitują w różne znaczki, więc pytała dość często, a to o trójkąci, a to o cyferki na kolorowym tle. Steve wypisał trasę na kartce, łącznie z numerami dróg, ale uparła się, że prowadzenie z atlasem wygląda poważniej.

– Mapa mi się skończyła, co mam teraz zrobić?

– Przejść na inną.

– O matko! Na następnej są całkiem inne miasta? Pomylili się, czy co?

– Nie miałaś nigdy w ręku atlasu drogowego? – zdumiał się Steve.

– Po co atlas komuś, kto nie ma nawet jednego koła od samochodu? Nie zaprzęgam sobie głowy rzeczami, które mnie nie dotyczą. Jestem praktyczna i racjonalna – wyjaśniła z dumą.

– Ale prawo jazdy masz?

– Tłumaczę ci przecież, że nie mam nawet jednego koła, to po co mi prawo jazdy? Zacznę się martwić, jak kupię samochód, a to trochę

potrwa. Co innego Baśka, ona może pożyczyć wóz od ojca. Ja nie mogę, jestem sierotką.

– Łucjo, prawo jazdy, obsługa komputera, języki obce to w tej chwili elementarz cywilizowanego człowieka – tłumaczył poważnie Steve.

– Jestem cywilizowana w dwu trzecich. Komputer i dwa języki obce mam w jednym palcu. Posłuchaj, Steve! Chętnych do wożenia zawsze znajdę. Dzisiaj na przykład mam ciebie. Źle ci się ze mną podróżuje? Zabawiam cię kulturalną rozmową, nie palę w samochodzie, nie pozeram jajek na twardo. Babcia mówiła, że kiedyś, w pociągach obowiązywało pozeranie jajek na twardo. Ty chyba tego nie pamiętasz, co?

Była w doskonałym nastroju, cieszyła się z wycieczki i gadała jak nakręcona. Steve słuchał, ale wciąż kręcił głową nad zaniedbaną edukacją Łucji. W Stanach młody człowiek bez prawa jazdy czułby się upośledzony. Ona nic sobie nie robiła ze swoich braków.

– Na nartach chociaż jeździsz?

– Ni cholery. I uprzedzam, że nie mam zamiaru się uczyć. Nie gram też w brydża ani w tenisa, nie jeżdżę konno, nie żegluję, za to nieźle pływam i trenowałam judo. Dlaczego uważasz, że mam robić to, co wszyscy, zamiast tego, co lubię? To ten amerykański owczy pęd tak cię oszołomił. Wy wszystko robicie na hasło: jogging i odchudzanie, prawda? My tu, w Polsce, kochamy indywidualności, chociaż, niestety, więcej mamy indywidualuów. Daleko jeszcze?

– To ty masz atlas przed nosem.

– Następnym razem kup mi kazania po turecku, na jedno wyjdzie. Nie nadaję się na pilota, musisz sobie radzić sam.

Zamknęła atlas i wpakowała go do skrytki. Przez chwilę w milczeniu obserwowała drogę. Dzień był piękny, jakby zamówiony na wycieczkę. Przed Zambrowem dostała ataku śmiechu. Przejeżdżali koło cmentarza i na tle muru dostrzegła wielką tablicę reklamującą usługi hotelarskie. Namawiała Steve'a, żeby wynajęli sobie do spółki jakąś wygodną kwaterę w pobliżu bramy. Starczyło jej uciechy co najmniej na dziesięć kilometrów.

– Steve! A jeżeli Buraka nie ma w domu? Mógł przecież zapożyczyć się na poczet odszkodowania i wyjechać do Tunezji. A może podrywa

teraz Baškę na Capri?

– Uprzedziłem go o naszej wizycie – powiedział z takim spokojem, jakby telefoniczne rozmowy z Jerzym Burakiem należały do jego ulubionych, codziennych rozrywek.

– Mów, zanim zacznę się dziwić! – poprosiła Łucja. Obiecała sobie nie wpadać przy Stevie w dziecięce zdumienie, żeby nie nabawić się gapowatej miny, która czasem zostaje człowiekowi na zawsze. – Mogłeś mnie uprzedzić. Mogłeś powiedzieć: „Łucjo! Pan Jerzy czeka z herbatką, pogawędzimy sobie o burakowych wtajemniczeniach trzeciego stopnia”. Nie chcę go oglądać. Co ja mu powiem?

Pomysł Steve’ a polegał na tym, że Łucja miała milczeć i nie włączyć Burakowi przed oczy, żeby, broń Boże, nie skojarzył filmowej topielicy z asystentką telewizyjnego urzędnika. To Steve chciał porozmawiać z Burakiem i z góry się cieszył na to spotkanie. Jedni ludzie kolekcjonują znaczki, inni monety, Steve kolekcjonował typy oszustów i naciągaczy. Miał co do nich własne, artystyczne plany. Mówił, że od dwu lat pracuje nad scenariuszem filmu o anatomii oszustwa, co nie znaczy, że scenografia przestała mu się podobać. Nie osiągnął co prawda tak spektakularnych sukcesów, jak Richard Day, zdobywca aż siedmiu Oscarów i twórca słynnej repliki pałacu w Monte Carlo, wykorzystanej w *Szalonych żonach*, nie zdobył nawet nominacji do Oscara, choć dwa razy był blisko, ale wciąż jeszcze lubił swoją pracę. Niestety, kochał się w detalach, w nastrojowych wnętrzach i kostiumach, które nie odgrywały już w filmie amerykańskim takiej roli, jak za czasów Gibbona, Dreiera czy Gherardiego. Coraz częściej artystyczną wizję scenografa zastępują dziś techniki komputerowe. Dla tradycjonalistów to duża przykrość. Zaczął myśleć o jakimś innym sposobie na życie i wziął się do pracy nad scenariuszem.

Jerzy Pałak oczekiwał gości na ławce, przy trzepaku. Spodziewał się, że przyjadą samochodem telewizji z wielkimi napisami, co znacznie podniosłoby jego splendor wśród sąsiadów. Kiedy jednak przed brzydkim, szarym blokiem z wielkiej płyty zatrzymał się citroen na warszawskich numerach, podszedł, szurając klapkami, żeby się upewnić.

– Wy może z telewizji?

Steve pokazał mu kopię listu, ubraną w przezroczystą koszulkę. Pałak z zadowoleniem skinął głową.

Patrzył, jak wysiadali z auta i prostowali kości. Łucja starała się pozostawać w cieniu szerokich barów Steve'a, ale raz i drugi zerknęła ciekawie na Buraka. Pisząc swój scenariusz, miała przed oczami całkiem innego faceta: czterdziestolatka o zmęczonych, podkrążonych oczach i bardzo wysokim czole. To miał być facet budzący litość posturą i nieszczęśliwą miną, taki, którego nikt nie będzie podejrzewał o romanse na boku. Jerzy Pałak był przeciwieństwem tamtego i chyba mógł się podobać kobietom, mimo że szurał klapkami i miał odpychającą minę bufona.

– Przyjechaliśmy porozmawiać o pańskich roszczeniach – wyjaśnił Steve.

Pałak machnął ręką w kierunku ławki przy trzepaku, co miało znaczyć, że zaprasza ich do salonu letniego.

– Zawsze podejmuje pan gości pod trzepakiem, czy tylko wtedy, kiedy nie pada? – zainteresował się Steve.

Ostatecznie usiedli do rozmów w zagraconym mieszkaniu na trzecim piętrze. Palmy, paprotki i fikusy skutecznie chroniły pokój przed nadmiarem światła i Łucja mogła być zadowolona z panującego półmroku. Zresztą Pałak nie zwracał na nią uwagi, nie zadawał się z asystentką, tylko z urzędnikiem. Ze swadą, choć mniej składnie niż w liście, wyłożył swoje argumenty. Upierał się, że film naruszył jego godność osobistą i dobre imię, naraził go na utratę zdrowia, może nawet pracy, co okaże się po wakacjach. W małym mieście plotki szybko się roznoszą.

– To jest film fabularny, nie reportaż – zauważył Steve.

– Tak? To niech pan powie to moim sąsiadom, uczniom i ich rodzicom. Mania! – krzyknął gromko. – Mania, chodź tu i powiedz, co było, jakeśmy oglądali ten film!

Z drugiego pokoju wynurzyła się niebrzydka, młoda kobieta.

– Co było z tobą czy ze mną? – spytała dla pewności.

– Usiądź tu i mów po kolei.

Powiedział: „mów”, lecz przerywał jej co dwa słowa, uściślał, dopowiadał. „Zbladłeś jak prześcieradło”, mówiła Mania. „Zbladłem, sam to czułem, a potem?” – pytał. „Potem doznałeś szoku”,

raportowała Mania. „Opowiedz, jak to wyglądało, niech wiedzą!” I tak, w duecie, raz on, raz ona, opowiedzieli o wstrząsie psychicznym, który o mały włos nie skończył się wezwaniem pogotowia. Pałak bladł, siniał, wpadał we wściekłość, ale obejrzał film do końca. Mania musiała brać leki na uspokojenie, bo chwyciło ją kołatanie serca i biegunka. Wszystko z powodu zbieżności wydarzeń, nazwisk i imion. Oboje odebrali film jako prowokację.

– Pani ma na imię Maria? – spytał Steve.

– To zdrobnienie od Ludmiły – zauważył czujnie Pałak.

– Tak się z ludźmi nie postępuje. Sąd uniewinnił, a wy skazujecie po raz drugi, ośmieszacie... Tak się nie postępuje. Należało sprawdzić w sądzie, w aktach, że uniewinniony, a nie tak z nazwiska lecieć.

– Nie widzi pan różnicy między Jerzym Pałakiem a Jerzym Burakiem? – zdziwił się Steve.

– W tym mieście funkcjonuję jako Burak. Tak na mnie mówią sąsiedzi, uczniowie, dyrekcja w szkole, wszyscy. Nie wiem, czy ktoś jeszcze pamięta, że nazywam się Pałak!

– Mogą nie pamiętać! – zgodziła się Łucja i natychmiast ucichła pod ostrym spojrzeniem Steve’a.

Miała milczeć, lecz działo się tyle ciekawego, że trudno jej było usiedzieć. Pseudo-Burak wspaniale odgrywał wzburzenie, pięknie gestykulował i gotowa była dać mu brawa, jeżeli nie za polot, to choćby za aktorstwo. Jej jednej nie mógł oszukać. Wszyscy mieli prawo zwątpić, nawet Steve i Oskar, ale ona bardzo dobrze wiedziała, że to nie Pałak był bohaterem filmu. Tkał teraz te swoje nędzne argumenty, zlepił kłamstewka, bo stawka była wysoka.

– Skąd się wziął pseudonim Burak? – spytał Steve.

– Pewnie dlatego, że szybko się wściekam i wtedy czerwienieję na twarzy – wyjaśnił.

Jakby na poparcie swoich słów zerwał się z krzesła i zaczął krążyć po pokoju, zręcznie wymijając donice z zielenią. Fuknął ostro na Manię-Ludmiłę, kiedy próbowała go uspokoić. Żywo gestykulował, szurał kapciami, zatykał się i odtykał. Był niemal znakomity w swoim kabotyństwie.

– Wspomniał pan o prowokacji – Steve próbował nawiązać do głównego wątku. Burak jeszcze przez moment wiercił się po pokoju, wreszcie usiadł.

– Bierzenie w telewizji kupę szmalu, to powinniście wszystko elegancko sprawdzić, zanim puścicie film na antenę. Szmal i stanowiska zobowiązują. Trzeba było podzwonić po sądach, popytać, czy takiej sprawy nie było.

– Po wszystkich sądach, czy tylko w Świdrze, gdzie toczy się akcja filmu.

– Po wszystkich. Tu chodzi o nazwisko.

– O pseudonim – sprostował Steve. – Pytałem o prowokację. Kogo pan podejrzewa poza telewizją.

– Panie! Tu co drugi człowiek źle mi życzy, to małe miasto. Jedną żonę pochowałem, mieszkam z młodą babką, i choć nikomu nic do tego, w oczy kole. Prowokacja to robota siostry mojej żony. Całe życie mi koło pióra robiła i żonę buntowała. Panie, to jest dopiero historia na film, co ja przeżyłem przez te dwie kobiety. Taką opinię dziwkarza mi wyrobiły, że tylko się powiesić. A ja dziwkarzem nie byłem i nie jestem. Mania, nie jestem, prawda?

– Nie jest – potwierdziła stanowczo Mania-Ludmiła.

– Nie musiałem jej zabijać, bo mogłem się rozejść. To, co się stało, to był wypadek. A co wyście w filmie pokazali? Podważyliście wyrok sądu i moją moralność. Jak ja mam teraz ludziom w oczy spojrzeć, jak mam dzieciakom tłumaczyć, co jest właściwe w zachowaniu człowieka, a co nie? Wyście mi całą robotę pedagogiczną popsuli. Nie ustąpię, zapłacicie mi, bo jak nie, to do Strasburga skargę wyślę.

Łucja wychodziła od pseudo-Buraka z mieszanymi uczuciami. Przez moment, kiedy opowiadał o życiu zmarnowanym przez żonę, miała ochotę mu współczuć, kiedy jednak upierał się przy zмовie, wietrzył spisek, kazał po sądach wydzwaniać i Buraków szukać, czuła takie obrzydzenie, jakby patrzyła na rozjechanego na drodze ślimaka. Miała ochotę powiedzieć o tym głośno, ale Steve by ją chyba rozszarpał. Steve natomiast nie umiał ukryć rozczarowania. Spodziewał się po Buraku większej finezji, a mniej prostackiego uporu, liczył, że facet chowa w zanadrzu jakiegoś asa, którym nieoczekiwanie zabłyśnie. Burak nie nadawał się do jego kolekcji.

– Nie wiem, jak w Polsce, ale w Stanach sądy są zawałone sprawami o odszkodowania. Większość to prostackie próby wyłudzenia pieniędzy od koncernów, firm, nawet banków. Coraz rzadziej trafiają się oszuści z prawdziwą fantazją.

– Nie obrażaj Buraka. Wszystko, co sobie wymyślił, to najczystsza fantazja. Może trochę zgrzebna i naciągana, ale fantazja. Już ja wiem najlepiej. Myślisz, że ten wyjazd był niepotrzebny?

– Bardzo potrzebny! – zaprotestował gwałtownie. – Choćby dlatego, że jesteś ze mną.

– Jestem – przytaknęła. – Chyba widać mnie i słyszeć wystarczająco. Pamiętasz, że miałeś mi coś pokazać?

Jechali w kierunku Ełku. Świat migający za oknem zapierał dech w piersiach. Łucja głośno liczyła bocianie gniazda. Steve parę razy ciężko westchnął.

– W Stanach nie jest tak pięknie? – spytała.

– Inaczej. Takich krajobrazów na pewno tam nie znajdziesz.

– Chyba nie umiałabym żyć poza Polską. Zresztą nie wiem, nigdy nie żyłam, to może mi się wydaje. Bogna coś przebąkuje o wyjeździe na stałe. Mam nadzieję, że na przebąkiwaniu się skończy. Nie wyobrażam sobie, żeby nagle zabrakło ciechocińskiego domu. Gdzie ja wtedy będę jeździć?

– Do mnie.

– Tydzień w Warszawie, weekend w Nowym Jorku – roześmiała się ubawiona.

– Tydzień w Warszawie, weekend tutaj – powiedział.

Nawet nie zauważyła, że od kilku minut jechali boczną drogą. Steve zatrzymał samochód na wprost białego domu z gankiem wspartym na pękatych kolumnkach.

– Weekend tutaj? – spytała Łucja i próbowała zajrzeć przez furtkę na podwórze.

– Tutaj. Ten dom jest na sprzedaż. Odkryłem go w kwietniu, kiedy trochę wałęsałem się w tych stronach.

– Po co ci dom w Polsce?

– Żebyś miała gdzie przyjeżdżać na weekendy.

– Ale ściemniasz!

– Co robię?

– Ściemniasz, mówiąc inaczej, droczysz się ze mną, opowiadasz nieprawdę.

– Opowiadam nieprawdę, czyli kłamię? Oj, panno! – Pogroził jej palcem. – Otóż mówię szczerą prawdę. Urodziłem się kilkanaście kilometrów stąd i chciałbym tu wrócić.

– Chcieć a wrócić, to dwie różne sprawy. Może twojej żonie wcale się tu nie spodoba? Co do Luiginy, jestem pewna, że wybierze Stany. Nie chcę cię martwić, ale to są piękne, nierealne marzenia.

Do Ełku dojechali w milczeniu. Steve chyba uciekł we wspomnienia, bo zasępił się po swoim. Nie chciała mu przeszkadzać pustym gadaniem, zresztą przypomniała sobie o planach Bogny i też ogarnęło ją przygnębienie.

Zatrzymali się w pensjonacie „Grażyna” przy głównej ulicy miasta. Steve zarezerwował pokoje wcześniej za pośrednictwem toruńskiego „Zajazdu”. Nie po raz pierwszy Łucja miała okazję się przekonać, że był świetnym organizatorem. Potrafił planować i konsekwentnie wprowadzać swoje plany w życie, nie mówiąc o nich prawie nic. Tak było z miejscem w „Villa Park”, potem z wycieczką po Polsce, teraz z noclegiem w „Grażynie”. Zamówił dwa oddzielne pokoje, co Łucja uznała za fanaberie bogacza. Bez słowa wzięła swój klucz i zbiegła za recepcjonistką na dół. Dziwiła się trochę, że Steve, rozpuszczony przez hotele czterogwiazdkowe, wybrał na ich wspólny nocleg suterene. Kiedy jednak znalazła się w swoim pokoju, zrozumiała wszystko. Pensjonat leżał na wysokiej skarpie. To, co od strony wjazdu, czyli od ulicy i od podwórka, było parterem, od drugiej strony było pięciem, tak więc pokój Łucji mieścił się na parterze. Z okna widziała ogród przed domem, szeroki bulwar i wielką panoramę jeziora. Patrzyła oczarowana najpierw na widok z okna, potem na pokój, na haftowaną bieliznę na łóżku i puchate ręczniki. Zaszepotała cicho:

„A jeśli to nie ta noc, o której marzę od lat (te słowa zwracam do ciebie, Książę Nonsensu), to powiedz od razu...”

Uśmiechnęła się z wyższością kobiety świadomej swojego uroku. Była pewna, że czeka ją właśnie ta noc, wymarzona nie przez lata, bez przesady, ale od pewnego czasu na pewno.

Steve dał jej dwadzieścia minut na rozpakowanie się i odświeżenie. W torbie podróżnej Łucja miała czarny komplet w motyle, koszulkę nocną, która niczego nie zakrywała, i bluzkę na zmianę. Torbę rzuciła do szafy, kosmetyki i przybory toaletowe wyniosła do łazienki. Była zadomowiona. Resztę darowanego czasu spędziła na marzeniach. Nie tylko Steve coś tam sobie zakładał z góry, ona również.

Włócząc po mieście zaczęli od spaceru główną ulicą. Koniecznie chciał jej pokazać dom, w którym się urodził.

– Prawdziwie sentymentalna podróż do źródeł – uśmiechnęła się Łucja. – Co ci się przypomina, kiedy teraz patrzysz na tę niepiękną kamienicę?

– Dziesiątki oderwanych obrazów. Mama w oknie, ojciec wracający z ryb, schody z ruchomą poręczą, nasz pokój z wielką palmą, fajerka, którą podkradłem mamie, żeby sobie pojeździć. Wiesz, co to jest? W kuchniach węglowych były takie krążki...

– Wiem. U nas na Traugutta przez jakiś czas też była kuchnia węglowa.

– Fajerkę zakładało się na zakrzywiony drut, żeby można ją prowadzić po chodniku i... Chyba wtedy oberwałem za tę fajerkę.

– Zaczynałeś od biegów z fajerką po Ełku, a zaniósło cię aż do Nowego Jorku. Ładny kawałek drogi – powiedziała, ujmując go pod ramię. – Nie żałujesz czasem, że tak daleko zawędrowałeś?

– Nie żałowałem, aż do teraz. Tak ładnie to nazwałaś: podróż do...

– Sentymentalna podróż do źródeł.

– O właśnie. Jeżeli nie było się gdzieś pięć, dziesięć lat, to już nie powinno się przyjeżdżać. Podobnie jest z ludźmi. Ty jeszcze tego nie wiesz, ale czasem po trzydziestu i więcej latach lepiej nie spotykać dawnych znajomych. Zostawiają żal i rozczarowanie.

– Twoja sentymentalna podróż kończy się rozczarowaniem?

– Żalem. Takim żalem, że momentami przygniata mnie do ziemi. Straszna jest świadomość, że niczego nie można już zmienić ani naprawić.

– Opowiesz mi o tym?

– Łucjo, tego się nie da opowiedzieć!

– Sam mi mówiłeś, że wszystko da się opowiedzieć – zauważyła z przekornym uśmiechem.

Steve zachmurzył się jeszcze bardziej, przyciągnął ją i objął ramieniem. Wciąż jeszcze stali przed kamienicą, w której się urodził. Z okna na pierwszym piętrze wyjrzała kobieta. Łucja poczuła, że ręka Steve’ a lekko drgnęła. To była całkiem obca kobieta. Nie udało się cofnąć czasu.

Przerwę na kolację zrobili sobie w knajpce nad jeziorem, a potem długo w noc spacerowali po bulwarze. Aż się prosiło, żeby powiedzieć choćby kawałek *Romansu*. Zaszepotała mu do ucha:

„Księżyc w niebie jak bałałajka, ech! Za wstążkę by go tak ściągnąć i na serduszko – byłaby piosnka bardzo niezemska o zakochanych aż do szaleństwa, nieludzko”.

Z księżycem wszystko było jak w wierszu, co do reszty Łucja nie miała zdania. Steve zgodził się, że bulwar nad jeziorem, dwa księżyce i ciepła noc to wymarzone warunki dla zakochanych. Pokazał nawet parę tulącą się pod rozłożystą wierzbą, ale o swoich uczuciach nawet nie wspomniał. A przecież Łucja była kobietą, kobiety zaś w takich sprawach rzadko się myślą. Wiedziała, że ją kochał. Bronił się przed uczuciem, co było zrozumiałe ze względu na włoską żonę, ale niezrozumiałe z punktu widzenia Łucji. Długo dojrzewała, w końcu przyszedł moment, kiedy sama przed sobą mogła uczciwie przyznać, że zakochała się w tym zamorskim milczku. Wiedziała o tym, zanim jeszcze pojawili się w Ełku, więc elementy tak zwane nastrojowe, jak księżyc i noc pachnąca jeziorem, nie miały tu nic do rzeczy. Nie obchodziło jej, że jest to miłość bez przyszłości, nie była tak naiwna, by wierzyć, że Steve zostawi dla niej włoską żonę. Nie była nawet pewna, czy właśnie tego chce. Jej wystarczyła maleńka cząstka, okruch miłości zaledwie i zamierzała ten okruch dostać. Przyłgnęła do jego ramienia, zajrzała mu w oczy. Błyszczały w świetle księżyca, lecz wydawały się chmurne i zamyślone.

Wrócili do pensjonatu ciemną nocą. W holu na dole Steve pocałował ją w policzek i życzył dobrej nocy. Przytrzymała go za rękaw koszuli.

– Myślałam, że jeszcze chwilę porozmawiamy – powiedziała prosząco. – Nie wiem, kiedy po raz drugi pojawi się taka okazja, i czy w ogóle się pojawi.

Nie ustąpił od razu, wahał się, wymyślał przeszkody, że późno, że ona się nie wyśpi, że czeka ich długa droga.

– Jeśli wyjedziemy po południu, to świat się zawali? – spytała.

Obiecał, że zajrzy do siebie i za moment do niej wejdzie. Na to właśnie liczyła. W pośpiechu otworzyła drzwi i natychmiast zniknęła w łazience. Słyszała, kiedy przyszedł, poprosiła, żeby usiadł i chwilę poczekał.

Wyszła. Stał odwrócony twarzą do okna i patrzył na oświetlone jezioro. Powiedział coś o widoku ze swojego okna, które wychodziło na odrapany mur sąsiedniej kamienicy. Zbliżyła się na palcach i przytuliła głowę do jego ramienia. Przez sekundę tkwił nieruchomo, jakby go paraliż chwycił.

– Ubierz się, jeżeli chcesz, żebym został!

Nie ruszył się, nie spojrział na nią i tylko po schrypniętym głosie poznała, że był poruszony.

– Steve, ale ja tego chcę! – powiedziała, tuląc się jeszcze bardziej.

– Nie jestem nieopierzoną...

– Powiedziałem: ubierz się, bo zaraz ci złoję tyłek jak prawdziwej smarkuli.

Sytuacja była patowa. Łucji zbierało się na płacz. Nie wiedziała, czy dalej kusić, czy wyrzucić go za drzwi, nic już nie wiedziała. Stał nieporuszony, obcy i wręcz groźny z tym swoim zachrypniętym głosem, a ona czuła się jak idiotka w koszulce, która niczego nie zakrywała, i w stringach, które swoją nazwę wzięły od najgrubszej struny skrzypiec i jeszcze mniej osłaniały.

– Kochanie, proszę, włóż coś na siebie – powiedział już innym, cieplejszym tonem.

Prosił, nie rozkazywał, więc odwróciła się na pięcie i tylko trzaśnięcie drzwi od łazienki wskazywało, jak bardzo była poruszona. Siedziała na sedesie, lejąc łzy smutku i upokorzenia. Nigdy jeszcze, nigdy w życiu nie znalazła się w podobnej sytuacji. Daniel modlił się do jej nagości, Oskar najchętniej widziałby ją biegnącą goło po mieszkaniu i żaden z jej dwóch poprzednich

mężczyzn nie odważyłby się na coś takiego jak Steve. Innych doświadczeń chwilowo nie miała.

– Łucjo! – Zapukał delikatnie do drzwi łazienki.

Nie chciała go widzieć. Nie było takiej siły, która kazałaby jej stanąć teraz na wprost Steve’a.

– Chcesz, żebyśmy rozmawiali przez drzwi?

– Nie mamy o czym!

– Ależ mamy. Właśnie teraz mamy o czym. Chodź, bo pójde na górę, obudzę właścicielkę i pożyczę coś do odkręcenia zamka. Powiem, że się zatrzasnęłaś. Ściągnę tu pół pensjonatu. W Ełku rzadko bywa teatr, to ludzie trochę się rozerwą.

– Nienawidzę cię, wyjdź z mojego pokoju!

– Wiem, co teraz czujesz, jednak musisz mi to powiedzieć prosto w oczy. Tylko ubierz się, bo przetrzepię ci tyłek za kuszenie starszych panów.

Włożyła spodnie i bluzkę, umyła czarną od tuszu buzię i wyszła, żeby powiedzieć, jak bardzo go nienawidzi. Sam tego chciał.

Małomówny zwykle Steve nie dopuścił jej do głosu. Ledwie stanęła w drzwiach, złapał ją wpół, lekko jak piórko i z rozmachem posadził na łóżku. Wcale nie zamierzał jej przeproszać. Był wzburzony. Dostało się Łucji za prowokowanie i za bezmyślność. Musiała wysłuchać całej tyrady o tej jednej nocy, która niejednej kobiecie złamała życie. Słuchała, co miała robić. Dopóki siedział przy niej, trzymał ją za rękę i gadał, przynajmniej nie straszył biciem. Ale to, co mówił, było mocno niedzisiejsze.

– Czy ty może jesteś księdzem? – spytała przerażona, bo innego wytłumaczenia nie widziała.

W końcu zaczął się śmiać.

– Nie wiesz, kim jestem, a próbowałaś mnie uwieść? – spytał nie bez złośliwości. – Myślisz, że tylko księża, pewnie nie wszyscy, i impotenci, oni raczej wszyscy, potrafią oprzeć się pięknym kobietom? Nie znasz mężczyzn, Łucjo!

– Już mi to ktoś mówił, wiem o tym. Ale myślałam, że mnie kochasz – powiedziała cicho i broda jej zadrzała przed kolejnym wybuchem płaczu.

– Na tym polega całe moje nieszczęście, że cię kocham, i to bardzo. – Nie żartował, nie uśmiechał się, mówił poważnie.

– To gdzie widzisz nieszczęście?

– Geografia, biologia, etyka, wszystko się przeciw mnie sprzysięgło. Przy twoich trzydziestu latach moje pięćdziesiąt kilka zmusza do większej rozwagi. Nie chcę komplikować ci życia i nie chcę, żebyś cierpiała przeze mnie. Tak właśnie widzę miłość, Łucjo.

Znowu gładził ją po włosach, po karku, ale nie przesunął ręki ani o centymetr w dół. Łucja, choć wciąż mocno rozzalona, przytuliła się do niego, a straszny wstyd powoli odpływał w niepamięć.

– Po kim masz taki oryginalny kolor włosów? – spytał szeptem.

– Po fryzjerce.

Roześmiał się i pocałował ją w czubek głowy.

12

Po powrocie z Ełku Łucja musiała skończyć zaległe opowiadanie dla Kingi. Pisanie szło jej nawet nieźle, dopóki dobry los nie przygonił Ziemowita. Już nie trzymała go w drzwiach, tylko od razu zaprosiła do saloniku. Nie chciał nic pić, nie kwapił się do siadania, stał i zacierał ręce gestem ludzi zagubionych.

– Przyszedłeś, żebym sobie na ciebie popatrzyła? – zdziwiła się Łucja. – To miłe, ale może jednak coś powiesz?

Odstłonił w uśmiechu równe zęby.

– Za pół godziny mam pacjenta. Ja właściwie po... Pip mówił mi... podobno Daniel tobie...

Nie pomogła mu, czekała, aż sam wyduka, i pośpiesznie główkowała, jak wybrnąć z głupawej sytuacji. Powinna mieć dla niego przesyłkę, a nie miała. Jeżeli powie, że to był żart, Ziemek nie uwierzy i gotów ją posądzić o głupotę. Jeżeli powie, że zostawiła w Warszawie, to wypadnie jeszcze gorzej. Zbawienne natchnienie spłynęło w ostatniej chwili.

– Przyszedłem po te listy, co Daniel podobno dał dla mnie – bohatersko wykrztusił Ziemek.

Ze zrozumieniem skinęła głową i pobiegła na górę. Wyciągnęła ze szpargałów brązową, pomiętą kopertę i wysypała prosto na dywan różne notatki i złote myśli. Potem rzuciła się do półki z bielizną, gdzie wśród majtek i staników leżały nieszczęsne męskie bokserki kupione niegdyś dla Oskara. Wreszcie wybiła ich godzina. To przecież Baśka zauważyła rozsądnie, że Daniel mógł dać Ziemkowi skafander, slipy, paczkę prezerwatyw, ale na pewno nie listy Mili. Skafandra ani prezerwatyw Łucja nie miała, musiały wystarczyć bokserki. Całą resztę, czyli dorabianie i wyjaśnianie intencji

zostawiła obdarowanemu. Zakleiła kopertę taśmą klejącą, żeby nie ślinić brzegów i radosna niczym skowronek zbiegła na dół.

Ziemek obmacywał przesyłkę z miną co najmniej zdumioną.

– To chyba nie są listy? – spytał.

Łucja wzruszyła ramionami z miną osoby, która nie ma zwyczaju zaglądać do cudzych przesyłek.

– Pip mówił – upierał się Ziemek – że to...

– Niczego więcej nie mam – zapewniła Łucja. – Za domyślność Pipa też nie mogę odpowiadać. Do koperty nie zaglądałam.

Była zachwycona, że i on nie zajrzał. Ledwie za Ziemkiem zamknęły się drzwi, zaczęła sobie wyrzucać, że nie pociągnęła go choć trochę za język. Kiedy jednak pomyślała o godzinnym wyczekiwaniu na najprostszą odpowiedź, wyszło jej, że musiałaby spędzić z nim życie, i kto wie, czy byłaby mądrzejsza o jedną informację. Lubiła małomównych facetów, lecz nie do przesady. Ziemkowi, widać, cała mądrość poszła w mięśnie i urodę, co miało swój urok, niestety, nie dla niej. Wróciła do pracy.

Baśka nie dzwoniła tak często, jakby Łucja sobie życzyła, ale kiedy już dała głos, to nie kończyło się na mdłej wymianie uwag typu: „Co słyhać?” U Baśki i u Łucji, nawet jeżeli nic się nie działo, to zawsze coś było słyhać i było czym się dzielić. Łucja musiała przecież opowiedzieć o Pałaku i o bokserkach Ziemka. Nie mogła też przemilczeć swojej porażki w Ełku. Baśka zakończyła właśnie romans z małym, lecz niewiernym Massimo i zajęła się bardzo przystojnym Vittorio. Przy nim ona z kolei była małeńka, co miało swoje dobre strony, zwłaszcza na forsownych wycieczkach. Vittorio sadzał zmęczoną Baśkę na ramionach i niósł tak lekko, jakby nie ważyła swoich czterdziestu ośmiu kilogramów. Inne panny mogły tylko ze złości gryźć paluchy i podobno gryzły. Vittorio był w guście kobiet, należał do tych nielicznych szczęśliwców, za którymi oglądały się wszystkie pokolenia, od babć po wnuczki. Mama Baśki nazywała go z francuska *prince charmant* i uważała, że był nie tylko przystojny i piękny, takich widywało się tam wielu, ale miał niezaprzeczalny męski wdzięk. Ojciec Baśki kreślił kółka na czole i poza wzrostem nie dostrzegał w młodym Włochu niczego

niezwykłego. Przeciwnie: z upodobaniem naśladował pompatyczne gesty i słowa tamtego. Włoch na widok Baśki krzyczał: „*Cara mia* a ojciec przekonywał go, że „kara nie mija”. Baśka zwijała się ze śmiechu, kiedy o tym opowiadała.

– Wiesz, co wymyśliłam? – zastanowiła się Baśka, kiedy ochłonęła nieco po wesołych opowieściach. – To jest chyba tak, że piękni i ujmujący faceci mogą liczyć tylko na kobiecą przychyłność. Popatrz na Daniela. W oczach kobiet był *prince charmant*, a faceci go po prostu nie cierpieli. I może wcale nie był taki zły ani rozpustny, jak chcą go odmalować te dwa Pipy?

– Myślisz? Chciałabym, żebyś miała rację, bo to bardzo głupio żyć ze świadomością, że było się jedną z ofiar seryjnego uwodziciela. A Steve? Dlaczego potraktował mnie jak...

Nie umiała skończyć. Słowa, które przychodziły jej do głowy, z całą pewnością jemu były obce. Nie chciał jej obrazić, tego była pewna, ale kochać też nie chciał.

– Wiesz – powiedziała wolno Baśka – księdzem to on z całą pewnością nie jest, natomiast impotentem może być. Niemoc dotyka coraz młodszych facetów i nie dziw się, że nie chciał ci tego wyłożyć kawa na ławę. Mnie się podobało to, co powiedział o biologii, geografii i etyce. Nie kuś go więcej, żeby nie wyszło, że to ty jesteś *impos animi*.

– Co to znaczy?

– Słaba na umyśle, dziewczeczko! Słaba na umyśle. Po łacinie, nie po angielsku.

Łucja odkładała słuchawkę przekonana, że bez Baśki jej życie byłoby stokroć uboższe.

Bogna przesiadywała w gabinecie do późna. Ziemek co prawda zgodził się zastąpić Pipa, jednak nie dostał urlopu i mógł przyjeżdżać trzy razy w tygodniu, na popołudnia. Większość pracy spadała więc na Kornela i na nią. Wracła do domu skonana i Łucja nie miała z niej wielkiej pociechy. Czasem posiedziały chwilę przy herbacie, ale Bogna natychmiast zaczynała ziewać i szła na górę. Żartowała sobie, że zmęczenie mięśni jest mniej przykre od

zmęczenia rozumu, bo po przespanej nocy mija. Była to drobniotka złośliwość pod adresem Łucji.

W ostatnich dniach Steve znowu trochę podróżował po kraju. Dzwonił do Łucji codziennie, czasem nawet dwa razy dziennie, żeby ją podnieść na duchu. Ostatni tydzień obiecał spędzić w Ciechocinku i Łucja z góry cieszyła się, że przez kilka dni będzie go miała tylko dla siebie. Wcześniej to jemu zależało, żeby pobyć z nią jak najdłużej, teraz i ona do tego dojrzała.

Z każdym dniem coraz bardziej upewniała się, że jest zakochana. To było całkiem inne uczucie, niepodobne do wcześniejszych, bardziej dojrzałe i ciepłe. Nie uwierzyła Baŝce. Dla niej Steve był zdolny do wszystkiego, z wyjątkiem tańca. Nie traciła nadziei. Widziała, że coś go powstrzymuje, znała przyczyny, lecz wierzyła w siebie. Nie myślała ani o jego wyjeździe, ani o rozstaniu, w każdym razie nie w kategoriach rozstania na całe życie. Na razie głowę miała zaprzątniętą scenariuszem. Zastanawiała się nad brakującymi ogniwami w historii Bogny i Daniela. Wieczory spędzała u Doŝki. Steve nigdy nie dzwonił wieczorem, więc spokojnie mogła wyjść z domu.

– Oj, siedzi pani i siedzi w domu, zamiast poopalać się trochę – załamywała ręce Kornikowa.

– Nie siedzę, tylko pracuję – prostowała Łucja.

– A będą z tej pracy chociaż jakieś pieniądze?

– Mam nadzieję.

– Bo to w tych waszych artystycznych zawodach, to chyba trudno się wybić tym z prowincji, dobrze mówię? Łopaciaków córka, weźmy. Na aktorkę poszła i wcale o niej nie słyhać, w telewizorze jej nie pokazują, w kinie chyba też nie.

– Oleńka? Przecież ona robi karierę! I w teatrze gra, i w kilku dobrych filmach ją widziałam. Ma świetne recenzje.

– Nasza Łopaciakówna?

Kornikowa patrzyła z niedowierzaniem i nie była w tym swoim niedowierzaniu odosobniona. Podobnie mówiła Ewelina i Bogna, która z Oleńką chodziła do jednej klasy. Bogna pamiętała jej dukanie przy tablicy, jakiś niegustowny sweterek, natomiast zupełnie nie chciała zapamiętać dobrych ról. Dziewczyna z Ciechocinka, którą się

znało od małego, nie miała prawa robić kariery, bo jakże to tak? W swoim mieście wciąż była tylko Łopaciakówną, chociaż dawno zmieniła nazwisko. „Swoje miasta” nie przepadają za swoimi wielkimi, zawsze się znajdzie ktoś, kto wypomni opadające majtki, kłopoty z ortografią lub głupi figiel z lat dziecińczych. Łucja nie próbowała przekonywać Kornikowej. Zresztą zjawiała się wreszcie Dośka. Ułożyła już dzieciaki do snu i miała chwilę odpoczynku.

– A mama nie poszłaby się myć? – spytała.

– Co to ja z gównem się biłam, czy co? Przyjdzie czas, to się obmyję, teraz popatrzę sobie w telewizor.

Tak było każdego wieczoru. Kornikowa spragniona towarzystwa chciała sobie z młodymi pogawędzić, może dać im jakąś dobrą radę, a w ostateczności wspólnie pogapić się w telewizor. Siadała i z miejsca coś jej się przypominało, niekoniecznie związanego z filmem. Aktor zapalił papierosa, ona zaczynała opowiadać o Władku, że kurzył jak parowóz, młodzi się całowali, narzekała na rozpasanie, a jak już, nie daj Boże, wylądowali w łóżku, nie było oglądania filmu. Telewizora co prawda nie wyłączała, ale zagadała każdą następną scenę.

– O, chłopina na wózku inwalidzkim! – powiedziała, chociaż Dośka i Łucja widziały dokładnie to samo, czyli młodego mężczyznę na wózku. – Tak się zastanawiam, czy to prawda z tym Pipem, pani Łucjo, z tym, co u pani Bogny pracował?

– A co z nim? – spytała Łucja.

Zwykle w czasie filmu nie zadawała pytań Kornikowej, tym razem zrobiła wyjątek dla Pipa.

– Pobili go, słyszała pani? Kto pobił, to wszyscy wiedzą...

– Ja nie wiem. Bogna mówiła, że on nie widział napastników.

– Akurat potrzebował ich widzieć! Tu wszyscy się znają jak łyse konie, dobrze mówię? To sprawka Babuła i jego małpisonów. Faj, że też chłopom w głowie takie świństwa. Nasz Władek jaki był, taki był, ale na scenie przed babami na pewno by nie zatańczył.

– A Babul tańczy? – zdziwiła się Łucja, bo zalety Władka mniej ją interesowały. Wolą już posłuchać o facecie, którego nie znała.

Kornikowa z Doską spojrzały na nią, jakby się z choinki urwała. Babul był właścicielem klubu nocnego „Na opak”, czyli dla pań. Sam

nie tańczył, bo był za gruby i zbyt mocno rozwinięty w biodrach. Najmował chłopaków szerokich w barach, wąskich w tyłku i oni robili mu przedstawienie. Skakali po scenie najpierw w slipkach, potem na golasa. To był cyrk wyłącznie dla kobitek, żaden chłop nie miał prawa usiąść na sali. Kornikowa słyszała, że nie kończyło się na brawach. Opowiadając o bezecenstwach w klubie, aż wypieków dostała, bo też nie chciało jej się pomieścić w głowie to wszystko, co słyszała od różnych znajomych kum. Po każdym występie orkiestra grała białego walca, baby z widowni pędziły na scenę i rozdrapywały chłopaków. Potem pary szły na górę i tam zaczynały się całkiem inne tańce. Taka przyjemność kosztowała majątek. Kornikowa, gdyby miała tyle pieniędzy, wolałaby kurnik pokryć papą i drzwi do domu wymienić.

– Ja to wszystko rozumiem – powiedziała Łucja – tylko kiedy niby Pip miał tańczyć u Babula? Cały dzień pracował w gabinecie, wieczorami szlajał się po dansingach.

Kornikowa wykrzywiła usta z pogardą. Pip był elementem napływowym, znała go jedynie z widzenia i z tego, co usłyszała od znajomych. Facet z żabimi udkami nie miał czego szukać na scenie. Jeżeli Babul miał złość do Pipa, to wyłącznie z powodu konkurencji.

– Tacy jak Pip – tłumaczyła – odbierają Babulowi klientki, a on musi odzyskać to, co włożył w remont lokalu, w urządzenie pokoi. Podobno tam jest taki luksus, że trudno opisać. Marmury, aksamity, pościel kolorowa. Mówiła mi jedna, co w klubie sprzątała. Odeszła, bo Babul wciąż obcinał stawki pracownikom. Niech sam sobie zmienia prześcieradła, powiedziała. Po mojemu bardzo słusznie zrobiła.

– Pytała pani, czy to prawda z Pipem? – przerwała jej w pół słowa Łucja. – Jaka prawda?

– Że pani Bogna go zwolniła, i to na chorobie?

Łucja nic nie wiedziała o zwolnieniu Pipa i nie chciało jej się wierzyć, żeby Bogna zrobiła to właśnie teraz, kiedy jeszcze lizał swoje rany. Z głową podobno było lepiej, jednak wciąż niedomagał. Kornikowa niespecjalnie była spragniona wiadomości o Pipie i bardzo szybko znalazła sobie inny temat.

Łucja wciąż jeszcze nie zabrała się do pisania scenariusza. Ze Steve'em rozmawiała tak, jakby w laptopie siedział już gotowy tekst. Swobodnie operowała pojęciami: akcja, intryga, punkt zwrotny, ale bardziej niż postaci fikcyjne interesowały ją pierwowzory. Tak daleko weszła już w życie Bogny i Daniela, że nie umiała się wycofać. Przede wszystkim brakowało jej kogoś, z kim mogłaby szczerze porozmawiać o swoich wątpliwościach. Mówiąc innymi słowy, brakowało jej Baški. Bez rozmowy dla Łucji nie było życia. Sama o sobie mówiła, że jest typem sokratycznym, który do prawdy dochodzi jedynie przez dialog. Bogna nazywała to zwykłym gadulstwem, lub eufemistycznie – sprzedawaniem własnych tajemnic. Łucja nie zgadzała się z Bogną.

Na szczęście wciąż jeszcze w pobliżu, a raczej w zasięgu ucha był Steve.

– Uporałam się z pierwszym punktem zwrotnym – mówiła. – Moi bohaterowie już wiedzą, że się nie kochają.

– Sądziłem, że oni nie przestali się kochać do końca.

– Teraz to już mieszasz mi w głowie – zdenerwowała się Łucja. – Alkoholizm, zdrady, to nie jest objaw miłości. A i bohaterka musiała mieć po dziurki w nosie takiego męża.

– Obstaję przy swoim zdaniu. To jest trudna miłość, ale jest. Kobieta, która nie kocha, nie będzie się upierała przy papierowym małżeństwie, zwłaszcza gdy nie ma dzieci.

– To nie miłość, to interes każe jej zaprotestować. Gabinet jest zapisany na męża.

– Dlaczego? Myślałaś nad tym?

– Stało się! Zamąciłeś mi w głowie. To chociaż powiedz, kiedy przyjedziesz, niech mam jakąś korzyść z tego mącenia.

Wymyśliła, że pogada z Bogną, żeby Steve mógł zatrzymać się u nich. Była pewna, że siostra dla zasady powierzą, a dla świętego spokoju zgodzi się oddać na tydzień jeden pokój, tak jak oddała Baśce. Nie wzięła od niej grosza i traktowała jak drugą siostrę. Gdyby Baśka się nie uparła i nie dokładała do zakupów, mogłaby żyć za darmo. Oczywiście ze Steve'em sprawa nie była taka prosta. Nie każdego znajomego Łucji Bogna musiała kochać i hołubić. Jego akurat nie lubiła, nazywała fanfaronem, ale liczyć potrafiła.

Wynajęcie pokoju na tydzień, to był niezły pieniądz. Jemu z kolei było obojętnie, komu płacił za mieszkanie. Łucja pięknie sobie wszystko ułożyła i nie spodziewała się, że to nie Bogna tylko Steve zaprotestuje kategorycznie. Jego ostre: „Nie ma mowy!”, zabrzmiało jak świst dorożkarskiego bata. Posunął się jeszcze dalej: poprosił, żeby nigdy nie rozmawiała z siostrą na jego temat. Uznała to za jedno z niegroźnych dziwactw Steve’a i w końcu ustąpiła.

Nie dało się ukryć, że w jakimś stopniu Steve był dziwakiem, a przede wszystkim zazdrośnikiem. Na przykład Łucja wyczuwała, że nie polubił jej koleżanek. Jeżeli chodziło o Ewelinę, nie miała do niego żalu. Czemu jednak nieprzychylnym okiem patrzył na Baškę? Łucja nie знаła nikogo, kto nie lubiłby Baški, z wyjątkiem Steve’a. Bogny też nie lubił, chociaż nigdy jej nie poznał. Ledwie Łucja wspomniała o przyjaciółce lub siostrze, natychmiast twarz mu się wydłużała, spojrzenie twardniało. Może drażniły go nadmierne zachwyty Łucji? Owszem, miała tę wadę, że wciąż się powoływała na osoby lubiane lub te, które kochała, a on był po prostu zazdrosny, ponieważ widział się w roli jedyne go i niezastąpionego przyjaciela. To też miało swój urok. Obiecała sobie, że nie będzie go więcej drażniła.

Bogna musiała mieć poważne zmartwienie. Rzadko mówiła o swoich kłopotach, właściwie nie mówiła wcale. Była jak te Amerykanki z filmowej sieczki w telewizji. „Co u ciebie?” – „Okay!” Mąż taką opuścił, tatuś dostał zawału, złodzieje okradli dom, ona straciła pracę, ale oczywiście wszystko było okay, bo grunt to trzymać fason przed obcymi. Łucja nie uważała się za obcą, umiała też odróżnić zapłakane oczy od zaspanych. Parę razy próbowała porozmawiać z siostrą, tłumaczyła, że nawet jeśli nie będzie umiała pomóc, to przynajmniej wysłucha i podniesie na duchu. Bogna zasłaniała się zmęczeniem. Jak zwykle w miesiącach letnich sanatorium było przepełnione, pracy huk, a uczniowie z Zespołu Szkół Uzdrawiskowych siedzieli na wakacjach. W czasie roku szkolnego była z nich spora wyreka, choćby przy pionowaniu najcięższej chorych. Nauka chodzenia wymaga obecności czterech zdrowych osób: dwie podtrzymują chorego, dwie przesuwają mu

nogi: jeden krok, dwa kroki. Taka to jest robota w ludzkim nieszczęściu, mawiała Bogna. Z sanatorium wychodziła zmęczona, szła do gabinetu i znowu spotykała się z atropią, zwyrodnieniami, osteoporozą, porażeniami mózgowymi.

– Właściwie po co ci ten gabinet? – zastanowiła się Łucja.

– Masz pracę, jesteś już urzędzona, wystarczyłoby trochę oszczędniej żyć i nie musiałybyś harować na dwu etatach.

– Co ty wiesz o oszczędzaniu, mysiu! – fuknęła Bogna.

– Nie przesadzaj! Wciąż oszczędzam.

– Przestań, bo mi się na mdłości zbiera. Te wszystkie majtki i biustonosze kupowałaś w ramach oszczędzania? Może z przeceny albo z odrzutu? Znam się trochę na bieliźnie, ty głupia myszo!

– Grzebałaś w mojej szafie?

– Któregoś dnia sama je wywaliłaś na tapczan, to sobie obejrzałam.

– No, dobra! Mam fioła na punkcie bielizny, ale zaręczam ci, że to mój jedyny fioł.

– A drugi, to gawędzenie przez telefon. Dzisiaj zapłaciłam rachunek, największy, jaki udało mi się dotychczas zapłacić. Samych rozmów na komórki miałaś trzydzieści dwie. Wzięłam wydruk, jakby cię to interesowało. Ty, zdaje się, należysz do tych kobiet, które mogą uczynić milionerem tylko miliardera!

Łucja bez słowa zagłębiła się w lekturze dokumentu. Wciąż powtarzały się dwa numery telefonów komórkowych, wiadomo: Steve'a i Baśki. Z zamiejscowych parę razy pojawił się numer „Tiramisu”, co do reszty nie miała pewności. Mogły to być hotele, w których zatrzymywał się Steve.

– Oddam ci co do złotówki – powiedziała znękanym głosem. – Nie wiedziałam, że uzbierało się tego aż tyle!

– Oddasz mi – zgodziła się Bogna – a ja wezmę te pieniądze, bo za głupotę i niefrasobliwość trzeba płacić. Jak ty rozliczasz swoje gadulstwo w Warszawie?

Łucja pomyślała dokładnie o tym samym. W Warszawie dzieliła z Baską wszystkie koszty na pół, w tym także telefon. Zwątpiła, czy był to sprawiedliwy podział. Przyjaciółka najczęściej korzystała z komórki, ona wyłącznie z telefonu stacjonarnego. Lubiła sobie

pogadać, choćby z Bogną, czasem z Doską, i jakoś nigdy nie myślała o pieniądzach. Bogna wyjęła jej kwitek z ręki.

– Baśki komórkę poznałam, też mam jej numer, a czyja jest ta druga? – spytała. – Na tę drugą dzwoniłaś jeszcze częściej.

– Wyłącznie w sprawach służbowych – odpowiedziała Łucja i poczuła, że się rumieni.

Bogna patrzyła na nią z surową miną sędziego śledczego i co najgorsze, wcale nie wydawała się przekonana. Łucja zarumieniła się jeszcze bardziej. Nigdy nie uważała, żeby drobne kłamstewka czy wykręty były czymś zdrożnym. Przeciwnie, chroniły przed wścibstwem i czasem po prostu były wygodne. Przyłapaną na niewielkim łgarstwie nigdy się zbyt nie przejmowała. Dotknęła dłonią policzków. Paliły jak blaszany piecyk.

Dlaczego mężczyźni nie lubili Daniela? To pytanie prześladowało Łucję od czasu rozmowy z Pipem. Baśka twierdziła, że piękni i ujmujący faceci mogą liczyć tylko na sympatię kobiet. Daniel rzeczywiście nie miał kolegów ani przyjaciół, miał tylko znajomych. Ledwie zadzwonił Steve, natychmiast zasypała go pytaniami. Czy istnieje męska przyjaźń? Czy on się z kimś szczególnie przyjaźni? Czy wierzy w teorię Baśki? Steve też należał do przystojnych i ujmujących facetów, więc powinien wiedzieć.

– A wiesz, że teoria twojej przyjaciółki jest ogromnie ciekawa? – powiedział. – Czeka, niech sobie przypomnę, czy ja kiedyś dobieierałem sobie przyjaciół według koloru włosów i wzrostu? Co tam jeszcze, waszym zdaniem, odgrywało rolę? Barwa głosu? Bicepsy?

– Kpisz ze mnie?

– Odrobinę. Po co ci te wiadomości? Męska przyjaźń nie odgrywa większej roli w twoim filmie, chyba że nazwiesz przyjaźnią to, co łączyło ofiarę z zabójcą, czyli wspólne picie po parkach i bramach. Konkretnie o co ci chodzi?

– Dlaczego nie był lubiany przez kumpli?

– Nie wiem, to już kumple powinni wiedzieć.

O swoich przyjaciółach nie za bardzo chciał mówić. Pomyślała, że z taką dyskrecją świetnie by się nadawał do pracy w CIA. Bujna wyobraźnia podsunęła jej nawet pomysł, że Steve jest agentem

wielkiej wytwórni filmowej i jeździ po świecie w poszukiwaniu zdolnych scenarzystów. Nie miałyby nic przeciwko temu, żeby zabrał ją do Nowego Jorku na jakieś dwa, trzy lata.

Rozmyślenia o Danielu zaprowadziły ją do Pipa. Nie przypuszczała, że zechce go odwiedzić ponownie, a jednak któregoś popołudnia kupiła trochę owoców, jakieś czekoladki i poszła.

Łucja spodziewała się, że Pip na jej widok zdziwi się, może ucieszy, ale do głowy jej nie przyszło, że nie zechce jej wpuścić do mieszkania. Staął w drzwiach jak posąg.

– Powiedz Bognie, że spotkamy się w sądzie pracy i niech mi tu nie nasyła swoich ludzi! – wykrzyknął.

– Jestem siostrą Bogny, nie jej człowiekiem – zdenerwowała się Łucja. – Sam jej powiedz, co masz do powiedzenia, ja przyszedłam w innej sprawie.

– W jakiej niby?

– Na wycieracze mam ci tłumaczyć?

Ruszył się wreszcie i wpuścił ją do niemożliwie zapuszczzonego mieszkania. Nie składał pościeli po spaniu, nie sprzątał brudnych szklanek. Łucja aż się wzdrygnęła na te Pipowe porządki. Wskazał jej wiklinowy fotel, na którym stał talerz z resztką makaronu w pomidorowym sosie.

– Mam białe spodnie – powiedziała. – Głupio będzie wyglądało, jeśli usiądę w twoim talerzu.

Wykrzywił się w przepraszającym uśmiechu, złapał tacę, pozbierał brudne naczynia, z rozpędu przetaił też fotel, żeby Łucja bez obawy mogła klapnąć. Biegał nawet całkiem raźnie. Zauważyła, że jego łepetynę znaczyły aż trzy szwy, i to dość spore.

– Jak się czujesz? – spytała, kiedy wreszcie usiadł.

– Jakby na mnie srak naptał, wiesz? Jak, twoim zdaniem, może się czuć facet pobity, skopany i wyrzucony z roboty na bruk? – spytał, wzruszając ramionami. – Po co przyszłaś?

– Samarytański obowiązek i przyjacielska powinność, wiesz, co to znaczy? – powiedziała, podając mu torbę z darami.

Przesadziła trochę z przyjaźnią, spojrzała, czy nie poczuł się dotknięty niewczesnym żartem i zobaczyła faceta, który z trudem panował nad sobą. Pomyślała, że musi z nim być niedobrze. Takie

nagłe skoki nastroju, od wrzasku po łzy nie były normalne. Zmieszał się, zaczął udawać, że coś mu do oka wpadło. Okłęty, krzykliwy Pip był najzwyczajniej wzruszony.

– Uspokój się, stary! Nie powiesz mi chyba, że obca ci jest ludzka życzliwość?

– To nie Bogna cię przysłała?

Łucja energicznie pokręciła głową.

– Bogna nawet nie wie, że tu jestem. Ja z kolei nic nie wiem o twoich kłopotach.

– Jak to możliwe, że wy jesteście siostrami?

– Ciotecznymi siostrami, jeżeli to cię uspokoi.

– Wyrzuciła mnie z pracy. Od założenia gabinetu harowałem dla niej jak ostatni osioł. Zrozum, kurwa, ani dnia zwolnienia, urlopy tylko wtedy, kiedy jej pasowało, a teraz mi mówi, że młodzi po szkole szukają pracy, że musi ich przyjąć, bo nie może zamknąć gabinetu. Zastanów się, kurwa...

Wpadła mu w słowa.

– Nie jestem przesadnie uczulona, ale gdybyś mógł tytułować mnie trochę inaczej, byłabym wdzięczna.

– Wiesz, jak to jest, jak się człowiek zdenerwuje, kur... Ja nie do ciebie, ja tak ogólnie. Wkur... wkurzony jestem jak cholera! Zrozum, nie wiem, co mam robić? Wróciłbym do roboty choćby dzisiaj, tylko lekarz mi nie pozwala.

– Pip, kto cię właściwie pobił?

Nie odpowiedział od razu, kręcił się, wiercił i stękał, w końcu wymyślił historię o jakichś niedopitych elementach, które chciały pieniędzy na wino.

– Na mieście mówią, że to robota Babula i jego ludzi – powiedziała Łucja. Ani przez moment nie uwierzyła w niedopity element.

– Naprawdę chcesz wiedzieć? – spytał. W jego głosie wyczuła ni to zaczepkę, ni hardość. Skinęła głową. – Babulowi odpalaliśmy z Kornelem dolę i mieliśmy z nim spokój. Towaru starczyło dla wszystkich. Te, co chodziły z nami, nie chodziły do klubu i odwrotnie.

– Więc nie Babul?

– On nie miał w tym żadnego interesu. Chciałaś znać prawdę, to ci mówię.

– Więc jeżeli nie on, to kto? – gorączkowała się Łucja.

– Jeszcze nie zaskoczyłaś? Pokombinuj, to samo ci wyjdzie. Ty, Łucja, ty może nie wiesz, ale ona to jest diablica w najpiękniejszej skórce, ci mówię! Możesz się obrażać, możesz ją bronić, ci mówię, że taka jest prawda. Teraz zasadzi się na Kornela. Nie wiem jak, ale coś wykombinuje, zobaczysz. I żeby jeszcze znalazła lepszych! Nie znajdzie. Tylko co ja mam kur... ze sobą teraz zrobić? Trzeba zwiąć żagle i odpłynąć. Fizjoterapeutów wszędzie jak psów, a mnie Ciechocinek pasował. Cały głupi jestem.

Opuścił głowę i siedział zmartwiony jak nieszczęście. Łucja policzyła do dziesięciu, zanim trochę ochłonęła. Gadanie Pipa niespecjalnie ją zaskoczyło. Rozgoryczenie bywa złym doradcą. Rozumiała jego żal, natomiast nie pojmowała, dlaczego tak uparcie łączył pobicie ze zwolnieniem. Bogna nie musiała korzystać z pomocy osiłków, żeby zwolnić swojego pracownika.

– Ona to mogła... wiesz co? – dodał. – Przed odejściem Danek zmienił nam umowy na dużo korzystniejsze. Gabinet wciąż był jego.

– Zmienił wam umowy przed śmiercią?

– Przed jaką śmiercią? Chyba nie wiedział, że umrze, co? W tygodniu zmienił nam umowy, w sobotę miał wyjechać na stałe do Mili. W piątek Ziemek z Bogną, no wiesz... wysłali go do Bozi. Gadaliśmy już o tym.

– Gadaliśmy trochę inaczej. Nie wiem, czy pamiętasz, ale plućś wtedy strasznie na Daniela.

– Ty, Łucja, jak ty to wszystko powtórzysz Bognie, to ja za szybko z Dankiem się spotkam.

– Niczego nie powtórzę, spokojna głowa.

– To po co chcesz wiedzieć?

– Na pewno nie po to, żeby powtarzać Bognie. Mam swoje prywatne powody.

– Chyba rozumiem – uśmiechnął się domyślnie. – Tyle ci tylko powiem, że Danek był w porządku facet. Jak na mój gust za mało męski, ale w porządku. I nie miał życia.

– Zdradzał żonę, odbił kumplowi narzeczoną, nie włąził tylko na szczotkę ryżową i był w porządku?

– Wiesz, gada się różne rzeczy nie zawsze prawdziwe. Był w porządku, ci mówię! Bogna wygadywała na niego różne paskudztwa, wiesz, jak to jest...

Więszego klina Pip nie mógł jej zabić.

Przez całą drogę do domu Łucja miała o czym rozmyślać. Szła wolno, nikt na nią nie czekał, a na plotki z Doską, albo raczej z Kornikową, nie miała ochoty. Wieczór był prawdziwie letni, chociaż w powietrzu czuło się już nadchodzącą jesień. Na chodnikach poniewierały się pierwsze żółte liście. Mały jesienny smutek spadł również na Łucję i tak zawiercił w środku, że miała ochotę rozpłakać się nad sobą, Bogną, Danielem, Pipem, a najbardziej nad wyjazdem Steve'a. Łzy jej się w oczach kręciły aż do samego domu. Nawet nie zauważyła, że furтка była otwarta na całą szerokość. Zastanowiły ją dopiero uchylone drzwi do mieszkania. To nie było podobne do Bogny. Mogła mieć po dwie siatki w każdej ręce, piątą w zębach, ale furtkę i potem drzwi zawsze starannie zamykała. Z bijącym sercem Łucja weszła do holu. Siostra siedziała na schodach z komórką przy uchu. Obok niej stał mały Sebastian z buzią umorusaną czekoladą. Łucja mogła odetchnąć.

– Ja słowa dotrzymałam – mówiła Bogna poirytowanym głosem. – Kwity leżą głęboko i gotowa jestem zakopać je głębiej, ale najpierw muszę mieć w garści zaproszenie. Dla ciebie to małe piwo...

– O, ciocia! – zawołał Sebastian.

Bogna podniosła głowę. Bez chwili wahania wcisnęła klawisz i schowała komórkę do kieszeni.

– Ładnie traktujesz rozmówców – powiedziała Łucja.

– Tak jak na to zasługują, mysiu. Każdemu według jego zasług.

– Gdzie się wybierasz, że potrzebne ci zaproszenie?

– Łopaciakówna przyjeżdża z jakimś recitalem, chciałam ją obejrzeć na scenie, tylko nie mam ochoty płacić za bilet – roześmiała się figlarnie, jakby niepłacenie było znakomitym żartem. – Gdzie byłaś?

– Na spacerze w parku Sosnowym – skłamała gładko Łucja.

Od pewnego czasu zrobiła się bardzo powściągliwa wobec siostry. Nie przychodziło jej to łatwo. Z natury była gadułą. Baśka i Bogna wiedziały o niej wszystko, no, prawie wszystko. Baśka wysłuchiwała, powiedziała, co myśli, czasem podniosła Łucję na duchu, ale nigdy potem nie wracała do powierzonych sobie sekretów. Była jak studnia. Natomiast Bogna nabrała maniery przerywania i wtrącania swoich uwag. Nie były to życzliwe rady ani dzielenie się doświadczeniami, tylko ostre zwroty w stylu: jesteś głupia, tego czy tamtego nie rozumiesz, nie myślisz, nie wyciągasz wniosków, i tym podobne. Łucja czuła się urażona i coraz rzadziej pozwalała sobie na szczerość. Nie mówiła o Stevie, bo Steve denerwował Bognę, nie wspomniała też słowem o wizycie u Pipa. Zresztą liczyła, że wcześniej czy później Bogna sama się dowie.

Bogna nie wyglądała najlepiej. Była przepracowana i coś ją wyraźnie dręczyło. Powrót do domu przed dwudziestą też nie był normalny. Ostatnio wracała dobrą godzinę później. Łucja zlitowała się nad siostrą i zrobiła kolację. Nie bardzo miała w czym wybierać, bo zapomniała o zakupach i w lodówce leżały tylko smętne kawałki starej szynki, oślizgłe i nieapetyczne.

– Nie mamy pomidorów ani ogórków – zdziwiła się Bogna. – Wiesz co, jak ja o czymś nie pomyślę, to na ciebie nie mam co liczyć! Mogłabyś przynajmniej wpaść do zieleniaka!

Piła herbatę, gryzła skórkę przedwczorajszego chleba i wyglądała na mocno zirytowaną. Łucja poczuła się głupio.

– Wciąż masz te swoje kłopoty z gabinetem? – spytała, żeby odsunąć na bok dyskusję o zakupach.

– Jakbyś zgadła. Do połowy miesiąca muszę wyprowadzić wszystko na bieżąco, a tu Ziemek pracuje tylko do końca tygodnia, a na Kornela patrzeć nie mogę. Przychodzą młodzi ludzie po szkole, pytają o pracę, a ja muszę zadowalać się spadkiem po Danielu i znosić obecność tych dwóch... Po co ja ci to wszystko mówię! I tak niczego nie zrozumiesz.

– Zrozumiem, jak mi powiesz, co to znaczy spadek po Danielu?

– Sto razy już ci mówiłam! Powiem sto pierwszy, a pojutrze znowu zapytasz.

Łucja nie dała się sprowokować, nie fuknęła, choć miała ochotę, tylko jeszcze raz powtórzyła pytanie. Intrygował ją wyłącznie spadek po Danielu. Od niedawna wiedziała już, że Bogna wydała na gabinet wszystkie pieniądze po babci, że dodatkowo zaciągnęła kredyt w banku, lecz nigdy nie wspominała słowem, że to nie ona była właścicielką. Teraz wreszcie musiała to wydukać.

– Chciałam, żeby miał swoje miejsce pracy, w ogóle coś swojego, rozumiesz? Ten dom był najpierw babci, potem mój, ale nie jego. On cierpiał, że przez całe życie był od kogoś zależny: od matki, ode mnie, od wódki. Pił, bo cierpiał.

– To nie był facet zdolny do prowadzenia interesów! – zdziwiła się Łucja. – Nie wiedziałas o tym?

– Wiedziałam lepiej niż ty. Był moim mężem, kochałam go nieprzytomnie, bez względu na to, co robił. Był jedynym mężczyzną, przy którym chciałam się zestarzeć. Inni mnie po prostu nie interesowali. Nie umiesz, czy nie chcesz tego zrozumieć?

– Rozumiem. Oczywiście, że rozumiem – szepnęła Łucja.

Podeszła i przytuliła Bognę. Steve to jednak mądry facet, pomyślała z podziwem. Oni naprawdę kochali się do końca.

Opowiadania dla „Tiramisu” powoli stały się dla Łucji zmorą. Nie chodziło nawet o czas, lecz przede wszystkim o pomysły: co tydzień nowe, świeże i niebanalne. Nic się takiego wokół nie działo, o czym mogłaby pisać. Rodzinę i znajomych wyeksploatowała już do ostatniej kropki, opisała amory Baśki i wymyśloną miłość Eweliny, opisała Pipa i Kornela, teraz zastanawiała się nad klubem nocnym „Na opak”. Miała wielką ochotę obejrzeć choć jeden spektakl, popatrzeć na histerię kobitek, potem dorobić fabułę i wszystko to razem zgrabnie opisać. Byłby fantastyczny materiał, pod warunkiem, że znalazłaby kogoś do towarzystwa. Sama bała się iść. O Dośce i Ewelinie wolała nie myśleć, oczywiście o każdej z innego powodu. Zostawała tylko Bogna.

– Mysiuniu, czy ty zidiociałaś do reszty? – zainteresowała się życzliwie siostra. – Zbolałe wdowy nie zagląдают obcym facetom w slipki. Może jeszcze poprosisz, żebym nadziała na siebie czarny

kapelusz z woalką i czarne rękawiczki do łokcia? Babul dostałby zawału.

– Znasz Babula?

– Kochanie, tu zmieniają się tylko kuracjusze. Stali mieszkańcy, jak sama nazwa wskazuje, są stali i z grubsza się znają. Babulicki jest dość popularną postacią, nie skąpi na rozwój kultury, uświetnia różne imprezy, nie tylko w swoim klubie.

– Czy to on pobił Pipa?

– On ma zadyszkę, za bardzo by się zmęczył.

A jednak Bogna nie wykluczała udziału Babula w pobiciu Pipa. Była nawet pewna, że to robota jego goryłatek, facetów o silnych płucach i nogach. Niestety, nie wykluczała też swojego udziału w tej żalosznej imprezie. Pośredniego oczywiście, ale zawsze. Babul miał wieczne pretensje, że Pip z Kornelem psują mu interes. Z braku lepszych rozmówców wydzwaniał do Bogny ze skargami. Był namolny i chamski.

O takim powiedzieć „młot”, to ubliżyć młotowi. Wreszcie Bogna nie wytrzymała i objechała Babula. „To co, mam urwać mu jaja?”, wrzasnęła. Odpowiedziała, zanim się dobrze zastanowiła, z kim rozmawia: „Jemu, sobie, komu tylko chcesz, bylebyś przestał do mnie wydzwaniać!” To był ich ostatni kontakt, zarazem ostatni występ Pipa na dansingu w „Bristolu”. Bogna po tej historii czuła wielki niesmak i wyrzuty sumienia, chociaż zdawała sobie sprawę, że Babul nie musiał czekać na jej pozwolenie. Pip nie był pierwszym pobitym fordanserem, wcześniej zdarzały się podobne przypadki.

– Oduść sobie wyrzuty sumienia, mało to głupot mówimy w złości! – pocieszyła ją Łucja. – Uważam tylko, że nie powinnaś go właśnie teraz zwalniać.

– Co to znaczy teraz? Daniel wyciął mi taki numer z umowami, tak mi związał ręce, że nie mogę żadnego z nich zwolnić. Jedno, co mogę, to postraszyć...

– Daniel?

– Myślisz, że do czułego kochanka pasują bukiety kwiatów, nie święstwa? Możliwe, ale on nie był czuły, on tylko świetnie grał czułość. A kiedy już nie musiał grać, spróbował podziękować mi po

swojemu za to, co dla niego zrobiłam. Odkąd przestał pić, między nami wszystko się popsuło.

Ostatnie dni obfitowały w zagadki, od których Łucja dostawała zawrotu głowy.

13

Najpierw Steve obiecywał, że przyjedzie w poniedziałek, potem przesunął termin na wtorek, a kiedy zadzwonił w sobotę, mruknął coś o następnym czwartku. Podróżował sobie po województwie, od Żnina po Tucholę, i wydawało się, że nie ma zamiaru wracać. Łucja była niepokieszona. Nie dość, że kradł czas, który mieli spędzić razem, to jeszcze zastanawiał się, czy zdąży, czy wyrobi, jakby miał nie wiadomo jakie interesy do załatwienia. A przecież jeździł prywatnie.

– Najlepiej by było, gdybyś to ty przyjechała do mnie – powiedział.

Głupie serce gotowe było do podróży, jednak oprócz serca Łucja miała jeszcze rozum, który coraz bardziej się buntował. Steve podawał jej adres, tłumaczył, jak dojechać do pensjonatu, w którym zamieszkał, i nawet nie zająknął się, nie próbował wytłumaczyć, dlaczego zmienia ich wspólne plany. Łucja nie chciała być dziewczyną na skinienie.

– Jak sobie chcesz – westchnęła z żalem. – Czekam na ciebie tutaj, nie przyjedziesz, to...

Miała zamiar powiedzieć: „to twoja strata”, lecz coś ją zadrapało w gardle i dokończyła już zupełnie cicho, że będzie jej bardzo smutno, jednak jakoś to przeżyje. Poryczała się dopiero, kiedy odłożyła słuchawkę.

I dlaczego ja sądziłam, że on jest inny niż reszta facetów, myślała, rozglądając się bezradnie za chusteczką do nosa.

Natychmiast zadzwoniła do Baśki. Zastała ją na stateczku wycieczkowym. Słyszała jakieś perkotania, dziesiątki cudzych głosów, w których głos Baśki ginął i dostawał czkawki. Z czkawką rozmawiać się nie dało. Łucja wrzasnęła tylko do słuchawki, że jest

niepocieszona, że wietrzy zdradę i że Pip obiecał podać adres Mili. Odłożyła słuchawkę i zrobiła coś absolutnie sprzecznego ze swoimi zwyczajami: w biały dzień położyła się na tapczanie i usnęła. Obudził ją telefon. Baśka albo Steve, myślała, biegnąc do aparatu. Źle wymierzyła zakręt, wyrznęła głową w futrynę, na szczęście zdążyła jeszcze podnieść słuchawkę, żeby się przekonać, że nie zgadła.

Wesoły głos Marceliego nie poprawił jej nastroju. Wprawdzie zapraszała go do Ciechocinka ze sto razy, ale zupełnie jej to wywietrzało z głowy. Zresztą Marceli nie przyjechał turystycznie, tylko raczej z obowiązku. Przywiózł ojca do sanatorium i przy okazji chciał się spotkać z Łucją. Trzymając się za głowę i postępując, podała mu namiary na „Bristol”. Była sobota, zdrajca Steve siedział gdzieś daleko i miał Łucję w nosie, nie chciała kolejnej soboty spędzić przy komputerze czy na plotkach z Kornikową. Obiecała, że za godzinę będzie.

W łazience, kiedy poprawiała urodę, nadwątloną nieco przez sen, zobaczyła zaczątek guza na czole, w miejscu zderzenia z futryną. Tylko guza brakowało jej do szczęścia. Na dodatek nabiła go, pędząc do telefonu, a więc pośrednio zawinił Marceli. Lubiła go bardzo, najbardziej ze wszystkich kumpli, ale podejrzewała, że umawiał się z nią nie całkiem bezinteresownie. Marceli był też kumplem Oskara. Szła na spotkanie niezbyt przychylnie nastawiona.

Jeżeli Łucji bardzo na czymś zależało, jeżeli coś planowała z dużym wyprzedzeniem, to najczęściej wychodziła z tego klasyczna mijanka. Plany szły w jednym kierunku, efekty w przeciwnym. Natomiast jeżeli do czegoś podchodziła z dużą rezerwą, czasem wręcz z niechęcią, to na końcu była mile zaskoczona, że czarnowidztwo się nie spełniło. Podobnie i tym razem. Na tańcach, pytowaniu i wspominkach o Baśce wieczór minął nie wiadomo kiedy. Dopiero w drodze powrotnej Łucja pękła.

– A co u Oskara? – napomknęła tak obojętnie, jakby wcale nie czekała na odpowiedź.

– Powiem ci, że nie chciałbym być na jego miejscu.

– Ty nigdy nie będziesz na jego miejscu! – powiedziała z przekonaniem.

– Jeżeli dojdzie do rozprawy w sądzie, a wszystko na to wskazuje, wystąpisz jako świadek? – spytał.

– Jakbym chciała występować w sądzie, poszłabym na prawo – roześmiała się Łucja. – Na szczęście ta sprawa toczy się zupełnie poza mną.

Mimo późnej pory w holu pachniało świeżym ciastem i jabłkami, znak, że Bogna poczuła w sobie duszę gospodyni domowej. Na co dzień nie rozwijała talentów kulinarnych, bo nie miała na to czasu. Całe dni spędzała poza domem, obiady jadała w sanatorium i o gotowaniu nie chciała słyszeć. Jednak od czasu do czasu lubiła czymś błysnąć.

– Co za zapachy! – Łucja z lubością wciągała w płuca aromat jabłek i cynamonu. – Można spróbować?

– Dopiero po upieczeniu, ty łasuchu – roześmiała się Bogna.

– Czy to jest szarlotka według przepisu Daniela?

– Słucham? – Bogna patrzyła z największym zdumieniem.

Łucja ugryzła się w język. O przepisie na szarlotkę wspominała swego czasu Ewelina, jednak dość niebezpiecznie było wspominać o Ewelinie przy Bognie. Zaczęła więc nawijać o tamtym piątkowym wieczorze, kiedy to Daniel miał podobno piec szarlotkę i przygotowywał się do obierania jabłek. Była pewna, że słyszała to od samej Bogny.

– Daniel w życiu nie zrobił sobie jajecznicy i nie obrał ziemniaka. Też się udałaś z tą szarlotką – prychnęła.

– Sama mówiłaś! – broniła się Łucja, ale już wiedziała, że zbyt serio potraktowała „takie tam sobie” gadanie siostry. Bogna często mówiła „tak sobie”, potem wszystko odwoływała i nie czuła z tego powodu najmniejszych wyrzutów sumienia. Teraz też roześmiała się tylko i pokręciła głową.

– Ty wiesz, że on w zimie trochę przytył i tak się tym zamartwiał, że w ogóle nic słodkiego nie brał do ust? Mam jednak nadzieję, że twój gość nie jest na diecie? Przyrowadź go jutro na obiad. Szarlotkę podamy na deser.

– O jakim gościu mówisz? – zdziwiła się Łucja.

– Jak mi go przedstawiś, to będę wiedziała. Na razie słyszałam tylko tyle, że ma urodę Meksykanina.

Szybkość obiegu informacji w rodzinnym mieście nie po raz pierwszy wprawiła Łucję w zdumienie. Jeden wieczór w „Bristolu”, kilka tańców, spacer, a Bogna nie dość, że o wszystkim już wiedziała, to jeszcze zdążyła upiec szarlotkę. Dla Steve’a nigdy nie była taka uprzejma i Łucja miała ochotę obruszyć się w jego imieniu. W porę przypomniała sobie, że jest na niego obrażona, poza tym obiecała, że nie będzie o nim rozmawiała z Bogną ani z Bašką. Co do Baški, nie była przekonana. Przyjaciółka nie krytykowała Steve’a, nie nazywała fanfaronem ani prezesem koła emerytów. Poza tym Łucja nie umiała sama przeżywać swoich dramatów, musiała mieć kogoś, z kim mogła dzielić smutki i radości. Dla Baški musiała zrobić wyjątek.

– O matko! – zatrwożyła się Bogna. – Skąd to limo nad okiem? Nie powiesz chyba, że temperament Meksykanina wylazł ci czołem?

– To raczej mój temperament plus twoja futryna – mruknęła Łucja. – Biegłam do telefonu i nie wyrobiłam na zakręcie.

– Coś podobnego! – Bogna pokręciła głową. – Ewelina kiedyś wściekła się na Daniela i nabiła mu guza. Biedak, tłumaczył się potem, że wpadł na futrynę, i to chyba na tę samą, co ty. Wcale mu nie uwierzyłam.

– Mógł wpaść! Mój guz niech ci będzie dowodem – powiedziała Łucja. – A dlaczego Ewelina biła twojego męża?

– Nie wiem, czy biła, może naprawdę walnął w futrynę. Chłopaki mówili, że tego dnia wpadła do gabinetu wściekła jak furia, nie zastała Daniela, więc się dowścieczyła i pogoniła go szukać. Wieczorem patrzę, a u niego na łbie guz jak pół antonówki. Za niewiernym chłopem nie trafisz, mysiū. Może i przeleciał ją z raz po pijaku, a potem to już tylko uciekał. Na ogół miał niezły gust, więc trudno uwierzyć, żeby zakochał się w Ewelinie. A ten Meksykanin jaki jest? Oczywiście nie pytam o jego gust, bo z grubsza jestem zorientowana. Wystarczy popatrzeć na ciebie. Z tym limem jesteś jeszcze bardziej interesująca, siostrzyczko – roześmiała się Bogna.

– Zlituj się, to tylko kumpel, nikt więcej. Przywiózł ojca do sanatorium i rano wyjeżdża. Szarlotkę będziemy musiały zjeść same.

Miejsce przystojnego Vittorio zajął średniej urody Robertino, trzeci w kolekcji amant Baški. Tempo, w jakim przyjaciółka

zmieniała chłopaków, przyprawiało Łucję o zawrót głowy. Znała całkiem inną Baškę, zrównoważoną, obowiązkową, działającą według precyzyjnego mechanizmu, wmontowanego na stałe, który pozwalał jej zachowywać umiar między rozrywką a pracą. Ta Baška, która dzwoniła z Capri, najwidoczniej nie umiała żyć bez pracy i głupiała od nadmiaru swobody. Tak przynajmniej widziała to Łucja.

– Uparłaś się, żeby w ciągu miesiąca nadrobić zaległości erotyczne z poprzednich lat? – spytała zdumiona.

Ciężkie westchnienie przyjaciółki zabrzmiało w słuchawce jak podmuch wiatru. Nie uparła się, nie chciała nadrabiać zaległości, tylko próbowała żyć na luzie, tańczyć i trochę poflirtować. Nie ona wymyśliła wyspę kochanków, włoski temperament i najazd wczasowiczów na Capri. Kręciła się w nieprzebranym tłumie, trochę strzelała oczami, a jej słowiańska uroda dokonywała reszty.

– Wiesz – gorączkowała się Baška – mnie tych chłopaków jest żal. Przez całe wakacje uganiają się za dziewczynami, przebierają w nich jak w przejrziałych mandarynkach, pomyśl, co to za życie!

– I tak mają lepiej niż Pip i Kornel – zauważyła Łucja. – Ci biedacy nawet przebierać nie mogą, idą tam, gdzie im płacą i gdzie ich chcą.

– Dla pieniędzy to co innego, a ci moi poświęcają się z czystej życzliwości – zapewniła Baška i zgrabnie przeskoczyła na polskie realia. – Masz jakieś wieści o *Pływaczce*? – spytała.

– Burak oddał sprawę do sądu, możliwe, że Oskar zechce powołać mnie na świadka. Muszę uciekać jak najdalej. Chyba pojedę ze Steve'em jako gosposia do Nowego Jorku!

– Przecież ty się nie znasz na kuchni ani na prowadzeniu domu – kpiła Baška. – Dzieci i staruszków też nie umiesz niańczyć, a to są główne zajęcia gastarbeiterów.

– Podszkolę się – obiecała Łucja i nie ciągnęła dłużej niebezpiecznej rozmowy.

Prawdziwe kłopoty Oskara dopiero się zaczynały. Kinga znała szczegóły od swoich pinezek i natychmiast zadzwoniła do Łucji. Mówiła, że sprawa już w sądzie, że facet, który utożsamiał się z bohaterem filmu, żąda dwustu tysięcy za naruszenie dóbr osobistych, że skarży telewizję i reżysera.

– Dwustu? – zdziwiła się Łucja. – Przykra historia, lecz zmartwienie nie moje. Rozstałam się z Oskarem kilka miesięcy temu i nie przeżywam jego kłopotów.

Kinga oczywiście wiedziała o rozstaniu i właśnie dlatego dzwoniła. Była ogromnie przejęta; śmieszkim, żartem próbowała nadać rozmowie lekki ton, lecz Łucja za dobrze ją znała, by dać się zwieść tanim sztuczkom. Powoli chwytła intencje naczelnej. W biurku Kingi wciąż leżały piękne zdjęcia pięknego Oskara. Zapłaciła fotografowi, zanim zaczęła się afera wokół filmu. Debiut ze względów strategicznych nie wypalił, więc Kinga wymyśliła rozmowę o reżyserskiej wpadce. Zachłystywała się swoim pomysłem i co chwila powtarzała: „To będzie prawdziwy hit! Taki młody i już umoczony, frapujące, szalenie frapujące!” Redakcja „Tiramisu” lubiła bulwersować swoje czytelniczki. Wiadomo przecież, że nawet niewielki skandal jest dużo ciekawszy od mdłej recenzji, której i tak nie miałyby kto napisać. W każdej recenzji, tłumaczyła Kinga, jest coś ubliżającego dla odbiorcy. To tak, jakby autor mówił: „Uważaj, jestem od ciebie mądrzejszy, bardziej oblatany i beze mnie nie zorientujesz się, który film jest dobry, a którym nie warto sobie zawracać głowy”. Czytelniczki „Tiramisu” zadowalały się informacjami o filmach zaczerpniętymi z promocyjnych gotowców, natomiast uwielbiały skandale w dobrym stylu.

– Mam napisać skandalizujące opowiadanie? – spytała Łucja.

Kinga udała, że w ogóle nie słyszy pytania.

– Oskar powiedział mi – teatralnie zawiesiła głos – że to ty jesteś cichą współautorką scenariusza. Taką cenną wiadomość muszę skonfrontować, sama rozumiesz.

– Nie znam pojęcia „cichy współautor” – odpowiedziała pewnym głosem Łucja.

– Chcesz powiedzieć, że jesteś cichą współautorką, tylko nie uświadomiłaś sobie tego wcześniej, tak?

– To nie ja mam problemy ze świadomością, tylko twój rozmówca. Dobre obyczaje nakazują wymieniać współautorów w czołówce filmu. Mojego nazwiska tam nie było.

– Dlatego mówię o cichym współautorstwie – upierała się Kinga.

– Czemu miałabym narabiać się anonimowo dla chwały Oskara?

- Wiesz, kobiety wiele zrobią, żeby zatrzymać mężczyznę.
- Przecież to ja go zostawiłam!
- Więc może akt zemsty? Wystąpiłaś przecież w jego filmie, w scenie, którą można nazwać symbolicznym pożegnaniem – drażzyła Kinga.
- Jeżeli choć jedna z tych bredni znajdzie się w twoim tekście, to pożegnamy się niesymbolicznie! – powiedziała zirytowana Łucja i przerwała połączenie.

Siedziała potem bez ruchu i zastanawiała się, dokąd mogą ją zaprowadzić pytania Kingi. Na łamy „Tiramisu” na pewno, a kto wie, czy nie dalej, choćby do sądu. Mimo ciepłego popołudnia poczuła chłód na plecach. W uszach słyszała krzyk Oskara: „Jeszcze pożałujesz!” Pamiętliwy Oskar, piniacz Pałak i skandalistka Kinga, to był piekielny konglomerat, który nie wróżył rychłego zakończenia sprawy. Nie chciała być wmieszana w ich intrygi, ale nikt jej nie pytał o zdanie.

14

Chcąc nie chcąc, Łucja musiała wpisać Pipa na listę swoich przyjaciół. Obiecał odszukać Milę i słowa dotrzymał. Uwinął się z zadaniem bardzo sprawnie, a w nagrodę chciał tylko jednego: żeby Łucja znowu wpadła z wizytą. Nie chodziło mu o czekoladki ani owoce, jedynie o chwilę rozmowy. Czuł się chory i samotny. Obiecała, że zajrzy po powrocie z Torunia.

Mila pracowała w szpitalu miejskim na Batorego, można powiedzieć, trzy kroki od centrum. Łucja wiedziała, gdzie to jest, i czuła się prawie tak, jakby miała już dziewczynę w zasięgu ręki. Nieprzewidziane kłopoty wyniknęły dopiero na izbie przyjęć. Łucja upierała się, że szuka Mili fizjoterapeutki, a takiej nikt tam nie znał.

– Może chodzi pani o pielęgniarkę z wewnętrznego? – spytała przytomnie recepcjonistka, zanim Łucja zdążyła w duchu posłać Pipowi paskudną wiązanekę.

Pobiegła na wewnętrzny. Parę razy próbowała sobie Milę wyobrazić i zawsze widziała smukłą brunetkę, podobną nieco do Bogny. Nic nie mogła na to poradzić, że jasnowłosa Daniel kojarzył jej się z brunetkami. Była zaskoczona, kiedy stanęła przed nią niewysoka blondynka, drobna i bardzo szczupła. Czyżby ona już urodziła? – pomyślała w popłochu Łucja. Nie zdążyła się przedstawić, powiedzieć, kim jest i po co przyszła, bo tamta ją uprzedziła.

– Poznaje cię, wiem, kim jesteś. Daniel dużo mi o tobie opowiadał.

Uśmiechała się tak, jakby przez te wszystkie miesiące czekała tylko na Łucję. Umówiły się w kafejce na Szerokiej, tej samej, którą tak lubił Steve. Mila zniknęła za oszklonymi drzwiami oddziału, a Łucja została z mętlikiem w głowie. Nurtowały ją zwłaszcza dwa pytania:

jak to możliwe, że Mila poznała ją jedynie z opisu i gdzie teraz było dziecko Daniela, jeżeli nie w brzuchu Mili?

Wróciła do śródmieścia. Korciło ją, żeby pobiegać po sklepach, jednak od czasu pamiętnej rozmowy z Bogną wzięła się w garść. Musiała przyznać siostrze rację: przez najbliższe lata mogła umawiać się na eleganckie, rozbierane randki bez konieczności kupowania nowych majtek i biustonoszy. Niestety, chętnych na takie randki jakoś nie było. Kupiła trzy róże, kawałek placka ze śliwkami i poszła do matki Daniela.

Łucja chciała spełnić samarytański obowiązek, oderwać staruszkę od rozmyślań o synu, a trafiła na kobiece przyjęcie z porzeczkowym winem domowej roboty i kruchymi ciasteczkami. Na widok zarumienionej gospodyni oraz trzech równie zarumienionych pań siedzących w pokoju miała ochotę zawrócić i uciec. Zaczęła mamrotać, że nie chce przeszkadzać, że przyjdzie innym razem. Nie wiedzieć czemu, skojarzyła sobie, że cztery kobitki koło sześćdziesiątki, i to z Torunia, obowiązkowo muszą należeć do osławionych brygad moherowych beretów. Wolą z nimi nie zadzierać przy porzeczkowym winie w gościnnym, lecz obcym domu. Z ciężkim sercem dała się posadzić przy stole i spędziła dwie fantastyczne godziny w towarzystwie kobiet, które miały w sobie niespożyte pokłady energii i humoru.

– Alfreda mówiła, że jesteś reżyserem, to prawda? – dopytywała się pani Magdalena.

– Jeśli mówiłam, to znaczy, że jest – obruszyła się matka Daniela.

– Nigdy nie oszukuję bez potrzeby!

Łucja roześmiała się ubawiona, że pani Alfreda w ogóle może mijać się z prawdą.

– Kochana, złota – pani Magdalena chwyciła Łucję za rękę – nakręć film o młodych duchem emerytkach, które straciły co prawda zainteresowanie płcią odmienną, ale kochają życie i stać je na wiele.

– Madziu, mów za siebie z tą płcią – zaprotestowała pani Ewa, najdrobniejsza i najcichsza z pań.

– A czemu nie nakręcić filmu o dojrzałej miłości? – wykrzyknęła pani Stefania. – Jest taka świetna powieść *Sprawy zagraniczne*. Film też był znakomity, grała żona Paula Newmana i taki przystojny,

barczysty aktor. Madziu, musisz pamiętać, sama mówiłaś, że on był w twoim typie?

– To ja mówiłam – sprostowała pani Ewa.

– Ty? Ty zawsze wolałaś długich i chudych, takich, co to można ich złożyć jak scyzoryk. Małe z wielkim dobrze się komponuje, to twoja opinia!

– Moja, ale dla tego aktora, o którym mówimy, zrobiłam wyjątek. Polubiłam go za żywiołowość.

– Ona jeszcze gotowa machnąć się za męża! – zawołała z niedowierzaniem matka Daniela.

Pani Ewa uśmiechnęła się z lekkim zażenowaniem. Nie pojmowała, co jej przyjaciółki miały przeciwko instytucji małżeństwa. Jak dotąd nikt nie wymyślił lepszego rozwiązania na połączenie dwu osób różnej płci. I nikt nie powiedział, że mają się łączyć tylko młodzi i bardzo młodzi. Gdyby pani Ewa miała pewność, że trafi na męczyznę odpowiedzialnego i dobrego, broń Boże nie młokosa, to z miłą chęcią zamieniłaby stan cywilny z wdowy na mężatkę. Jednak nazwiska aktora nie umiała sobie przypomnieć.

– Jak on się nazywał? – nie dawała za wygraną pani Stefania. – Niby prostak, w kowbojskim kapeluszu, w buciorach i prochowcu, ale w gruncie rzeczy dobry człowiek. Kochał ją jak szalony, aż do zawału serca. Może pani pamięta, pani Łucjo.

Łucja pamiętała tylko, że żona Newmana, świetna amerykańska aktorka, to Joanne Woodward, zdobywczyni Oscara i kilku Złotych Globów. Filmu nie widziała i trudno jej było, wyłącznie na podstawie opisu pani Stefanii, strzelić nazwiskiem aktora.

– Taki film, żeby pani nakręciła, tylko z innym zakończeniem. Oni mogli jeszcze długo razem pożyć, wcale nie byli starzy. Nasza Ewa ma rację: miłość w każdym wieku jest piękna, i to warto pokazywać.

– Stefciu, młodzi interesują się młodymi – powiedziała matka Daniela. – Łucja może nakręcić film o swoich rówieśnikach, bo ich sprawy zna najlepiej.

– Byle z dobrym zakończeniem – zażyczyła sobie pani Magda. – Lubię filmy, które podnoszą mnie na duchu, każą wierzyć, że ludzie ogólnie są dobrzy, tylko czasem coś im nie wychodzi. Tak choćby jak

w *Con amore*. I niech pani nie pakuje do swojego filmu morderstw, bijatyk i przekleństw.

– To jeszcze powiedz pani Łucji, co ma wpakować, bo sama może na to nie wpaść – roześmiała się pani Ewa.

Łucja dawno już nie bawiła się tak świetnie. Przez dwie godziny nie padło ani jedno słowo skargi na starość, drożyznę czy polityczną głupotę. Nawet matka Daniela wypogodziła się i ożyła przy swoich niezmordowanych przyjaciółkach. Kobiety oglądały filmy w telewizji, biegały na wystawy, gdzieś tam działały, coś robiły. Ostatnio zajęły się kochaną Alfredą. Przy pożegnaniu pani Magda szepnęła Łucji do ucha, że pół roku żałoby w osamotnieniu wystarczy na przemyślenie całego życia, które przecież jeszcze się nie skończyło.

Łucja dogoniła Milę tuż przed kawiarnią. Do środka weszły razem. Mila, choć sama wybrała miejsce spotkania, nie lubiła publicznych lokali. Kawiarnie są po to, mówiła, żeby przy stoliku obgadać znajomych i ponarzekać na cokolwiek. O sprawach naprawdę ważnych powinno się rozmawiać w czterech ścianach mieszkania. Chciała Łucję zabrać do siebie, na Truskawkową, kawałek za miasteczkiem uniwersyteckim. Łucja zerknęła na zegarek. Bała się zbyt późno wracać do Ciechocinka, zwłaszcza że liczyła na okazję. Z wielkim żalem musiała odmówić.

– Szkoda – uśmiechnęła się Mila. – To mieszkanie kupiliśmy wspólnie z Danielem. Nie masz pojęcia, jak on się cieszył, że wreszcie dorobił się czegoś naprawdę własnego. Powoli zwoził swoje osobiste rzeczy, między innymi książki i zdjęcia. Niewiele się zmieniłaś przez te dziesięć lat, dlatego cię poznałam.

– Przechowywał moje zdjęcia? – wybąkała Łucja. – A ty co na to?

Jej zaskoczenie rozbawiło Milę.

– Moja mama zawsze mi powtarzała, że nie wolno niszczyć cudzych wspomnień, zwłaszcza wspomnień ludzi, których się kocha. Nie mogłam być zazdrosna o przeszłość, bo zatrujębym życie jemu i sobie. Owszem, miał kilka twoich zdjęć, bardzo ładnych zresztą, ze studniówki, ze spaceru w warszawskich Łazienkach. Znałaś go przecież, to wiesz, że był wyjątkowo dyskretny i nigdy nie zdradzał cudzych tajemnic. Przy nim i ja oduczyłam się niepotrzebnej ciekawości, a właściwie wścibstwa. Wszystkie najpiękniejsze chwile

w życiu, jakie przeżyłam, zaczęły się od naszego spotkania. Powiedz sama, czy miałam powody, żeby grzebać w jego przeszłości?

Łucja słuchała ze wzrastającym podziwem i coraz bardziej rozumiała Daniela, coraz mniej Milę. Przy niej on był starym, trzydziestopięcioletnim facetem, zmęczonym alkoholem, małżeństwem, pracą, może nawet czymś więcej, o czym Łucja nie wiedziała. Życie go uwierało, chciał zmiany, więc znalazł sobie młodą dziewczynę, tyleż dobrą, co naiwną, z którą chciał zacząć wszystko od początku. A co ona zyskiwała? Pytanie było z gatunku niedyskretnych i Łucja odłożyła je na inny moment.

– O czym chciałaś ze mną rozmawiać? – spytała Mila.

– Gdzie się ruszę, słyszę o nim jak najgorsze rzeczy. Chłopaki w gabinecie mówią źle, podobnie sąsiedzi i znajomi.

– Chłopaki z gabinetu to psychiczni daltoniści, widzą tylko czarne i białe, inne kolory im umykają. Pozwalają sobą manipulować, powtarzają to, co im szefowa wmawia albo nakazuje, sama już nie wiem. To nie Daniel pracował na swoją opinię, to żona urabiała mu opinię kobieciarza, lenia, skończonego niewdzięcznika. Próbowалаm ją zrozumieć i nie mogłam. Powiedz, po co czepiać się kurczowo faceta, który jest zlepkiem samych wad? Ja bym próbowała od takiego uciec, ona odwrotnie: trzymała go przy sobie za wszelką cenę.

– Podobno chciał jej zabrać gabinet?

– W środę, na dwa dni przed śmiercią załatwił u notariusza przepisanie gabinetu na żonę. Formalności trochę trwały, ale właśnie w środę dopięli sprawę do końca. Szkoda, że nie rozmawiamy w domu, pokazałabym ci dokumenty. Piętnastego lutego miał zacząć pracę w prywatnej klinice, tu w Toruniu. Od pani Bogny chciał tylko jednego: zgody na rozwód. I bez jej zgody bylibyśmy razem, on jednak próbował do końca grać uczciwie. Powiedziała: „Po moim trupie”, sama to słyszałam. No i trup się znalazł, ale... – zawahała się, nie skończyła. Oczy jej się zaszklily i z trudem zapanowała nad łzami.

– A może ona też go kochała? – powiedziała cicho Łucja.

Mila pokręciła głową.

– Co to za miłość, która karmi się krzywdą? Nie myśl, że on się skarżył. Sama słyszałam, co wygadywała, choćby w gabinecie przy chłopakach, przy pacjentach.

– Czy nie chodziło czasem o to, że byłaś dziewczyną Ziemka? – spytała Łucja.

– Nigdy nie byłam dziewczyną Ziemka – zaprotestowała gwałtownie Mila. – Znasz go, rozmawiałaś z nim kiedyś?

– Powiedzmy, że próbowałam rozmawiać.

– Ty mówiłaś, on się uśmiechał? Ten facet w życiu nie oświadczy się żadnej dziewczynie, poczeka, aż któraś zrobi to za niego. Ożywia się jedynie, kiedy mowa o żużlu, wyścigach i motorach. Jest w porządku, nie mówię, że nie jest. Wszystko, co nas łączyło, to moja złamana noga. Po zdjęciu gipsu miałam kłopoty z rozćwiczeniem stopy i gdzieś tak w listopadzie ubiegłego roku Ziemek sam mi zaproponował kilka zabiegów w gabinecie pani Bogny. Tam poznałam Daniela i tam wszystko się zaczęło. Takich mężczyzn jak on to już chyba nie ma – westchnęła Mila i posmutniała.

Nie chciała opowiadać o swoich uczuciach, nauczyła się dyskrecji od Daniela. Czasem, kiedy pytała go o żonę, wymigiwał się takim ładnym powiedzonkiem: „Jeżeli o najbliższych nie można mówić dobrze, to lepiej nie mówić wcale”. Raz tylko powiedział, że największym osiągnięciem Bogny było stworzenie małżeństwa policyjnego z mężem głupkiem, którego musiała wciąż sprawdzać, karcić i poganiać, bo inaczej zginąłby żywcem.

Był zbyt wrażliwy, żeby to wytrzymać, zaczął pić. Wyciągnęła go z nałogu, żeby lepiej pilnować i dotkliwiej karać.

– On kiedyś powiedział – uśmiechnęła się Mila – że gdyby ożenił się z tobą, jego życie wyglądałoby zupełnie inaczej. Jestem ci wdzięczna, że nie wyszłaś za niego... I pewnie dlatego cię polubiłam. Teraz siedzimy tu razem, pierwsza i ostatnia dziewczyna w jego życiu. Czy to nie dziwne?

Łucja spojrzała uważnie. W tym, że siedziały, że rozmawiały, nie upatrywała niczego dziwnego. Mocno musiała się postarać, żeby do tego spotkania doszło. Ale czy rzeczywiście przy kawiarnianym stoliku siedziała pierwsza i ostatnia dziewczyna Daniela? Co do ostatniej nie było wątpliwości, gorzej z tą pierwszą. Przed Łucją na

pewno była Bogna, która odbiła go swojej koleżance, a przed tamtą mogły być inne, czemu nie. Daniel był jak puchar przechodni: dziewczyny przekazywały go sobie z rąk do rąk, być może niezupełnie dobrowolnie, lecz na pewno bez jego udziału. Wyglądało na to, że jego życie składało się z kilku, może kilkunastu fars i jednego melodramatu. Łucja skłonna była przyznać rację Bognie, że Daniel był po prostu słaby i bezwolny. Ale też trudno było nie zgodzić się z Milą, że lepszego, czulszego kochanka świat wcześniej nie znał.

– Co w nim było takiego niezwykłego? – spytała.

– Wszystko – powiedziała zdecydowanie Mila. – Delikatność, czułość, on cały był miłością. Ty wiesz, że on się prawie modlił do mojego ciała? – szepnęła zawstydzona. – Znał każdą żyłkę, odróżniał kilka kolorów skóry, był niezwykły. Niczego nie potrafił mi odmówić, naprawdę niczego. Marzył o dziecku. Nie masz pojęcia, jak bardzo chciałam mu urodzić syna. Śmiał się, że wolałby dziewczynkę. Mieliśmy tyle planów. Myślałam, że po tej tragedii już nigdy się nie pozbieram. Jestem w środku jak popiół, rozumiesz to?

– Pozbierasz się – powiedziała Łucja. – Nie będziesz miała innego wyjścia. Nikt nie cofnął w porę ręki szaleńca, a teraz nikt nie cofnie tamtych wydarzeń.

– Też myślisz, że zabił Władek? Niby dlaczego? O piątej po południu sklepy są otwarte, mógł sobie kupić wódki, ile chciał. Pieniądze też miał, bo malował nam mieszkanie i Daniel dał mu pieniądze. Władek nie miał powodu, żeby zabijać Daniela. On go uwielbiał, mówił: „Mój kumpel Danek”.

– Więc kto?

– Wiem, że nie Władek. I nie Ziemek, choć był podejrzany. Tamtego wieczoru Ziemek odprowadził Bognę do domu, żeby pożyczyć od niej aparat do masażu. Dla mnie, gdybyś chciała wiedzieć. Mówił, że nawet nie wszedł do mieszkania, bo śpieszył się na autobus. Wierzę mu jak sobie samej.

– Podobno Ziemek nie lubił Daniela?

– Lubił. To jest facet, który wszystkich lubi, chociaż prawdziwych kumpli ma tu, w Toruniu. Do Ciechocinka jeździł do pracy i nie mieszał się w żadne utarczki gabinetowe. Był neutralny. Kiedy już

wiadomo było, że Daniel odchodzi od Bogny, powiedział mi coś takiego: „Nie zagłaszcz go na śmierć, daj mu odetchnąć. Po ujeżdżalni, jaką przeszedł u Bogny, musi dojść do siebie”. Jak na Ziemka, padło bardzo wiele słów.

– Jeżeli nie Władek, nie Ziemek, to kto? Podejrzewasz Bognę?

Mila nie odpowiedziała. Opuściła głowę, jasne włosy opadły jej na twarz niczym woalka, a łzy kapały na ciemny blat stolika.

Łucja dojechała do Ciechocinka o zmroku i nie poszła do Pipa. Była zbyt wykończona psychicznie i niezdolna do podnoszenia kogokolwiek na duchu. Przez drogę próbowała poukładać sobie kilka informacji związanych z mordercą Daniela. W winę Władka uwierzyła policja oraz Bogna i Dośka z Kornikową. Podejrzenia Pipa kierowały się w stronę duetu: Bogna i Ziemek. To zastanawiające, ale i Steve, wymyślając hipotetyczną wersję wydarzeń, poszedł podobnym tropem. Natomiast Ewelina i Mila uważały, że Daniela zamordowała Bogna. Łucja ze wszystkich sił chciała wierzyć, że oficjalna wersja wydarzeń była jedyna i słuszna. Po rozmowie z Milą wykluczyła Ziemka, i to zdecydowanie, a w winę Bogny po prostu nie uwierzyła. Może Bogna miała swoje powody, może i krzyczała, że zabije Daniela, że po jej trupie, ale co innego krzyczeć w złości, natomiast zupełnie co innego chwycić nóż i wepchnąć go mężowi w serce. I to miałyby zrobić kobieta, która w życiu nie zabiła ryby ani kurczaka?

Bogna czekała na Łucję z kolacją. Nie była usposobiona pogodnie ani żartobliwie, napadła na siostrę, że włóczy się lichy wie gdzie i szuka guza. Niewinne z pozoru pytanie: „Czy nie było do mnie telefonu?”, wywołało następną falę niezadowolenia. Łucja nie miała wątpliwości: gdyby dzwoniła Baśka, Bogna nie stroiłaby min obrażonej sekretarki. Odpowiedź była jedna: telefonował Steve.

– Nie wściekaj się – powiedziała ugodowo. – Chcę tylko wiedzieć, czy ten, kto do mnie dzwonił, zostawił jakąś wiadomość? Czekam na bardzo ważny telefon. Służbowy, jeśli cię to interesuje.

– Czekasz? Znikasz z domu na cały dzień i mówisz mi, że czekasz na telefon?

– Mhm – mruknęła Łucja, wciąż jeszcze nastawiona ugodowo. – Co się stało, że wróciłaś dzisiaj wcześniej?

Bogna wzruszyła ramionami i mruknęła coś, z czego można było wywnioskować, że w ogóle nie była po południu w gabinecie lub odwrotnie, że była od rana i miała dosyć. Łucja postanowiła o nic więcej nie pytać. Siostra od czasu do czasu miewała napady fatalnego humoru i nie było innego wyjścia, jak wziąć na przeczekanie. Nalała herbaty do szklanek i usiadła przy stole. Bogna podała pieczywo, talerz z wędliną i drugi z mizerią. Bardzo starannie, pedantycznie niemal zaczęła smarować masłem kromkę chleba.

– Zakończyłaś już śledztwo? – spytała zaczepnym, wrogim tonem.

Łucja policzyła do piętnastu. Tym razem stary wypróbowany sposób nie zadziałał. Pytanie wprowadziło ją w wewnętrzny dygot.

– Nie prowadzę śledztwa – powiedziała cicho.

– To, że przestałaś mnie wypytywać, nie znaczy, że nie wypytyjesz wszystkich z mojego kręgu. Jeżeli nawet Ziemka próbowałaś przekupić gaciami, to znaczy, że zadałaś sobie mnóstwo trudu. Czy ty już na łeb upadłaś, wstyd ci kompletnie odjęło, że dajesz facetowi w upominku kalesony!?

Sytuacja była groteskowa. Bogna wyglądała na rozwścieczoną, Łucja nie za wiele chciała jej tłumaczyć, poza tym czuła zbliżający się atak głupawki. Dusił ją pusty śmiech, z którym nie umiała sobie poradzić.

– Nie chciałam przekupić Ziemka – wykrztusiła wreszcie.

– Zaszła pewna pomyłka... Poza tym wcale nie prowadzę śledztwa, piszę jedynie scenariusz.

– Wiem, że piszesz. Z twojego pisania niedwuznacznie wynika, że policjanci to głąby. Przedstawiasz swoją wersję wydarzeń i na czymś musisz ją opierać. Pytam więc po raz drugi: czy zakończyłaś już śledztwo?

– Skąd możesz wiedzieć, co wynika z mojego scenariusza? – zdumiała się Łucja.

– Staram się wiedzieć o wszystkim, co mnie dotyczy. Skąd wiem? Przeczytałam sobie to, co napisałaś. Myślisz, że nie umiem obsługiwać komputera?

Łucja zerwała się, gotowa biec, sprawdzać, czy przypadkiem siostra nie skasowała któregoś tekstu. Krótkie: „Siadaj!”, zatrzymało ją w miejscu. Bogna nie patrzyła na Łucję. Wciąż smarowała tę samą kromkę chleba i w tej prostej czynności było coś przerażającego. Ile razy można wygładzać nożem masło na niewielkiej powierzchni? A ona rozprawiała je, wygładzała, zbierała z brzegów, znowu wygładzała. Łucja jak zahipnotyzowana patrzyła na rękę i na nóż. Dawno już przestało jej być do śmiechu.

– Przestań! – krzyknęła histerycznie. – Ta kromka jest posmarowana, przestań!

Bogna z niechęcią odrzuciła chleb, ale nóż wciąż trzymała w ręku. W trakcie mówienia pukała nim w stół.

– Jeżeli dobrze zrozumiałam – powiedziała znacznie spokojniejszym tonem – twoja Daria, czyli mój odpowiednik w filmie, w porozumieniu ze swoim kochankiem, nie zorientowałam się dokładnie, kogo mi wlepiłaś na kochanka, a więc Daria osobiście zarżnęła swojego męża. Pijaczyna napatoczył się niechcący, zobaczył więcej niż powinien, więc kochanek pogonił go przez kilka ulic i wepchnął pod nadjeżdżający samochód. Urocza para, nie ma co! Dobrze, że chociaż sprawiedliwie nas obdzieliłaś, na każdego wypadło jedno morderstwo.

– Daria nie jest twoim odpowiednikiem, tylko postacią fikcyjną – powiedziała ze złością Łucja. – Poza tym wiedz, że opowiedziałam mi przed chwilą jeden z trzech wariantów, jakie opracowałam. Jeszcze nie wiem, na który się zdecyduję. Muszę najpierw porozmawiać z kimś, kto o scenariuszach wie znacznie więcej niż ja. Dlatego pytałam, czy nie było do mnie telefonu.

– Przestań mi mydlić oczy! Jaka to fikcja, jeżeli nie zmieniasz bohaterom nawet zawodu? Przytaczasz moje słowa i mówisz mi o fikcji? Reżyserem nie jestem, idiotką też nie. Zastanawia mnie jedno: Daria musiała mieć siostrę, prawda? Gdzie ona jest? Warto ją pokazać, w końcu sypiała z mężem Darii, a nawet była jego cichą narzeczoną. Jedną z wielu, co prawda, ale była. Szukasz pikantnych szczegółów, więc dlaczego te najpikantniejsze sama cenzurujesz?

– Na głowę upadłaś? Wiem, do czego pijesz, ale jesteś w błędzie. Nie spałam z twoim mężem!

Bogna odwróciła się i wysunęła jedną z kuchennych szufladek. Rzuciła na stół ubiegłoroczny numer „Tiramisu”.

Łucja z trudem przełknęła ślinę. Wiedziała, co za moment usłyszy. W głowie czuła pustkę. Z takiej głowy nie dało się wydobyć żadnej sensownej odpowiedzi. Bogna energicznie odsunęła krzesło i bez słowa wyszła z kuchni. Zaskrzypiały schody.

Łucja niechętnie wzięła pismo do ręki i otworzyła na środkowych stronach, tam, gdzie zawsze ukazywało się jej opowiadanie. Miała przed sobą pierwszy tekst, jaki napisała dla „Tiramisu”. Kindze bardzo się spodobał, powiedziała coś w rodzaju: „Nie tylko dobrze piszesz, ale też, jak przystało na reżysera, potrafisz patrzeć obrazami”. Łucja była zachwycona. Jeszcze wtedy uważała Kingę za świetną dziennikarkę. Po roku współpracy zmieniła nieco opinię zarówno o naczelnej, jak i o piśmie.

Przeczytała kilka zdań. W opowiadaniu pojawiał się duet: Artur i Daria. Kiedy całkiem niedawno zastanawiała się, jak nazwać bohaterów swojego filmu, sięgnęła do tego właśnie opowiadania. Zestawienie imion brzmiało ładnie i twardo: Artur i Daria. Skąd mogła przypuszczać, że Bogna rozszyfruje opowiadanie i, jakby tego było mało, dobierze się do tekstów w laptopie. Ona była jak sprawiedliwość: nierychliwa, ale pamiętliwa, mogła znać tekst od roku i nie pisać słowa. W każdym razie znalazła sobie odpowiedni moment, żeby rzucić Łucji w twarz: „Spałaś z moim mężem”.

Łucja mówiła prawdę, nie spała z mężem siostry, spała z narzeczonym, do czego również nie zamierzała się przyznawać. Tylko, czy Bogna wie, co to jest *licentia poetica*?

Szliśmy przez park. Jesień rozwinęła już całą paletę barw, w powietrzu latały nitki babiego lata. Artur objął mnie i przycisnął tak mocno, jakbym lada moment miała mu uciec. Owszem, myślałam coraz częściej o ucieczce i odkładałam ją z dnia na dzień, tak jak się odkłada niemiłą choć konieczną wizytę u dentysty. Wiedziałam, że będzie bolało stokroć mocniej.

– Pójdziemy do ciebie? – spytał szeptem. – Tęsknię do twojej nagości, do błękitnych żyłek na piersiach, do krągłości brzucha.

Mógł tak wymieniać bardzo długo, bo znał się na anatomii, a dodatkowo, w duszy, był poetą. Wszystko byłoby pięknie, gdyby nie

jeden drobiazg: on kochał siostrę swojej żony, ja drżałam w ramionach męża mojej siostry. Biologicznie rzecz ujmując, nie była to miłość kazirodcza, jednak czułam się tak, jakbym popełniała największą podłość. W końcu szliśmy do mnie, bo nie umiałam mu niczego odmówić. (...)

Mróz i mgła pokryły drzewa szadzią. Nie ma nic piękniejszego niż biały świat w słońcu. Wybieraliśmy się z Arturem na spacer do parku. Daria musiała na dwa dni wyjechać i miałam go tylko dla siebie. Marudził i wcale nie chciał wstawać.

– Nie można przesypiać życia – powiedziałam ze śmiechem i ściągnęłam z niego kołdrę. Maleńka myszka, którą miał na biodrze, mrugnęła do mnie brązowym okiem. Artur znowu był gotowy do miłości.

– A kto ci powiedział, że ja chcę przespać życie? – powiedział i pociągnął mnie na tapczan.

Kiedy wreszcie poszliśmy do parku, słońce roztopiło szadź i gałęzie drzew obsypane były brylantami rosy. (...)

Wiosna wybuchła całkiem niespodziewanie. Nawet na mojej brzydkiej ulicy nędzne jarzębiny wyglądały odświeżenie, obsypane delikatną, czystą zielenią. Musiałam wreszcie powiedzieć Arturowi, że to już koniec. Zbierałam się do tej rozmowy od jesieni myślałam, że nasza miłość sama się trochę wypali, może będzie mi lżej. Nie wypaliła się i nie było mi lżej. Daria coraz częściej patrzyła na mnie tak, jakby coś podejrzewała.

– To już koniec – powiedziałam. – To ostatni nasz spacer.

– Ostatni nasz spacer – zgodził się i szybko dodał – narzeczeński spacer. Daria nawet nie zauważy, że od niej odszedłem. Jej nie jest potrzebny mąż, tylko synek do wychowywania. Wystąpię o rozwód i zaraz potem się pobierzemy. Daria to był mój błąd. Kocham i zawsze kochałem tylko ciebie.

Choć łzy mnie dławily, poprosiłam go, żeby nigdy więcej nie wracał do tej rozmowy. Nigdy więcej.

Dotrzymał słowa, za co jestem mu ogromnie wdzięczna.. Kiedy nadeszło lato, kiedy słońce brązowiło trawę, nas już nie było.

Łucja z niechęcią odsunęła „Tiramisu”. Na miejscu Bogny też miałyby kłopoty z uwierzeniem, że to tylko *licentia poetica*. Chciała wejść do siostry, wytłumaczyć, pogadać, ale w sypialni było ciemno.

15

Każdego ranka Łucja otwierała oczy i powtarzała sobie: „Jeżeli dzisiaj znowu się nie odezwie, nie chcę go znać!” Mijał dzień za dniem, Steve nie dzwonił, nie przyjeżdżał. Dała sobie słowo, że pierwsza nie zadzwoni. Owszem, próbowała parę razy złamać słowo, ale komórka Steve’ a odpowiadała, że abonent jest czasowo niedostępny. Nie musiała słuchać komórki, sama wiedziała, że jest niedostępny, i to ją właśnie najbardziej denerwowało. Niecierpliwe wyczekiwanie przeradzało się w złość, potem bunt. Podjęła niezłomną, babską decyzję, że gdyby przypadkiem zadzwonił albo zjawił się w Ciechocinku, potraktuje go tak, jak na to zasłużył: zimno i oschle. Na cztery dni przed wyjazdem Steve’a z kraju wpadła w popłoch, że już nigdy go nie usłyszy i nie zobaczy. W słowie „nigdy” czaiło się coś bardzo dla niej niemiłego, coś jak ostateczność albo cmentarz. Cierpła na myśl, że nie zdąży mu powiedzieć tylu ważnych rzeczy, nie zapyta o to, o co nie zdążyła zapytać. Siedziała w Ciechocinku tylko dla niego. Mógłby nie wpaść na to, żeby szukać jej na Baleya, zresztą obiecała, że nie wyjedzie do Warszawy.

W Ciechocinku nie miała już czego szukać. Skompletowała materiał, ułożyła sobie w głowie scenariusz, a pisać mogła byle gdzie. Bogna zamiast dawnej gościnności de – monstrowała chłód i obojętność. Nie chciała rozmawiać z Łucją o niefortunnym opowiadaniu, o innych sprawach też nie za bardzo. Mieszkały pod jednym dachem, ale na tym kończyła się cała bliskość.

Z braku innego pomysłu na przedpołudnie, Łucja wybrała się do swojego przyjaciela Pipa. Kupiła trzy banany i czekoladę, żeby mógł podratować nadwątlone zdrowie. Mitygował się jak delikatna paniusia: nie trzeba było, mówił, po co takie wydatki.

– Nie gadaj, przyswajaj witaminy i kalorie! – powiedziała, kładąc reklamówkę na stole.

Z przyjemnością zauważyła, że Pip przed wizytą elegancko wysprzątał mieszkanie. Częstoował Łucję kawą, dobrym słowem i był bardzo szczęśliwy, że ma się przed kim wygadać. Doskwierała mu pustka czterech ścian. Jedyny kumpel Kornel żył swoimi sprawami, uwijał się na dwóch etatach, żeby wyszarpnąć jak najwięcej pieniędzy na przyszłe, dostatnie życie. Nie mówili „uczciwe życie” tylko „dostatnie”.

Pip wyłożył Łucji swoją teorię na ten temat. Ich praca – wiadomo, ta po godzinach, a nie w gabinecie – wymagała absolutnej uczciwości. On na przykład nie oszukiwał kobiet, które mu płaciły, mówił im tylko to, co chciały usłyszeć, był elegancki wobec nich i grzeczny. Jeżeli go obrażały, milczał, zmieniał temat. Tylko parę razy w czasie trzyletniej kariery zdarzyło się, że rezygnował z zarobku i odchodził. Poznał kobiety dogłębnie, i to od najlepszej i najgorszej strony. Coraz rzadziej się dziwił, coraz mniej miał złudzeń, chociaż czasem bywał zaskakiwany. Trafiły się energiczne, z temperamentem, które chciały sobie potaćzyć, poszaleć na parkiecie, usłyszeć, że są niesamowite, niepowtarzalne i na tym kończyły cały flirt. Te wspominał najmilej. O innych, zwłaszcza tych, które myliły wody mineralne z niemoralnymi, nie bardzo chciał opowiadać. W chorobie nie mógł liczyć na żadną ze swoich babulców, jak je nazywał. Wyjeżdżały, zmieniały się, bo w tym interesie ruch był jak na scenie.

Że też każdy, myślała Łucja, chce uchodzić za lepszego, niż jest w istocie. Przecież widziałam tego zbawcę kobiet w kawiarni i na dansingu. Ciekawe, gdzie on wtedy ukrywał tę swoją delikatność uczuć.

– *No money, no happy, no honey* – powiedział z zadumą Pip.

– Tylko mi się nie rozbecz – przeraziła się Łucja. – Nie cierpię płaczących facetów.

– Ale Daniela lubiłaś? – Mrugnął znacząco.

– Daniel był moim szwagrem, a sympatie rodzinne to zupełnie coś innego, niż sugerujesz. Poza tym Daniel nie był płaczący.

– Łatwo się wzruszał – powiedział Pip i wyduł wargi.

Nie lubił, gdy ktoś podważał jego umiejętność oceniania ludzi. Znał się nie tylko na kobietach, potrafił również rozgryźć każdego mężczyznę, o ile oczywiście miał na to ochotę. Daniel był nadwrażliwy i baby to wykorzystywały. Bogna, kiedy była wściekła, objeżdżała go równo przy wszystkich. Bładł wtedy, czerwieniał, nie wiedział, co ze sobą zrobić. Jedyne, co umiał powiedzieć, to: „Uspokój się, porozmawiamy w domu”. Zamiast huknąć, prosił, a wiadomo, że z babami tak nie można, baby muszą czuć siłę, inaczej wleżą człowiekowi na głowę. Ewelina też wykorzystywała słabość Daniela. Ledwie ją Bogna wywaliła z roboty w sanatorium, natychmiast zaczęła uwodzić jej męża. Wszyscy widzieli, że to była zemsta, tylko on, cały głupi, pozwalał się szantażować. Mało to razy dzwoniła do gabinetu, wrzeszczała do słuchawki: „Jak nie przyjdiesz, to zrobię sobie coś złego, będziesz mnie miał na sumieniu”. Normalny facet powiedziałby: „Rób, co chcesz, twoja broszka!”, a ten mięczak znowu bładł i dawał się wodzić za nos. Potem trochę się otrząsnął, kazał mówić, że go nie ma w robocie, i przynajmniej nie odbierał telefonów.

– Ci powiem – zamyślił się Pip – że mnie to nawet żal było tej Eweliny. Brzydulom też coś się od życia należy, tyle tylko że ona ma nierówno pod sufitem. W Markiewiczu zarabia więcej i jeśli tak na to spojrzeć, Bogna wcale jej krzywdy nie zrobiła.

– Jesteś pewien, że najpierw pożarła się z Bogną i zmieniła pracę, a dopiero potem zaczęła biegać za Danielem? – spytała zaskoczona Łucja.

– Na sto procent. Nawet Daniel to wiedział i tylko z litości zabrnął trochę za daleko. Ci mówię, ona ma coś z głową.

– Z głową? To dlaczego opowiedziałeś jej o przesyłce dla Ziemka? Głuptakom nie powierza się tajemnic.

Zmieszanie Pipa objawiło się nadmierną ruchliwością. Zaczął się kręcić, poprawiać i niemiłosiernie skrzypieć fotelem.

Poczerwieniał nawet pod badawczym spojrzeniem Łucji.

– No, wiesz! – powiedział i zamilkł.

– O to chodzi, że nie wiem – stwierdziła bezlitośnie.

– Ona na ciebie gada, ty na nią, a w przerwach szepczecie sobie do ucha miłosne zaklęcia i sekrety?

– Ogłupiałaś? Jakie miłosne zaklęcia, jakie? Interesy mamy wspólne, to wszystko. Ewelina czasem podsuwa nam klientki. Ale jakby Bogna się...

– Ewelina?

– A co myślałaś? Przecież nie za darmo. Odpalamy jej dolę od głowy, to znaczy... no tak, od głowy.

– Myślałam, że w Markiewiczu są same dzieciaki?

– No przecież nie z Markiewicza! Mamy swoje sposoby na przeżycie, co myślisz!

Dla odmiany Łucja zaczęła skrzypieć fotelem. Musiała wstać, pochodzić, znowu usiąść. Prześladował ją jadowy głosik: gabinet to burdel... Bogna czerpie zyski z nierządu... ściąga haracze... godność zawodowa... Z wrażenia poczuła, że kręci jej się w głowie. Upiła łyk kawy, zakrztusiła się fusami.

– Bogna o tym wiedziała? – spytała wreszcie, kiedy już skończyła się krztusić i kaszlać.

– W życiu! Ty, Łucja, ty chyba nie chcesz jej powiedzieć? Obiecała przyjąć mnie z powrotem, ale jak się wścieknie, to leżę i kwiczę.

– Kwicz spokojnie. Nie powiem. Za to ty mi powiedz, który z was wymyślił, że Mila jest w ciąży?

Pip sięgnął po banana i zaczął przyswajać go w milczeniu. Łucja musiała powtórzyć pytanie.

– Słyszałem od Kornela – wydusił wreszcie – ale nie wiem, gdzie on mógł ją widzieć, bo ostatnio nie wyjeżdżał z Ciechocinka. Chyba Bogna coś wspominała o ciąży, ale na sto procent ci nie powiem. Widziałaś ją? Urodziła już, czy dopiero będzie rodzic?

– Myślę, że kiedyś tam urodzi, pod warunkiem, że wcześniej zajdzie w ciążę.

– Ale jajo! – zdziwił się Pip. – To skąd Bogna mogła... – zmieszał się i gładko przeskoczył na Milę. – Właściwie to dobrze, bo taki dzieciak bez ojca byłby biedny. Ty wiesz, że ona mi się cholernie podobała? Fajna jest, co? Ja to lubię takie subtelne, delikatne panienki.

– Tylko te subtelne nie lubią facetów rzucających kurwami.

– Nie bądź wulgarna – obruszył się Pip. – Przecież nie rzucam, no nie? Prosiłaś, to się hamuję. Człowiek ma ten język trochę

nieobyczajny, ale ty zobacz, z kim ja przebywam po całych dniach. Bogna klnie jak szewc, Kornel tak samo, najmniej wyrażał się Ziemek, bo on z natury małomówny.

– A Daniel?

– No co ty! Daniel prędzej połknąłby własny język.

Łucja wychodziła od Pipa przekonana, że wreszcie ma pełną jasność: Daniel nie zmienił się w potwora, to Bogna chciała, żeby wszyscy wokół uważali, że jest potworem, całkiem jak żona Jerzego Pałaka. Tamta też szyła mężowi buty. Choć Pałak nadal był Łucji niemiły, spojrzała na jego opowieść nieco innymi oczami. Ale jak miała spojrzeć na Bognę?

Przed furtką bawił się Sebastian. Jego szczerbaty uśmiech, w przeciwieństwie do uśmiechu Dośki, ogromnie bawił Łucję. Czasem specjalnie opowiadała mu coś zabawnego, żeby tylko zobaczyć kielki wampira.

– Mama kazała, żebyś psysła – powiedział.

– I pewnie prosiła, żebyś się do mnie uśmiechnął? – kusiła Łucja.

Pokręcił poważnie główką na znak, że o uśmiechaniu się nie było mowy. Ze zdziwieniem zauważyła, że robił się coraz bardziej podobny do ojca. Z całej trójki on najbardziej przypominał Władka, tyle tylko że był malutki i aż za spokojny na swój wiek. Dośka cieszyła się, że „z urodą poszedł we Władka, ale z charakterem w nią”. Prawdę mówiąc, Łucja nie dostrzegła we Władku urody. Śmierdzący denaturatem, niedomyty facet przejmował ją odrazą. Nigdy nie zrozumiała, jak schludna, czysta do przesady Dośka mogła go znieść obok siebie w jednym łóżku.

Dośka wyciągnęła maszynę do szycia i na kuchennym stole urządziła szwalnię.

– Nie wiedziałam, że znasz się na krawiectwie? – zdziwiła się Łucja.

– Musiałam się nauczyć wszystkiego, inaczej nie dałabym sobie rady – westchnęła Dośka. – Jak ja bym studia pokończyła i miała swój fach, to też bym nic w domu nie robiła.

– Jasne. Te po studiach i z fachem leżą całymi dniami na tapczanie i liczą muchy. Mów, zmoro, czego chciałaś!

– W południe ktoś cię szukał. Wszedł tu do nas, pytał o panią Łucję.

– Kto? – spytała wstrzymując oddech.

– Ktoś – odpowiedziała po swojemu Dośka.

Łucja westchnęła. Znała teorię na temat „ktosia”. O takich jak Władek Dośka nigdy nie powiedziała by „ktoś”, tylko „taki jeden”. „Ktoś” obowiązkowo powinien mieć odpowiednią prezencję, eleganckie ubranie i delikatność w obejściu. Wystarczyło na takiego spojrzeć i wiadomo było, że to jest „ktoś, co coś znaczy”.

– Wysoki, ciemnowłosey o siwiejących skroniach?

Dośka pomyślała i kiwnęła głową. Widać rysopis się zgadzał.

– Podobały mi się jego oczy, ale gdzie tam do mnie taki mężczyzna! – mruknęła smętnie. – No i chyba trochę za stary, co?

– On przyszedł do ciebie czy do mnie? – zniecierpliwiła się Łucja.

– Przyszedł do mnie, chociaż pytał o ciebie. On tu już kiedyś był i też o ciebie pytał.

– Dosieńko, mówił, gdzie się zatrzymał, gdzie mam go szukać?

– Nic takiego nie mówił. Pytał tylko, czy jeszcze nie wyjechałaś. To ja powiedziałam, że trudno cię w domu zastać, bo wciąż gdzieś biegasz. Co tak patrzysz? Źle powiedziałam?

– Dobrze, tylko niepotrzebnie aż tak wyczerpująco – mruknęła Łucja. – Dzisiaj nic i nikt mnie z domu nie wywabi, chyba że jego telefon.

Steve zadzwonił, ledwie Łucja zdążyła wejść do domu. Z wrażenia zapomniała, że obiecywała sobie potraktować go chłodno i z góry. Serce jej waliło z radości i za nic nie mogła zrozumieć, dlaczego zachowywał się jak zawodowy szpieg. Żadne kawiarnie, żadne restauracje, mówił. Adres zdradził szeptem i prosił, żeby się nikomu nie chwaliła, gdzie idzie. Biegła na Wesołą i zastanawiała się, czy nie powinna przypadkiem przebrać się za własną babcię albo za Ziemka. Jak konspiracja to konspiracja!

Steve musiał czatować na nią w oknie, bo to on otworzył drzwi. Rzuciła mu się na szyję, jeszcze zanim weszli do domu.

– Jesteś okropny, jesteś straszny – mówiła – w ogóle nie powinnam na ciebie patrzeć, nie powinnam tu przychodzić.

Tulił ją wyraźnie wzruszony. Zamknął starannie drzwi swojego pokoju. Była to malutka klitka z tapczanem, szafą i niewielkim stolikiem. Steve, bywalec czterogwiazdkowych hoteli, musiał mieć jakiś powód, że zamienił luksusy na ubożuchny pokój. Patrzyła na niego z zaciekawieniem.

– Niech zgadnę – powiedziała – okradli cię i nie masz pieniędzy?

– Z czego to wnioskujesz?

– Z twojego długiego milczenia choćby i z tej klitki, która bardziej pasuje do moich niż do twoich przyzwyczajzeń.

Roześmiał się swobodnie, jak człowiek, który może mieć jakieś tam kłopoty, lecz na pewno nie finansowe. Karty płatnicze nosił zawsze przy sobie, a jedyna strata materialna wiązała się z utopieniem w stawie telefonu komórkowego. Nie bardzo chciał opowiadać, co robił nad stawem i gdzie się podziewał przez te wszystkie dni. Trochę tu, trochę tam, mówił. Nic się nie zmienił, wciąż był tak samo oszczędny w słowach, zwłaszcza gdy przyszło mu opowiadać o sobie.

Łucja lubiła tajemnice, ale bez przesady. W każdym razie na pewno nie lubiła tajemnic Steve'a. Czasem, kiedy bezskutecznie próbowała wydusić z niego całkiem proste informacje, odnosiła wrażenie, że on stawia między sobą i nią gruby mur, niechby nawet przeźroczysty, jednak gruby. Po co? Tego niestety jeszcze nie rozgryzła. Zresztą Steve zaczął wypytywać o losy filmu, więc dała spokój teoretycznym rozważaniom. Scenariusz był najważniejszy.

Po ostatnich rozmowach z Miłą i Pipem doszły nowe elementy, które zasadniczo zmieniły fabułę. Taki Artur na przykład stał się zupełnie inną postacią, lepszą i szlachetniejszą. Nie był już notorycznym babiarzem, tylko mężczyzną całkowicie zdominowanym przez kobietę, która go kocha. Daria też okazała się inna. Jej subtelność to tylko pozór, w głębi duszy jest twardą, bezwzględną kobietą, która niszczy kochanego mężczyznę w imię źle pojętej miłości. Oprócz Artura i Darii pojawiła się ta trzecia. W poprzednich wersjach była to postać ledwie zarysowana, teraz rozrosła się do dużej roli. Jest uosobieniem tych wszystkich cech, których Artur szukał u kobiet, przede wszystkim delikatności i ciepła. W zestawieniu z Darią zdecydowanie wygrywa. Dla niej

Artur po raz pierwszy samodzielnie decyduje o swoim życiu. Jest bardzo szczęśliwy z tego powodu. Ginie na dwa dni przed ostatecznym wyprowadzeniem się z domu. Tragedia Artura jest podwójna: śmierć przychodzi w najszcześniejszej chwili życia, to raz, a dwa – powód śmierci jest błahy, żeby nie powiedzieć trywialny: butelka wódki. Dla byłego alkoholika ma to wymiar symboliczny.

– Przynajmniej pod tym względem wszystko mi się zgadza – powiedziała Łucja. – Nie wiem, czy pamiętasz, ale bardzo podobną wersję przedstawiłam ci, kiedy pierwszy raz rozmawialiśmy o pomysły na scenariusz.

– Pamiętam, chociaż zachwycony tą wersją nie jestem. Ja bym jednak włożył nóż w ręce żony.

– Przestań, Steve! Kiedy tak mówisz, ciarki mi biegają po plecach i zaraz widzę biedną Bognę, jak zasada się z nożem na Daniela. Poza tym to jest stereotypowe i banalne.

– Banaly zawsze najlepiej się sprzedają, nie wiedziałaś o tym? Uwierz mi, ludzie lubią banały.

– Mówisz jak redaktor Kinga. Ona też zawsze wie najlepiej, co czytelniczki lubią. A mnie od banałów bolą zęby.

– Posłuchaj! Żona go kocha, może zamęcza miłością, ale kocha. To nie jest statyczna postać, tylko dynamiczna, zmienia się, próbuje ratować małżeństwo. W jednej z ostatnich scen może nawet przyznać się do przegranej i zgodzić na rozwód. Usypia czujność, rozumiesz? Ale nie jest stworzona do przegrywania, dlatego zabija.

– Też wymyśliłaś! Gdyby wszystkie przegrane kobiety chciały zabijać mężów i kochanków, za parę lat zabrakłoby facetów.

– Niezłe masz zdanie o facetach – roześmiał się Steve.

– Tak mi się tylko powiedziało. Przemyślę to, chociaż nie jestem przekonana. Poza tym Bogna mnie rozszarpie.

– O tym już mówiliśmy. Ten film opowiada podobną historię, ale nie tę konkretną. A jak ona znosi twoje pisarstwo? Chodzi mi o to, czy wytrzymuje jeszcze z tobą?

– Czy ja się kiedyś skarżyłam, że ona ze mną nie wytrzymuje? – zdziwiła się Łucja.

– Chyba nie – przyznał. – Mówiłaś tylko, że ma zamiar wyjechać z kraju, prawda?

– Tak. I mówiłam jeszcze, że nie będę miała gdzie przyjeżdżać na weekendy. A ty mi pokazałeś na Mazurach inną weekendową chałupę. Pamiętasz? Kupiłeś ją może? Co tak patrzysz? Powtarzam tylko twoje słowa. Co cię obchodzi Bogna? Jak zechce, to wyjedzie za granicę i nie będzie pytała ani ciebie, ani mnie o zgodę.

– Okay, kochanie, okay! Nie wypytyuję, po prostu interesuje mnie wszystko, co ciebie dotyczy.

– Niby dlaczego? – spytała zadziornie. – Rozumiałabym, gdybyś mnie kochał. A tak...

– Nigdy ci nie mówiłem, że cię Kocham? Bardzo cię Kocham i jest mi smutno, że muszę cię zostawić i wyjechać. A ty chcesz koniecznie, żeby mi było jeszcze smutniej.

– To nie tak! Nie tak! Myślałam, że trochę więcej wiem o miłości, a przynajmniej o jej przejawach.

– Bardzo możliwe, że to ja niewiele wiem – przyznał ze smutkiem.

– Tak się jakoś składało w moim życiu, że częściej burzyłem niż budowałem. Teraz niczego nie mogę już zmienić.

– Nie wiem, o czym mówisz – zaniepokoiła się Łucja.

Steve spojrział na zegarek i zerwał się z tapczanu. Za pięć minut miał ważne spotkanie w Aleksandrowie. Umówili się, że Łucja wpadnie następnego dnia przed południem. Nawet nie zdążyła go zapytać, co znaczyła ta wielka konspiracja. Wracała do domu przekonana, że jej przyjaciel Steve coraz bardziej dziwaczeje.

Przez całe popołudnie Łucja zastanawiała się nad propozycją Steve'a. Nie trafiała jej do przekonania wersja wydarzeń, przy której się upierał. Daria może i miała motyw, na pewno jednak nie miała predyspozycji do mordowania z zimną krwią czy choćby w afekcie. W każdym razie Łucja zdecydowana była bronić swojego stanowiska. Wieczorem poszła na plotki do Dośki. Wyjątkowo były same, bo Kornikową złożył do łóżka atak rwy kulszowej. Dośka podała herbatę i placki ziemniaczane. Łucja śmiała się, że przy plackach zatracą poczucie przyzwoitości i jeżeli litościwa ręka nie odsunie od niej półmiska, będzie jadła w nieskończoność. Nałożyła na talerz porcję godną drwała i z apetytem pochłonęła kilka kęsów. Placki chrupały w zębach i były pyszne. Tylko Dośka umiała takie smażyć.

Łucja zastanowiła się, jak to możliwe, że nigdy nie przyszła do Dośki z głupim pączkiem albo z czekoladą dla dzieciaków. Pipowi, który leżał na pieniądzach, nosiła owoce, a tu wpadała się najeść. Wcinała placki ziemniaczane, pierogi swojej roboty, jakby tak musiało być, że jedna daje, druga bierze. Poczowała się głupio.

– Niedobre? – zatrwożyła się Dośka.

Łucja kilka razy musiała powtarzać, że fantastyczne, zanim uspokoila koleżankę. Gorzej było z własnym sumieniem.

Dośka lubiła gotować i wypiekać ciasta. W kuchni czuła się artystką, chociaż wiadomo, musiała oszczędzać i nie kupowała najdroższych mięs ani ryb. Nawet Władek parę razy w życiu pochwalił jej gotowanie, mimo że w domu jadał rzadko. Bywał też rzadko, bo lubił wesołe życie. Dośka nie była wesoła i Władek zniechęcił się do siedzenia w domu. Tak przynajmniej wrzeszczał, kiedy próbowała go zatrzymać. Ona też nie tęskniła za jego towarzystwem i jeżeli zatrzymywała, to dla tych kilkunastu złotych, które szedł przepić. Ostatnio coś Dośka przestała wychwalać Władka i mówić o pomniku. Nie mówiła ani tak, ani siak, ani w ogóle. Tyle było innych ciekawych tematów, choćby poszukiwanie pracy. Próbowała zaczepić się gdzieś, jeśli nie w kuchni, to chociaż przy sprzątanii. Tu obiecywali, tam zwodzili, czas mijał, chłopcy wyrastali z ubrań, a pieniędzy wciąż brakowało.

– Dość tych narzekań – powiedziała w końcu. – Czasem to sama siebie nie lubię, że taka jestem niezaradna.

– Ty niezaradna!?! – wykrzyknęła Łucja. – Wszystko umiesz zrobić, uszyjesz, ugotujesz, wydziergasz na drutach i mówisz o niezaradności. Co byś jeszcze chciała?

– O, wa! Co ja bym chciała, to ja ci nie powiem – roześmiała się Dośka. – Ale tak po prawdzie, to chciałabym mieć trochę więcej pieniędzy, żeby starczyło na jedzenie i na ubrania. Takie tam marzenia biedaków. Powiedz lepiej: widziałas się z tym kimś, kto cię szukał?

– Jasne.

– Pytał może o mnie?

Łucja powstrzymała rozbawienie.

– Powiedział tylko, że mam sympatyczną sąsiadkę – skłamała gładko, żeby ratować honor Steve’a.

– Fajny, oj fajny! – pokiwała głową Dośka. – On już kiedyś szukał cię u nas.

– Wiem, mówiłaś. Przyjechaliśmy do Ciechocinka razem, mieszkał tu przez kilka dni.

– Nie mówię, że teraz. On cię szukał jakoś tak krótko po tym strasznym wypadku, znaczy po śmierci Władka. To było kilka dni po pogrzebie. Pamiętam, że kiedy wszedł tu do mnie, lepiłam pierogi i byłam ubielona mąką, bo mi pufnęła w górę.

– Jesteś pewna? – spytała z niedowierzaniem Łucja.

– Nigdy ci mąka nie pufnęła? – zdziwiła się Dośka. – Pewnie mało gotujesz, to...

– Dosiu, pytam, czy jesteś pewna, że to był ten sam mężczyzna? Może pomyliłaś go z kimś innym?

– No co ty? Jego nie da się pomylić z kimś innym. Wypytywał o ciebie. Powiedziałam mu, co mogłam, że mieszkasz w Warszawie, jesteś reżyserem i pracujesz w „Tiramisu”.

– W „Tiramisu”, mówisz? – zastanowiła się Łucja. Coś jej nagle zaświtało w głowie, jakaś dawna rozmowa z Kingą o mężczyznach. – Dobra, i co dalej? Mów!

– Dalej to już nic. Po resztę wiadomości odesłałam go do Bogny. Ucieszył się, że ktoś tam jeszcze mieszka ze starych znajomych. Podobno dzwonił do drzwi, ale bez skutku. To mu powiedziałam, że dzwonek zepsuty, bo wtedy był zepsuty, i że trzeba pukać. Siedział u Bogny galancie, ze dwie godziny.

Łucja wróciła do domu z supłem w mózgu. Nic jej nie pasowało z tego, co powiedziała Dośka, kompletnie nic, chociaż wierzyła jej jak samej sobie. Jeżeli Dośka mówiła, że mąka pufnęła, a on w tym momencie wszedł, to inaczej być nie mogło. Jeżeli mówiła, że pytał o Łucję, to znaczy, że pytał. Najchętniej obudziłaby Bognę i wyciągnęła z niej całą tajemnicę. Dlaczego udawała, że nie zna Steve’a? Dlaczego on udawał, że nie zna Bogny?

Zajrzała do pokoju siostry. Bogna oddychała równo, spokojnie. Łucja wycofała się na palcach. Była zła, była ciekawa, ale miała litość nad ludźmi pracy.

Ciekawość Łucji została wystawiona na ciężką próbę. Kiedy obudziła się rano, Bogny już nie było. Jedno, co mogła zrobić przed pójściem do Steve'a, to zadzwonić do „Tiramisu” i porozmawiać z Aśką, sekretarką Kingi.

Trudno, pomyślała, najwyżej Aśka uzna, że odbiło mi na starość. Facet wypytywał o mnie w lutym, ja budzę się w sierpniu i próbuję ustalić, kim on był. Z całą pewnością nie jest to oznaka zdrowia psychicznego.

Aśka wcale się nie zdziwiła, co więcej, okazała się geniuszem o węchu i oku wyczulonym na mężczyzn.

– Pamiętam! – powiedziała. – Pytał o ciebie taki superowo przystojny facet. Nie chcę cię urazić, nie pierwszej młodości, za to pachniał tak oszalamiająco, że poczęstowałam go kawą. Chciałam, żeby napachnił sekretariat. Mówił ci o kawie?

– Ostatnio widziałam go na balu „Tiramisu”, chciałam tylko...

– Mówisz, że on był na naszym balu? Nic podobnego! – stwierdziła kategorycznie Aśka. – Przyszedł do redakcji dobry tydzień po balu, dokładnie w dniu, kiedy oddawałam starej całe rozliczenie. Gadałam z nim i szukałam dwu zawieruszonych rachunków. Pamięć to ja mam dobrą, nie myśl sobie. Dałam mu twój numer telefonu, ten stary, do Oskara. Naprawdę nic ci nie powiedział?

– Nie wiem, właśnie go poszukuję, bo zaszła pewna pomyłka.

– Ty lepiej uważaj, coś ostatnio masz szczęście do pomyłek. – Ściszyła głos do szeptu. – Stara waha się, czy puścić ten materiał z Oskarem. Chce poczekać do sprawy sądowej.

Supeł w głowie Łucji jeszcze bardziej się zacisnął. Nie miała w mózgu ani kawałka wolnego miejsca, żeby myśleć o kłopotach Oskara. Interesował ją wyłącznie Steve i jego kłamstwa. Nie dociekała, dlaczego kłamał, bo na to pytanie musiał jej sam odpowiedzieć, natomiast próbowała zestawić fakty, żeby mu udowodnić, w którym miejscu minął się z prawdą.

Steve mówił, że poznał Łucję i Oskara na balu. To było pierwsze kłamstwo. Należało uwierzyć Aśce, nie jemu, a poza tym pomyśleć logicznie. Jeżeli wyjeżdżał z Polski siedemnastego sierpnia, to najprawdopodobniej przyjechał siedemnastego lutego. Bal był

szóstego, czyli przed przyjazdem Steve'a. Zresztą, gdyby zjawił się każdego innego dnia, ewentualnie gdyby nigdy z Polski nie wyjeżdżał i całe to amerykańskie życie było bzdurą, to i tak o balu „Tiramisu” usłyszał najprawdopodobniej od Aśki. Łucja z każdą sekundą nabierała pewności, że po raz pierwszy zobaczyła Steve'a u Marcelego. Gadanie Oskara potraktowała jako wątpliwy dowód. To nie Łucja była na balu w stanie płynnym, to Oskar po jej wyjściu musiał się urznąć i niewiele pamiętał. Steve miał jego numer telefonu od Aśki i zadziałał swoimi metodami.

Drugie kłamstwo wiązało się z Ciechocinkiem i z Bogną. Łucja skłonna była przypuszczać, że Steve zaczął zwiedzanie Polski od Ciechocinka. Szukał Łucji, bo o nią wypytywał Doškę, a potem pewnie Bognę. Co powiedziała Doška, wiadomo, natomiast co powiedziała Bogna, będzie wiadomo dopiero, kiedy Łucja przycisnie do muru ją i Steve'a. Im więcej szczegółów łamigłównki zaczynało pasować do siebie, tym większe było jej przerażenie. Coś zaczynała podejrzewać, jednak przypuszczenia były tak absurdalne, że chwilowo jeszcze odsuwała je od siebie. Po drodze, tak na wszelki wypadek, wstąpiła do cukierni i kupiła cztery pączki.

Na pierwszy rzut oka Steve wyglądał normalnie i zachowywał się też prawie normalnie, chociaż konspiracja jeszcze mu nie przeszła. Wpuszczając Łucję do mieszkania, rozejrzał się na boki.

– Patrzysz, czy nie ciągnę za sobą ogona? – spytała.

Spojrzał zaskoczony, jakby nigdy nie słyszał o ogonie.

– Rozglądałeś się zupełnie fachowo, jak ci faceci z filmów szpiegowskich.

– Może przerzuc się na bajeczki – uśmiechnął się do niej.

– Już się przerzuciłam. Przyszłam do ciebie posłuchać bajeczek. – Podawała mu kartonik z pączkami.

Trzymał te nieszczęsne pączki w wyciągniętych rękach i nie wiedział, co z nimi począć. Poradziła, żeby odwinął i zaczął jeść. Ona też zacznie, bo skoro nie wolno im nigdzie wychodzić, skoro muszą się ukrywać, to chociaż sobie pojedzą.

– Bajdurzysz. Nie ukrywamy się, tylko czekam na bardzo ważny telefon.

– Jasne! Ledwie zobaczyłam, jak łypiesz na boki i zezujesz na ulicę, od razu sobie powiedziałam: „Oho, ten facet czeka na bardzo ważny telefon!” Nie pieprz takich głodnych kawałków, opowiedz inną bajeczkę.

– A wiesz, że teraz to już zupełnie przestałem rozumieć?

– Mam to samo powtórzyć po angielsku?

– Obojętnie, po polsku czy po angielsku, byle jasno.

– Mam pomysł! Zadzwoń do tego kogoś, kto nie kwapi się, żeby zadzwonić do ciebie i pójdziemy na długi spacer. Zjemy obiad... może w „Villa Park”, mam słabość do eleganckich lokali. Ja zapraszam, ja stawiam. Po południu posiedzimy w parku. Dzisiaj grają Wilki albo Leszcze, w każdym razie coś z fauny. No rusz się, dzwoń!

Chwyciła go za rękę i pociągnęła do drzwi. Jak kiedyś w Ełku, tak i teraz złapał ją wpół i posadził na tapczanie. Próbowiła się wyrywać, ale trzymał mocno. Usiadł obok niej.

– Nie jest tak, jak myślisz. Tylko nie mów mi, że nie wiem, co myślisz – powiedział. – Co chcesz wiedzieć, pytaj!

– Wszystko! Przecież wiem, że od samego początku coś przede mną ukrywasz. Chcę znać prawdę.

– A jeżeli ta prawda nie jest ci do niczego potrzebna? Jeżeli zburzy twój spokój i mój przy okazji. Nie jestem zwolennikiem prawdy za wszelką cenę?

– Nie myśl sobie, że mnie tak łatwo załamać. Przeszłam twardą szkołę mojej babci. Zastanawiam się, co mogłoby odebrać mi spokój? Gdybyś nazwał mnie beztalenciem albo gdybyś powiedział, że film, nad którym pracuję, to skończony kicz, albo... sama nie wiem.

– Jeżeli powiem ci prawdę, będę musiał złamać słowo, które wcześniej komuś dałem – powiedział ze smutną powagą.

– Komu? Czeka, niech zgadnę: Bognie, tak?

Mogła sobie pogratulować pierwszorzędnego zagrania. Twarz mu stężała, pionowa zmarszczka rozdzieliła brwi. Patrzył tak jakoś dziwnie i ostro. Taki wzrok mógł porysować karoserię citroena, ale na Łucję nie działał.

– Rozmawiałaś z nią? – spytał.

– Porozmawiam po południu, możesz być spokojny. Na razie pytam ciebie. Nie mieszkasz w Ameryce, prawda? Wszystko, co mi opowiadałeś o sobie, było blefem.

Wstał, podszedł do szafy i z marynarki wyciągnął paszport. Trochę to trwało, bo nie śpieszył się zbyt, jakby chciał jak najdłużej trzymać ją w niepewności. Wyjął też bilet lotniczy.

Łucja nie była tak szlachetna, żeby lekceważyć dokumenty i udawać, że wierzy na słowo. Obejrzała dokładnie zwłaszcza paszport, a zaraz potem odsunęła z niechęcią.

– 1 po co ta cała maskarada z balem „Tiramisu”? Szóstego lutego jeszcze nie wiedziałeś o moim istnieniu.

– Masz rację i nie masz. Przyjechałem do Polski gnany nie tylko tęsknotą za krajem. Przyjechałem, żeby ciebie odnaleźć. – Próbował uśmiechnąć się do niej, ale wyszedł mu tylko lekki grymas. – Musiałem sobie jakoś poradzić, kiedy twoja siostra odmówiła mi pomocy.

Wszystkie dotychczasowe przypuszczenia Łucji rozwiały się w jednej chwili. Ich miejsce zajęła paskudna pewność, że tym razem już się nie myli. Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

– Słuchaj, kochanie – powiedział, ale zakryła mu usta ręką i nie dała skończyć.

– Jeżeli znasz Bognę – zaczęła mówić drżącym głosem – i oboje ukrywaliście tę znajomość przede mną, to znaczy, że tajemnica dotyczy rodziny i mnie, prawda? A co w moim życiu było najbardziej tajemniczego? Ucieczka ojca tuż po moich narodzinach, a potem jego zagadkowa śmierć, która nikogo nie zmartwiła, nawet mamy. Bogna jeszcze całkiem niedawno próbowała mi wmówić, że była w Lesku na grobie mojego ojca. Kilka lat temu ja też tam byłam, bo choć nie znoszę cmentarzy, raz w życiu chciałam zobaczyć jego grób. Przewertowali mi całą księgę i nie znaleźli Stefana Wielskiego. Nie mogli znaleźć, prawda? Wtedy nie miałam pojęcia, bo i skąd, że Stefan Wielski rzeczywiście dla mnie umarł, tyle tylko że nie powinnam go szukać po cmentarzach. Umarł Stefan Wielski, urodził się Stephen Willis. Ależ ze mnie idiotka! Chociaż nie, nie taka straszna, bo w końcu połączyłam kilka prostych faktów. Byłeś u Bogny, bo szukałeś mnie. Szukałeś mnie, bo ci się wydawało, że

dobrze by było choć raz w życiu zobaczyć swoją starszą córkę. Luigina ma cię na co dzień, mnie miało wystarczyć pół roku. To piękny gest z twojej strony, tylko dlaczego nie spędziliśmy tego pół roku razem? I dlaczego, do jasnej cholery, nie powiedziałaś mi prawdy? Przynajmniej nie próbowałabym uwodzić własnego ojca!

Siedział nieporuszony.

– Nie denerwuj się, nie krzycz – poprosił cicho. – Uprzedzałem cię, że ta prawda nie jest dziś nikomu z nas potrzebna.

– Dzisiaj może nie, ale pół roku temu mogła być. Zachowałeś się gorzej niż tchórz. Wiesz, jak ja to odbieram, wiesz? Obejrzałeś sobie mnie ze wszystkich stron, wyciągnąłeś na zwierzenia, jakbyś chciał ocenić: godna czy niegodna, żeby ją nazywać córką? A może ja też chciałabym ci się przyjrzeć i zadać to samo pytanie: godny czy niegodny, żebym go nazywała ojcem? Nie pomyślałeś o mnie po raz drugi w życiu, Steve.

– Łucjo, wyciągasz niewłaściwe wnioski.

– Wybacz, muszę to wszystko przemyśleć sama, w spokoju. Przyjdę jutro rano, to sobie porozmawiamy. Teraz boję się, że nagadam głupstw, których sama będę żałowała. Wybacz!

Zerwała się z tapczanu i nim zdążył zaprotestować, czy cokolwiek wyjaśnić, sforsowała drzwi, potem furtkę. Biegła całą drogę do domu. Zmęczenie fizyczne było jej potrzebne, żeby zagłuszyć wewnętrzny żal i ból.

A gdybym go nie pociągnęła za język, gdybym nie wydarła tej wiadomości, to co? – myślała w popłochu. – On by sobie pojechał, a ja nawet nie wiedziałabym, że poznałam rodzonego ojca.

Na Traugutta dogoniła Doškę.

– Ktoś cię ściga, że tak zwiewasz? – zainteresowała się Doška.

– Duchy przeszłości.

– Oj, wiem coś o tym. Te duchy to czasem tak dadzą człowiekowi popalić, że nie daj Bóg! – powiedziała z powagą.

Łucja szła obok niej i próbowała wyrównać oddech. Poczwała w głowie karuzelę i musiała przytrzymać się ogrodzenia.

– Źle się czujesz? Coś się stało? – pytała przerażona Doška. – Strasznie zbladłaś!

– Zwykle babskie dolegliwości – powiedziała cicho. – Nie musisz stać nade mną, już mi przechodzi.

Dośka nawet nie drgnęła. Jak mogła odejść, jeśli widziała, że z Łucją dzieje się coś złego? Od domu Bogny dzieliło je parę metrów, ale trzeba było te metry pokonać. Łucja wciąż stała oparta o płot, jakby bała się od niego oderwać. Odczekała jeszcze chwilę i noga za nogą ruszyła do furtki. Przerazona Dośka nie odstępowała jej na krok. Nie dawała się spławić, chciała wejść z Łucją do środka.

– Już mi przeszło, już dobrze – zapewniała Łucja. – Teraz muszę zostać sama i przemyśleć parę rzeczy.

– Gdyby coś, to dzwoń.

– Nie będzie takiej potrzeby. Wpadnę wieczorem, to sobie pogadamy.

Dośka bezszelestnie wysunęła się z holu i cicho zamknęła drzwi. Łucja, jak stanęła przy stoliku z telefonem, tak stała, rozglądając się bezradnie wokół. Próbowwała wymyślić sobie jakieś pożyteczne zajęcie, żeby choć trochę ochłonać i nabrać dystansu do wydarzeń ostatnich dwu godzin. Nic pożytecznego nie przychodziło jej do głowy, natomiast wszystkie myśli uparcie krążyły wokół Steve'a. I nie były to bynajmniej myśli pozytywne ani przepojone miłością. Miała ochotę coś rozbić, rozerwać, potłuc, żeby wreszcie rozładować potworne napięcie, które w niej siedziało. Spojrzała na ulubiony wazon Bogny, wysoki na metr, z grubego zielonego szkła, i czym prędzej wyniosła się do swojego pokoju na górę. Rozpacz rozpaczą, ale Bogna nie darowałaaby wazonu.

Steve i Bogna, ten duet nie dawał Łucji spokoju. Potrzebowała szczerzej rozmowy z kimś życzliwym, żeby sobie wszystko poukładać w głowie. Jak na ironię, pomyślała o Stevie. Przyzwyczała się widzieć w nim powiernika i nie tak łatwo było ten wizerunek zniszczyć. Jeśli działało się coś ciekawego czy zabawnego, myślała: Steve będzie zachwycony, jak mu to opowiem. Niestety, skończyło się opowiadanie ciekawostek, gromadzenie historyjek, paplanie dla samej przyjemności paplania. Nie było już Steve' a przyjaciela, był Steve tatuś, tatko, tatulek. Walnęła ręką w futrynę, aż poczuła przeszywający ból.

Chciała prawdy i teraz dławiła się nią. Nie miała mu za złe, że porzucił, wyjechał, zginął z jej życia, to jeszcze od biedy potrafiła zrozumieć, wściekała się na styl, w jakim znowu się pojawił. Królewicz do wzięcia, psiakrew, cholera, pomyślała. Deptał po śladach, namierzał, otaczał niewidzialną pajęczynką, żeby potem udawać przyjaciela i świetnego kumpla. Pod pozorem przyjaźni naciągał ją na zwierzenia, i to nie z czystej życzliwości, jak sądziła, lecz dla jakichś swoich ukrytych celów. Nie umiała ich rozszyfrować, zresztą niewiele ją obchodziły. Może to prawda, że czegoś tam żałował, czegoś nie mógł już naprawić, ale to był jego kłopot, nie jej. Nie czuła się winna w najmniejszym stopniu.

Zbiegła na dół do kuchni, żeby napić się wody. Potem ze szklanką w ręku usiadła na schodach i próbowała zastanowić się, jak na miejscu Steve' a rozegrałoby takie spotkanie. Jest, dajmy na to, facetem, opuszcza żonę i dziecko, wyjeżdża z kraju, zakłada nową rodzinę. Po iluś tam latach przypomina sobie, że ma jeszcze jedną córkę. Nagle, ni z gruszki, ni z pietruszki, pojawia się wielka potrzeba, żeby sobie popatrzeć także na tę drugą. Właściwie po co? Nie z tęsknoty przecież, najwyżej z ciekawości. Ciekawość to też dobry powód. Leci do Polski i zaczyna poszukiwania od miasta i domu kojarzonego raz na zawsze z pierwszą rodziną. Trafia na ślad córki, widzi dorosłą, obcą kobietę. Co czuje? Może jakieś lekkie pikanie serca i dumę, że to jednak ta sama krew. Podchodzi i mówi: „Cześć, jestem Steve, scenograf z Nowego Jorku, a przy okazji twój ojciec!” Trudno sobie wyobrazić, żeby po takim wstępie córka zawisła tatusiowi na szyi. Nie, sytuacja na pewno nie była prosta, lecz Steve wybrał rozwiązanie najgorsze z możliwych.

Łucja usiadła na schodach i pozwoliła płynąć łzom.

Jeżeli Steve był ojcem Łucji, to był jednocześnie wujem Bogny. Co takiego zaszło, że Bogna nie umiała sobie przypomnieć wizyty wuja? Długiej wizyty, nie jakiegoś przelotnego spotkania na ulicy, gdzie ludzie mijają się w biegu. Dośka powiedziała wyraźnie: „Siedział u niej galancie, ze dwie godziny”. Łucja powtarzała słowa Dośki, a Bogna patrzyła okrągłymi ze zdziwienia oczami i kręciła głową z powątpiewaniem. Żaden wuj nigdy u niej nie był na herbacie,

ponieważ nie zadawała się aż tak blisko z nieboszczykami. Dośka musiała coś pokręcić. Wysoki, barczysty to mógł być tylko Ziemek. Po śmierci Daniela parę razy wpadł, żeby wyregulować krany czy odkręcić zapieczoną żarówkę.

– To nie był Ziemek! To był Steve Willis! – upierała się zapłakana Łucja.

– Zmyślasz coś, mysiu! – powiedziała czule Bogna.

– Wiem, że go widziałaś wcześniej! – krzyczała. – Wygadałaś się, mówiąc, że zmienił ojczyznę. To akurat dobrze pamiętam.

– O dzisiejszych zakupach też pamiętałaś? Po oczach widzę, że nie. Masz pamięć dziurawą jak stary przetak! Wiesz może, co to jest przetak? To akurat powinnaś pamiętać, babcia miała w domu ze trzy.

Łucja już dawno straciła cierpliwość. Upór Bogny spowodował, że płakała nie tylko z żalu, lecz także z bezsilności.

– Steve Willis vel Stefan Wielski jest moim ojcem! Czy ty to rozumiesz!

– Powiedział ci to?

– Właśnie.

Bogna usiadła blisko Łucji, objęła ją i przytuliła.

– On nie jest twoim ojcem, tylko wariatem albo oszustem matrymonialnym.

– Matrymonialny uwodzi – chlipnęła Łucja. – Steve nigdy nawet nie próbował.

– Nie próbował, a jednak cię uwiódł – westchnęła ze smutkiem Bogna. – Uwiódł, nawet jeżeli cię nie dotknął. To wcielony diabeł, który nie przyszedł po twoje ciało, tylko po duszę. Ślepa nie jestem, widzę, że dla niego nawet mnie byś sprzedała. Umyj buzię, bo wyglądasz okropnie.

– Znasz go, prawda? Był tutaj, rozmawiał z tobą?

– Był, rozmawiał, masz rację! – przyznała Bogna z niechęcią. – Próbowałam ci zaoszczędzić niepotrzebnych przykrości. Kłamał jak najęty przez godzinę. Dośce się pokręciło, nie siedział dwóch godzin. Jeśli chcesz wiedzieć, wyrzuciłam go z domu. Jestem prawie trzy lata starsza, myszko, i naprawdę więcej pamiętam. No i babcia mi dużo opowiadała. Facet wykladał się na prostych sprawach, nie wiedział nawet, że nasze matki były bliźniaczkami.

– Ale dlaczego? Dlaczego kłamał, dlaczego w ogóle przyjechał i mnie szukał? To mi wytłumacz.

– Wariat albo oszust matrymonialny, już ci mówiłam. Może dopiekła mu samotność, może chce wrócić na stare lata do Polski i szuka wygodnego kąta.

– Ma żonę i córkę, po co miałyby szukać kąta u mnie?

– Nie zna twoich talentów kulinarnych, pewnie myśli, że świetnie gotujesz – uśmiechnęła się Bogna. – Zona od niego odeszła dziesięć lat temu. Tak mi przynajmniej powiedział.

– A nazwisko? No dobra, nazwisko tylko brzmi podobnie, zresztą mógł je zmienić. On chyba musiał znać ojca, bo skąd wiedziałby o mnie?

– Wiesz, że na to nie wpadłam! – ożywiła się Bogna. – Bardzo logicznie to wydedukowałam, musiał znać wuja. To by wszystko wyjaśniało.

– Ja go zabiję! – chlipnęła Łucja i przytuliła się do Bogny. – Jutro go zabiję.

– Świetny pomysł! Potem go wypatroszysz i zobaczymy, co ma w środku. Nigdy nie widziałam oszusta od środka, a ty?

Łucja wreszcie się uśmiechnęła. Przytulona wciąż do Bogny pomyślała, że to wielkie szczęście mieć kogoś naprawdę bliskiego. Do diabła ze Steve'em! – pomyślała. – Jutro powiem mu, co myślę o takich przyjaciołach jak on.

– Nigdy nie odczuwałam braku ojca – powiedziała w zamyśleniu. – A ty?

– Bardzo – stwierdziła stanowczo Bogna. – Jeszcze teraz odczuwam i dlatego nigdy nie zdecydowałabym się na urodzenie nieślubnego dziecka. Muszę się szybko machnąć za mąż, bo niedługo będzie za późno.

– Żartujesz? – Łucja odsunęła się od siostry i spojrzała na nią ciekawie. – Przecież byłaś mężatką?

– Daniel nie mógł mieć dzieci, nie chciał słyszeć o zapłodnieniu *in vitro* ani o adopcji. Sam był wielkim dzieciakiem i nie zniósłby konkurencji w domu. Taki mechanizm obronny, rozumiesz? On był skrajnym egoistą, nawet większym niż ty, mysiu – roześmiała się na widok zaskoczonej miny Łucji. – No, dobra, ty nie jesteś skrajna.

Zresztą masz rację. Nasza babcia mówiła, że odrobina przyzwoitego egoizmu, tak jak i przyzwoitej obłudy jeszcze nikomu nie zaszkodziła.

Łucja darowała sobie wszystkie celne riposty. Niestety, niczego więcej się nie dowiedziała.

16

Łucja stała na wprost chudej kobiety, patrzyła na jej poplamioną bluzkę i niczego nie rozumiała. Docierały do niej słowa o gościu, który wyjechał poprzedniego dnia po południu, ale przecież to nie mógł być Steve. Rozejrzała się wokół, czy przypadkiem nie pomyliła domów. Były takie podobne, prawie jednakowe.

– Wysoki, ciemnowłosy, przyjechał citroenem? – pytała.

– I odjechał citroenem. Przecież to pani wczoraj uciekała od niego, sama widziałam.

– Nie zostawił żadnej wiadomości, żadnego listu?

Ciekawość w oczach kobiety była tak wyraźna, że nie umknęła nawet Łucji, chociaż miała kłopot ze zrozumieniem najprostszej prawdy. Co to znaczyło, że wyjechał? Tak bez pożegnania, bez słowa wyjaśnienia. Kiwnęła kobiecie głową i odeszła. Na plecach wciąż czuła badawczy wzrok tamtej. Pewnie wzięła mnie za kochankę, pomyślała. Młodą kochankę zostawioną na lodzie przez starszego pana.

Wyjazd Steve'a odbierała jako przyznanie się do winy, chociaż wciąż nie wiedziała, na czym jego wina miała polegać. Czy tylko na kłamstwie? Umknął przed jej pytaniami i dociekliwością. Jeżeli bał się pytań, to miał rację, że umknął. Żałowała bardzo, że nigdy już nie pozna prawdy.

Szła z wdziękiem dorożkarskiego konia, noga za nogą i układała w głowie swoją prywatną mapę Ciechocinka. Tu była ze Steve'em, tu jechała z Bašką dorożką, tu Steve powiedział... tu Baška o mały włos nie skręciła nogi. Od maja nazbierało się trochę tych znaczących miejsc.

Bogna ze spokojem przyjęła wiadomość o wyjeździe lub raczej o ucieczce Steve'a. Skomentowała ją krótko i tylko raz.

– Zauważ, myszko, że on cię czarował wyłącznie za moimi plecami. Ledwie obiecałaś wycisnąć ze mnie całą tajemnicę, zwiął. Jeżeli nadal uważasz go za człowieka poważnego i zdrowego na umyśle, to chyba sama jesteś stuknięta!

Przytuliła Łucję, ucałowała, a zaraz potem wymyśliła, że dobrze im zrobi wyskok do kawiarni.

– A może poszłybyśmy do klubu „Na opak”? – spytała Łucja z nadzieją w głosie.

– Aż tak mocno tęsknisz za widokiem męskich półdupków?

– Nie, ale chciałam zobaczyć te luksusy, o których mówiła Kornikowa.

– Matko święta! – wykrzyknęła Bogna. – To już chyba koniec świata, jeżeli Kornikowa biega na męski striptiz! Ale chyba przebiera się jakoś, czy pędzi prosto z ogródka, w portkach i marynarce po Władku?

Łucja próbowała co prawda wytłumaczyć, że wiadomości Kornikowej pochodziły z drugiej, a nawet z trzeciej ręki, lecz nie zdążyła przed napadem śmiechawki. Zwijały się w fotelach, mówiły jednocześnie, żadna nie słuchała i trudno się było w tym wszystkim połączyć.

– Jakie tam luksusy! – powiedziała wreszcie Bogna, wycierając oczy. – Wszystko sztuczne: kwiaty i złocenia, a pod spodem tandetna prowizorka.

– A chłopaki?

– Wyglądają na prawdziwych – przytaknęła Bogna z taką miną, że Łucję chwycił następny atak śmiechu.

Bogna miała o Babulu jak najgorsze zdanie. Jakimś cudem był działaczem kulturalnym i bodaj radnym miejskim, ale o rozrywce nie miał zielonego pojęcia. Nie chciał inwestować, tylko ciągnąć zyski, oszczędzał na papierze toaletowym, na muzyce i striptizerach, więc trudno się dziwić, że na tle ogólnej działalności kulturalnej, obfitującej w festiwale i koncerty, klub dla pań był zaledwie niewielkim pryszczem. Wiadomo, że do kurortów przyjeżdżają ludzie chorzy, zdrowi i niewyżyci. Taki na przykład festiwal piosenki

strażackiej czy kultury Romów jest dla wszystkich, a Babul mógł liczyć tylko na tych ostatnich, i to nie wszystkich. Klub „Na opak” prowadził działalność nastawioną wyłącznie na kobiety o skromnych wymaganiach artystycznych. Bogna była tam tylko raz, na otwarciu. Babul szarpnął się wtedy na skromne przyjęcie, na które zaprosił pracowników kilku sanatoriów. Liczył, że pomogą mu rozślawić uroki klubu wśród pacjentów, i mocno się przeliczył.

– Szukał naganiaczy – prychnęła Bogna. – Nie wiem, może i kogoś znalazł, ale większość gości nie dosiedziała nawet do końca występów. Gdyby na stolikach stał kawior i szampan, to jeszcze, ale przy coli i paluszkach? A ty wiesz – ożywiła się – że on chciał z Ziemka zrobić tancerza?

– I co?

– I nic. Ziemek pokazał mu taki fajny gest i było po rozmowie. Zaraz potem wyniósł się do Torunia, a ja straciłam najlepszego pracownika.

– To dlatego wyjechał! – wykrzyknęła Łucja i zmieszała się pod uważnym spojrzeniem Bogny.

„Bristol” miał dwa letnie ogródki: jeden od frontu, drugi na tyłach lokalu, z widokiem na muszlę. Bognie udało się znaleźć miejsce od frontu, co dawało możliwość odbierania defilady spacerowiczów. Ledwie usiadły, rozejrzała się dyskretnie po stolikach.

– No, no, kogo my tu mamy! – ucieszyła się i ruchem głowy wskazała barczystego faceta z dziewczyną.

Barczystego Łucja dwukrotnie miała okazję podziwiać pod „Grzybem”, raz nawet w towarzystwie Bogny, jednak nie miała przyjemności go poznać, w przeciwieństwie do dziewczyny, którą znała aż za dobrze.

– Nieźle jej z rozpuszczonymi włosami – zauważyła.

– Ewelinie we wszystkim źle, mysiu! – Uśmiechnęła się słodko Bogna. – Spytaj raczej o faceta.

– Pytam o faceta, chociaż z góry zaznaczam, że ochroniarze nie są w moim typie.

– To już zapomniałaś, o czym wczoraj rozmawialiśmy? Już nie chcesz zostać bywalczynią klubu „Na opak” i poznawać życia we

wszystkich jego przejawach?

– Babul? – zdziwiła się Łucja.

– Nie krzycz tak! Jeszcze gotów pomyśleć, że zapraszasz go do stolika. I nie gap się, bo nie ma na kogo.

– Żonaty?

– Nie mam pojęcia. Będą przechodzili koło nas, to sama spytaj.

Jak na życzenie Babul podniósł się, a tuż za nim Ewelina. Radosne: „Cześć, Łucjo!”, zabrzmiało jak armatni wystrzał. Babul wykazał się większą elegancją: „Dzień dobry”, powiedział raz, głową kiwnął dwa razy. Ewelina zawróciła z alejki i przechyliła się przez barierkę okalającą ogródek. Chciała tylko przypomnieć Łucji, że wieczorem w Jedyńce leci film z Olą Łopaciakówną.

– Czy mnie się zdaje, czy ona ostatnio zbrzydła? – spytała zapewne z myślą o Łopaciakównie, lecz ze wzrokiem wbitym w Bognę.

– Zbrzydła? – zdziwiła się Łucja. – Laureatka plebiscytów na najpiękniejszą twarz ekranu zbrzydła?

– Twarz to nie wszystko! – wykrzyknęła Ewelina i pobięła gonić Babulę.

Łucja spojrzała na Bognę i obie jednocześnie wybuchnęły śmiechem.

Wieczorem rzeczywiście leciał film z Łopaciakówną. Bogna skuliła się na kanapie, co znaczyło, że utnie sobie drzemkę, jeżeli tylko film ją znudzi. Grała przecież Oleńka, więc przesadne zainteresowanie było nie na miejscu.

– I co ty opowiadasz, że ona jest dobra? – czepiała się od pierwszej sceny. – Na ekranie ma bardziej zadarty nos niż w rzeczywistości. Jest chyba nefotogeniczna, co? I fatalnie jej w brązach, nie uważasz?

Łucja zaciskała zęby ze złości. Nie chciała wszczynać sprzeczki akurat teraz, kiedy stosunki między nimi wróciły do dawnej serdeczności. Westchnęła z ulgą, kiedy siostra wreszcie zapadła w sen.

Steve nigdy nie dzwonił w weekendy. W dni powszednie odzywał się zawsze przed południem, co Łucja skojarzyła dopiero po czasie i powiązała z obecnością lub raczej nieobecnością Bogny. Obiecała sobie, że choćby chałupa stanęła w ogniu, ona nie odejdzie od telefonu i, nie chwając się siostrze, poświęci w intencji Steve' a te dwa kolejne dni. Wierzyła, że się odezwie i chciała dać mu szansę. W poniedziałek rano przyniosła laptop do kuchni, żeby popracować nad nowym opowiadaniem dla „Tiramisu”. Wprawdzie posprzeczała się ostro z Kingą, jednak umowa wciąż pozostawała umową i zobowiązywała ją do jednego tekstu w tygodniu. Wymyśliła nawet niegłupi temat o bezinteresownej zazdrości. Zamierzała opowiedzieć historię Oli Łopaciakówny, dziewczyny z małego miasteczka, która była sławna w całej Polsce, z wyjątkiem rodzinnego grajdołka. Pisanie szło jak po grudzie. W pierwszych czterech zdaniach pięć razy użyła spójnika „tylko”, zdenerwowała się i skasowała cały tekst.

Steve milczał, natomiast we wtorek rano zadzwoniła Baśka. Powoli już zbierała się do powrotu i żal jej było słonecznej wyspy. W ostatnim tygodniu poznała Larsa, szwedzkiego studenta medycyny i od niego zaczęła odmierzać czas. Coś tam zdarzyło się na tydzień przed poznaniem Larsa, a coś innego dwa dni po poznaniu Larsa.

– Zabujałaś się! – wykrzyknęła z niedowierzaniem Łucja.

– Ty chyba naprawdę się zabujałaś!?

– Całkiem możliwe – przytaknęła. – Wiesz, dopiero tu, nad Morzem Tyrreńskim zrozumiałam, że bardziej odpowiada mi temperament ludzi północy. Jestem zdecydowana wyjechać do Szwecji.

– Nie rób mi tego!

– Właśnie, że zrobię, tylko jeszcze nie dzisiaj. W końcu jestem Europejką, mogę mieszkać, gdzie chcę. Nawet tato mnie namawia, żebym znalazła sobie jakiś inny kraj, bo u nas klimat jest niezdrowy dla młodych lekarzy.

Wracając z Włoch, Baśka miała zatrzymać się dwa dni w Warszawie, żeby coś tam pozałatwiać z praktykami. Była smutna i całkiem inna niż zwykle. Dopiero kłopoty Łucji trochę ją rozruszały i wylazła z niej dawna, kochana Baśka.

– Strasznie chałowo to wyszło – powiedziała ze smutkiem.

– Może jeszcze zadzwoni – mruknęła Łucja. Przypomniała sobie, że od dziesięciu minut telefon jest zajęty i szybko pożegnała się z przyjaciółką.

Do późnego popołudnia Steve nie zadzwonił. Bogna zdążyła wrócić z pracy i Łucja straciła wszelką nadzieję. Przypomniała sobie, jak kiedyś, bodaj w Ełku albo w Toruniu powiedział jej: „Znienawidzisz mnie, zanim wsiądę do samolotu”. Popłakała się wtedy i przytuliła do niego. Dałaby bardzo dużo, żeby znów mógł ją objąć i pocieszyć. Wcale nie czuła nienawiści, tylko rozdzierający smutek. Jako ojciec Steve był jej kompletnie obojętny, jako kochanek tym bardziej, co było zupełnie zrozumiałe, tęskniła jedynie do przyjaciela. Im dalej odfruwiał od niej, tym większy żal czuła do Bogny. Głęboko w podświadomości zaczęła pielęgnować przekonanie, że ta tajemnica ma drugie dno, które siostra próbuje przed nią ukryć. Humor ją opuścił i czuła się tak, jakby umarł ktoś bardzo bliski, z kim nie zdążyła się pożegnać. Nie miała ani telefonu, ani adresu Steve’ a i wychodziło na to, że tym razem, przynajmniej dla niej, umarł po raz drugi.

– Co ci, myszko? – zaniepokoiła się Bogna.

– Myślę, że czas najwyższy, żebym wróciła do Warszawy.

– Źle ci tu ze mną?

– Bardzo dobrze, ale muszę pochodzić koło swoich spraw, zainteresować któregoś z producentów scenariuszem i zdobyć pieniądze na film. To wcale nie jest takie proste.

– A jak się nie uda?

Łucja wzruszyła ramionami. Jakoś nigdy nie myślała, że powiększy grupę tych, którym się nie udało. Wierzyła w siebie i miała nadzieję,

że znajdzie wreszcie kogoś, kto podzieli z nią tę wiarę, tak jak podzielił Steve. Przynajmniej teraz, kiedy zrobiła pierwszy krok, zebrała cały materiał do filmu i potrzebowała kilku, może kilkunastu dni na napisanie scenariusza. A jeśli nic z tego nie wyjdzie, to znowu będzie żyła z drobnych fuch, tu pomoże, tam zastąpi, a może znajdzie sobie zupełnie inne zajęcie. Życie z dnia na dzień było dobre jeszcze teraz, ale za rok, za dwa, kiedy skończą się pieniądze po babci, będzie wreszcie musiała coś ze sobą zrobić. Z byle jakich, dorywczych zarobków nie da się utkać najprostszego choćby szczęścia. Pieniądze to niby nie wszystko, lecz tak mówią tylko ci, którzy je mają. Łucja nie marzyła o willi z basenem, lecz jakiś własny kąt chciałaby mieć. Chwilowo jednak nie zamartwiała się przyszłością, wierzyła, że jeszcze wypłynie.

W środę wypadały urodziny Daniela i Bogna uparła się, że po południu pójdą na cmentarz. Łucja nie protestowała. Od dwóch dni była w nastroju mniej więcej cmentarnym i z wisielczym humorem przyznała, że to idealne miejsce dla takich jak ona. Bogna nie za bardzo przejmowała się nastrojami siostry, mówiła, że tylko prawdziwe cierpienie uszlachetnia, a takie wymyślane odziera kobietę z urody.

– Babcia powiedziałaaby, myszko, że wyglądasz jak śledziennik.

– Co to jest?

– Popatrz do lustra, to się dowiesz. Po wierzchu skwaszona mina, w środku zniechęcenie i apatia, jednym słowem, klasyczna chandra, której przyczyną jest podobno choroba śledziony. Nie marszcz się tak fatalnie, ja tylko powtarzam babci słowa. Możesz je skonsultować z Baśką.

Bogna, w przeciwieństwie do Łucji, tryskała humorem, była radosna i odprężona. Ostatnio trochę mniej pracowała, co od razu korzystnie odbiło się na jej urodzie. Szła lekkim krokiem i beztrąsko paplała o tym i owym. Zasepiła się dopiero przy grobie Daniela. Patrzyła złym wzrokiem na duży, plastikowy znicz w jadowicie czerwonym kolorze i wieniec ze sztucznych gerber. W zniczu migotało światełko.

– O nie! – powiedziała. – Nie będziemy zaśmiecać pomnika i palić czerwonych latarni. O nie!

Wyjęła z torby szmatkę i pastę do polerowania płyty. Dwoma zdecydowanymi ruchami przygotowała sobie stanowisko pracy. Wieniec i latarnia potoczyły się na ścieżkę.

– Tak chyba nie można! – zaprotestowała Łucja. – A jeżeli to od matki?

– Kpisz sobie z gustu mojej teściowej? – spytała gniewnie Bogna.

– Ona nie przyjedzie dzisiaj, poprosiła, żebym zapaliła od niej trzy lampeczki.

Pracowicie tarła szmatką powierzchnię płyty. Złość dodawała jej sił. Nie pozwoliła sobie pomóc i co chwila gniewnie zerkała na płonący na ścieżce znicz.

– Wywal to do kontenera! – mruknęła. – Nie będę przecież zaśmiecać cudzych grobów takim bezguściem.

– Sama sobie wywal!

Łucja niby rozumiała Bognę, ale nie mogła przyznać jej racji. Przypomniała sobie jasnowłosą Miłę i zrobiło jej się smutno.

– W porządku, wyniosę, i to z przyjemnością. Nie będzie mi Ewelina manifestowała swoich uczuć na grobie mojego męża.

– Myślisz, że to Ewelina?

– Nie myślę, wiem! Za każdym razem starannie wybiera najbardziej kiczowate wiązanki, żeby zrobić mi na złość. I zawsze stawia te cholerne, czerwone latarnie. Ona nie przychodzi tu dla Daniela, tylko dla mnie.

Łucja bez słowa zasypała knot piaskiem i razem z wiankiem wyrzuciła na kupę śmieci. Bogna doczyściła płytę i ustawiła sześć szklanych zniczy. Trzy od matki, trzy od siebie.

– Mogę też zapalić lampkę? – spytała Łucja.

– Dziwne pytanie – wzruszyła ramionami Bogna.

– W zestawieniu z Eweliną wcale nie takie dziwne. Miałaś rację, kochałam Daniela. I nie miałaś racji, mówiąc, że spałam z twoim mężem. Wszystko, co się wydarzyło, miało miejsce wcześniej, przed waszym ślubem.

– Wiem, mysiu – mruknęła Bogna. – Wiem chyba wszystko, co dotyczyło Daniela. Jeżeli nawet sam mi nie powiedział z własnej

woli, to wygadał się wcześniej czy później.

– Więc czemu zrobiłaś mi awanturę o ten stary tekst w „Tiramisu”?

Bogna spojrzała spod oka i uśmiechnęła się rozbrajająco. Nie miała zamiaru niczego tłumaczyć ani też usprawiedliwiać swojego wybuchu. Łucji należała się nauuczka, dostała ją i nie było o czym mówić. Bogna nie była zwolenniczką absolutnej szczerości. Nie chciała tłumaczyć siostrze, że magazyn znalazła już po śmierci Daniela w jego rzeczach. To była wiadomość, która niczego nie wyjaśniała, natomiast mogła sporo namieszać.

– To nie była awantura – powiedziała pojednawczo.

– Chciałam tylko, żebyś wiedziała, że ja wiem.

– Ty jednak masz duszę policjanta – mruknęła Łucja.

– Krótco przed waszym ślubem Daniel mówił mi, że boi się ciebie, bo chcesz zawładnąć nim całym, nawet jego myślami. Musiałaś tak nieubłaganie go śledzić?

Szły alejką od grobu Daniela do grobowca wystawionego przez babcię. Bogna, wciąż jeszcze zaróżowiona od wysiłku, powoli wracała do siebie. Pytanie padło we właściwym momencie, kiedy i ona dojrzała do rozmowy o Danielu.

To prawda, że traktowała go trochę jak duże dziecko, które potrzebuje starannej opieki i powinno znajdować się pod stałą kontrolą. Daniel spuszczone z oka natychmiast zaczynał udawać i oszukiwać. To była, niestety, cena, jaką płacił za nadopiekuńczość matki. Powiedzieć, że był syneczkiem mamusi, to mało. On wciąż był maleńkim syneczkiem mamusi, wrażliwym, delikatnym, który płakał i kapitulował już na widok surowej miny. Rósł w przeświadczeniu, że świat jest piękny, ludzie dobrzy, a kobiety to kwiaty w ludzkich postaciach. Zderzenie mitów z rzeczywistością było dla niego boleśniejsze niż dla rówieśników. Na siłę próbował się zmienić, zostać twardzielem. Trenował boks i judo, wybrał sobie zawód wymagający dużej sprawności fizycznej, wszystko po to, żeby uświadomić wszystkim wokół, a przede wszystkim sobie, że jest typowym macho. To był macho w domowych kapciach i damskim peniuarze. Był uroczy, kochany, miał mnóstwo wdzięku i za grosz odpowiedzialności. Wdzięk był widoczny na pierwszym rzut oka, brak

odpowiedzialności wychodził znacznie później. Takiego właśnie Daniela pokochała i poślubiła Bogna, z całym dobrodziejstwem inwentarza. Za jednym zachodem miała w domu mężczyznę i dziecko.

Życie z Danielem wcale nie było łatwe. Kochał Bognę, a po drodze, przelotnie i mimochodem, różne inne kobiety. Jeśli dziewczyna wykazała trochę determinacji i wybrała go sobie do białego walca, tańczył z nią tydzień, miesiąc, nigdy dłużej. Sam siebie nie lubił za tę słabość, która dla niego była źródłem udręki. Rzucił się w ramiona obcych kobiet, żeby zapomnieć o wstydzie, że jest dziwkarzem. Prostą drogą doprowadziło go to do następnego nałogu. Kiedy pił, nie interesowały go kobiety, wystarczyło mu towarzystwo Władka i jego kumpli. Bogna przetrzymała kilka, może nawet kilkanaście ulotnych miłostek męża, a na kumpelskim związku o mało się nie wyłożyła. Pijany, zapluty i bełkoczący Daniel był wreszcie człowiekiem szczęśliwym, wolnym od kobiet. Wpadł do butelki i ani myślał wracać do cywilizowanego życia. Bogna wyciągnęła go z największym trudem, dała gabinet, pracę i odrobinę samodzielności. Tylko odrobinę, bo on do samodzielności nie dorósł. Nie wytrzymał długo, znowu wsiadł do karuzeli z panienkami i popłynął, a ona straciła cierpliwość i resztki uczucia. Kiedy pojawiła się ta ostatnia dziewczyna, Daniel zaczął mówić o rozwodzie i postawił twarde, zdecydowane warunki.

– Przestałaś go kochać, a nie chciałaś dać mu rozwodu? – zdziwiła się Łucja.

– Mówisz, że nie chciałam? – Uśmiechnęła się ze smutkiem. – Nic bardziej mylnego. Wiesz, ja też mam swój charakter, krzyczałam „nigdy w życiu”, ale wyłącznie dla zasady, nie z przekonania. To był taki moment, kiedy wreszcie postanowiłam pomyśleć wyłącznie o sobie. Zdecydowałam, że musimy się rozstać. Chciałam mieć normalny dom z normalnym mężem i dziecko, więc musiałam się śpieszyć, żeby wygrać z biologią. Zanim zdążyłam powiedzieć Danielowi o rozwodzie, on wyskoczył pierwszy. Wściekłam się tylko dlatego, że mnie ubiegł. Tak, myszko, dojrzałam do rozwodu i rozstanie było mi jak najbardziej na rękę. Bałam się tylko jednego: że po miesiącu albo dwóch Daniel rozczaruje się swoją małą

dziewczynką i zechce do mnie wrócić. Do tej pory nigdy się z domu nie wynosił, wszystkie jego miłości były dochodzące, nie stacjonarne, lecz on był jak dzieciak. Mówił mi, że nawet mieszkanie wspólnie kupili. Wspólnie! W głównej mierze za pieniądze tej małej i moje. Podkradał mi z konta, dopóki się nie zorientowałam i nie postawiłam szlabanu.

Przez chwilę szły w milczeniu. Od dłuższego czasu Łucję gnębiło jedno pytanie: co te wszystkie dziewczyny i kobiety widziały w Danielu? Dziesięć lat temu, kiedy ona się w nim zadurzyła, był młodym, ślicznym chłopakiem u progu kariery zawodowej. Kariery nie zrobił, postarzał się, nie miał pieniędzy, samochodu, markowych ciuchów, a jednak wciąż miał powodzenie. Zamiast drogich prezentów przynosił kwiaty, był delikatny, ładnie mówił o uczuciach, nieźle kochał, i to wystarczyło.

– O czym myślisz? – spytała Bogna.

– O was.

– Nawet z największej miłości można się wyleczyć, mysiu. Wyleczyłam się i zdecydowałam, że wyjadę za granicę.

– Naprawdę chciałaś wyjechać?

– Naprawdę, i to bardzo daleko, żeby spalić za sobą wszystkie mosty, żeby mój były mąż nie próbował do mnie wrócić. Ja go naprawdę kochałam... Taka niby twarda baba, a tyle razy kapitulowałam, że aż wstyd.

– Teraz nie musisz wyjeżdżać – powiedziała cicho Łucja.

– Chyba jednak muszę. Od wspomnień też się trzeba kiedyś uwolnić. A po twoim filmie nie będzie dla mnie życia tutaj!

– Ile razy mam ci powtarzać...

– Już ani razu, dobrze! Jedno tylko chcę wiedzieć: czy ty naprawdę wierzyłaś, że mogłabym zabić Daniela?

– Zrozum, nie chodziło o ciebie, tylko o bohaterkę filmu.

– Pytam, czy wierzyłaś, że mogłam zabić?

– Oczywiście, że nie.

– Myliłaś się, mysiu! Kilka lat wcześniej, gdyby chciał mnie zostawić dla jakiejś innej kobiety, zabiłabym go bez wahania. Na szczęście z każdej fascynacji można się wyleczyć.

Mimo ciepłego wieczoru Łucja poczuła ogarniający ją chłód. W tonie Bogny nie doszukała się żartobliwych nutek. Spojrzała na siostrę z ukosa. Zobaczyła wąską linię ust i zmarszczkę między brwiami.

– Tak się tylko mówi – powiedziała bez przekonania. – A wracając do filmu, chcę ci powiedzieć, że zdecydowałam się na wersję pierwszą, z kumplem alkoholikiem w roli mordercy. Steve co prawda uważał, że to żona powinna zabić.

– Nieoceniony Steve! – mruknęła Bogna. – On też najchętniej posłałby mnie prosto na stryczek.

Mimo nalegań Łucji nic więcej nie dodała.

Na ulicznych straganach pojawiły się kamizelki z owczego runa, widomy znak, że nadciągała jesień. Dośka kupiła taką kamizelkę matce. Bardzo ładną, w odcieniach zieleni. Kiedy Łucja po południu wpadła do nich z torbą wypchaną słodyczami, natrafiła na poważną sprzeczkę.

– Ty już nie masz na co pieniędzy wydawać? – denerwowała się Kornikowa. – Gdzie ja w tej kamizelce pójdę, do kur? Im wszystko jedno, co mam na grzbiecie.

– Chciałam, żeby ci było ciepło – broniła się Dośka.

– W waciaku po Władku też mi ciepło!

Łucja została powołana na świadka. Obie strony: Kornikowa i Dośka liczyły, że poprze ich racje.

– Świetna kamizelka – powiedziała Łucja. – Najważniejsze, że przykrywa nerki. Nigdzie nie jest powiedziane, że ma pani dodzierać po Władku jego waciaki.

– A nie za ładna dla mnie? – zatroszczyła się Kornikowa.

Obie, matka i córka, miały jednakowo niską samoocenę.

Wszystko dla nich było za ładne, za eleganckie, a przede wszystkim za drogie. Łucja nie potrafiła tego pojąć. Tłumaczyła Dośce, bo przecież Kornikowej nie mogła, że nie wolno samemu spychać się na margines. Dośka przytakiwała, robiła swoje, a kiedy raz chciała pójść za radą Łucji, naraziła się matce.

– Zapłacili mi w pensjonacie za te dwa dni sprzątnięcia, to kupiłam, żeby mama też miała coś ładnego – tłumaczyła.

– O dzieciakach trza ci myśleć, nie o mnie starej – upierała się Kornikowa już bez poprzedniego zacięcia. W głębi duszy chyba była zadowolona z zakupu, tylko nie chciała tego okazać.

Łucja położyła reklamówkę na stole. Gdyby powiedziała wprost, że kupiła słodycze dla dzieci, z całą pewnością obraziłaby Doškę i Kornikową. Obie były bardzo honorowe, co często i z upodobaniem podkreślały.

– Dostałyśmy z Bogną w prezencie – powiedziała – niestety, obie jesteście na odwyku.

To już była całkiem inna rozmowa. Jak w prezencie i nieprzydatne, to oczywiście należy przyjąć, ucieszyć się, a nawet zajrzeć do środka i powiedzieć „Ojej, aż tyła tego dobra, to na miesiąc starczy!”

Łucja mogła sobie pogratulować przebiegłości i wyciągnąć Doškę na zakupy, bo samej nie chciało jej się biegać po sklepach. Obiecała Bognie, że wreszcie kupi coś do jedzenia i choć raz próbowała dotrzymać słowa. Doška była ogromnie przydatna, bo nieźle orientowała się w cenach i nie pozwalała Łucji przepłacać.

– Toć idź, idź! – powiedziała Kornikowa. – Już ja dzieciaków przypilnuję. Tylko mi tam czego znowu nie kupuj!

Najbliżej było im do śródmieścia. Łucja chciała zacząć od lodów w ogródku przed „Bristolem”, czym wprawiała Doškę w osłupienie. Jeść lody w biały dzień mogli tylko bogaci kuracjusze, a nie biedni mieszkańcy miasta. Na próżno Łucja tłumaczyła, że to ona zaprasza i stawia.

– W ostateczności mogę zjeść takiego na patyku – zgodziła się Doška.

Oczy jej rozbłysły do lodów i Łucja rada nie rada kupiła także dla siebie. Nie cierpiała takiego jedzenia, kiedy po palcach kapało i co rusz trzeba było wycierać usta. Stała na moment, żeby wygrzebać z torebki chustkę higieniczną. Zjadliwe: „Cześć, Łucjo!”, kazało jej podnieść głowę znad torby. Obok nich, z wyniosłą miną, przemaszerowała Ewelina. Łucja pomyślała ze złością, że zawsze musi się na nią napatoczyć w towarzystwie Doški. Miała w nosie głupie miny i odzywki byłej koleżanki, chodziło jej wyłącznie o Doškę. Na szczęście Ewelina błysnęła taktem i poszła swoją drogą.

Zakupy zajęły im sporo czasu. Z Doską nie było tak, że wchodziło się do pierwszego z brzegu sklepu i kupowało wszystko, co trzeba. Wędliny tylko tu, warzywa na tym, nie na innym straganie, i tak dalej, aż do wyczerpania listy. Łucja zapomniała o musztardzie. Musiała wrócić i, nie bacząc na protesty Dośki, kupiła podobno najdroższą musztardę w mieście. Wrzuciła słoiczek do torebki, żeby się nie stłukł, i mogli wracać.

– Teraz towaru jest pełno, to i z zakupami wygodna – tłumaczyła poważnie Dośka. – Wystarczy tylko wiedzieć, gdzie najtaniej.

– Cholerna wygodna, całkiem jak jedzenie kisielu widelcem – roześmiała się Łucja. – Chodź do mnie, umyjemy wreszcie ręce i zaparzemy sobie dobrej herbaty.

Dośka zawahała się, spojrzała na wypchane torby i zgodziła się wpaść na chwilę. Nie żeby zaraz opijać się cudzą herbatą, ale żeby pomóc Łucji. Niechętnie przekraczała próg domu Bogny, bo też nigdy nie była przez Bognę zapraszana.

Łucja otworzyła furtkę, potem drzwi do domu. W holu, kiedy chowała klucze do torebki, machnęła ręką tak jakoś niezgrabnie, że wyrzuciła na posadzkę słoik z musztardą. Huknęło, strzeliło i było co sprzątać w promieniu metra.

Dośka aż jęknęła z żalu za musztardą. Łucja rzuciła swoje pakunki pod ścianę i ostrożnie zaczęła zbierać najgrubsze kawałki szkła. Umazała się przy tym, bo nie mogło być inaczej. Kiedy zadzwonił telefon, podniosła się z kucek, jednak w żaden sposób nie mogła wziąć słuchawki, żeby nie wypaprać jej musztardą. Zamiast niej wzięła Dośka i przystawiła Łucji do ucha. Ostry głos brzmiał wyraźnie, był słyszalny chyba nawet w kuchni.

– Nie chcę cię martwić, Łucjo, ale brakuje ci taktu! – nadawała poirytowanym tonem Ewelina.

– A to niby czemu?

– Włóczysz się po mieście z tą wywłoką, jakby to nie jej mąż zabił Daniela.

– Odłóż, Dosiu – powiedziała Łucja – szkoda czasu.

Wzruszyła ramionami i poszła do kuchni. Dośka została ze słuchawką w wyciągniętej ręce. Ewelina wciąż nadawała, a ona stała jak słup.

– Ty suko! – krzyknęła w końcu histerycznie do słuchawki. – Policz lepiej swoje wisiorki, ty suko!

Odłożyła słuchawkę i osunęła się na ziemię. Była blada i roztrzęsiona.

– Przepraszam! – powiedziała. – Nie powinnam z twojego aparatu... przepraszam.

Łzy spływały jej po policzkach, trzęsła się jak w gorączce.

Łucja próbowała ją podnieść i pocieszyć.

– Dobrze jej powiedziałaś! Bardzo dobrze – mówiła.

– Niech wie, że słyszałaś. A co było z tym wisiorkiem?

– Mam jej wisiołek – wyszlochała Dośka. – Mam w domu, w plastikowym woreczku.

– Chcesz powiedzieć, że ona i Władek...

Łucja zamilkła. Podejrzenie było tak absurdalne, że nawet nie chciało przejść jej przez gardło. Władek, co prawda, zdradzał Dośkę nagminnie, lecz jego kochanki nie miały wyższego wykształcenia i ambicji, żeby należeć do śmietanki towarzystwa. Mógł wybierać między najtańszymi prostytutkami, żadne inne nie poleciałyby na takiego amanta.

Dośka dała się w końcu posadzić na krześle i nawet przestała rozpaczliwie szlochać. Tylko broda jej drżała jak u zapłakanego dziecka.

– Ona myśli, że nikt tego nie wie! – szepnęła przez łzy.

– Czego, Dosiu?

– Wszystkiego. Wtedy, w lutym, stałam za oknem i widziałam.

Łucja poczuła oszalałe walenie serca. Na wszelki wypadek usiadła.

– Dosiu, nie mogłaś widzieć, bo Daniel zasunął rolety – powiedziała powoli.

– I co ty opowiadasz?

– Tak mi się wydawało. Wszedł do kuchni, spuścił rolety, wziął do ręki nóż, żeby obrać jabłka – mówiła cicho. Dopiero po chwili dotarło do niej, że opowiada Dośce pierwszą scenę swojego filmu. – Masz rację, nie musiało być tak, jak mówię.

– I nie było. To ja stałam w krzakach bzu, nie ty. Tam stałam, o tam! – podbiegła i otworzyła okno na całą szerokość.

Pokazała ręką, w którym miejscu się ukryła. Był luty, krzaki gołe, bała się wychylić, lecz widziała wszystko.

Skiedy Bogna wróciła z pracy, w holu na środku pyszniła się żółta, zaschnięta maź do złudzenia przypominająca psią kupę, po całej kuchni walały się torby z zakupami, a Łucja z Doską siedziały przy herbacie.

– Nie patrz na bałagan! – powiedziała Łucja. – Chodź tu natychmiast!

Ale Bogna nie byłaby sobą, gdyby nie pochowała przynajmniej zakupów. Zaryczana Dośka pomogła jej sprzątnąć hol. Łucja nie ruszyła się od stołu, cały czas pilnie coś notowała na luźnych kartkach. Ograniczyła się tylko do zrobienia siostrze herbaty.

– Mów, Dosiu! – poleciła, kiedy wreszcie usiadły przy stole.

– Ty mów – powiedziała cicho Dośka. – Ja najwyżej coś dodam.

Łucja pokręciła głową. Nie chciała, nie mogła mówić, żeby własnymi fantazjami nie ubarwiać scen, które wcale ubarwienia nie potrzebowały. Jediną osobą, która znała prawdę, była Dośka, i tylko ona mogła rzetelnie opowiedzieć, od początku do końca, co się naprawdę zdarzyło szóstego lutego.

Wersji Dośki nikt jeszcze nie znał. Nawet ksiądz, bo nie mogła się zmusić, żeby pójść na Wielkanoc do spowiedzi.

Było późne popołudnie. Kornikowa z dzieciakami siedziała na piętrze, gdzie było znacznie cieplej niż na parterze. Władek wrócił z roboty po szesnastej. Na osiemnastą szedł na zimowy dyżur do patrolowania dróg. Dośka w kuchni podgrzewała mu obiad. Zauważyła, że schował w barku dwie półlitrowki czystej, a kluczyk włożył do kieszeni, jakby się bał, że mu z matką osuszą te butelczyny. Nie był nawet specjalnie zły, ostatnio miał fart i trochę więcej pieniędzy. Dośka poprosiła choć o dwie dychy na dom. Pokazał jej brzydki gest i głupio się uśmiechnął. Poczowała wzrastającą nienawiść. Zawsze o wszystko musiała się martwić sama, jakby trójka dzieciaków nie miała ojca. A on jeszcze stawiał wymagania, kluski ziemniaczane go gnioły w dołku, placków nie lubił, tylko mięso by jadł. Skąd ona miała brać na mięso, jeżeli tak naprawdę żyli z renty matki?

Władek zjadł obiad, gębę otarł i zaczął zbierać się do wyjścia, choć dyżur miał dopiero za godzinę. Dośka nie odważyła się o nic spytać, bo Władek nie lubił wścibstwa i odpowiadał pięścią. Zerknęła tylko przez kuchenne okno, w którą stronę pójdzie. Zobaczyła, jak przelazł dziurą w płocie na sąsiednią posesję. Ciekawość ją wzięła, czego mógł chcieć od Daniela, skoro od dwu lat nigdzie razem nie łazili. W pośpiechu narzuciła jakiś łach, wymknęła się z domu i też przelazła dziurą. Zatrzymała się w kępie bzu, przed kuchennym oknem sąsiadów.

Zmrok już zapadł, poza tym było pochmurno i prawie ciemno. W kuchni paliło się światło, Daniel siedział zamyślony przy stole i turlał jabłko. Nie obierał, nie kroił, tylko turlał ręką. Ocknął się na widok Władka. Gdyby drzwi wejściowe były zamknięte (znak, że Bogna jest w domu), wtedy Władek by nie wszedł. Już on Bognie wolał się nie pokazywać na oczy. Drzwi były otwarte, więc wmaszerował prosto do kuchni. Przywitani się, Daniel wyjął z górnej szafki portmonetkę. Dośka nie widziała, ile pieniędzy dawał Władkowi, domyśliła się tylko, że dał mu za dużo. Władek kręcił głową, coś gadał, wreszcie zrobił ręką taki gest, który mógł znaczyć: „Zaraz wracam” i wybiegł bez pożegnania.

Najpewniej poleciał do śródmieścia rozmienić banknot, bo na Traugutta sklepów nie było. Władek dla obcych, a już zwłaszcza dla Daniela, nigdy nie był takim chamem, jak wobec żony czy teściowej. Dośkę straszna żalność naszła, że on znowu wszystko przetraci. Noc się zrobiła, poczuła, że przez starą, mężowską marynarkę zimno liże ją po plecach. Nie było sensu dłużej sterczeć dla samej pantomimy, bo głos i tak nie docierał do niej przez szczelne, plastikowe okna. Ledwie wysunęła się z krzaków, usłyszała, że ktoś biegnie od furtki do drzwi. To były takie bardzo szybkie, lekkie kroki, na pewno nie Władkowe. No a kiedy w kuchni pojawiła się Ewelina, to i Dośka została w bie, nie bacząc na zimno.

Ewelina nie traciła czasu, dopadła do Daniela, złapała go z przodu za sweter, szarpała tak mocno, że nie mógł się od niej uwolnić. Mówiła głośniejszym głosem niż Władek. Krzyczała. Dośka stała blisko szyby i usłyszała: „Nie dam się zostawić dla byle dziwki”. Może zresztą były to inne słowa, w każdym razie „dziwka” zabrzmiała najgłośniejszym głosem.

A potem wszystko rozegrało się błyskawicznie. Daniel wyrwał się, stanął twarzą do kuchenki, plecami do Eweliny i zasłonił uszy rękami, jakby nie chciał niczego słyszeć. A ona całkiem spokojnie sięgnęła do pojemnika z nożami i wybrała jeden. Podeszła do Daniela i klepnęła go w plecy. Kiedy się odwrócił... Dośka z wrażenia nasikała w spodnie. Widziała, jak Daniel osuwa się na stół, potem na podłogę. Aż się prosiło, żeby krzyknąć, narobić rabanu, lecz głos uwiązał Dośce w gardle. Stała jak głupia w mokrych portkach, z otwartymi ustami. Nawet pisk się z tych ust nie wydobył. Trzęsła się cała, ale oczu nie zamknęła, coś jej kazało patrzeć w milczeniu. Ze swojego miejsca nie widziała podłogi ani leżącego Daniela. Ewelina pochyliła się na moment, jakby sprawdzała, co z nim. Zaraz potem dobiegła do szafki przy drzwiach i zaczęła wywalać różne rzeczy na podłogę. Rozrzucała je wokół i sprawiała wrażenie wariatki. Usłyszała jednak hałas przy drzwiach wejściowych, bo zniknęła w holu. Dośka już wcześniej słyszała kroki na ścieżce, tym razem silne, męskie. Domyśliła się, że to Władek. Dalej niewiele widziała. Z metr od niej stanęła Ewelina. Dosłownie metr, nie więcej. Rzygała. Rozpięła kurtkę, rozsunęła szal. Nawet nie zauważyła, że zerwała z szyi łańcuszek. Odczekała, aż Władek wybiegł pędem z domu i chyłkiem przemknęła do furtki. Dośka nie odważyła się zajrzeć przez okno do kuchni. Przytomnie zgarnęła wisiołek Eweliny i ledwie żywa, na sztywnych nogach, przelazła dziurą w płocie. Kiedy otwierała drzwi, doleciał do niej głos Bogny. Szła z mężczyzną i powiedziała coś takiego: „Poczekaj, zaraz ci podam”. On zatrzymał się na schodkach, wziął coś od niej i natychmiast odszedł. Dośka nie myślała o bliższej ani dalszej przyszłości, o dzieciach, o niczym, tylko o tym, że się posikała i zmarzła. Wszystko, co stało się potem, wymknęło jej się spod kontroli. Jak zwykle uległa matce.

Skończyła opowiadać i oblizała zeschnięte wargi. Wreszcie wyrzuciła z siebie nieznośny balast i poczuła się jak nowo narodzona.

Bogna w czasie całej opowieści nawet się nie poruszyła. Siedziała blada, z cieniami żyłek na skroniach. Ledwie Dośka skończyła mówić, głowa jej opadła na stół. Klepały ją po policzkach i cucią dobrą chwilę.

- Dzwon na pogotowie! – krzyknęła Dośka.
- Nie trzeba... – Bogna poruszyła się i wyprostowała. Patrzyła pustym, niewidzącym wzrokiem wokół, jakby nie rozumiała, co się stało.
- Zemdlałaś – zawołała przerażona Łucja. – Zemdlałaś!
- Tylko zasłabłam, już mi lepiej... już dobrze – powiedziała cicho.
- Dosiu, to wszystko prawda?
- Mogę przysiąc na głowy moich dzieci! – przytaknęła Dośka. – Może jednak lekarza...
- Masz ten łańcuszek? – spytała głucho Bogna.
- Dośka skinęła głową.
- Na łańcuszku jest medalionik z jej inicjałami. Wizytówka morderczyni – dodała z cichą satysfakcją.
- Dlaczego dopiero dzisiaj o tym mówisz? Matko święta, Dosiu, przecież ja muszę zawiadomić prokuratora! Powtórzysz to wszystko przed prokuratorem?
- Ona nie miała prawa nazywać mnie wywłoką! – powiedziała twardo Dośka. – Ani żoną mordercy.
- Dosiu, pytam, czy powtórzysz to wszystko i oddasz medalion.
- A na co mnie jej medalion? Żebym się nie posikała, żebym tak strasznie nie zmarzła, to ja bym od razu... I jakby on żył, też bym go od kary ratowała, bo choć drań ostatni, ale mąż. W nocy zawiadomili nas, że wpadł pod samochód. Mama powiedziała: „Władkowi twoje gadanie nic nie pomoże, jego się ugłaska pomnikiem. A po co taką młodą do więzienia pakować. Czy to my wiemy, co jej Danek naobiecował? Źle zrobiła, ale to sprawa jej sumienia, nie twojego. Ty musisz swój krzyż nieść, ona swój”.
- Bardzo po chrześcijańsku – mruknęła Bogna. – A gdybym to ja była oskarżona?
- Ale nie byłaś! Ani ty, ani Ziemek, tylko Władek, choć był tak samo niewinny jak wy.
- Zeznasz przed prokuratorem?
- Ona nie miała prawa... Zeznam jak na spowiedzi. Mnie już ta tajemnica tak ciążyła, tak ciążyła, że miejsca sobie nie mogłam znaleźć – chlipnęła cichutko, a zaraz potem rozbeczała się na dobre.

Bogna z Łucją patrzyły na siebie przerażone. Prawda Dośki wywracała śledztwo do góry nogami. Świadkowie widzieli uciekającego Władka, widzieli Bognę wracającą z pracy w towarzystwie Ziemka, nikt jednak nie widział Eweliny. Ulica Traugutta graniczyła z parkiem, po jednej stronie stały domy, po drugiej rosły gęste krzewy i drzewa. Ewelina musiała przyjść od parku i tą samą drogą uciec.

– A ja bawiłam się z nią na dansingach i gadałam jak z koleżanką... Całowałam się nawet na powitanie – westchnęła zgnębiona Łucja. – Jak ona mogła!? Dlaczego?

Kiedy późnym popołudniem Łucja odprowadziła Doškę do domu, Kornikowa, ledwie spojrziała na zapuchniętą od płaczu twarz córki, z miejsca nabrała pewności, że pilnie strzeżona tajemnica przestała już być ich tajemnicą.

– Jutro jadę z Bogną do prokuratora – powiedziała Dośka.

Nie umiała kłamać, zwłaszcza przed matką. Zaczęła mówić niepytana, sama z siebie.

– Głupio robisz! – Pod wpływem zdenerwowania Kornikowa zaczęła piskliwie wykrzykiwać. – Umarłym życia nie wrócisz! Sprawa przyschła! Co chcesz rozgrzebywać?

Dośka kuliła się w sobie od tych krzyków, lecz patrzyła hardo i po jej oczach widać było, że tym razem się nie cofnie.

– Ewelina nie miała prawa nazywać mnie żoną mordercy i wywłoką! – powiedziała twardo.

Kornikowa aż przeżegnała się na te słowa.

– Skoro tak, rób, jak uważasz! – szepnęła.

Łucja musiała zmienić zdanie co do niskiej samooceny Dośki i jej matki. Obie były chorobliwie przewrażliwione na swoim punkcie. Mogli ludzie gadać, że zaniedbane i niemodne, to nie bolało, ale nikt nie miał prawa ich obrażać i wyzywać od najgorszych.

Dośka zniosła z góry woreczek z wisiorkiem. Oddała go Bognie na przechowanie. Słusznie czy niesłusznie bała się, że ktoś, wiadomo kto, może chcieć się zakraść nocą do jej słabo strzeżonego domu. Drzwi na dole trzymały się na słowo honoru, okna z przyzwyczajenia.

Bogna też bała się o swoje sąsiadki. Zostawiła światło na podwórku, żeby widzieć wejście do domu Doški, a sama całą noc przesiedziała w kuchni przy odsłoniętych roletach.

– Nie świruj – tłumaczyła Łucja. – Czego ona mogłaby szukać po ciemku, w obcym domu? To zadanie dobre dla Bonda, nie dla Eweliny.

– Jest przebieglejsza, niż myślisz – powiedziała Bogna.

Doszła już do siebie po opowieściach Doški i zaczęła kojarzyć wydarzenia, które wcześniej zupełnie jej umknęły. Choćby tajemniczy telefon, który zatrzymał ją w gabinecie do siedemnastej. Wcześniej uważała, że pacjentce coś wypadło, że chciała przyjść, lecz nie mogła. Teraz spojrzała na ten telefon zupełnie inaczej. To Ewelina chciała zatrzymać ją dłużej. Znała rozkład dnia Bogny, wiedziała, że w drodze z sanatorium wpadała na pół godziny do gabinetu, żeby załatwić papierkowe sprawy. Robiła tak codziennie. W piątek, ledwie usiadła, zadzwonił telefon. Znajoma stałej pacjentki błagała o poradę i mały zabieg. Tak to określiła: mały zabieg, który nie zajmie więcej niż piętnaście minut. Mogła przyjść dopiero kwadrans przed siedemnastą. Bogna, choć niechętnie, obiecała, że poczeka. Na nią z kolei czekał Ziemek, który chciał pożyczyć aparat do masażu. Pacjentka nie przyszła, więc o siedemnastej oboje wyszli z gabinetu i piętnaście minut później dotarli na Traugutta. O piętnaście minut za późno, żeby powstrzymać Ewelinę.

– To nie był wypadek ani morderstwo w afekcie – mówiła Bogna. – Ona wszystko starannie zaplanowała. Miałam wrócić w najlepszym momencie, żeby zostać jedyną podejrzaną o zamordowanie męża. Powód niemal książkowy: on chciał mnie rzucić dla innej, ja się odgrażałam, wszystko pasowało, nawet ślady mojej ręki na nożu. Czasu miała mało. Tego dnia Daniel był w Toruniu i wracał o wpół do piątej. Musiała się nieźle uwijać. Tak naprawdę moją skórę uratował Władek. A ja na niego tyle pomyj wylałam. Nie ma sprawiedliwości na świecie, nie uważasz?

Łucja słuchała i jednocześnie próbowała sobie przypomnieć ostatnią bodaj rozmowę z Eweliną.

– Ona mi powiedziała – zaczęła, zastanawiając się, czy czegoś nie płacze – że tuż przed siedemnastą rozmawiała z Danielem przez telefon. Miał się wyrazić mniej więcej tak: „Muszę kończyć, słyszę klucz w zamku, żona wraca”. To miał być dowód twojej winy. Stłuczony zegarek Daniela stanął na siedemnastej. Kłamała. Dobrze wiedziała, że drzwi były otwarte, a ruch w chałupie większy niż na dworcu.

– To żmija! – mruknęła ze złością Bogna. – Wiem, że gdzie mogła, tam rozpowiadała o mojej winie. O burdelu, który prowadzę w gabinecie też. A przecież nie kto inny, tylko ona naganiała chłopakom towar. Wbrew pozorom nie ma aż tak dużo kobiet, które przyjeżdżają tu dla młodych facetów. Trzeba umieć takie wybrać i umiejętnie namówić.

– Wiedziałaś o tym?

– Mysiu, mówiłam ci już kiedyś, że naprawdę niewiele jest rzeczy dotyczących mnie lub moich interesów, o których bym nie wiedziała. Wiem też, że próbowała oswoić Babula i doczepić się do jego interesu. I tu ją spotkał zawód. Babul będzie szczerze ucieszony, jak Ewelina przestanie mu wreszcie dupsko truć.

– Dlaczego ona to zrobiła?

– Chodzi ci o Babula czy o Daniela? Układ z Babulem wiąże się z dostępem do forsy, której i tak nigdy by nie oglądała, bo to stary cwaniak i nie da się szantażować dziewczynie policjanta. Ma w kieszeni wszystkich, których powinien mieć. Na tej liście z całą pewnością nie ma Eweliny. A co do Daniela... sama nie wiem i pewnie się nie dowiem. Tu nie chodziło tylko o to, żeby wsadzić mnie za kratki. Ale o co? Może rzeczywiście trochę za dużo jej naobiecywał. To nawet byłoby do niego podobne.

– Opowiadała mi o wielkiej miłości. Czy Daniel mógł się bez pamięci zakochać w Ewelinie?

– Ostatnio nie śledziłam już tak bardzo jego miłostek, ale myślę, że wątpię, wiesz? On poniżej pewnego minimum nie schodził. Mówiłam ci już, mógł ją przelecieć z litości i potem nie umiał się wyplątać. Pojawiła się ta mała, stracił głowę, a Ewelina nadzieję.

– A co w tym wszystkim robił Patryk?

– Patryk, jak się dowie, w czym robiła jego narzeczona, to dopiero będzie miał kłopoty. I słusznie. Policjant też facet i za brak gustu powinien płacić – mruknęła Bogna.

Czatowanie w oknie, poza tym, że uspokoiło jej sumienie, nie przyniosło innych rezultatów. Ewelina nie tylko nie miała zamiaru odbierać chleba Bondowi, ale w ogóle nie zrozumiała słów Doški. To było za mało, żeby zepsuć jej humor.

18

Rano Bogna poszła do pracy, a Łucja do łóżka. Jednak nie zdążyła odespać nocy. Koło południa zadzwoniła z Warszawy Baśka.

- Myślałam, że gdzieś fruwasz – powiedziała z wyrzutem.
- Wracam od Gołąbkowej i jestem nabuzowana.

Gołąbkowa nie należała do kobiet, które się łatwo poddają. Postawiła sobie ambitny cel, że pozbędzie się lokatorek i uparcie do niego dążyła. W drzwiach na Baśkę czekała kartka: „Poczta u mnie. Trzeba odebrać. G”. To G wskazywało na Gołąbkową, więc chcąc nie chcąc, Baśka pojechała na Bielany. Ale Gołąbkowa nie po to wyciągała listy ze skrzynki, żeby je dobrowolnie oddać. Nastawiła się na pertraktacje w sprawie umowy i tylko o umowie chciała rozmawiać. Baśka na szczęście zachowała przytomność. „Pani Gołąbkowa, na temat umów będzie z panią rozmawiał nasz adwokat, i to w więzieniu. Teraz za naruszenie tajemnicy korespondencji idzie się siedzieć, nie wiedziała pani o tym? A ja na dowód mam pani karteczkę!” Gołąbkowa ponad wszystko ceniła sobie wolność, więc oddała listy.

– Do ciebie jest tylko jeden – powiedziała Baśka. – Mam ci go odesłać, czy zostawić w domu?

– Przeczytaj! – zażyczyła sobie Łucja.

– I pójdę siedzieć za naruszenie tajemnicy korespondencji? Gołąbkowa chyba przy nim manipulowała, to może nawet trafimy do jednej celi. Tego bym nie przeżyła.

Dała się jednak ubłagać, otworzyła list i zamilkła na dłuższą chwilę.

– To jest od twojego ojca – powiedziała w końcu. – Nie wiem, czy powinnam...

– Baśka! – wrzasnęła Łucja. – Czytaj! I tak musiałabym ci wszystko opowiedzieć.

Ciężkie westchnienie było oznaką walki wewnętrznej. W końcu szala zwycięstwa przechyliła się na korzyść Łucji.

Kochanie moje!

Jeżeli mogę Ci coś radzić, to proszę; żebyś w przyszłości najpierw dopuściła rozmówcę do głosu, dopiero potem oceniała. Nie dałaś mi niczego powiedzieć i uciekłaś ode mnie ze swoją wersją historii, co gorsza, przekonana o jej prawdziwości. Teraz zapewne wiesz już wszystko od siostry i znasz jej prawdę, ale nie moją. I niech tak zostanie. Na swoje usprawiedliwienie powiem tylko jedno: od tamtego czasu minęło trzydzieści lat, jestem już zupełnie innym człowiekiem i choćbym najbardziej żałował tego, co się stało, niczego nie mogą zmienić.

Kilka razy bezskutecznie próbowałem Cię odnaleźć, aż w końcu dopiąłem swego. Uważam, że to była najmądrzejsza decyzja w moim życiu prywatnym. Jesteś nie tylko piękną, lecz także wspaniałą, zdolną dziewczyną. Jeżeli czegoś naprawdę żałuję, to tego, że nigdy nie nazwiesz mnie swoim ojcem. A szczęście było tak blisko.

Masz rację, ostatnie dni w Ciechocinku wyglądały jak kiepska konspiracja. Dałem słowo Boginie, że więcej nie zakłócę Ci spokoju. Teraz, kiedy już wszystko wiesz, nie ma to najmniejszego znaczenia. Możesz powiedzieć swojej siostrze, że nie czuję się wobec niej niczym zobowiązany.

Po powrocie do Warszawy zgłoś się do Pożarnickiego. Czeka na Twój scenariusz. Tylko tyle mogłem dla Ciebie zrobić, chociaż chciałbym dużo więcej.

Dziękuję za cudowne wakacje. Teraz przynajmniej będę miał o kim myśleć. Jedno z Twoich zdjęć oprawiłem sobie w ramki. Nawet nie wiesz, jak bardzo rozjaśnia moją samotność i pustkę czterech ścian. Całkiem nieoczekiwanie stałaś się najważniejszą kobietą w moim życiu. Nie martw się o mnie, nauczyłem się wszystkie przeciwności przyjmować po męsku, z zaciśniętymi zębami. Jeżeli możesz, nie myśl o mnie źle.

Kocham Cię! Życzę Ci dużo szczęścia i wspaniałych filmów.

– To już koniec – powiedziała Baśka. – Na filmach skończył.

– A jak się podpisał?

– Steve Willis.

- Podał jakiś telefon, adres?
- Niestety, nie widzę.
- Nic z tego nie rozumiem – jęknęła Łucja. – Sprzedał mi swoją wersję historii, nie pytając, co wiem na ten temat! A ja nic nie wiem, Bogna mi nic nie powiedziała! Basiu, przyslij mi ten list jak najprędzej!

Ewelina z upodobaniem podkreślała, że w Ciechocinku wystarczy kichnąć na jednym końcu miasta, by na drugim wszyscy zachodzili w głowę, gdzie kichuś mógł się przeziębic. Życie pokazało, że nie miała racji. Oczywiście jedenaście tysięcy mieszkańców nie czyni z miasta metropolii, jednak aresztowanie Eweliny przeszło bez większego echa i mało kto o nim wiedział. Kornikowa robiła, co mogła, żeby oczyścić z zarzutów swojego zięcia, poruszyła wszystkie swoje kумы, a i tak rewolucji nie wywołała. O zamordowaniu Daniela przynajmniej pisały gazety, o wznowieniu śledztwa wiedzieli chwilowo tylko zainteresowani.

Ewelina początkowo szła w zaparte i nie przyznawała się do winy. Złamał ją właściwie drobiazg. Upierała się, że w dniu morderstwa, tuż przed siedemnastą, rozmawiała przez telefon z Danielem. Nie pamiętała tylko, czy powiedział: „Zona przekręca klucz w zamku”, czy raczej „Zona właśnie wchodzi”. Na podstawie bilingów prokurator ustalił, że szóstego lutego nie było takiego połączenia. Ta drobna z pozoru wpadka sprawiła, że zaczęła się płatać w zeznaniach. W trzecim dniu przesłuchań przyznała się do morderstwa w afekcie. Podobno uważała się za narzeczoną Daniela i nie wytrzymała nerwowo, kiedy powiedział, że odchodzi do innej.

List od Baśki, mimo że wysłany jako priorytet, szedł trzy dni. Łucja dostała go rano, a wieczorem usadziła Bognę w saloniku i podała po lampce czerwonego wina.

- Na czyją niby cześć mam pić to kwasidło – wykrzywiła się Bogna, przyzwyczajona do znacznie lepszych win.
- Na cześć prawdy – oświadczyła Łucja.
- To czemu nie zaprosiłaś Dośki?
- Na cześć mojej prawdy, nie twojej – powiedziała Łucja i podała jej list Steve’a.

Bogna czytała z niewzruszonym spokojem. Bez grymasu, bez uśmiechu, bez jakiegokolwiek reakcji.

– A więc chcesz znać prawdę? – spytała. – Właściwie masz do niej prawo. – Wyszła z pokoju i po chwili wróciła z niewielką kasetką. – Wiesz, co to jest? Nie wiesz, bo i skąd. To są tajemnice naszej babci. Miały być włożone do trumny i pochowane razem z nią.

– Bogna! – wykrzyknęła przerażona Łucja. – Jak mogłaś?

– Widać mogłam. Jaki pożytek byłby ze zbutwiałych papierów? To co, jesteś gotowa zajrzeć, czy upierasz się, że do draństwa nie przyłożysz ręki i nie wetkniesz do kasetki swojego ciekawskiego nosa?

– Daruj sobie te wstępy. Nie chcę znać tajemnic babci, chcę tylko wiedzieć, kim jest Steve.

– Bez naruszenia tajemnic babci nie da się tego wyjaśnić – roześmiała się ironicznie Bogna. – Wciąż się upierasz, że to twój ojciec? To mi powiedz, jak to możliwe, że nigdy nie dał na twoje utrzymanie nawet grosza? Żyłaś w przekonaniu, że ojciec umarł i nie miałaś po nim renty? Czy to podobne do naszej babci, żeby tak sobie lekką ręką odpuściła komuś jego święte obowiązki? Ona by tego faceta spod ziemi wygrzebała, rzecz jasna jeszcze za jego życia, i zmusiła do płacenia.

– Nie wiem, nigdy się nad tym nie zastanawiałam – przyznała niepewnie Łucja.

– Właśnie – mruknęła Bogna. – Nie chcę cię urazić, mysi, ale ty w ogóle mało się zastanawiasz nad tym, co dzieje się wokół ciebie. Uważaj, bo to, co teraz powiem, może zabość.

Łucja z determinacją kiwnęła głową, że jest gotowa na wszystko, nawet na ból. Podciągnęła kolana pod brodę, objęła nogi rękami, jakby chciała zapaść się w siebie i zmienić w malutki embrion. Czekwała. Była spokojna, tylko w miarę jak Bogna mówiła, coraz mocniej przyciskała nogi do piersi.

Bogna nie bawiła się w wyszukiwanie eufemizmów ani ozdobników. Nie robiła nic, żeby złagodzić ból prawdy. Powtarzała jedynie słowa babci oraz to, czego dowiedziała się już na własną rękę z dokumentów zgromadzonych w kasetce. Te dokumenty nie były przeznaczone dla niej, miały zniknąć razem z babcią. Gdyby Bogna

bez protestów wykonała ostatnią wolę zmarłej, Steve wtargnąłby bezkarnie w ich życie po raz drugi. Pukając do drzwi domu na Traugutta, był przekonany, że Ryszarda Winiakowa dotrzymała słowa i zabrała jego tajemnicę do grobu. Przedstawił się jako mąż Anieli, ojciec Łucji i wujek Bogny. Czarował elegancją, zapachem dobrej męskiej wody i nieskazitelną polszczyzną. Próbował wytłumaczyć, dlaczego zjawia się tak późno. Nie przechytrzył Bogny. „Babcia umarła, to prawda, jednak kontrakt mam ja”, powiedziała twardo.

Zgodnie z prawami biologii Łucja musiała mieć ojca, lecz nawet jej matka nie bardzo wiedziała, na kogo wskazać palcem. Poczęcie było efektem wesołej balangi, poplątania z pomieszaniem i zabawy facetów, którzy rano ulotnili się bez wieści. Kiedy ciąża wyszła na jaw, do akcji wkroczyła babcia. Nie mogło być tak, żeby panna Winiakówna powiła bękarta. Babcia nazywała rzeczy po imieniu i ani jej w głowie było zastanawiać się, czy nie urazi uczuć córki. Może gdzieś tam na świecie, może i w Polsce, samotne macierzyństwo nie było już niczym wstydliwym, ale nie w Ciechocinku i nie w rodzinie Winiaków. Wnuk babci musiał mieć ojca, a córka męża, nawet gdyby to miało być małżeństwo kilkumiesięczne. Zachował się kontrakt z tamtych czasów:

Ja, niżej podpisany, zobowiązuję się poślubić brzemienną Anielę Winiakównę, mimo że nie poczuwam się do ojcostwa jej dziecka...

Dalej kontrakt skrupulatnie wymieniał prawa i obowiązki obu stron. Aniela Winiakówna wraz z dzieckiem miała prawo do używania nazwiska Wielska, Stefan Wielski zaś do rozwodu trzy miesiące po przyjściu dziecka na świat. Za swoją przysługę otrzymał niebagatelną, jak na ówczesne czasy, kwotę pięćdziesięciu tysięcy złotych. Kontrakt kończył się klauzulą, że po rozwodzie Aniela Wielska nie będzie dochodziła prawa do alimentów, zaś Stefan Wielski rezygnuje z wszelkich kontaktów z nią oraz jej dzieckiem.

Taka była prawda o Stefanie Wielskim, czyli Stevie Willisie, który po trzydziestu latach przypomniał sobie, że dał swoje nazwisko małej dziewczynce o imieniu Łucja.

Podobno imię sam jej wybrał, o czym chyba nawet babcia nie wiedziała.

Łucja wreszcie zrozumiała znaczenie słów: „Jestem już innym człowiekiem i choćbym najbardziej żałował tego, co się stało, niczego nie mogę zmienić”. Nie wiedziała tylko, dlaczego zaczął żałować? Czy dla mężczyzny nazwisko ma aż tak wielkie znaczenie? Przecież oprócz nazwiska nie dał jej nic więcej.

– Jak myślisz – spytała drżącym, schrypniętym głosem – czy to możliwe, żeby on mimo wszystko, mimo tej umowy i pięćdziesięciu tysięcy, pokochał mamę i nie chciał od nas odejść?

Bogna zdecydowanie pokręciła głową. Głupiutka, naiwna ciotka Aniela z całą pewnością nie była kandydatką na żonę dla świeżo upieczonego artysty plastyka o wielkich ambicjach. Stefan potrzebował pieniędzy, żeby wyjechać za granicę i tam robić karierę. Sentymenty nie wchodziły w grę, zresztą babcia nie chciała mieć w domu jeszcze jednej gęby więcej do karmienia. Już ona czuwała nad tym, żeby umowa została dotrzymana do ostatniej kropki. Po wyjeździe Stefan ze dwa czy trzy razy pisał do niej, pytał o Łucję, nie o żonę. Wszystkie listy spaliła.

– Więc czemu... czemu mnie szukał? – spytała bezradnie Łucja.

– Powiedział mi, że byłaś pierwszą i jedyną kobietą, która odważyła się nasikać mu na koszulę.

– Luigina nigdy go nie obsikała?

– Widocznie była bardziej taktowna od ciebie. Ty się za mocno spoufalasz z ludźmi. – Spojrzała na skuloną, biedną Łucję i ogarnęło ją wzruszenie. Usiadła obok i objęła siostrę mocno. – Nie bądź idiotką, mysiu – powiedziała ciepło. – Założę się, że nawet ci adresu nie zostawił. Popatrz na to inaczej. Facet po iluś tam latach przyjeżdża do kraju, nie ma zbyt wielu znajomych, to sobie przypomina dzieciaka, któremu kiedyś tam pozwolił nosić swoje nazwisko. Zwykła ciekawość, nic więcej. Nie rozczarowałaś go, zaspokoilaś męską próżność, to i parę razy postawił ci kawę. Gdyby na twoim miejscu była Dośka, możesz być pewna, że odfrunąłby po pierwszej wizycie. Byłaś dla niego jedną z urlopowych atrakcji, niczym więcej. I tak miał sporo przyzwoitości, że nie zaciągnął cię do łóżka. Chociaż spać z dziewczyną, którą się przewijało, to trochę głupio, nie uważasz?

Próbowała rozruszać Łucję, zmusić do uśmiechu. Na próżno. Dawka prawdy była zbyt duża. Pogrzebała w kasetce i wyjęła zdjęcie ślubne Anieli i Stefana.

– Pierwszy raz widzę to zdjęcie! – zawołała Łucja.

Chwyliła fotkę w obie ręce. Matka w zaawansowanej ciąży, Steve z włosami do ramion, z bujną brodą, podobny, choć odmłodzony o lat trzydzieści.

– Nieźle wyglądali – przyznała Bogna. – Babcia nie była zwolenniczką ślubnych zdjęć. Wszystkie trzymała w kasetce. Nam miał wystarczyć dziadek Konstanty na portrecie. Ty wiesz, że próbowała mi zabrać zdjęcia ze ślubu z Danielem? Musiałam powiedzieć: „Stop, babusiu, to moje, nie twoje!” Ustąpiła, nie miała wyjścia. Byłam za bardzo do niej podobna, żeby próbowała ze mną walczyć.

– Mogę wziąć to zdjęcie? – szepnęła Łucja.

– Jeżeli nie będzie cię gryzło sumienie, to proszę. Umowę też – powiedziała Bogna. – Nie miej do mnie żalu. Przrzekłam babci, że gdyby kiedyś Stefan się zjawił, to ja go spławię.

– Kasetkę też przrzekłaś włożyć do trumny! – nie wytrzymała Łucja. – Bardzo wybiórczo traktujesz swoje obietnice.

– Powiedziałam, że prawda może cię zabołec? Powiedziałam. A teraz nie wyżywaj się na mnie, dobrze? – Bogna gwałtownie odsunęła się od Łucji. Wstała i zaczęła porządkować papiery w kasetce.

– Mam już trzydzieści lat i sama umiem zdecydować o sobie – powiedziała głucho Łucja.

– Tak? A jednak nie zadałaś sobie pytania, czego ten bankrut życiowy mógł chcieć od ciebie?

– A czego ty chciałaś od niego? – krzyknęła. Wyzwoliła się z pozycji embriona, zeskoczyła z kanapy. Stała tuż obok Bogny. – Nie wypieraj się, chciałaś. Może ja nie mam twojego prokuratorского charakteru, ale czasem potrafię coś skojarzyć. Pamiętasz ten dzień, kiedy mały Sebastian tu był, a ja niespodziewanie weszłam? Rozmawiałaś z komórki i przerwałaś w pół słowa. Usłyszałam tylko tyle, że zakopiesz papiery, jeżeli dostaniesz zaproszenie. Tak było? Mnie świeciłaś w oczy recitałem

Łopaciakówny... Żeby się wyspać, nie musisz chodzić na recital Oleńki do teatru!

Bogna wzruszyła ramionami.

– Nie rozumiem, co sugerujesz?

– Rozumiesz doskonale. Zwykły szantaż: zaproszenie do Stanów w zamian za zniszczenie kontraktu.

– Nie pamiętam. Rozmawiałam z nim w lutym, tuż po śmierci Daniela... Byłam rozżalona, załamana, może i chciałam stąd uciec. Więcej do tego nie wracałam.

– Nie kłam. A ten telefon?

– Telefon... nie pamiętam.

– Nie wierzę ci, wcale a wcale ci nie wierzę – krzyknęła Łucja. – Chciałaś od niego zaproszenie i on ci obiecał. A potem po prostu się wystraszyłaś, że ja ci pokrzyżuję plany, że on zaprosi mnie, nie ciebie. Powiedz siostrze, tak napisał, że nie czuję się wobec niej zobowiązany! Szantażowałaś go, przyznaj! Dlaczego? Przecież ja się wcale za ocean nie wybieram, wcale!

Wybiegła z pokoju i popędziła na górę. Byle jak wrzucała do torby swoje rzeczy, mieszała notatki z majtkami. Ręce jej drżały z żalu i tamowanej pasji. Czuła, że Bogna posunęła się stanowczo za daleko, i to nie o jeden krok, lecz co najmniej o dziesięć. Łucja miała tego po dziurki w nosie. Wpadła do łazienki, zgarnęła swoje kosmetyki. Rozejrzała się po pokoju. Do zabrania był jeszcze laptop. Zbiegła ze schodów. W holu natknęła się na Bognę.

– Nie rób głupstw, mysiu! – Głos Bogny brzmiał chłodno i spokojnie. – Jeżeli wybiegniesz stąd w furii, nie będziesz miała odwagi wrócić. Myśl sobie, co chcesz, ale mnie naprawdę bardzo na tobie zależy.

– A mnie zależało na przyjaźni ze Steve'em – krzyknęła Łucja. – Tobie wciąż się wydaje, że wiesz lepiej, co komu potrzeba! Bezmyślnie niszczysz wszystkich, którzy ci się nawiną pod rękę. Najpierw Daniela, potem Steve'a, teraz mnie. Wszędzie się wpychasz, nawet do babcinej trumny.

– Teraz to już przesadzasz! – Bogna stanęła w drzwiach wejściowych, odcinając Łucji drogę ucieczki.

Wyglądała jak tygrysica szykująca się do skoku. Zwężone oczy, a w nich wyczekiwanie na właściwy moment uderzenia. Kto wie, czy taka Bogna nie mogłaby chwycić za nóż. Sama powiedziała, że stać by ją było i na to. Łucja poczuła, że drżą jej kolana. To nie był dobry moment na upór. Odstawiła torbę na krzesło.

– Jeżeli rzeczywiście zależy ci na mnie – powiedziała cicho – to daj mi jego adres albo numer telefonu.

– A gdzie niby dzwoniłaś z mojego aparatu, jeżeli nie na jego komórkę? Masz mnie za idiotkę?

Na tle drzwi jej sylwetka rysowała się bardzo wyraźnie, lecz twarz pozostawała w cieniu. Ten cień sprawiał, że wyglądała jeszcze groźniej.

– Numer jest już nieaktualny – szepnęła Łucja, dostosowując się w tym momencie do rad Baśki, która zawsze twierdziła, że rozsierdzonych wariatów należy brać łagodnością.

Bogna powoli uspokajała się, rozłożyła ręce na znak, że innego numeru nie ma i nigdy nie miała.

– Trudno – powiedziała Łucja – poszukam go przez biuro rzeczy zagubionych.

Bogna kiwnęła głową, że to niezły pomysł.

– To teraz mnie wypuść.

Po sekundzie wahania Bogna w milczeniu odsunęła się od drzwi.

– Dzięki za wszystko – powiedziała Łucja. Chciała powiedzieć normalnie, lecz coś ją zadrapało w gardle i znowu szepnęła. Nie miała odwagi podnieść oczu. Nie tak powinno wyglądać ich rozstanie, całkiem nie tak.

Z torbą, z laptopem nie mogła przepychać się przez dziurę w płocie. Szła prosto do furtki. Była już na ulicy, kiedy dotarł do niej ostry głos siostry:

– Jeszcze tego pożałujesz!

Trzasnęły drzwi. Kiedyś, całe wieki temu, podobnie krzyczał Oskar. On też straszył, nawet próbował się mścić, ale jakoś dała sobie radę.

Tę noc spędziła u Dośki.

19

– Witaj w domu, Łucjo! – szepnęła, przekraczając próg warszawskiego mieszkania.

Nikt na nią nie czekał oprócz Wiktusia. Baśka miała przyjechać dopiero ostatniego dnia sierpnia, żeby zdążyć na praktyki. Łucja postawiła laptop na stole, torbę rzuciła na tapczan i stanęła jak wryta. Wiktusia nie było. Zapewne większość ludzi na jej miejscu byłaby ucieszona zniknięciem szkieletu, ale przecież nie Łucja. Natychmiast przypięła się do telefonu.

– Wiktuś był z tobą we Włoszech? – spytała bez zbędnych wstępów.

– Lubię ekscentryczność, lecz nie w czystej postaci – mruknęła Baśka. – Przecież on nie przeżyłby pierwszej dyskoteki.

– To co z nim zrobiłaś?

– Mówiłam ci przecież, że się rozwiodłam.

– W życiu o tym nie słyszałam! – zapała się Łucja.

– Mówiłam, ty sklerotyczko skończona, tylko nie słuchałaś. Wiktuś służy teraz młodszym rocznikom medyków. Bałam się, żeby Gołąbkowa za mocno go nie pokochała. Głowy nie dam, czy ona nie dorobiła kluczy do naszego mieszkania.

Wydarzenia ostatnich dni sporo namieszały Łucji w głowie. Przez trzydzieści lat żyła sobie spokojnie i nagle pojawiło się poczucie wyobcowania. Po kądzieli niby należała do Winiaków, jednak z całą pewnością nie była dla nich dzieckiem oczekiwanym. Do tradycji rodziny Wielskich nie miała się co przypinać. Była niczyja, poczęta na balandze, nawet nie adoptowana, tylko przysposobiona przez obcego człowieka, w dodatku za pieniądze. Tekst o narodzinach przez pączkowanie, tak ostro schlastany przez Kingę, był proroczy

i pasował do Łucji jak ulał. Patrzyła w lustro i mówiła sobie: moja historia zaczyna się ode mnie.

Najmniej żalu miała do Steve'a. Po trzydziestu latach mógł zapomnieć o niej i o tych nieszczęsnych pięćdziesięciu tysiącach, jednak odzywał się, pytał o nią, w końcu przyjechał. Był to z jego strony ładny gest. Żałowała bardzo, że nie mogła mu o tym powiedzieć. Przestała się już łudzić, że Steve zadzwoni. W gruncie rzeczy był podobny do babci i do Bogny: sam zdecydował, co dla Łucji będzie lepsze. I za to go nie cierpiała. Tylko za to.

Usiadła wreszcie do pisania scenariusza. Jak najprędzej chciała oddać Pożarnickiemu gotowy tekst, więc prawie nie wychodziła z domu, żyła kanapkami i kawą. Z ostatnich zakupów przyniosła najnowszy numer „Tiramisu” z Oskarem na okładce. Nasadzili mu na nos ciemne okulary, które lekko uchylał i spoza tych okularów patrzył tak uwodzicielsko, że czytelniczki powinny mdleć z zachwytu. Wewnątrz było jeszcze jedno zdjęcie i krótki tekst o ciekawym debiucie reżysera najmłodszego pokolenia. Łucja ze zdziwieniem przeczytała, że: *„Pływaczka” cieszyła się zasłużonym zainteresowaniem, a niektórzy widzowie próbowali nawet utożsamiać się z bohaterami filmu, co jest najlepszym dowodem, że obraz debutanta trafił w gust odbiorcy i zapotrzebowanie na dobre, męskie kino.* Dalej było jeszcze gorzej. Łucję interesowało tylko jedno: czy na fali pochwał nie wypłynie przypadkiem jej nazwisko. Doczytała do końca, z ulgą odłożyła numer na dolną półkę i wróciła do swojej pracy.

W ostatnich dniach sporo myślała na temat wzajemnych relacji między sztuką a życiem. Nurtowało ją zwłaszcza to, czy nie za bardzo odwzorowuje rzeczywistość i nie za kurczowo trzyma się faktów. Mistrz lubił powtarzać, że rolą artysty jest kreowanie świata przedstawianego, ona zaś bardziej kalkowała, niż kreowała. A przecież, gdzieś tam, w głębi duszy uważała się za artystkę, tyle że początkującą. Po raz nie wiadomo już który zmieniała spojrzenie na swoich bohaterów i na ich historię. Zrezygnowała z opowieści o szczęśliwym małżeństwie oraz o facecie, który stał się zabójcą tylko dlatego, że w porę nie dostał wódki. Opowiadała o miłości chwiejnego, zdraдлиwego mężczyzny i nieustępliwej, energicznej

kobiety. Uparła się, że z banalnej w gruncie rzeczy historii zrobi dobry film. Bez trudu wyłoniła trzy fazy związku Artura i Darii. Faza pierwsza to najszcześniejszy okres, po którym zostało już tylko pudło z fotografiami. Faza druga – pijaństwo Artura i zdecydowana walka żony z nałogiem męża. Wreszcie faza trzecia – uwiąd uczuć z jej strony, z jego zaś nowa, wielka miłość do innej kobiety. W chwili, kiedy rozstanie jest już przypieczętowane, Artur ginie z ręki jednej ze swoich wcześniejszych kochanek. Zabija go najbrzydsza i najmniej pożądana. Tak właśnie los zakpił sobie z seryjnego kochanka.

Po kilku dniach mrówczej pracy mogła wreszcie umówić się na spotkanie z producentem. Nigdy, nawet w najśmielszych marzeniach nie podejrzewała, że to właśnie Pożarnicki zainteresuje się jej scenariuszem. Rozmowa była króciutka. Ona powiedziała: „Steve Willis”, on powiedział: „A, Steve Willis!” Pamiętał, że obiecywał, wiedział, o czym mówią, kazał zostawić i czekać na telefon.

Łucja przekroczyła próg domu i po raz pierwszy od bardzo dawna nie wiedziała, co ma ze sobą zrobić. Przez ostatnie tygodnie myślała przede wszystkim o scenariuszu, przez ostatnie dni prawie nie odchodziła od laptopa i nagle poczuła się tak, jakby straciła ukochaną zabawkę. Brakowało jej Darii, Artura i wszystkich wymyślonych i niewymyślonych perypetii. Otworzyła laptop i jeszcze szybciej go zamknęła. Grzebanie w gotowym tekście nie było najmądrzejszym zajęciem. To jasne, że zawsze znajdzie się coś do poprawienia, przerobienia, ale niekoniecznie z pożytkiem dla całości. Wieczór spędziła z książką w ręku.

Baśka wróciła opalona i odmieniona. Zajarzyło się wreszcie uśpione w niej światło.

– Musiałaś lecieć aż na Capri, żeby się zakochać w Szwedzie? – wybrzydzała Łucja.

– Nie gadaj, sama mnie namawiałaś.

– Ja cię namawiałam na takie geograficzne łamańce? Co takiego w nim znalazłaś, czego nie mają polscy faceci?

– Wszystko.

– Anatomicznie i psychicznie? – drążyła Łucja.

Oberwała gruszką i niczego się nie dowiedziała. Baśka mogła godzinami paplać o takich chłopakach jak Vittorio i jego kumple, lecz wszystko, co dotyczyło Larsa, miało zostać jej tajemnicą. Łucja nie mogła się z tym pogodzić. Po to są przyjaciele, tłumaczyła, żeby dzielić z nimi radości i smutki. Baśka kiwała głową, ale nie dzieliła.

Pożarnicki okazał się facetem na poziomie. Tylko dwa dni trzymał scenariusz, trzeciego zadzwonił i osobiście zaprosił Łucję na konkretną już rozmowę do swojego biura. Była tak szczęśliwa, że poza jakimś nieartykułowanym „yha” niewiele zdołała powiedzieć. Dopiero w ostatnim momencie przed odłożeniem słuchawki zdobyła się na akt odwagi. Z duszą na ramieniu spytała o domowy numer telefonu Steve’a.

– Utopiłam swoją komórkę – powiedziała z rozbrajającą szczerością. – Wpadła mi do jeziora i teraz mam same kłopoty.

– A co to, jakaś telefoniczna plaga? – roześmiał się Pożarnicki. – Steve też utopił swoją, kiedy byliśmy na rybach.

On dyktował, ona pisała. Patrzyła potem z wielką czułością na nierówno nabazgrane cyferki, jakby miała przed sobą co najmniej zaproszenie do Nowego Jorku.

Drżącą ręką wykręciła numer. Wiedziała, od czego zacznie. Z pięć razy powtarzała wstęp, oczywiście po angielsku, żeby sobie nie pomyślał, że ma do czynienia z analfabetką: „Witaj, Steve! Właśnie przed chwilą spaliłam w popielniczce pewną umowę z marca siedemdziesiątego czwartego roku. Nic mnie ona nie obchodzi. Porozmawiajmy lepiej o weekendowej chałupie na Mazurach”.

Była nastawiona wyłącznie na jego głos i jego radość. Kiedy usłyszała niezbyt miły dla ucha damski sopran, na moment zaniemówiła. Sopran krzyknął gdzieś w głąb amerykańskiego domu: „Kochanie, do ciebie!” Z bijącym sercem łowiła szmery tego domu, jego śmiech, jego kroki. Krótkie: „Willis, słucham”, nie brzmiało zachęcająco. Przełknęła ślinę i nabrała powietrza.

– To ja, Łucja – powiedziała.

– Łucja? – spytał z ostrożnym zaskoczeniem. – Miło, że dzwonicz. Jak się masz!

- Jutro jadę do Pożarnickiego podpisać umowę.
- To świetnie.

Musiała przełknąć ślinę, bo zaczęła ją dławić w gardle. Cisza w słuchawce niebezpiecznie się przedłużała. Ten sam kobiecy sopran, który ją powitał, krzyknął z głębi domu coś o kolacji. Steve powiedział swoje: „To świetnie”, i czekał najwyraźniej na Łucję. Nabrała powietrza, przewyciężyła pustkę w głowie i wyrecytowała na jednym wydechu:

– Chciałam ci tylko podziękować, nic więcej. I wiesz co? Może lepiej zniszcz moje zdjęcie, bo samotność we troje, to już nie jest samotność. Ja umowę z siedemdziesiątego czwartego roku też spaliłam. Zegnaj.

Znowu nie dała mu szansy, z której zapewne i tak by nie skorzystał. Odwiesiła słuchawkę. To nie był znany, kochany Steve, tylko banalny aż do mdłości bohater amerykańskiej sieczki filmowej. O czym miała rozmawiać z takim plastikowym facetem, który niczym katarzynka walił: „miło cię słyszeć”, „jak się masz”, „to świetnie” i nawet nie potrafił ucieszyć się po polsku. Teraz pewnie siada do stołu, a właścicielka sopranu pyta: „Kto dzwonił?” On spokojnie nakłada na talerz plaster ogórka, marszczy brwi w zamyśleniu, jakby próbował dopiąć twarz Łucji do jej głosu i odpowiada obojętnie: „Nikt ważny, dziewczyna, której się wydaje, że jest reżyserem”.

Wyszła do kuchni. Ustawiła w zlewie metalową miseczkę, do której wrzuciła kartkę z niepotrzebnym już numerem telefonu Steve’a, umowę z roku siedemdziesiątego czwartego i list sprzed kilkunastu dni. Potem patrzyła na ogień. Wyrzuciła popiół do kosza na odpadki i wróciła do telefonu.

Krótkie „halo” z drugiej strony też nie brzmiało zbyt zachęcająco.

– „Czasem o byle cię człowiek ma żal do człowieka, a życie jak osioł ucieka” – powiedziała cicho Łucja.

– Moja mysia, maleńka! Nareszcie!

Niekłamana radość w głosie Bogny postawiła Łucję na nogi. Dopóki miała obok siebie Bognę i Baškę, wciąż jeszcze była wielką szczęściarą.